

Krzysztof Kołoda

# KLAWISZE I ZŁODZIEJE



PDW

*Jeśli grozi Ci odsiadka – w naszym bałaganie nigdy nic nie wiadomo – albo ciekawi Cię, jak żyją w więzieniu skazani i ich strażnicy; jeśli chcesz poznać, jak siedzą w innych krajach i ile kosztuje nasze państwo każdy „złodziej”; jeśli chcesz się dowiedzieć, jak wykonuje się w Polsce karę śmierci; jeśli chcesz się nauczyć więziennego języka (grypseny) i dowiedzieć, co dostają „złodzieje” na śniadanie w święta Bożego Narodzenia – kup tę książeczkę. Łagodnie przeniesie Cię w inny, nieznaną świat. Czyta się jednym tchem. Wstrząsające opisy prawdziwego życia „gitów” w więzieniu.*



## *Żonom i dzieciom klawisz, aby się nie wstydzili Rodzinom złodziei, aby wiedziały jak się siedzi*

*Krzysztof Kołęda (ur. 11.04.1944 w Warszawie) – absolwent AWF, Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Szkoły Spraw Międzynarodowych Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, doktor nauk humanistycznych, spadochroniarz, kelner, plotwonurek, długoletni dyplomata (zwiedził niemal cały świat – jak mawia – nie widział tylko Ziemi Ognistej), żeglarz, poliglota, pilot wycieczek zagranicznych, kucharz, biznesmen, – jak twierdzi – zawsze robił to, co musiał, nigdy tego, co lubił. W dziennikarstwie pracował kilka miesięcy, gdzie było dla niego zbyt dyspozycyjne, ale pisanie, nawet „do szuflady”, stało się jego życiowym hobby. Zwłaszcza pisanie o współczesnym życiu. Nie lubi fikcji. Uważa, że to, co dzieje się dookoła, stanowi najlepszy materiał do pasjonujących opowieści. Trzeba tylko umieć patrzeć.*

**Krzysztof Kołoda**

# **ZŁODZIEJE I KLAWISZE**



Polski Dom Wydawniczy Sp. z o.o. Warszawa 1995

**projekt 1 str. okładki** *Luba Szelegeda-Iwanicka* Redaktor wydania *Maria Domańska* Redaktor techniczny *Jan Łukiewicz*

© by Krzysztof Kołęda © by Polski Dom Wydawniczy

ISBN 83-7043-194-1  
Polski Dom Wydawniczy 1995  
Wydanie 1

Drak: Zakłady Graficzne „Dora Słowa Polskiego”

*Żonom i dzieciom „klawiszy”  
aby się nie wstydzily*

*Rodzinom „złodziei”,  
aby wiedziały, jak się siedzi*

## *Zamiast wstępu*

*Zło znane  
jest lepsze od nieznanego*

Przysłowie japońskie

Jeśli już kupiłeś tę książkę, Szanowny Czytelniku, możesz sobie pogratulować. Bo przecież nigdy nic, zwłaszcza w naszych burzliwych czasach, nie wiadomo. Nie wiadomo też, kiedy wyląduje się w „pudle”.

To nie „złodzieje” ryzykują teraz najbardziej. Oni są na ogół fachowcami, zrzeszonymi w gangi i mafie, wspieranymi przez dobrych adwokatów i „brudne” pieniądze. Wobec nich nasz aparat ścigania jest praktycznie bezradny. Czasami policji brakuje na benzynę czy na amunicję do ćwiczebnego strzelania. Prokuratura nie ma dotacji, a sądy bankrutują mimo nakładanych na „złodziei” wysokich grzywien. O rozbiciu, złapaniu i osądzeniu jakiejś zorganizowanej bandy przestępczej już dawno nikt nie słyszał. Teraz łapie się tego, kto jest najslabszy, kto podpadnie. Czasami przez przypadek.

Do takich potencjalnych ofiar wymiaru sprawiedliwości i ścigania należy niewątpliwie nowa, młoda i prężna, postkomunistyczna generacja polskich biznesmenów. Możesz podpaść, Drogi Biznesmenie, nie tylko Urzędowi Skarbowemu podczas rutynowej kontroli. Czyha też na Ciebie Najwyższa Izba Kontroli, Departament Gospodarczy w MSW, Policja Skarbowa (może do niej złożyć donos zawistna konkurencja), Policja Celna (na tej samej zasadzie - teraz celnicy mogą już robić rewizję nawet w mieszkaniu), a nawet - jak wykazała afera Art-B - nasz wywiad, czyli UOP.

Sprzyjają im zmieniające się z dnia na dzień przepisy. Zamawiasz w Korei buty typu „adidas”, czasem nawet dobrze podrobione, i koreański producent wysyła je statkiem. Kiedy statek jest w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei, dowiadujesz się, że cło na

buty podniesiono z niedzieli na poniedziałek o 10%, a podatek graniczny o 5%. Kiedy statek opływa Hiszpanię, wiadomości telewizyjne w sobotę w nocy informują, że do podatku granicznego, od jutra, wlicza się koszty ubezpieczenia i transportu, i tak dalej. Stajesz się ze swoim towarem niekonkurencyjny na rynku polskim.

Co wtedy robisz? Część towaru spisujesz jako wybrakowany i sprzedajesz go handlarzom na bazarach na lewo, bez rachunku. Jeśli robisz to na małą skalę, Bóg z Tobą, na pewno się uda, ale jeśli na większą - prędzej czy później wpadniesz.

Jeszcze gorzej, jeśli chcesz „wyjść na swoje” „sposobem”. Zamawiasz w Holandii jabłka, na które wiosną nie ma u nas cła. Ale prosisz, aby załadowano je z przodu TIR-a. W głębi powinny być skrzynki z pomarańczami. Płacisz oczywiście cło tylko za jabłka. Za piątym razem wpadasz — na skutek donosu konkurencji. Sądzą Cię z kilku paragrafów i trafiasz do „pudła”. Samo życie.

W każdym przypadku ta książka będzie Ci w więzieniu absolutnie niezbędna. Kiedy siedząc w areszcie śledczym, w oczekiwaniu na rozprawę, przypomnisz sobie o niej, natychmiast wyślij do rodziny gryps, aby Ci ją jak najszybciej przysłała.

Dowiesz się z niej, jak się siedzi w Polsce i jak się siedzi za granicą. Poznasz tajniki tak zwanego drugiego życia w kryminale, dowiesz się o zasadach hierarchii więziennej, co się tam je, co pali, a nawet co nieco o seksie. Poznasz też punkt widzenia strażników i wychowawców (czyli „klawiszów”) na ich pracę i na ich kontakty ze „złodziejami” (czyli więźniami). Jest to prawdziwe vademecum dla pierwszy raz skazanego człowieka.

Tym Czytelnikom, którzy nie spodziewają się odsiadki w dającym się przewidzieć czasie, gwarantuję, że niniejsze dziełko na pewno zaspokoi ich czysto ludzką ciekawość — jak to jest naprawdę za tym murem. Jak ci ludzie żyją, co jedzą, jakie są ich rozrywki. Na to, by iść do „pudła” tylko po to, aby się o tym przekonać, nikt nigdy się przecież nie zdecyduje.

Innym powodem, dla którego podjąłem się pisania na ten temat, jest zbliżający się termin moratorium na wykonywanie w Polsce kary śmierci. W 1993 roku sprawa kary śmierci powinna dostać się ponownie pod obrady sejmu. Tą książką chciałbym uczestniczyć w dyskusji w sposób znaczący, gdyż ogólnie prasowa dysputa obejmie zapewne wszystkie problemy więziennictwa. Można też przewidzieć, że będzie prowadzona z naukowego i humanitarnego punktu widzenia przez ludzi, którzy nigdy w „pudle” nie siedzieli ani w nim nikogo nie pilnowali.

Mój głos będzie tu wyraźnie odbiciem głosu praktyków.

Sam pomysł książki nasunął mi się zupełnie przypadkowo. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych pracowałem jako konsul w Libii, jednym z moich rozlicznych zajęć było wyciąganie z komisariatów i więzień skacowanych Polaków. W Libii do dziś jest pełna prohibicja i za picie alkoholu można dostać rok, za produkcję - dwa, a za handel alkoholem do pięciu lat więzienia. Nasi rodacy, jak zwykle, lekce sobie ważyli miejscowe prawo i niemal codziennie ktoś lądował w miejscowych kryminatach. Już po paru tygodniach znałem dobrze wszystkich naczelników więzień, komendantów posterunków, prokuratorów i miejscowych sędziów. Stałem się niejako specjalistą od więziennictwo libijskiego. (Zainteresowanych tym tematem odsyłam do swojej książki „Donos na konsula”, wydanej w 1992 roku przez Wydawnictwo Polonia).

Kiedy przyjeżdżałem na urlopy do kraju, spotykałem się nieraz ze swym przyjacielem - oficerem więziennictwa, profesjonalistą z wyboru i wykształcenia. Siadaliśmy przy małej, taniej jeszcze wtedy wódce i opowiadaliśmy sobie o różnych faktach, sytuacjach i ciekawych wydarzeniach - na zasadzie: „A ja ci opowiem jeszcze lepszą historię.” Były to wyłącznie historie prawdziwe.

Któregoś dnia zaproponowałem, aby jego opowiadania również spisać - ku przestrodze innych. I tak powstała ta książka.

Materiał źródłowy wykorzystany w niniejszej pracy stanowią (w 90%) relacje ludzi („klawiszcy” i „złodziei”), będących jej pozytywnymi lub negatywnymi, ale zawsze prawdziwymi bohaterami. Mówią tu sami o sobie. Szczerze. Historyczno-statystyczne informacje zaczerpnąłem z penitencjarnej literatury fachowej oraz kilku periodyków i prasy codziennej. Dokumentacje do jadłospisów i budżetu przykładowego zakładu karnego są autentyczne. Wyposażenie przysługujące „złodziejom” oraz ich prawa i obowiązki podałem na podstawie oryginalnych regulaminów zakładów karnych z końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych - obecnie są one zmieniane. Na ogół na korzyść „złodziei”, co jednak nie zawsze wynika z postępu naszych rozwiązań penitencjarnych i myśli penitencjarnej, lecz często jest skutkiem ubóstwa naszej Sprawiedliwości.

Nie ma w tej książce absolutnie żadnej fikcji. To jest samo życie.

Na koniec - jest to książka tylko o mężczyznach i opowiadana przez mężczyzn. Kobiety pojawiają się tu sporadycznie jako matki, kochanki, siostry - nigdy jako „klawiszki” czy „złodziejki”. Świat więzionych kobiet jest zupełnie inny z psycho-



logicznego punktu widzenia, chociaż prawdopodobnie nie mniej twardy i okrutny. Jego opisem powinna się jednak zająć kobieta, mogąca lepiej niż mężczyzna go zrozumieć. Opis tego świata dokonany przez mężczyznę byłby z pewnością zafałszowany, nawet zupełnie nieświadomie.

*Warszawa i inne miasta, grudzień 1992*

## **1. „Ludzie”, czyli „grypsujący”**

*Kapować nie wolno, ale odegrać się trzeba*

Z zasad „gitów”

„Ludzie”, czyli „grypsujący”, zwani też „git-ludźmi”, pojawili się w więzieniach już przed I wojną światową.

Nie było ich dużo, tak jak teraz, ale stanowili za to prawdziwą elitę marginesu społecznego. Zaliczano do niej zawodowych kasiarzy (najbardziej poważanych i szanowanych), włamywaczy, bandytów posługujących się bronią czy też doliniarzy, jak nazywano kieszonkowców. „Ludzie” ci szanowali się wzajemnie, wchodzili ze sobą w sojusze, pomagali sobie, dzielili się paczkami, które przychodziły z zewnątrz, oraz wspólnie bronili własnych interesów. W celi nie potrzebowali udowadniać pięścią, że są lepsi, poznawano to po ich zachowaniu, obyciu więziennym, słownictwie, czyli „grypserze”, a nieraz po nienaganych „hrabiowskich” manierach. Słowem, tworzyli niekwestionowaną więzienną arystokrację. W naszych czasach, w większości przypadków, „grypsujący” musi udowodnić, że jest „człowiekiem”, na ogół okazując swą fizyczną przewagę wobec kilku zdeorientowanych „frajerów”.

Przedwojenni „git-ludzie”, z którymi miał jeszcze do czynienia mój przyjaciel latach sześćdziesiątych, nawet w więzieniu doskonalili swoje rzemiosło, ćwiczyli palce, ramiona, na ile było to możliwe - uprawiali sport, i wręcz walczyli o „spacerniak”. Pozbawienie takiego „git-człowieka” spaceru było dla niego największą karą. Cenili świeże powietrze i ruch.

Nigdy też nie twierdzili, że siedzą niewinnie, co zdarza się współczesnym „ludziom”. Twierdzili, że, owszem, kradli i rabowali, ale wpadli przez własną głupotę albo przez głupotę czy zdradę kumpla w czasie roboty lub później. Nie mieli też pretensji do „klawiszy”, co teraz jest niemal powszechne.

Przedwojenni „ludzie” doskonale znali kodeksy karne oraz regulaminy wszystkich więzień w Polsce (przed I wojną światową więzień we wszystkich zaborach), a dobrzy fachowcy nawet i we Francji.

Z ich zdaniem musiał się liczyć naczelnik więzienia, i to nie dlatego że tak jak dzisiaj grozi to buntem czy awanturą, ale dlatego że taki przedwojenny „git-człowiek” mógł swoim autorytetem rozwiązać problem czy pokonać opór innego więźnia wydając jedno krótkie polecenie, które powinno być natychmiast wykonane. Jeżeli nie było, delikwentem zajmowano się w celi i tam, już niekonwencjonalnymi metodami, łamano jego opór. Przedwojenny „arystokrata” więzienny stawał się też czasem dla naczelnika lub wychowawcy cichym i tajnym doradcą w różnych codziennych sprawach dotyczących życia innych więźniów, przy czym nie można mu nigdy było zarzucić „kapusiostwa” (kolaboracji). Robił to zawsze w oględny, ale zrozumiały dla rozmówcy sposób, bez denuncjowania innych.

Przedwojennych „ludzi” dzieliły natomiast pewne regionalizmy. Były różne szkoły: „lwowska”, „warszawska” czy „wileńska”. Wynikało to rozmaitych obyczajów, więziennych postaw i zachowań „arystokracji”, ale przede wszystkim z bardzo nieraz odmiennej „grypsery”. Nie można powiedzieć, że „człowiek” z Wilna, który wpadł na „gościnnych występach” w Warszawie, mógł się porozumieć z „gitem” warszawskim tylko przez tłumacza, ale na pewno miał z tym trudności. Po pewnym czasie chętny zwykle do nauki „człowiek” wileński uczył się „grypsery” warszawskiej i rozmawiał już „pod celą” (w celi, w miejscu zakwaterowania) zupełnie biegle. Równie szybko przystosowywał się do obyczajów i zwyczajów, a to dlatego, żeby nie zwracać na siebie uwagi i ułatwić sobie życie.

Zdarzało się oczywiście, że przedstawiciele „szkoły lwowskiej” załatwiali różne porachunki z „gitami” z Wilna, ale robili to zwykle albo na zlecenie z zewnątrz, albo wtedy gdy między środowiskami obu miast trwała wojna.

Jeżeli regionalizmy dzieliły w jakimś sensie „git-ludzi”, to bez wątplenia łączyła ich wspólna profesja. Doliniarze (kieszonkowcy) czy szopenfeldziarze (złodzieje sklepowi) trzymali się zawsze razem, razem w „pudle” ćwiczyli, jedli i omawiali godzinami sprawy zawodowe.

Dzisiejszy „git-człowiek”, czyli „grypsujący”, różni się zdecydowanie przedwojennego, chociaż niektóre cechy pozostały.

Nie ma przede wszystkim (albo zdarza się to niezmiernie rzadko) sojuszy branżowych. Na ogół złodzieje trzymają ze sobą, ale już do bandytów skazanych za rabunek z bronią w ręku nawet „frajer” ma inne podejście i szacunek. Znikła większość branż złodziejskich, w znaczeniu

specjalizacji. Nie ma na przykład w więzieniach kasiarzy. Profesja ta umarła śmiercią naturalną wraz z redukcją po wojnie małych, słabo zabezpieczonych banków prywatnych, które kasiarzy żywiły. Zniknęli też szopenfeldziarze.

Mój przyjaciel poznał kiedyś w czasie swojej pracy takiego przedwojennego „człowieka”. Przewieziono go z innego zakładu. Był po kilku wyrokach za zuchwałe złodziejskie włamania, czyli prawdziwy specjalista. Przyjaciel zauważył, że nowo przybyły trzyma się z daleka zarówno od „ludzi”, jak i od „frajerów”. Je sam, po „spacerniaku” chodzi sam. Widzeń nie ma i nie stara się o nie. Ale jednocześnie nie jest atakowany, zmuszany czy poniżany. Przestrzega też regulaminu.

Przyjaciel wezwał go do siebie i po krótkiej towarzyskiej rozmowie zapytał:

- Panie Lucjanie, pan, stary recydywista, i w ogóle, pan nie grypsuje?
- Panie wychowawco - odpowiedział bez namysłu pan Lucjan - to nie są prawdziwi ludzie, to jakaś zbieranina, nic nie umieją w zawodzie, puszą się i znęcają nad innymi. Co to za grypsujący, co tylko potrafi dać komuś w mordę lub wymyślić nowy wyraz czy końcówkę wyrazu w grypsersze? Ja się do nich nie przyłączę.

Tak więc współcześni „ludzie” nie mają już oparcia w branży. Teraz decyduje nie zawód i paragraf, ale osobowość, a najczęściej zwykła siła fizyczna.

Ale i dziś nie jest łatwo być uznanym za „człowieka”.

Przede wszystkim „git” powinien znać regulaminy więzienne, i to znać doskonale. Musi dokładnie wiedzieć, co mu wolno, a czego nie wolno. Wbrew powszechnie panującym poglądom regulaminy poszczególnych więzień różnią się od siebie, gdyż układa je zazwyczaj naczelnik zakładu karnego. Te szczegóły decydują czasem, czy ochrona więzienia ma się do czego przyczepić i może ukarać nowo przybyłego, czy też nie, a na początku pobytu „git-człowiek” - o ile sam do tego nie dąży w celach demonstracyjnych - nie podpada i nie wywołuje awantur i burd.

Współcześni „ludzie” znają dość dobrze prawo, a zwłaszcza kodeks karny i kodeks postępowania karnego. Między sobą nigdy nie określają, nie opisują swego czynu, lecz wymieniają właściwy paragraf kodeksu. Zapytany, na przykład, nowo przybyły do celi „git”:

- Za co siedzisz? - nigdy nie odpowie:
- Za włamanie. - Tylko: - Z paragrafu dwa, trzy, siedem.

Pytający już wie, o co chodzi. Oczywiście, jeśli również jest „człowiekiem”. Jeśli jest „frajerem”, zada dodatkowe pytanie:

- To znaczy za co?

I to właśnie pytanie demaskuje go w oczach „człowieka” jako początkującego „frajera”. Ot, niuans.

Ważna jest też dla „człowieka” znajomość aktualnych zmian prawa, a zwłaszcza zarządzeń, które mogą go dotyczyć. Wynika to z faktu, że „arystokracja” więzienna sama egzekwuje wszystko, co jej się należy, podczas gdy „frajer”, zazwyczaj słabo w prawie zorientowany, przyjmuje do wiadomości tylko to, co mu mówią inni, w tym służba więzienia. Bunt w więzieniach, które w roku 1989 wstrząsnęły opinią publiczną, wywołane były między innymi bardzo dobrą znajomością prawa przez grono recydywistów liczących na amnestię.

Kolejną zasadą „gita” jest wspieranie innych „gitów”. Pomaganie na co dzień, zwłaszcza przy ujarzmianiu „frajerów” i dokonywaniu wykroczeń przeciw regulaminowi, oczywiście w taki sposób, aby nie zdołało ich wykryć. Porządny „człowiek” dzieli się paczką z innym „człowiekiem”, ale nie dzieli się już z „frajerem”. „Frajerowi” paczka zostaje po prostu zabrana i podzielona - albo między wszystkich w celi, albo tylko między „ludzi”.

Żaden porządny „git-człowiek” nie wystąpi przeciw innemu „git-człowiekowi” ani czynnie, ani poprzez złożenie zeznania, w jakiegokolwiek sprawie. Na przykład w celi znaleziono „frajera” z pękniętą podstawą czaszki. Zmarł w szpitalu wkrótce po przewiezieniu. Trzech siedzących nim „gitów” zeznało przed prokuratorem, że spadł z górnego łóżka, jeden zeznał, że czytał gazetę, drugi, że pisał list do narzeczonej, a trzeci, że siedział na kiblu. Sprawę umorzono.

Pamiętaj Czytelniku, że jeśli oberwiesz w celi, lepiej milczeć, niż zeznawać. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Często chowano ludzi z mózgiem na wierzchu, a świadkowie z celi zeznawali, że potknęli się oni miskę lub o sedes.

„Grypsujący” musi oczywiście znać „grypsere”, czyli żargon więzienny tworzony latami przez samych więźniów. Kiedyś rozmawiano w ten sposób, aby zmylić strażników (wychowawców jeszcze nie było), ale biegiem czasu „grypsera” stała się popularna zarówno wśród strażników, jak i „frajerów”. Teraz rozumie ją w więzieniu nawet główny księgowy.

Posługiwanie się „grypsere” nie jest wśród porządných „ludzi” konieczne. Na ogół jej używają, choć nie muszą. Zawsze jednak używają jej „małolaty” (młodociani przestępcy), przy czym posługują się tą najprostszą: „hektar pleców” (duże plecy, silny człowiek), „kopsnij szluga” daj papierosa), „rzuca barami” (rusza ramionami, kiedy chodzi - oznaka siły). Nie znają oni natomiast rzadziej używanych słów z „grypsery”, których Czytelnik może, przed swoją odsiadką, nauczyć się ze słowniczka zamieszczonego na końcu książki.

Kolejną zasadą przestrzeganą przez „ludzi” jest zasada lojalności wobec kolegów. Jeśli wśród „frajerów” może trafić się kapuś, informujący na przykład wychowawcę czy oficera operacyjnego (odpowiedzialnego za ochronę wewnętrzną), co się dzieje „pod celą” czy na oddziale, to wśród „ludzi” jest to niemal niemożliwe, choć zdarzają się i takie rzadkie przypadki. Zemsta za „kapowanie” jest na ogół bardzo dotkliwa. Jeśli dopuści się tego „frajer”, mogą w nocy w celi zrobić z niego nawet „cwela”, o czym wieść rozniesie się szybko po całym więzieniu. Taki nowo stworzony „cwel” jest „przeegrany” we wszystkich zakładach karnych w Polsce. Wyrok ciągnie się za nim do końca odbywania kary, a nawet jeśli ktoś z „git-ludzi” go rozpozna i na wolności.

Jeśli natomiast wykryje się kapusia wśród „ludzi”, zostaje on zdegradowany do „frajera”, i to najniższej kategorii - aż do końca pobytu w „pudle”. Będzie mył kible i prał innym skarpetki wspominając z rozrzewnieniem, że kiedyś był „człowiekiem”.

W jednym z więzień starszyzna „gitów” wydała wyrok śmierci na kapusia, który dość długo udawał „człowieka”. Zawinili tu z pewnością wychowawcy i naczelnik więzienia, którzy nie dbali o swego informatora („ucho”). Nie rozpoznali zbliżającej się tragedii, prawdopodobnie z braku wyobraźni. Wyrok wykonano przez powieszenie. Związanego donosiciela przywiązano za pętlę do klamki w świetlicy. Jeden kat ciągnął za nogi, a drugi otworzył drzwi. Na katów starszyzna „gitów” wyznaczyła dwóch niepełnoletnich „frajerów”, którym za morderstwo nie groziła kara śmierci, lecz tylko dłuższa odsiadka. Oczywiście po morderstwie stali się prawdziwymi „gitami”. Zostali nobilitowani. Innego informatora podczas pracy poza zakładem wrzucono pod pociąg. Stracił obie nogi. Dalszą karę odsiadywał jako inwalida.

Inną naczelną zasadą „ludzi” jest prawo i obowiązek zemsty nie tylko za „kapowanie”, ale za złamanie obyczajów, wyłamanie się z grupy czy niekorzystne zeznania podczas śledztwa. Zemsty nie musi dokonywać „człowiek”, na którego, powiedzmy, doniesiono czy przeciw któremu złożono zeznanie. „Git-człowiek” zazwyczaj zleca dokonanie zemsty innym „ludziom”, którzy czynią to bez wynagrodzenia, w ramach „ludzkiej” solidarności, albo każe wykonać ją „frajerowi”, który otrzyma za to, na otarcie łez, parę paczek papierosów. Zemsta może też osiągnąć delikwenta zupełnie niespodziewanie w innym zakładzie karnym, na drugim krańcu Polski. „Ludzie” są bardzo pamiętliwi i w zasadzie nie przepuszczają nikomu, nawet najlepszemu kumplowi. Jest to niejako ich „człowieczym” obowiązkiem.

Interesujący jest stosunek „ludzi” do prawa i przepisów. Prawdziwy „człowiek” uznaje prawo, jego cel, konieczność i zasady. Rozumie też, że jest poza

marginesem, ale jednocześnie sam sobie tworzy własny świat, w którym wygodnie mu się żyje. To, co najczęściej kwestionuje, to wysokość swojego wyroku, który potrafi dokładnie zanalizować i porównać z innymi wyrokami, oczywiście niższymi. O swoją wpadkę oskarża zwykle kumpli, rodzinę lub pasera. Według własnej oceny sam winien jest rzadko, a już bardzo rzadko żałuje tego, co zrobił. Podporządkowując się prawu i znając je, czasem lepiej od przeciętnego adwokata, „człowiek” świadomie przeciwstawia się ustaleniemu porządkowi społecznemu. I nie dotyczy to w zasadzie partii politycznych i ustroju, gdyż „grypsujący” jest na ogół apolityczny.

Piszę, na ogół, gdyż ostatnie wypadki w więzieniach w okresie dochodzenia do władzy „Solidarności” dowiodły, że politycy potrafią do swojej walki wykorzystywać również „ludzi”, a nawet „frajerów”. Można powiedzieć, że politycy przechytrzyli „grypsujących”, o czym zresztą wiedzą oni doskonale. W rozmowach, które prowadziłem z „ludźmi”, motyw ten powtarzał się bardzo często. „Ludzie” czuli się oszukani, i to nie tylko z powodu nie udzielenia amnestii przez Sejm, mimo że uczynił to Senat.

My im tego nie zapomnimy! - mawiali „ludzie”, i jak ich znam, słowa tego dotrzymają.

Takie podejście do sprawy, świadczy również, że uznając sami prawo oczekują, że wobec nich będzie stosowana podobna zasada. Jeżeli zaś nie będzie, jak prawdziwi „ludzie” będą sami sędziami i katami.

W styczniu 1992 roku w programie telewizyjnym pod tytułem „Recydywa i recydywiści” wystąpił więzień, właśnie recydywista, który dość dokładnie opisał obietnice, jakie w czasie buntu składali więźniom, a zwłaszcza „grypsującym”, działacze ówczesnej opozycji, ksiądz, opozycyjni dziennikarze i inni. Słowa - według niego - nie dotrzymali, a w więzieniach jest gorzej, niż było. On sam, wbrew przyrzeczeniom władz, poniósł za bunt dodatkową karę. Jego zdaniem głównym sprawcą tego poniżenia - gdyż za poniżenie uważa fakt, iż nie mógł dotrzymać swoich obietnic danych innym więźniom po rozmowie przeprowadzonej z przedstawicielami byłej opozycji - był jeden z senatorów.

Powszechną dewizą „gitów” jest powiedzenie: „Kapować nie wolno, ale odegrać się trzeba”.

Poszanowanie przez „ludzi” prawa przenosi się również na życie codzienne „pod całą”. Żaden porządny „człowiek” nie będzie łamał regulaminu w głupi i otwarty sposób. Tak postępuje zwykle tylko „frajer”.

Zasadą „ludzi” jest przechytrzenie ochrony czy wychowawcy, a nie działanie przeciwko nim otwarcie. Szanujący się „git-człowiek” nie ubliży w gniewie

strażnikowi, i to nie dlatego, że obawia się kary, ale dlatego, że nie wypada tego robić. Jeśli strażnik mu ubliży, znajdzie różne inne sposoby, aby się zrewanżować. Każe na przykład „frajerom” wywołać w nocy awanturę właśnie wtedy, kiedy służbę ma „podpadnięty” strażnik, aby zmusić go do podejmowania decyzji, za które będzie się tłumaczył rano przed naczelnikiem. „Git-ludzie” mogą też donieść na strażnika, że był pijany, i ten, jeśli nie ma świadków, gęsto się tłumaczy.

Żaden szanujący się „człowiek” nie porznie się żyletką, którą mógł kupić „na wypiskę”, to znaczy oficjalnie i bez trudności (jeśli do tego dojdzie, będzie potem się tłumaczył, że żyletkę ukradł koledze; nie przyzna się, że kupił ją legalnie w kantynie). Na ogół, jeśli będzie chciał dokonać takiego właśnie samouszkodzenia - jak to fachowo mówią „klawisze” - użyje do tego celu sprytnie wykrojonej szyby z okna celi.

Bardzo rzadko się zdarza, aby „grypsujący” uciekał (czyli, jak mówią fachowcy, sam się uwolnił) pracując w terenie otwartym czy w zakładzie produkcyjnym z wolnymi ludźmi. Zawsze wraca też z przepustki spoza więzienia. Szanujący się „człowiek” ucieczkę organizuje z wewnątrz więzienia, używając sprytu i wymyślnych sposobów. Taki ma „charakter” i tym się różni od „frajera”, czyli „niec człowieka”. Gdyby otworzyć bramy więzienia, większość „ludzi” by w nim pozostała - twierdzi mój przyjaciel - ale najchętniej zrobiliby pod tą bramą podkop.

„Ludzie” wyróżniają się też na co dzień, w życiu „pod celą”.

„Git” nigdy nie chce zostać starszym celi, czyli funkcyjnym, ponieważ musiałby wtedy za coś odpowiadać. Poza tym funkcja ta wymaga codziennego meldowania się oddziałowemu „klawiszowi”, a to prawdziwy dyshonor. „Git” stara się stworzyć „pod celą” taką sytuację, aby żyć wygodnie. Nie przeszkadza to starszyźnie „ludzi” wyznaczać funkcyjnych, nawet spośród „frajerów”, którzy będą posłusznie spełniać polecenia. Delegowani przez „gitów” pracują w więzieniu na najlepszych stanowiskach i władze więzienne muszą to tolerować, aby mieć spokój.

„Ludzie” stronią również od prac fizycznych zatrudniając do tego celu „nieludzi”. „Git-człowiek” nie zamiata, nie myje okien, nie czyści kibla. Nie pierze też sobie skarpetek. Je zawsze przy stole, a nie siedząc na łóżku. Wyznacza, kto nie może z nim jeść przy jednym stole, kto ma jeść na sedesie albo na podłodze. Dobry „git” rządzi celą.

„Grypsujący” trzymają się zasady odmowy wykonywania pewnych czynności i robią tak mimo surowych bądź dotkliwych dla nich kar. Nie podejmą się więc, choćby byli



w tej dziedzinie fachowcami lub mogli dobrze na tym zarobić czy otrzymać regulaminową nagrodę, wszelkich prac związanych z ulepszaniem więzienia, jak wstawianie nowych krat, reperacja starych, naprawa zamków i kluczy, odnawianie, cel itp. Wychodzą bowiem z założenia, że prace te pomagają „klawiszom” w ograniczaniu ich wolności.

„Ludzie” brzydzą się na ogół pracą fizyczną, w tym również pracami porządkowymi, i to jest jeden z powodów, że zastępują ich, oczywiście pod przymusem, „frajerzy”. Pracę zarobkową traktują jako zło konieczne, ale obecnie wraz ze ubożeniem społeczeństwa mają małą możliwość pomocy finansowej ze strony swojej rodziny; są do pracy zmuszani niejako przez sytuację. Gdyby jednak mogli, nie pracowaliby w ogóle.

Dla nadania sobie „charakterności” „git” od czasu do czasu dokonuje samouszkodzeń. Są to na ogół niezbyt groźne dla niego zabiegi, o których piszemy w innym rozdziale. Tu wspomnimy tylko, że samouszkodzenia „gitów” mają charakter bardziej demonstracji niż protestu. Celem ich jest głównie udowodnienie swojej przynależności kastowej lub podniesienie własnej rangi wśród innych „ludzi” w „pudle”.

Zdarzają się jednak wyjątki i „ludzie”, zwłaszcza z dużymi wyrokami, dokonują samouszkodzeń z nudów. Aby zmienić miejsce pobytu, znaleźć się w pościeli pod opieką pielęgniarek, jeść lepsze posiłki itp.

Jeden, na przykład, ukraść podczas wizyty w więziennym ambulatorium lekarską igłę o dość dużej grubości. Następnego dnia, chcąc wylądować w szpitalu, zgłosił się do lekarza z olbrzymim wolem za uchem. Wbił sobie tę igłę w szyję, a kolega z celi wdmuchał mu przez igłę powietrze. Jednak w tym wypadku więzienny lekarz był fachowcem. Kazał „gitowi” usiąść w fotelu, mocno go do niego przywiązał, po czym inną igłę lekarską wbił właśnie w to nadmuchane wole i po prostu spuścił powietrze.

- Teraz możesz iść do celi, jesteś zdrowy - powiedział spokojnie do „gita”, a ten zdębiał.

Czasem też „ludzie” wykorzystują samouszkodzenia, aby wykazać wszystkim swoją „charakterność”. Na przykład „git”, który zrobił sobie „wiedeński sznyt”, zażądał od lekarza, aby go zszywał bez znieczulenia. Ponieważ obecny był przy tym laborant-więzień (tak zwany funkcyjny), po dwóch dniach wiedziało już o tym całe więzienie. Szanowano „gita” jeszcze bardziej.

Tak robią „gity”- recydywiści lub z dużymi wyrokami. Z nudów. Ale co to znaczy duży wyrok. W ich języku „rok nie wyrok”, „dwa lata jak dla brata”.

Do pięciu lat to wyrok „dziecki” (dziecinny), do dziesięciu - damski, powyżej dziesięciu - męski.

Mój przyjaciel dostał kiedyś na swój oddział aferzystę gospodarczego, spokojnego człowieka, który otrzymał za malwersację trzynaście lat.

- Przewieziono mnie do więzienia w Barczewie - dla więźniów długo-terminowych, zaraz po wyroku. Taki wyrok. Tylko się powiesić. Nastrój podły. Wprowadzono mnie do celi, a tam trzech „git-ludzi” - opowiadał aferzysta gospodarczy. - Jeden z nich od progu pyta: - Ile i za co? - Trzynaście - i wymieniam paragraf. - Bez urazy, ale kiepsciutko, kiepsciutko - mówi pierwszy „git”. - A wy? - pytam. - Kwaterka (dwadzieścia pięć lat) - mówi pierwszy. - Kwaterka - mówi drugi. - Srebrne wesele (też dwadzieścia pięć lat) - mówi trzeci. - Od razu zrobiło mi się lepiej, panie wychowawco. Zrozumiałe.

Dość popularne są u „gitów” tatuaże, choć nie są konieczne. Są „ludzie”, którzy tatuują sobie całe ciało, ale też zdarzają się tacy, którzy nie mają tatuaży w ogóle, poza kropką w kącie lewego oka lub kropkami na obu powiekach. Widać je tylko wtedy, kiedy „git” zamknie oczy. Po takich znakach można najłatwiej poznać „gita” w tramwaju lub na ulicy - lepiej wtedy wycofać się z awantury, to fachowiec od bicia po mordzie, kopania w krocze i operowania żyłką lub nożem.

„Git” jest stały w uczuciach do kobiet. Potrafi kochać nawet bez wzajemności, a tym bardziej z wzajemnością. Wśród funkcjonariuszy więziennych znana jest historia „gita”, który wpadł po włamaniu do sklepu jubilerskiego. Zrobił to na wzór ri-fi-fi. Starsi Czytelnicy znający film pod tym tytułem pamiętają, że dokonano tam włamania przez sufit, używając do tego celu podnośnika hydraulicznego oraz parasola, na który sypał się gruz. Metoda naszego „git-człowieka” była podobna, z tym że do sklepu przebił się przez podłogę. Wpadł, gdyż biorąca udział w „skoku” narzeczona, Ewa, nie wytrzymała nerwowo i zbyt szybko zaczęła upłynniać „fanty” (zagrabione rzeczy). Wpadli oboje. On siedział w jednym więzieniu, a ona w drugim końcu Polski. Kiedy chcieli się z sobą zobaczyć, uzgadniali szyfrem, korespondencyjnie, termin i ona wkładała sobie w pochwę kawał żelaza, a on w cewkę moczową kawał drutu. Zawożono ich zawsze do tego samego szpitala więziennego ze specjalizacją urologii. Tam mogli bez przeszkód spotykać się na korytarzu i kochać - miłością chyba jednak tylko platoniczną.

Wśród „gitów” istnieją jednak podziały. Najwyższa jest starszyzna: ona wydaje opinie, zatwierdza wyroki i rządzi „drugim życiem” w kryminale. Czasami dochodzi do rywalizacji między dwoma kandydatami na totalnego dyktatora. Wtedy koniecznie trzeba ich rozdzielić. Siedzą w różnych celach. Wychodzą osobno na

spacer, osobno się kąpią i oglądają telewizję.

Zdarza się jednak, że taką rywalizację można wykorzystać. „Git” o przezwisku „Siekiera”, który w „pudle” rywalizował z „gitem” „Bury”, dostał pewnego dnia szału. Podczas spaceru wszedł na latarnię, założył sobie pętlę na szyję, a drugi koniec sznura przywiązał do latarni. Oznajmił, że będzie skakać. Dodatkowo podniecały go więźniarki, które oglądały całą tę awanturę z okien swojego pawilonu.

- Nie daj się, „Siekiera”! - krzyczały zgodnie.

Strażnicy usiłowali namówić „Siekierę”, aby zszedł. Potem wezwano naczelnika. Bez rezultatu. „Siekiera” cały czas groził samobójstwem, wył, ubliżał „klawiszom” i wdzięczył się do kobiet w oknach. Razem z nim inni więźniowie też wyli i krzyczeli, w całym więzieniu walono łyżkami w miski, taboretami, rękoma i nogami w drzwi. Groziło to buntem i koniecznością użycia „atandy” (specjalnie uzbrojony oddział interwencyjny z pałami, tarczami i gazem). Wtedy jeden z wychowawców wpadł na pomysł, aby sprowadzić „Burego”, co też uczyniono. „Bury” stanął pod latarnią i spokojnie powiedział do „Siekierki”:

- Złaz, frajerze, to pogadamy.

„Siekiera” zdjął pętlę, bez słowa zszedł i od razu rzucił się na „Burego”, chcąc mu „dokopać”. Walczących rozdzielono, skuto kajdankami i odprowadzono do cel. Dzięki pomysłowi wychowawcy udało się zapobiec albo buntowi, albo śmierci.

Bywają też „gity” gorszej kategorii. Są nimi na ogół zwykli złodzieje. Mogą oni nawet okraść kolegę. Nie mają „charakteru” i chociaż „grypsują”, nie są zbyt poważani i nie należą do starszyny. Są za mało „sztywni”.

Zdarza się, że niektórzy „ludzie”, zwłaszcza po dużych lub wielokrotnych wyrokach, na wolności mają się źle. Na wolności przecież nic nie znaczą. A w „pudle” są kimś. Do takich należał etatowy niejako hydraulik w pewnym kryminale, który wracał do więzienia zawsze na zimę lub jesienią. W lecie handlował biletami przed kinem - wtedy do kina trudno było się dostać. Kiedyś, gdy milicja chciała go zatrzymać za „konikowanie”, zjadł cały bloczek z pięćdziesięcioma pięcioma biletami. Nawet niczym nie popijał. W ten sposób zniszczył dowód wykroczenia, ale to było w lecie, wtedy jeszcze chciał pozostać na wolności.

Zdaniem wychowawców większość „gitów” to nie wykorzystane talenty. W sporcie, handlu, w organizacji. Gdyby przywrócić ich społeczeństwu, byłiby wartościowymi obywatelami. Niektórzy z nich po wyjściu z więzienia, zwłaszcza obecnie, stają się drobnymi biznesmenami. Jeden nawet handluje antykami i robi to lepiej niż prawdziwy historyk sztuki. Świetnie sobie żyje, a historycy, jak wiadomo,

przymierają głodem. To coś znaczy.

Gdybyś jednak, Drogi Czytelniku, zdecydował się zostać „gitem”, czyli „grypsującym”, pamiętaj, że możesz wylądować w takich więzieniach, jak Wołowo, Barczewo, Strzelce Opolskie, Wronki. Stamtąd wyjeżdża się „z kartką u nogi” (martwym) lub siedzi się „od klepki do klepki” (cały rok - bez warunkowego zwolnienia) - tak twierdzą doświadczeni „klawisze”.

## *II. „Nieludzie”, czyli „frajerzy”*

*„Ucho” jest lepsze od „cwela”*

Z zasad „gitów”

Poza podziałami formalnymi - zwanymi też fachowo przez pedagogów, socjologów, „klawiszy”, prokuratorów itp. grupami formalnymi - w więzieniu funkcjonują podziały, grupy i grupki, które wykształciło więzienne życie. Te - znowu fachowo mówiąc, grupy nieformalne - są tak stare, jak samo więziennictwo, czyli w praktyce istnieją od początku cywilizacji na planecie. W „pudle” byli zawsze słabsi i silniejsi, biedni i bogaci, sprytni i naiwni. Ich charakterów, postaw i stosunku do życia nigdy nie uwzględniano (a w każdym razie czyniono to rzadko) przy wydawaniu wyroku, a potem przy umieszczaniu w, kryminale. Było to przede wszystkim związane z faktem, że jeszcze w XIX wieku w większości więzień na świecie wsadzano delikwentów do dużych, kilkudziesięciosobowych pomieszczeń, głównie lochów lub zaadaptowanych budynków. Inne były niż dziś warunki higieniczne, żywienie. Inne wyroki i traktowanie przez strażników. Na przykład w średniowieczu nie było żadnych regulaminów więziennych, przynajmniej pisanych. Strażnicy robili, co chcieli i jak chcieli.

Tendencje do resocjalizacji skazanych spowodowały, że zaczęto budować lub adaptować więzienia z celami, w których siedziało po kilkanaście osób. Oddzielano recydywistów od karanych po raz pierwszy, złodziei od morderców, furiatów od więźniów spokojnych itd. Jeśli trudno było kiedyś jednemu silnemu więźniowi rządzić kilkudziesięciosobową celą, to w ostatnim stuleciu, kiedy cele stały się kilkusobowe, jest to już całkiem możliwe.

W ten sposób pojawiły się lepsze warunki do powstania funkcjonujących aktualnie dwóch podstawowych grup nieformalnych. Jedna z nich to „ludzie”, inaczej zwani „grypsującymi” (co nie ma żadnego związku z wysyłaniem czy otrzymaniem-

waniem grypsów) lub „git-ludźmi”- Drugą grupę w więzieniu stanowią „nie-ludzie”, zwani również przez „ludzi” „frajerami”. Sami siebie nazywają oni („frajerzy”) „nie grypsującymi”.

Każda z tych grup ma inne podejście do głównych problemów życia w „pudle”, tj. do: otrzymanej kary, regulaminów więziennych, służby więziennej, drugiej z wymienionych grup nieformalnych i swojej własnej grupy, a nawet do przyszłego życia na wolności. Zajmijmy się teraz grupą, którą określa się jako „frajerów”.

Jest podzielona i płynna.

Trafiają się „frajerzy” z wolności. Tak zaklasyfikował ich margines społeczny, w którym się wychowali. Tak ochrzciła ich ulica. Kryteria, jakimi kierował się półświatek, są proste. Wystarczyło na przykład być homoseksualistą i taka „smuga” (informacja) natychmiast przedostawała się do kryminału.

„Frajerami” nazywani są osobnicy współpracujący z policją, a nawet ci, których o to się podejrzewa. Mogą oni „zrehabilitować się” w więzieniu, czyli jak mówią „git-ludzie” - „wyprostować”.

Są wśród nich członkowie półświatka, którzy brali udział w jakimś zbiorowym przestępstwie i „zakapowali” współtowarzysza nie uprzedzając go o tym. Byliby wobec niego w porządku, gdyby go uprzedzili, tłumacząc się na przykład, że „łachudry” włożyli mu (w śledztwie) palce w drzwi albo go pałowali. To ostatnie jest nie do wykrycia. Ale w więzieniu można zawsze sprawdzić, czy tłumaczący się w ten sposób jest naprawdę „człowiekiem charakternym”.

Podobne kryteria rządzą w kryminale. Więzień od razu „idzie w dołek” (jest dyskwalifikowany jako „git”), jeśli zakapował, czyli „sprzedał człowieka”, donosi władzom więzienia o tym, co się dzieje w celi, lub po prostu jest dobrowolnym homoseksualistą, czyli „cwelem”.

Tak zaklasyfikowany „frajer” ma dwa wyjścia. Może się „wyprostować”, czyli zostać „gitem”, kiedy „ludzie” nad nim „popracują”. Ale może też zostać już do końca odbywania kary „frajerem” ze wszystkimi tego konsekwencjami.

W więzieniu istnieje też pośrednia grupa „nijakich”. (Jeśli miałbyś się już na którąś z grup decydować, Szanowny Czytelniku, to polecalibyśmy Ci właśnie tę grupę „nijakich” - zwłaszcza gdy nie grozi Ci zbyt długa odsiadka. Oczywiście, jeśli od razu zakładasz, że nie chce Ci się uczyć „grypsery”, połykać agrafki czy siedzieć w izolatce, czyli zostać „człowiekiem”). Należą do niej dwa rodzaje skazanych.

Pierwsza to więźniowie, którzy sobie jakoś radzą. Nie poddają się presji „gitów”, ale jednocześnie nie „kapują”. W kryminale pełnią różne funkcje:

są bibliotekarzami, pracują w radiowęźle, w magazynie czy przy zaopatrzeniu. Mają stały dopływ gotówki od rodzin lub potrafią zarobić te pieniądze w więzieniu. Słowem, są niezależni i cechuje ich dość silny charakter. W większości są to ludzie skazani za przestępstwa gospodarcze: byli rzemieślnicy, prywaciarze, urzędnicy itp. Nikt im nie dokucza, ale też nikt nie pomaga.

Druga grupa „nijakich” to więźniowie, którzy są przez „gitów” podejrzewani o jakąś „krzywość<sup>#</sup>, czyli mają jakąś wadę, nieprawidłowość „charakteru”. Wzięli na przykład do ręki klucz od celi od oddziałowego, istnieje podejrzenie, że na wolności „kapowali” lub „kapują” w kryminale. Wtedy „git-ludzie” badają sprawę na miejscu, a nawet wysyłają „smugę” (pytanie) do innego więzienia, chcąc dowiedzieć się, jak podejrzany się tam zachowywał. „Git-ludzie”, na ogół recydywiści, mają bardzo dużo wolnego czasu. Pytają, czy podejrzany chodził często do naczelnika, czy sprzątał korytarze itp. Odpowiedzi przychodzą nie korespondencyjnie, ale przez innych więźniów, którzy zostali przeniesieni do kryminału, w którym siedzą badający sprawę „ludzie”. Oni to podejmują ostateczną decyzję: czy podejrzanemu można dać spokój, czy też trzeba go „wprostować”.

Opinia „fajera” przechodzi za nim nie tylko z wolnego świata. Idzie za nim również, jeśli był tak zwanym „małolatem” (czyli młodocianym przestępcą) z zakładu poprawczego. I nic nie pomoże, jeśli nawet połowę ciała ma pokrytą tatuażem. Niektóre „małolaty” usuwają sobie - przez wypalenie papierosem - kropkę na nosie (oznaka „fajera” lub „cwela”), którą siłą wytatuowano im podczas pobytu w zakładzie poprawczym dla nieletnich. „Fajerzy” zresztą tatuują się nagminnie, chcąc wyglądać jak „git-ludzie”. Ale „git-ludzi” nigdy to nie zmyli.

„Fajerzy” przede wszystkim na ogół nie są recydywistami. „Wpadli” po raz pierwszy i zwykle są niewinni - tak przynajmniej twierdzą w oficjalnych rozmowach, i po tym ich można poznać natychmiast.

W hierarchii więziennej wśród „fajerów” są tacy, którzy dość szybko potrafią przystosować się do warunków, regulaminu, pracy, zwyczajów. Bardzo aktywni. W krótkim czasie orientują się we wszystkich przepisach zakładu karnego i potrafią je wykorzystywać dla własnego dobra. Starają się nie wchodzić w konflikt z „klawiszami”, chociaż kiedy jest to konieczne, dla utrzymania swej pozycji „pod celą” mogą również popełniać, ale na ogół drobne, spektakularne wykroczenia przeciw regulaminowi. Ich spryt i zaradność owocują wygodniejszym życiem w ramach tego, co mogą ofiarować normalnemu człowiekowi nasze polskie więzienia. Zwykle są sprawni fizycznie, co umożliwia im ewentualną obronę w przypadku czynnej napaści „człowieka” lub sfrustrowanego „fajera”, oraz zdrowi psychicznie, co

pozwała im ukrywać frustracje, jakie od czasu do czasu przeżywa każdy więzień.

Tacy lepsi „frajerzy” są zwykle otwarci na współpracę z wychowawcą czy ochroną zakładu i można z nich świadomie i bez żenady wybrać ewentualną „wtykę”, która będzie w razie konieczności informować na bieżąco władze zakładu, jeśli „pod celą” będzie się działo coś niezgodnego z regulaminem.

Lepsi „frajerzy” chcą też pracować, i to koniecznie za pieniądze, bo widzą przed sobą jakąś perspektywę życiową na wolności. Również chętnie uczą się nowego zawodu, oczywiście, jeśli jest to możliwe w danym zakładzie karnym. Dużo czytają, grają w różne gry, jak szachy, warcaby czy domino, i starają się zabić czas tak, aby nie oszaleć.

Ważną umiejętnością lepszych „frajerów” jest umiejętność współżycia z „git-ludźmi”, którzy na ogół nie tolerują oporu czy opozycji. Wymaga to od lepszych „frajerów” perfekcyjnej wręcz elastyczności i zdolności dyplomatycznych. Muszą na co dzień postępować „pod celą” w taki sposób, aby z jednej strony nie podporządkować się „człowiekowi” całkowicie (wykonują jego polecenia w takim zakresie, który nie plami ich honoru), a z drugiej - aby niżsi stopniem „nieludzie” uznawali ich niezależność, a nawet rolę przywódcy.

Lepszym „frajerem” można zostać od razu przy pierwszej odsiadce, ale równie dobrze można nauczyć się tego wszystkiego po pewnym czasie czy po kolejnym wyroku.

Zwykłych „frajerów” czy też „nieludzi” jest w kryminale zwykle około 80% całej - jak piszą fachowcy - populacji. Wynika to z badań prowadzonych w zakładach karnych przez studentów prawa, socjologii i pedagogiki na podstawie dokumentów i sondaży w latach 1963-1983. Z badań tych wynika między innymi, że przeciętny „frajer” ma od 21 do 30 lat, nie ma zawodu lub jest robotnikiem wykwalifikowanym, był karany od jednego do trzech razy - na ogół za niewielkie przewinienie, odsiadyuje karę od 12 do 48 miesięcy i ma, według systematyki więziennej, kategorię zdrowia „A” lub „B”, czyli jest całkowicie zdolny do pracy lub z pewnymi tylko ograniczeniami. Pochodzi ze sporego miasta (od 100000 do 500000 mieszkańców). Tyle statystyka oficjalna.

W kryminale więźniowie tacy charakteryzują się na ogół biernością i posłuszeństwem zarówno wobec funkcjonariuszy, jak i „git-ludzi”. Ich jedynym celem jest odbyć karę, wyjść na wolność i żyć normalnie. Stąd rzadko, naruszają regulamin, walczą o nagrody, najbardziej o widzenia z najbliższymi, o dodatkową „wypiskę” (prawo do zakupu w więziennym sklepiku żywności czy papierosów) czy o prawo do częstej korespondencji. I są to właściwie ich jedyne cele w więziennym życiu.



Poza tym są bardzo bierni, nie mają żadnego hobby, mało czytają, chociaż lubią grać w różne gry towarzyskie. Pracują bez przymusu, ale też bez entuzjazmu, ot tak, żeby nie podpaść władzom i trochę zarobić na „wypiskę”.

Podlegają frustracjom i załamaniom psychicznym - najczęściej po dwóch latach odbywania kary - i wtedy mogą stać się nieobliczalni. W furii potrafią zdemolować celę, pobić współtowarzysza lub nawet „git-człowieka”, ubliżyć strażnikowi, pociąć się szkłem czy popełnić samobójstwo. W takich sytuacjach bardzo ważne jest rozeznanie wychowawcy i zapobieganie załamaniu, najpierw poprzez rozmowy, a potem przez przeniesienie do innej celi, izolatki, a nawet innego zakładu karnego. Załamanie psychiczne „fajera” poprzedza zawsze złe samopoczucie, bezsenność, nerwowość, wywoływanie drobnych konfliktów „pod celą”, wyłamywanie się z zasad regulaminu więziennego itp. (Jeśli, Szanowny Czytelniku, zauważysz u siebie pierwsze objawy tego typu, idź do lekarza, a ten da Ci środki uspokajające, albo zamów sobie szczerą rozmowę z wychowawcą, on doradzi Ci, co robić. Spowiedź u więziennego kapelana nie zawsze pomaga). Dobry wychowawca rozpoznaje te objawy natychmiast i stara się zapobiegać wybuchowi więźnia oraz konsekwencjom tego wybuchu. Po awanturze jest już bowiem za późno, aby coś przedsięwziąć. Zgodnie z przepisami, więźnia można potem tylko ukarać.

Tak więc w większości polskich więzień przeważa szara masa zwykłych „fajerów”, bardzo podatnych na wpływy zarówno złe, jak i dobre. Można z nich zrobić równie dobrze „git-człowieka” i przyszęłego recydywistę, jak i wzorowego więźnia, który po pełnej resocjalizacji wróci do społeczeństwa, które określamy - czasem zupełnie niesłusznie - mianem normalnego.

I dlatego, Drogi Czytelniku, jeśli już znajdziesz się z jakiegoś powodu w „pudle”, wiedz, że przynajmniej na początku będziesz traktowany jak zwykły „fajera”, czyli „szara masa”, i dopiero więzienne życie ukształtuje Twój charakter. W kryminale musisz przede wszystkim nauczyć się „grypsery”, aby zrozumieć, co do Ciebie mówią „ludzie”, regulaminu, aby wiedzieć, czego od Ciebie wymagają strażnicy, ścielenia łóżka czy robienia „parzochy” (mocna herbata działająca jak narkotyk). Tylko dzięki nauce i pracy nad sobą, a nie w więziennych warsztatach, możesz ze zwykłego „fajera” stać się lepszym „fajerem”, a może nawet „git-człowiekiem”.

Oczywiście wśród więźniów zdarzają się „fajery” nietypowi, którzy lubią pracować, a pieniądze zarobione w kryminale wysyłają żonie. Czytają dużo książek, uczą się języków obcych, biorą udział w różnych konkursach i współzawodnictwie.

Zwiedzając zakład karny w miejscowości S., zauważyłem na korytarzu olbrzymią tablicę wiszącą na ścianie, obok głównego wyjścia z oddziału. Pod numerami cel przychepione były kolorowe trójkąty. Jak wyjaśnił oprowadzający mnie wychowawca, tablica ta ilustrowała wyniki współzawodnictwa o najbardziej czystą i wysprzątaną celę „na oddziale”. Legenda kolorów trójkątów wskazywała, że więźniowie pięciu cel otrzymali „piątki”, dwóch cel „dwójki”, czterech „czwórki”, a reszta „trójki”. W sumie wyglądało to jak współzawodnictwo na koloniach letnich, a nie w więzieniu pełnym groźnych przestępców. Zastanawiałem się potem, czy zdziecinniali tu więźniowie, czy wychowawcy.

Niższą w hierarchii więziennej grupę tworzą „cwela”, to jest osobnicy pełniący rolę biernych prostytutek męskich, „kobitek” dla homoseksualistów i biseksualistów (na ogół „git-ludzi”, którzy mimo że wykorzystują seksualnie innych więźniów, nigdy się nie przyznają, że są pedałami).

Najwyższą kategorią „cwela” jest osobnik, który lubi „te rzeczy”. Bardzo często szuka sobie partnerów i nie tylko im ulega, ale również zachowuje się prowokacyjnie, zaleca, obnażając przy myciu to i owo, ruszając wdzięcznie biodrami czy też ocierając się o wybrańca jak łaszący się kot. Taki „cwel” szuka sobie kochanka i regularnie z nim współżyje płciowo, czasem nawet wcale się z tym nie kryjąc przed innymi współmieszkańcami celi. „Cwel”-”kochanka” dba dobrowolnie i spontanicznie o swojego ulubieńca, dzieli się z nim paczkami, „wypiskami” i posiłkami. Jeśli ma dobre układy z „ludźmi”, stara się też, aby dobre układy miał „mąż”. Ochrania go przed strażnikami, jeśli coś przeszkrobał, a często bierze nawet na siebie winę „męża” i odbywa za niego karę. Takie związki nie są w zakładach karnych niczym szczególnym, nie zwracają zbytniej uwagi innych więźniów, a na pewno są tolerowane. Jeśli nie sprawiają kłopotów regulaminowych, na nie przynyma oko również służba więzienna, chociaż zadaniem wychowawcy jest odseparować od siebie taką parę. Jeśli wychowawca to zrobi, zarówno „on”, jak i „cwel” tragicznie to przeżywają. Dochodzi do głodówek, samouszkodzeń, a nawet samobójstw lub ich prób. Nie wiadomo więc, czy lepiej jest, kiedy wychowawca reaguje i sam doprowadza do powstania konfliktów i problemów w zakładzie, czy też lepiej, gdy nie zawraca sobie tym głowy i mimo wyraźnych informacji i objawów zachowuje się biernie, utrzymując w ten sposób spokój w „pudle”. Najgorszą karą dla „cwela-ochotnika” jest tak zwany transport, czyli przeniesienie jego lub „małżonka” do innego zakładu karnego.

Ten rodzaj „cwela” z reguły nie ukrywa, kim jest. Na ogół już w pierwszych dniach pobytu w „pudle”, podczas tak zwanej wstępnej rozmowy z wychowawcą,

określa sam siebie jako „cwela” - nie czyni z tego tajemnicy. Panuje ogólne przekonanie wśród wychowawców więziennych, że tacy „cwele” byli na wolności biernymi homoseksualistami, co oczywiście nie jest przez nasze prawo karane. Mogli też zostać „cwelami” odbywając poprzednią karę w innym zakładzie, gdzie im się taka rola po prostu spodobała. Jak twierdzą neuropatolodzy, homoseksualizm (oczywiście ten dobrowolny) ma prawdopodobnie podłoże przede wszystkim genetyczne, a więc walka z nim jest bezprzedmiotowa. Są to na ogół ludzie chorzy, choć nie zdają sobie z tego najczęściej sprawy. Więzienie zaś nie jest szpitalem, zwłaszcza dla chorób, które trudno wyleczyć, stąd zachowania wychowawców dopuszczające takie dobrowolne stosunki w więzieniu.

Innym, niższym i wyraźnie pogardzanym rodzajem „cwela” jest „cwel-kurwa”. Oddaje się on w zamian za - jak mówią prawnicy - korzyści materialne. W przypadku więzienia będzie to kawa, herbata, puszki z mięsem i rybami, papierosy i inne używki. Są i tacy, którzy oddają się tylko za gotówkę lub dolary (posiadanie ich jest w kryminale zabronione). „Cwel-kurwa” oczekuje również, zwłaszcza od „git-człowieka”, ochrony fizycznej przed innymi więźniami, głównie przed takimi „ludźmi”, którzy nie gustują w „cwelach” i wołają onanizm. „Cwele-kurwy” pełnią też drobne posługi dla swoich opiekunów: piorą, cerują, zmywają miski itp. Nie są natomiast zmuszani do uczestniczenia w większych aferach, jak głódówki, bunt czy bijatyki. „Opiekunowie” takich „cweli” wychodzą zapewne z założenia, że jako męskie dziwki powinni oni podlegać ochronie „prawdziwych mężczyzn”, a ponadto są mało przydatni w dużych awanturach, brak im bowiem odporności, siły charakteru i siły fizycznej oraz psychicznej. Jeśli stosunki międzyludzkie między „nim” a „nią” są dobre, a towarzystwo w celi nie przeszkadza, „cwel” stara się pozostać ze swoim „chłopem” jak najdłużej. Jeśli natomiast dochodzi do „małżeńskich” nieporozumień lub sytuacja „pod celą” jest niesympatyczna, „cwel” podejmuje akcje zmierzające do przeniesienia go do innej celi. Być może znajdzie tam innego, najlepiej bogatego, „opiekuna”. Jeśli nie znajdzie, będzie starał się zmieniać cele tak długo, aż trafi wreszcie na właściwego człowieka, najlepiej „gita”.

Tacy „cwele” nie są zbyt honorowi i może się zdarzyć, że dążąc do zmiany celi i „opiekuna” „cwel” złoży zażalenie, iż został na przykład przez „opiekuna” zgwałcony i bardzo się go boi. W takiej sytuacji wychowawca staje przed trudnym problemem. Wierzyć „cwelowi” czy też nie. Nawet jeśli jest przekonany, że to „cwel”, gwałt jest karany prawem, to już przestępstwo, a nie wykroczenie regulaminowe, i powinien tym zająć się prokurator. I tak właśnie się dzieje, jeśli wychowawca zgłosi

mu sprawę. Wtedy „cwela” trzeba przenieść do innej celi i sprawa nabiera drogi urzędowej, pod nadzorem prokuratora. Odbywają się przesłuchania ewentualnych świadków, obdukcje, wywiady itd. W takiej jednak sytuacji „cwel-kurwa” ma „przerąbane” (czyli podpał) i będzie szykanowany przez innych „git-ludzi”, zwłaszcza kumpli „człowieka” oskarżonego przez „cwela”. Dlatego też „cwele-prostytutki” starają się, szukając nowych klientów, wynajdywać inne powody zmiany celi.

Są też „cwele”, którzy ukrywają, że byli homoseksualistami na wolności. Homoseksualistę nietrudno jednak rozpoznać po zachowaniu. Jeśli go o homoseksualizm podejrzewają „git-ludzie”, starają się dowiedzieć prawdy. Wysyłają wtedy „smugę” do kolegów na wolności lub do kumpli z innego kryminału. Jako odpowiedź wystarczy zwykła kartka pocztowa z jednym zdaniem: „Pozdrów od nas Jasia Z., to bardzo sympatyczny chłopak”. To wystarczy. W „grypserze” przymiotniki „miły”, „sympatyczny” oznaczają pedała. Informator może też napisać nazwisko podejrzanego o „cwelestwo” dodając końcówkę żeńską „-a”, np.: „Życzenia pomyślności od nas dla Janka Kowalska”. Jeśli takiej informacji nie spostrzeże cenzurujący korespondencję wychowawca i nie skonfiskuje kartki, podejrzany „cwel” jest naprawdę przegrany i nie pomoże mu żadne tłumaczenie.

Innym gatunkiem „fajera”, jeszcze niżej sytuowanego w hierarchii więziennej, jest „cwel-szmata”. Na ogół są to psychopaci. Bardzo często z wadami fizycznymi. To połączenie wyzwala w nich ukrywane kompleksy. W „pudle” czują się niepewnie. Przez całe więzienne życie pozostają przestraszeni. W każdym, ale to w każdym wypadku bezwzględnie podporządkowują się więźniom silniejszym, mającym więcej inicjatywy, sprytniejszym i zaradniejszym. Odruchowo szukają opiekuna, ale na ogół go nie znajdują. Są pogardzani zarówno przez „ludzi”, jak i „nie-ludzi” i zmuszani często przez jednych i drugich do różnych posług. Ostatni dostają posiłek, jedzą przeważnie osobno, nie przy wspólnym stole, a ich miski leżą oddzielnie na półce itp.

Z takich „cwele” rekrutują się zazwyczaj „kapusie-ochotnicy”. Zgłaszają się do wychowawcy i coś mu „kablują”. Chodzi często o głupstwa, niewielkie przekroczenia regulaminu lub wręcz wymyślone pseudoinformacje. Zwykle liczą, że wychowawca poczęstuje ich kawą, da papierosy lub spełni jakąś ich drobną prośbę. O takich praktykach „cwele-szmat” wiedzą na ogół wszyscy naokoło, ale nie biją, bo niżej już upaść nie można.

W nocy, gdy w celi są, ogólnie mówiąc, chętni, „cwel-szmata” przechodzi z łóżka do łóżka nic z tego nie mając, a rano może oberwać jeszcze od kochanków,

jeśli byli z niego niezadowoleni. Tacy osobnicy nie dają sobie rady sami ze sobą również na wolności. Mali przestępcy od małych przestępstw. Na ogół siedzą w „pudle” z kodeksu AKK (tzw. w gwarze więziennej akowcy: „a kury, a kaczkę” - czyli ukradli kurę z kurnika lub kaczkę na wsi). Szybko wychodzą na wolność, gdyż ich przestępstwa są drobne, ale też wkrótce wracają. I w więzieniu, i na wolności są przegrani życiowo. Kres ich życia jest najczęściej tragiczny. Większość kończy w rysztole lub popełnia samobójstwo.

Znany jest mi przykład „cwela-szmaty”, metr pięćdziesiąt wzrostu, garbatego, z tikiem oka, a do tego psychopaty, który był kilkakrotnie karany za drobne kradzieże, nawet nie kieszonkowe - co w środowisku więziennym ma duże znaczenie. Za głupie w gruncie rzeczy przestępstwa dostawał coraz wyższe wyroki, jako recydywista. W końcu w więzieniu czuł się lepiej niż na wolności. Przynajmniej miał gdzie mieszkać. Powiesił się na wolności, podczas przerwy między wyrokami. A powiesił się w kurniku. Jak na ironię kodeksu AKK.

Zdarzył się też wypadek, kiedy do wychowawcy zgłosił się po dwóch miesiącach siedzenia w kryminale więzień, który potem, po badaniach, okazał się schizofrenikiem. Przez dwa miesiące był w kilku celach wykorzystywany seksualnie, bity i poniżany. Wychowawca na podstawie jego zeznań złożył doniesienie do prokuratora. Odbyła się rozprawa i kilku „git-ludzi” skazano na dodatkową odsiadkę. Przymusowego „cwela” skierowano do specjalnego zakładu karnego dla chorych.

Ale „cwelem-szmatą” można stać się nie tylko z powodu słabego charakteru, psychopatii czy ułomności fizycznej. Zdarzają się sytuacje, że pod wpływem izolacji, związanej z nią frustracji, złych wiadomości o rodzinie czy z innych czysto ludzkich powodów w pierwszym okresie pobytu „frajer” „mięknie”, traci „charakter” i coraz bardziej ulega środowisku. Kiedy jest na krawędzi załamania psychicznego, mogą wykorzystać to „git-ludzie” i otepiałego, bezwolnego i bezbronnego zgwałcić. Oto fragmenty zeznań więźniów:

„... siłą zaciągnął mnie do łóżka. Kazał mi «smyrkać» (onanizować), potem uderzył mnie kilkakrotnie pięścią w twarz. Potem złapali mnie za ręce, kazali dotykać narządów płciowych, pod groźbą wykonywałem to. R. bił mnie szczotką w plecy, bili mnie obaj dalej, przewrócili na brzuch, kopali i każdy mnie zgwałcił. Pierwszy zrobił to R. i powiedział: - Choćbym miał dostać KS (karę śmierci), to i tak cię wyrucham, a jak powiesz wychowawcy, zabiję...”

Albo:

„... spałem na sienniku na podłodze, w pewnym czasie przyszedł C. i powiedział do mnie, abym ruszał mu członkiem, którego wyjął ze spodni. Ja nie zgodziłem się

na to, to on wstał, kopnął mnie w twarz i rzucił we mnie taboret, a potem powiedział, że jak zgłoszę, to pozbędę się życia...”

Jak twierdzą wychowawcy, bardzo często się zdarza, że „cwelem-szmatą” stają się ludzie, którzy w okresie załamania psychicznego zostali zgwałceni, i nie ma to znaczenia, czy zbiorowo, czy indywidualnie. Oczywiście sprawca lub sprawcy takiego gwałtu odpowiadają przed sądem tak, jak gdyby zrobili to na wolności.

Z „cwelem” można zrobić wszystko. Wśród „gitów” panuje nawet moda na brzydzenie się „cwełami”, tak jak w Indiach Hindusi wyższych kast brzydzą się kastą „niedotykalnych”. Do jednego z więzień przywieziono „cweła” i od razu zatrudniono go jako kalifaktora (tzw. więzień funkcyjny) przy roznoszeniu obiadu. Kiedy „git-ludzie” się dowiedzieli, że posiłek wydawał im „cweł”, większość z nich, a było tego kilkadziesiąt chłopów, na znak protestu połknęła kotwiczki, to znaczy „zakotwiczyla się” (o sposobach kotwiczenia mowa w rozdziale o samoagresji „złodziei”). Udzielanie pomocy „zakotwiczonym” trwało dwie doby i przysporzyło „klawiszom” mnóstwa roboty (wynoszenie z cel, transport do i ze szpitala). Przez ponad dwie doby solidarnie pracowały wszystkie zmiany funkcjonariuszy jednocześnie. Tylko dlatego że oddziałowy, każąc nowo przybyłemu do „pudła” więźniowi roznosić żywność, nie sprawdził, czy nie jest on być może „cwelem”.

Najbardziej pogardzani i poniżani w więzieniu są skazani za gwałty, Zwłaszcza na dzieciach, czyny lubieżne, sadyzm, zboczenia seksualne i inne tego typu przestępstwa, które budzą odrazę nawet u „cwełi”. Na ogół morderca, jeśli dokonał zbrodni zmyślnie lub z dużą przebiegłością, cieszy się, zwłaszcza wśród „ludzi”, pewnym, czasem nawet dużym, poważaniem. Jednak morderca zgwałconego przedtem dziecka otoczony jest powszechną pogardą, i to nie tylko „ludzi”, którzy dokonali „charakternego” czynu. Środowisko więzienne uważa, że znęcanie się nad dzieckiem jest godne pogardy, chociaż normalne jest znęcanie się nad słabszym fizycznie więźniem po to, aby go poniżyć lub podporządkować sobie „pod celą”. Jest to dziwna dla nas filozofia. Los takiego mordercy-sadysty jest nie do pozazdroszczenia. Nawet najniżej w hierarchii stojący „cweł” czuje się upoważniony, aby sadystę popchnąć, kopnąć czy opluć. Zbrodniarz jest izolowany w celi od chwili, kiedy tylko współwięźniowie się dowiedzą, za co siedzi. I nie musi to być wyrok prawomocny. Dzieje się tak również w areszcie śledczym, przed rozprawą. „Na wszelki wypadek”, od razu, zmuszany jest do jedzenia osobno, nie przy stole. Musi myć kible, zamiatać poza kolejnością. Nikt nie poda mu ręki i nie ma możliwości wkupienia się w łaski nawet zwykłego „cweła-szmaty”. Jest poza środowiskiem.

Niestety, w taki sam sposób, ostentacyjnie surowo, traktują go niektórzy funkcjonariusze, chociaż nie powinni tego robić, ale udziela im się jednak atmosfera wytworzona wokół sadysty przez więźniów. W taki sposób traktowany był morderca dwojga dzieci z Tomaszowa. „Git-ludzie” grozili mu, że „łeb ukręcą”.

Do najczęściej stosowanych form prześladowania „frajerów” należy zmuszanie ich do sprzątanía celi poza kolejnością, jedzenia posiłków na sedesie czy na podłodze, czyszczenia butów i prania skarpetek „gitom”, wykonywania różnych innych posług.

Ale równie często ma miejsce wykonywanie zleceń „gitów”, za które grożą kary regulaminowe. Na przykład: kiedy „git” chce przekazać jakąś wiadomość przez okno w celi - co fachowo nazywa się „lipo” - stojącemu na zewnątrz koledze (może stać również na ulicy poza więzieniem), każe to robić „frajerowi”. Za krzyczenie przez okno „frajer” zostanie ukarany. Można też kazać silnemu „frajerowi” dać komuś po mordzie. Zdarzały się wypadki, że „frajerowi” kazano się okaleczyć (najczęściej porznąć żyłką lub szkłem) tylko po to, aby „git-ludzie” mogli odwrócić uwagę ochrony i na przykład załatwić jakąś transakcję lub skontaktować się potajemnie ze sobą.

Właściwie każda metoda jest dobra, żeby poniżyć lub wykorzystać „frajera” czy „cwela”. Ci jednak starają się przed tym bronić, ale robią to na wzór stada bawołów - w grupie i biernie.

### *III. Między nami „złodziejami”*

*Nikt nie chce być , frajerem”*

Podstawowa zasada w „pudle”

Jak z dotychczasowego wywodu wynika, w „pudle” lepiej być „gitem” niż „frajerem”. Ale myliłby się ten, kto by twierdził, że łatwo nim zostać. Chcąc „awansować”, trzeba kilkakrotnie udowodnić, że jest się „człowiekiem” z „charakterem”. Takie udowadnianie polega na regularnym, przez jakiś czas, łamaniu regulaminu. Może to być ubliżenie strażnikowi, niewychodzenie na „spacerniak” albo nawet głodówka z byle jakiego powodu. O „charakterze” świadczą również samouszkodzenia, które musi na sobie wypróbować kandydat na „człowieka”. Dobrze jest też zbić i skopać kilku „frajerów”, tak żeby dowiedziało się o tym całe więzienie z naczelnikiem włącznie, ale jednocześnie, by ci „frajerzy” nie odważyli się złożyć naczelnikowi formalnego doniesienia. Bardzo pomaga w uzyskaniu powszechnego szacunku wśród „ludzi” wywalczenie sobie przywództwa „pod całą”, najlepiej w bardzo brutalnej formie, tak jak to demonstrował jeden z kandydatów, według zeznań pokrzywdzonego:

„W. zawołał mnie, po czym chciał mi włożyć członka do ust. Zagroził, że jak nie będę chciał, ożeni mnie z kosą (porznie nożem), po czym kazał mi wachać skarpetki...”

Wydawałoby się, że nie ma nic łatwiejszego dla „frajera”, na przykład po przewiezieniu go do innego zakładu karnego, niż przedstawienie się innym „ludziom” jako „git-człowiek”. Ale i tu, okazuje się, są trudności. Takiej deklaracji nikt nie przyjmie na słowo i „git-ludzie” mają swoje sposoby, aby kandydata sprawdzić. To, co w jego zachowaniu byłoby dla przeciętnego obserwatora normalne, dla doświadczonego „git-człowieka” ma zawsze jakąś swoistą uboczną wymowę. Wytrawny „git” rozpozna fałszerza po zachowaniu wobec pracowników ochrony, wy-



chowawców czy innych współwięźniów. Są też inne, bardziej spektakularne sposoby. Na przykład nowy kolega podający się za „gita” zostaje wywołany z celi w jakiejś sprawie przez wychowawcę. Kiedy wraca, pod drzwiami leży czysty biały ręcznik. Jeśli wchodzący zauważy go i „kulturalnie” przejdzie nad nim, wiadomo, że jest „frajerem”, jeśli natomiast wejdzie na ręcznik i spokojnie wytrze na nim obuwie, oznacza to, że jest „git-człowiekiem”.

Oto przykład na sprawdzenie nowo przybyłych „złodziei” z innego zakładu karnego. Miejscowe „gity” przy obiedzie „zakładają” głódówkę, choćby pod pozorem, że zupa brzydko pachnie (tak naprawdę zupa jest znakomita i wszystkim smakuje). Następnie uważnie obserwują nowo przybyłych. Ci z nich, którzy podporządkują się nakazowi rozpoczęcia głódówki, to solidarni „ludzie”, ci zaś, którzy tego nie zrobią, są „frajerami”.

Prawdziwego „gita” inni „ludzie” rozpoznają też po znajomości „grypsery”, czyli żargonu więziennego. Żargon ten znany jest obecnie również „frajerom” i „klawiszom”, ale znają go oni na ogół biernie, to znaczy rozumieją lub domyślają się, co się do nich mówi. Gorzej jest natomiast ze znajomością czynną.

Oto jak wspomina taki sprawdzian jeden z internowanych:

„Jeszcze przed moim przyjściem do nowej celi wiedziano, że grypsuję. Teraz jakość tego grypsowania zaczęła nasuwać wątpliwości. Niebawem poddano mnie próbom. Siedziałem nad swoją matematyką, gdy rozległo się za mną głośnie:

- Cegła!

Zanim zorientowałem się, że to do mnie, spadła mi na głowę czyjaś dłoń.

Towarzyszył temu okrzyk:

- Jebła!

- O, ty, ty jesteś zielony! Ty giercowania nie przeszedłeś! (Dosłownie „giercować” znaczy grać, ale w tym wypadku chodzi o egzamin).

Obstąpili mnie naokoło. Któryś chwycił mnie za włosy wołając:

- Siano!

Wszystkiego uczył mnie Bax. Rozpaczliwie usiłowałem przypomnieć sobie odzew, ręka coraz mocniej zaciskała się na moich włosach, ból stawał się nie do zniesienia.

- Zwiezione! - wrzasnąłem.

Puścił mnie strzepując z dłoni kilkanaście moich włosów.

- Karczycho! - Mój kark jakby dostał się w kleszcze.

- Oszamane! - odpowiadam pośpiesznie.

- Klata! - Czyjeś palce wbijają mi się między żebra.

- Zgreda! (starego więźnia) - krzyczę jak osaczony.

- Teściowa! - Zaciśnięcie ręki na moim bicepsie.
- Stara rura!
- Cegła!
- Wisi! - Tym razem zareagowałem należycie.
- Aha, to jednak wiesz!

Jaką ogromną wdzięczność poczułem do Baxa za jego nauki. Giercowanie dosięgło mnie jednak w nader bolesny sposób. Zajmowałem górne łożo w piętrowym koju. Było już po capstrzyku.

- Bilet masz? - usłyszałem spode mnie.
- Jaki bilet? - spytałem głupkowato.

- Ach, nie masz biletu! No, to wysiadka! - I tu kopnięcie od dołu w moje legowisko.

Wyleciałem jak z procy i gruchnąłem z wysokości półtora metra na «pokład», czyli podłogę. Potłukłem sobie dotkliwie staw biodrowy i prawą rękę w przegubie. Wozono mnie nawet do miejscowego szpitala na prześwietlenie. Pęknięcia kości nie stwierdzono, robiono mi okłady z kwasu bornego, ręka zsiniała, miałem dość potężny krwiak. Na pytanie: czy masz bilet, należało odpowiedzieć krótko: „mam”.

„Pod celą” nikt nie chce być „frajerem”. Recydywiści dobrze o tym wiedzą i zdarza się, że niejednokrotnie udają „gitów”. W tym celu zaraz na początku pobytu w nowym miejscu odosobnienia bardzo często wchodzą w konflikt z „klawiszami” - dostają różne kary, tygodniami siedzą po izolatkach, nie mają widzeń z rodziną, nie dostają paczek. Robią to wszystko dlatego, żeby udokumentować swoją „charakterność”. Ale rzadko im się to udaje. „Gity” prędzej czy później ich rozpoznają.

Opowiadano mi o pewnym poważnym na wolności biznesmenie, którego wsadzono do więzienia za dawanie łapówek. Tak mu się spodobało „grypsowanie”, że natychmiast po wyroku zaczął uczyć się „grypsery”. Jednocześnie szalał. Nie wstawał na pobudki, robił strażnikom awantury, krzyczał przez okno itp. Bez przerwy był karany. Mimo jego wysiłków dopiero po ponad pół roku uznano go za „gita”, ale i tak nie liczył się jako starszyzna.

Stąd wniosek, Drogi Czytelniku, że aby zostać „gitem”, nie wystarczy dobre chęci. Trzeba wczuć się w rolę i mocno nad sobą pracować. To jedyna mądra rada.

Istnieje ponadto stary zwyczaj przepytywania nowo przybyłego, podającego się za „gita”, na temat jego pobytu w poprzednim zakładzie karnym. Z kim siedział „pod celą”, kogo zna z opowiadań, jak wygląda i jak się obecnie zachowuje taki to a taki „klawisz” itd. Również po zeznaniach nowo przybyłego wytrawny miejscowy „człowiek” szybko się zorientuje, czy ma do czynienia z kolegą, czy z „frajerem”.

Na ogół każdy „git” dąży do objęcia przywództwa w celi. Może mieć jednak utrudnione zadanie, jeśli siedzą z nim inne „gity”. Jeśli są to „ludzie” z prawdziwym „charakterem”, nie walczą ze sobą, lecz potrafią podzielić się władzą nad innymi więźniami. Sami siebie oczywiście szanują i wzajemnie ustępują sobie z drogi.

Może się też zdarzyć sytuacja, że „pod celą” znajdują się sami „frajerzy”. Ale również i ci prędzej czy później, niejako milcząco, zaakceptują przywódcę wybranego spośród siebie samych.

Jak twierdzi mój przyjaciel, nawet najmniejsza grupa w warunkach życia więziennego zawsze będzie dążyć do wyłonienia przywódcy. Znał przypadki, kiedy władze zakładu karnego dla dobra pokrzywdzonych przez „gitów” „frajerów” bądź zgwałconych, czyli „cweł”, zmuszone były trzymać ich w oddzielnej celi. Po tygodniu zauważono, że nawet w takim środowisku wyłoniono przywódcę, który rządził. Był to „frajer” rządzący „frajerami”. Taka już jest prawdopodobnie natura ludzka, że podświadomie szuka przywódcy. Jednocześnie w każdym środowisku, także w więziennym, istnieją jednostki, które chętnie, niekiedy podświadomie, takie przywództwo przyjmują. Prawdopodobnie pod tym względem mało różniły się od zwierząt żyjących w stadzie, z czego rzadko zdajemy sobie sprawę.

Jakie cechy charakteru, zwyczaje, postawy decydują o tym, że ktoś w więzieniu przyjmuje rolę przywódcy, a ktoś inny się podporządkowuje? Szukając odpowiedzi na to proste, wydawałoby się, pytanie, napisano sporo rozpraw naukowych, prac magisterskich i dysertacji doktorskich. Większość z nich uznaje, że istnieją cztery główne kryteria ułatwiające objęcie przywództwa w środowisku więziennym.

Pierwsze to niewątpliwie siła fizyczna. Pozwala ona w sposób decydujący rozstrzygnąć konflikty w celi. Dotyczy to głównie środowisk młodzieżowych, gdzie siła liczy się najbardziej. Poza tym, zwłaszcza wśród młodzieży, obejmujący przywództwo nad grupą więźniów zobowiązany jest niejako do fizycznej ochrony swoich „podopiecznych” w przypadku agresji jakiegoś, na przykład, „gita” z innej celi. Zobowiązanie to przywódca przyjmuje na siebie milcząco i bez deklaracji. Jego obowiązki w tym zakresie są dla innych współwięźniów oczywiste i pożądane. Dotyczy to nie tylko „frajera”, który czyści „gitowi” buty i pierze skarpetki, ale również „nieczłowieka”, który siedzi z „gitem” w jednej celi, nie usługuje mu, gdyż jest przez niego z jakiegoś powodu (na przykład wykształcenia) szanowany. Przejęcie władzy przez „gita”-zabijakę nie zawsze musi dokonać się siłą. Wystarczy, że nowo przytyty „git” otoczony jest w zakładzie karnym pewną legendą, a po przyjsciu do nowej celi proponuje innym - w sposób „koleżeński” - zawody sportowe

polegające na siłowaniu się na rękę. Jeśli nie ma poważnego kontrkandydata lub dotychczasowy przywódca nie jest „gitem”, lub jest słabszy, wszyscy od razu rozumieją, kto tu teraz będzie rządził.

Drugim bardzo popularnym kryterium umożliwiającym objęcie przywództwa jest wysokość wyroku lub zuchwałość popełnionego przestępstwa. Odsiadujący długoletnie wyroki za brawurowe włamania, napady na banki - zawodowi przestępcy, notoryczni recydywiści, a nawet mordercy czy zabójcy, którzy zabili człowieka w sposób wskazujący na ich odwagę, fantazję czy śmiałość - są w środowisku więziennym zwykle szanowani. Tacy „ludzie” obejmują przywództwo bez żadnych demonstracji, na zasadzie cichego i milczącego przyzwolenia pozostałych współwięźniów. „Frajerzy” obsługują ich dobrowolnie, a nowo wsadzeni więźniowie schodzą im z drogi.

Tacy przestępcy, których poprzedziła sława dobrze zorganizowanej ucieczki, jak na przykład Najmrodzki, cieszą się dodatkowym poważaniem. Dobrze też mieć list gończy, jeszcze lepiej - kilka listów. Wtedy sława się jeszcze bardziej utrwala.

Trzecim kryterium jest zamożność. Po zmianach w regulaminie umożliwiających więźniom w większym niż dotychczas stopniu możliwość odpłatnej pracy w zakładzie karnym, lub poza nim, funkcja zamożności spadła. Ale nawet teraz ma ona istotne znaczenie. Zdarza się mianowicie, że liderem w celi jest więzień dobrowolnie zaopatrujący innych w różne produkty żywnościowe i używki. Rzadziej taki, który daje im pieniądze, co zdarza się również, chociaż posiadanie pieniędzy w więzieniu jest ściągane przez władze.

Taki lider może przekupywać innych rozdając produkty z własnych często otrzymywanych paczek. Może wykorzystywać swoje wysokie zarobki (jest na przykład dobrym fachowcem, pracuje, jak na stosunki więzienne ma wysokie konto w księgowości), aby za pieniądze z konta kupować innym w kantynie „na wypiskę” to, czego sobie życzą. Może też otrzymywać fundusze od rodziny z zewnątrz i zręcznie posługując się nimi podporządkować sobie w „pokojowy sposób kolegów z celi i poza nią. Pewną zamożność można też osiągnąć mając żyłkę do handlu różnymi artykułami (oczywiście artykułami handlowymi, które krążą po więzieniu i są pożądane przez skazanych).

Kryterium zamożności było o wiele bardziej przydatne w czasach, kiedy przepisy ograniczały ilościowo (nie wartościowo) „wypiskę” - zwłaszcza papierosy, herbatę i kawę. Zdarzało się, że na rynku brakowało papierosów czy herbaty, i tym samym nie było ich w więziennej kantynie. Zasobniejsi w takie produkty

więźniowie mieli większe możliwości dominowania wśród innych.

Funkcjonowała tu prosta zasada, że jeśli czegoś było brak lub produkt był reglamentowany przez władze więzienne, jego wartość od razu wzrastała. Zwykle prawo rynku, popytu i podaży. Stałym i poszukiwanym artykułem był i prawdopodobnie będzie alkohol. Po pierwsze, chyba nigdy, choćby ze względu na bezpieczeństwo, nie będzie dopuszczony do więziennego „obrotu”, a po drugie - bardzo trudno przemycić go do celi. Wartość każdego artykułu wahała się zawsze w zależności od podaży i popytu w konkretnym zakładzie karnym. Tam na przykład, gdzie dobrze zorganizowano przemyt jakiegoś produktu, miał on wartość mniejszą, a tam, gdzie ochrona zakładu funkcjonowała prawidłowo, wyższą. W okresach kiedy na polskim rynku sprzedawano na kartki papierosy, w więzieniu nabierały one wartości pieniądza, można było za nie dostać wszystko i przekupić każdego więźnia. Stąd kolejna zasada więziennego „rynku”: bogaty był przywódcą w celi zwłaszcza wtedy, kiedy na polskim rynku działa się źle. Obecnie to kryterium mniej się liczy, choć oczywiście każdy więzień woli siedzieć z kimś, kto dysponuje telewizorem czy radiem, i w ten sposób jest również uzależniony od właściciela.

Czwartym kryterium pozwalającym przejąć przywództwo w celi były i pozostały inteligencja, zaradność, spryt, znajomość prawa i ogólne doświadczenie życiowe skazanego.

Taki więzień uzależnia od siebie innych poprzez pomaganie im w pisaniu pism sądowych, odwołań, zażaleń itp. Może też doradzać w zakresie obrony, jeśli wspólnie siedzą w areszcie śledczym. Bywa tak zwłaszcza wtedy, kiedy lider celi zna dobrze prawo (nie musi być wykształconym prawnikiem, wystarczy, że jest kilkakrotnym recydywistą), a oskarżony nie jest na tyle bogaty, aby opłacić adwokata, i dostaje obrońcę z urzędu.

Czasami przywódcami są osoby z niższym wykształceniem, które potrafią doradzać i pomóc nie tylko w kwestiach karno-prawnych, ale również w zakresie prawa cywilnego, spadku, problemów finansowych itp.

Zdarza się też, że więźniowie, i to zarówno „fajerzy”, jak i „git-ludzie”, poważają kogoś za samo wykształcenie, na przykład wykładowcę akademickiego czy nauczyciela z liceum.

Gdyby na przykład do więzienia dostał się Bagsik, z pewnością byłby człowiekiem szanowanym. I to nie za to, że był prezesem, lecz za to, że udało mu się „wykołować” banki na parę bilionów złotych. Ale już na przykład poseł do parlamentu byłby szanowany ze względu na swoją funkcję na wolności, niezależnie od prezentowanego poziomu umysłowego.

Oczywiście, przywództwo intelektualne lub moralne funkcjonuje na innych zasadach niż przywództwo wywalczone siłą fizyczną. Nie ma tu. mowy o zmuszaniu do prania skarpetek, ale pewne usługi są na korzyść I lidera świadczone.

Liderzy intelektualno-moralni, jeśli można ich tak nazwać, są szanowani również przez „git-ludzi” i jeśli spotkają się w jednej celi, to chociaż rządzi faktycznie „git”, jednak czyni to zawsze z pełnym szacunkiem wobec „inteligenta”; radzi się go w różnych sprawach, a nieraz i uzgadnia z nim swoje decyzje.

Struktura hierarchii wśród więźniów jest dość skomplikowana i płynna. Można tak powiedzieć zarówno o grupach „cweli”, jak i „frajerów”, którzy awansują i degradują się wzajemnie. Podobnie powstają różne zależności między „grypsującymi”, chociaż wyglądają one mniej drastycznie i są bardziej stabilne. Jednak „wymiana kadr” między „frajerami” i „cwelami” a „grypsującymi” ma miejsce niezmiernie rzadko. Tak na przykład zdegradowanie „człowieka” do „frajera” może w zasadzie zdarzyć się tylko wtedy, kiedy przyłapano go na kolaboracji ze służbą więzienną. W hierarchii „gitów” duże znaczenie mają również możliwości, jakie „git” ma po wyjściu na wolność, i to, na ile może pomóc innym na wolności sam siedząc jeszcze w więzieniu. Nie chodzi tu tylko o załatwienie pracy czy zakwaterowania, ale również o konkretne kontakty ze światem przestępczym, a nawet „nadanie” nowej „roboty”. Stwarza to konieczność utrzymywania przez „ludzi” łączności z podziemiem nawet w czasie odsiadki. I odwrotnie, przywódcy podziemia są także zainteresowani kontaktami z siedzącymi „gitami”, gdyż mogą im zlecać różne zadania: przekazanie informacji, obicie kogoś w odwecie za zeznania w czasie śledztwa, wspomóżenie innego skazanego, czasami słabszego fizycznie lub psychicznie, który był członkiem mafii itp.

Głównie właśnie takie kontakty ze światem zewnętrznym oraz duża fluktuacja więźniów między zakładami karnymi rozrzuconymi po całej Polsce sprawiają, że więzi w tak zwanych grupach nieformalnych są bardzo silne. To naukowe stwierdzenie oznacza po prostu, że żaden skazany nie może czuć się bezkarnie, jeśli sprzeniewierzy się zasadom panującym wśród więźniów. Wie bowiem, że prędzej czy później dosięgnie go ręka „ludzkiej” sprawiedliwości. „Git” może, na przykład, wydać polecenie „frajerowi”, żeby skopał donosiciela, i tylko ten ostatni będzie wiedział, za co go skopano. Natomiast nigdy się nie dowie, kto go kazał skopać.

Równolegle do hierarchii służby więziennej, od naczelnika do kucharza, istnieje w każdym zakładzie karnym druga hierarchia funkcjonująca wśród więźniów.

Rozpoczyna się ona od pojedynczej celi, w której rządzi przywódca. Zwykle nie jest nim starszy celi, uznawany formalnie przez ochronę za kogoś w rodzaju prymusa w klasie (on właśnie odpowiada za porządek, ma wyznaczać kolejność przy sprzątanu, melduje stan osobowy podczas apeli i tak dalej). Prawdziwy komendant celi, na ogół „grypsujący”, działa za plecami starszego celi głównie po to, aby rządzić, a za nic nie odpowiada przed władzami więzienia. Jest to bardzo wygodna forma władzy. Ale właśnie o to chodzi „ludziom”. Wyższym szczeblem jest przywódca oddziału, a jeszcze wyższym - pawilonu czy całej dużej części więzienia.

Na czele wszystkich więźniów, tak jak formalnie na czele zakładu karnego naczelnik, stoi główny „git-człowiek”, któremu podporządkowują się wszyscy inni skazani. Dobrowolnie lub nie, ale to już bez znaczenia. Taki szef „gitów” decyduje tylko o sprawach ważnych i najważniejszych, jak bunt czy głodówka, ale może też spowodować prowokację, przeniesienie kogoś z celi do celi, zatrudnienie w kuchni, w bibliotece czy w pralni. A to w celu, na przykład, zorganizowania dla kogoś pomocy, nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym, zaszkodzenia komuś w ramach zemsty itp.

Najzabawniejsze jest jednak to, że - jak twierdzi mój przyjaciel - nieczęsto się zdarza, aby naczelnik zakładu karnego znał głównych przywódców w „pudle”. Znajomość więziennego podziemia ogranicza się do poziomu celi, i to nie wszystkich. Takie podziemne struktury są ściśle zakamuflowane i trudne do rozszyfrowania, nawet przez bardzo doświadczonych funkcjonariuszy. Jak można jedynie przypuszczać, „podziemne” władze więzienne obsadzają swoimi ludźmi (lub starają się nimi obsadzać) wszystkie ważniejsze punkty strategiczne zakładu karnego.

Omówione tu pokrótce stosunki między „frajerami” a „gitami” są uzależnione również od liczby osób w każdej z tych grup. Jeśli przewagę mają w więzieniu „git-ludzie”, oni rządzą nim całkowicie, jeśli jest ich bardzo mało - ton nadają „frajerzy”.

Jednak mimo liczbowej przewagi w konkretnym więzieniu „frajerzy” zawsze będą indywidualnie bać się „gitów”. Decydujące są w tym przypadku zdecydowanie i brutalność „ludzi”. Objawiają oni wobec „frajerów” mentalność Kalego, którą wspaniale opisał Henryk Sienkiewicz. Oznacza to przede wszystkim, że między „gitami” a „frajerami” nie ma równych praw. „Git” może dopuścić się wobec „frajera” największej podłości, i to jest dla całego środowiska normalne. Nienormalna jest zaś sytuacja, w której „frajer” będzie się „gitowi” opierał, nawet w najdrobniejszej sprawie. Z pewnością nie ma w tych stosunkach demokracji. Aby stworzyć „frajerom” lepsze możliwości samoobrony, trzyma się ich w jednej

celi. Ale kiedy ta cela wyjdzie na „spacerniak”, witają ją zwykle gwizdy i wyzwiska „gitów”, którzy nie mogąc fizycznie dosięgnąć „frajerów”, chcą im chociaż w ten sposób obrzydzić życie.

Obrona „frajerów” przypomina obronę dzikich bawołów. W razie ataku wilków ustawiają się w okrąg, łbami na zewnątrz. Stoją w bezruchu nic nie robiąc. A wilki wyszarpują je z tego koła i po kolei zabijają. Podobna jest strategia „frajerów”. Opiera się ona na zasadzie bierności. I to ich gubi.

Inną przyczyną uniemożliwiającą „frajerom” skuteczną walkę z „gitami” jest brak zasad, kodeksu postępowania czy swoistego regulaminu. Mając takie zasady każdy „git” wie, jak z „frajerami” postępować. „Frajer” natomiast żyje tak, jak chciał żyć na wolności; to znaczy bez żadnego kodeksu postępowania z „ludźmi”.

Kolejną cechą odróżniającą „gita” od „frajera” jest ubiór. „Git” jest zawsze zadbany, ogolony i umyty. Ma też porządnie wyprany i wyprasowany „ancug” (ubranie, garnitur) - po tym można poznać „człowieka”.



## ***IV. Powszedni dzień „złodzieja”***

*Na wolności czas to pieniądz, w kryminale czas to życie*

Refleksja pewnego biznesmena w „pudle”

Abyś, Szanowny Czytelniku, wyrobił sobie właściwy pogląd, jak wygląda życie w „pudle”, ten rozdział poświęcamy szaremu dniu szarego „złodzieja”.

Oczywiście dzień „gita” jest bardziej urozmaicony, a dzień zeszmaczonego „fajera” bardziej męczący, ale średnia, którą przedstawiamy, zbliżona jest do przeciętnej rzeczywistości. Rozdział opracowano na podstawie prawdziwego regulaminu.

„Złodzieja” budzi o siódmej rano pięć krótkich dzwonek. „Złodziej” przeciąga się, ziewa, a potem głośno mówi:

- Znowu się, kurwa, nie wyspałem, wszystko przez to nocne gadanie.

Następnie sprawdza, czy inni „złodzieje” niczego mu w nocy nie ukradli - zwłaszcza jakiejś rzeczy zabronionej regulaminem. To, co „złodziej” może mieć w celi, jest wyraźnie określone. Są to mianowicie: grzebień, małe lustro, szczotka do zębów, pasta lub proszek do tychże i mydło. Nożyczki otrzymuje już wyłącznie do jednorazowego użytku, od oddziałowego. Tylko tam, gdzie są kłopoty z fryzjerem, „złodziej” może mieć nożyczki i przybory do golenia, ale wolno mu je trzymać wyłącznie nad umywalką. Ci, którzy nie mają szczoteczki do zębów, mogą, po złożeniu podania na piśmie, dostać je z działu gospodarczego. Inne przedmioty związane z higieną osobistą są zabronione, zwłaszcza ostre. Ponadto w celi „złodziej” może mieć dokumenty urzędowe w sprawie, która jest przeciwko niemu prowadzona, listy prywatne z okresu ostatnich sześciu miesięcy, fotografie osób najbliższych, ale nie więcej niż siedem sztuk (żaden „złodziej” ani żaden „klawisz” nie potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego akurat siedem, choć na przykład fotografii nagich pańienek można mieć, ile się chce), wyroby tytoniowe i zapałki w ilości niezbędnej do czasu

najbliższego zakupu, czasopisma prenumerowane z okresu jednego miesiąca, jeden brulion. Tymczasowo aresztowany może mieć jeszcze własne prywatne ubranie i obuwie.

Inne rzeczy można posiadać tylko za zezwoleniem naczelnika więzienia. Natomiast zabrania się trzymać w celi sznurków, szkła, przedmiotów z blachy i ołówków kopiowych - tych ostatnich, aby nie zasypywać sobie nimi oczu, a ostrych rzeczy, aby nie można ich było użyć jako broni lub samemu się nimi okaleczyć. Sznurka trzymać nie wolno, aby się samemu lub kolegi nie powiesić. Oczywiście wszystkie zabronione przedmioty krążą swobodnie po kryminale. Mają je zwykle „git-ludzie”.

Jest siódma trzydzieści. Otwierają się drzwi i oddziałowy mówi:

- Zabierać łachy!

Wtedy wyznaczony więzień zabiera do celi wystawione na noc na korytarz taborety wraz z ułożonymi na nich ubraniami. Drzwi się zamykają, a „złodzieje” mają czas na ubranie się, umycie i ewentualne golenie. W tym czasie „frajery” myją kible, a „git-ludzie” układają sobie loki.

Godzina ósma. Drzwi otwierają się ponownie i komendant przyjmuje od starszego celi raport:

- Panie komendancie, starszy celi, Kowalski, melduje skazanych na apelu porannym. Stan czterech, obecnych czterech.

Reszta „złodziei” stoi karnie w szeregu w postawie na baczność. Muszą stać tak długo, jak długo trwa apel. Podczas apelu można zgłosić potrzebę wizyty u lekarza, chęć pójścia do biblioteki, wychowawcy, naczelnika, działu finansowego (gdzie „złodziej” ma konto), działu ewidencji (jeśli chce pracować) itp.

Pół godziny po apelu trzy dzwonki pięciosekundowe. To sygnał na śniadanie. Ciele otwierane są jedna po drugiej, a wyznaczony „złodziej” wystawia na korytarz lub podaje przez specjalne okienko kubki na kawę oraz płaskie talerze na chleb i margarynę. Chleb wydawany jest na cały dzień. Jeśli ktoś chce go zjeść na kolację, musi odłożyć ze śniadania. Może też kolacji nie jeść - to bardzo dietetyczne.

Korytarzem idzie oddziałowy z kalifaktorem (więźniem funkcyjnym), który pcha przed sobą wózek z kotłami. Przy każdej celi nalewa do kubków kawę zbożową i rozdaje żywność. Jeśli „złodziej” jest w zmowie z kalifaktorem, może mu podać gryps dla kolegi w innej celi. „Złodzieje” zabierają miski do celi, oddziałowy ją zamyka i idzie do następnej.

Między ósmą trzydzieści a dziewiątą rozpoczyna się właściwy dzień „złodzieja”.

Niektórzy, w kolejności ustalonej przez oddziałowego, idą załatwiać indywidualne sprawy - tam, gdzie zapisali się podczas apelu. Rozprawdza ich pojedynczo

albo grupami po kilku oddziałowy, dzwoniąc kluczami. Najpierw prowadzi tych do wychowawcy i do lekarza.

Potem wyprowadza się do świetlicy „złodziei”, którym wypada z grafiku, że powinni właśnie tego dnia oglądać telewizję. Jeśli w świetlicy mieści się trzydzieści osób, a na oddziale jest trzystu „złodziei”, możliwość oglądania telewizji jest rzadka. A zwłaszcza wieczorem, kiedy emitowane są najlepsze programy - wieczorem możesz, Szanowny Czytelniku, oglądać telewizję tylko w nagrodę.

Tymczasowo aresztowani wyprowadzani są do świetlicy celami, tak aby nie doszło do kontaktu z aresztowanymi z innej celi. (Ma to zapobiec matactwu podczas śledztwa). Ci mają jeszcze mniejsze szanse na obejrzenie dobrego programu.

Jeśli więzienie jest „bogate”, ma własną telewizję kablową. Wtedy centralnie, do wszystkich świetlic, emituje się filmy z taśmy wideo. Jeśli więzienia nie stać na wiele taśm, puszcza się te same filmy w kółko lub odtwarza programy telewizji polskiej, najczęściej z poprzedniego wieczora. Ale to jest luksus.

Na ogół więzienia nie mają jednak telewizję kablowej, a w ciągu dnia telewizja polska nadaje zazwyczaj programy oświatowe.

Wtedy ci „złodzieje”, którzy są w świetlicy, mają zajęcia kulturalno-oświatowe, organizowane przez wychowawcę lub - jak mówią uprzejmi „klawisze” - aktyw kulturalno-oświatowy, wyłoniony z porządniejszych i kulturalniejszych „złodziei”. Może to być turniej ping-ponga - dwóch gra, a reszta patrzy, albo bilard - czterech gra, a reszta patrzy. Można też czytać gazety, jeśli więzienie na nie stać.

Działają też kółka zainteresowań, najczęściej plastyczne. W celi wykonuje się jakieś dzieła sztuki, a na spotkaniach w kółku dyskutuje się nad techniką, rzadziej nad aspektem artystycznym. Są to nieraz prawdziwe dzieła sztuki. Na przykład ręcznie haftowany łeb uśmiechającego się tygrysa, w bardzo dobrze dobranych kolorach. Haftowanie trwało cztery miesiące, po pięć godzin dziennie. (Wymiary: metr na siedemdziesiąt pięć centymetrów; kupiłem tanio - za 400000 zł).

Ci, którzy nie mają zajęć kulturalno-oświatowych, a zapisali się gdzieś z wizytą, czekają, aż oddziałowy ich wyprowadzi. Mogą tak czekać godzinami, bo kolejka jest długa, a oddziałowy jeden.

Ci, co zapisali się do biblioteki (wolno wymienić jednorazowo, w zależności od wielkości księgozbioru, od dwóch do czterech książek), starają się wybierać książki jak najwolniej, by jak najdłużej przebywać poza celą.

Ci, co zapisali się do lekarza, w większości zrobili to z nudów, nic im nie dolega, a w kolejce do łapiducha można pogadać, czegoś się dowiedzieć, spotkać się z kolegą.

Razem jest weselej. Toteż lekarze więzienni podchodzą do „złodziei” na ogół jak do symulantów.

Są też tacy, którzy zamówili sobie rozmowę w cztery oczy z wychowawcą. Jeśli ma czas, przyjmuje ich od razu, jeśli nie - czekają. Rozmowy dotyczą zazwyczaj spraw osobistych, wychowawca jest dla nich jak ksiądz.

Inni załatwiają na przykład sprawy w księgowości. Zwykle udają, że ich własne obliczenia konta nie zgadzają się z obliczeniami księgowych. Starają się jak najdłużej dyskutować - zresztą grzecznie, „charakternie”.

Poza rozliczeniami uposażeń za pracę „złodzieje” pilnie rozliczają też to, co muszą z tych uposażeń płacić. Prowadzą, głównie dla zabicia czasu, swoją własną księgowość. Z zarobków odlicza się im koszty sądowe, alimenty dla rodziny czy grzywny nałożone przez sąd. Czasami odpracowują to, co na wolności ukradli lub pożyczili, jeśli postanowieniem sądu może przeciw nim działać komornik. Ci mają najgorzej. Czasami nie stać ich nawet na porządną „wypiskę” i muszą usługiwać innym, bogatszym. Poza tym w „pudle”, tak jak na wolności, każda czynność prawna kosztuje. Płaci się za wnioski o odroczenie kary pozbawienia wolności, o udzielenie zgody na udzielenie przerwy w wykonywaniu kary (na przykład ze względu na zły stan zdrowia), o przedterminowe zwolnienie, o warunkowe zawieszenie, kosztuje także rozłożenie grzywny na raty (aż do 2% tej grzywny) i zwykle podanie o cokolwiek. Forsę trzeba więc koniecznie mieć i musi się wiedzieć, ile się jej ma.

Dużym przeżyciem psychicznym jest dla „złodzieja” „wypiska”, to znaczy możliwość zakupu różnych artykułów w kantynie lub w sklepiku więziennym. Najczęściej kupuje się papierosy (szlugi) oraz „giętą”, czyli kiełbasę. „Wypiska” jest wyznaczana co jakiś czas - w zależności od możliwości organizacyjnych zakładu i liczby „złodziei”. Im więzienie większe, a sklepik mniejszy, tym rzadziej. Ostatnio sklepiki przejęli ajenci, jest to podobno dobry interes, bo „złodzieje” nie targują się i kupują wszystko, czego potrzebują, nie zwracając uwagi na jakość i markę.

Ale „złodziej” może kupować tylko ograniczone ilości różnych artykułów. Na przykład papierosów na czas tylko do następnej „wypiski”. Żywność w celi można przechowywać wyłącznie w szafkach i z dala od środków czystości, przyborów do golenia itp. Szafki są małe, więc wiele żywności trzymać nie można. Naturalnie „wypiska” ograniczona jest też możliwościami finansowymi „złodzieja”. Gospodaruje tym, co zarobił lub dostał od rodziny. Obrót jest bezgotówkowy, w więzieniu pieniędzy trzymać nie wolno. „Złodziej” ma konto, obliczanie zajmuje mu więc sporo czasu.

Dużą atrakcją stanowi łaźnia - zwykle raz w tygodniu, jeśli nie zepsuje się ogrzewanie z ciepłą wodą. W łaźni można pogadać i powygłupiać się. Można komuś „dołożyć”, „rozliczyć” zadawnione konflikty, wymienić informacje. Ale w łaźni pilnuje „klawisz” i dba, żeby „złodzieje”, którzy są przecież w dużej grupie, nie pozabijali się nawzajem. Do łaźni uczęszcza się według grafiku - celami. Nie miesza się ludzi z różnych cel, aby nie dochodziło do przemytu i porachunków.

Można też wymieniać w pralni ubranie lub bieliznę. Ale to również według grafiku i grupowo. Indywidualnie nie wolno.

Codziennie przysługuje spacer. Sześćdziesiąt minut. Chodzi się wtedy w kółko po „spacerniaku”, starając się zmieniać rozmówców. Spaceruje się parami albo trójkami. „Klawisze” - zwłaszcza w areszcie tymczasowym - bacznie pilnują, aby więźniowie nie gadali. Ale pod nosem lub cicho mrużyć można.

Doświadczeni „złodzieje” znają specjalny sposób cichego mówienia. Na „spacerniaku” rozrabiać nie wolno. „Klawisze” natychmiast zabierają winnego do celi i na ogół wymierzają jakąś karę dyscyplinarną. Nie mogą jednak spacerów zabronić. Spacer przysługuje więźniowi obligatoryjnie - z powodów zdrowotnych. Zdarza się jednak, że „gity” rozliczają innych „gitów” lub „frajerów” właśnie na spacerze, i to właśnie dlatego że spaceru nie można zabronić. Robią to sami lub wystugują się jakimś silnym i tępym „frajerem”. Rozliczenie trwa kilka chwil, dopóki „klawisze” nie zdążą rozdzielić bijącego od bitego. „Spacerniak” jest jednak stale pod kontrolą, również „klawiszy” ze „zwyżek” (wieżyczek) dookoła „spacerniaka”.

W niektórych więzieniach można też pograć w siatkówkę lub piłkę ręczną, jeśli są ku temu warunki. Ale boiska zdarzają się w więzieniach bardzo rzadko, a do tego grać można tylko w lecie, i to przy ładnej pogodzie, więc szansa jest mała.

Najtrudniej jest dostać się do naczelnika, ale za to stanowi to niemałą atrakcję. Trzeba jednak wcześniej podać oddziałowemu cel takiej wizyty. Jeśli są to jakieś banialuki, oddziałowy odmówi. Gdyby bowiem przyprował „złodzieja” z głupią sprawą, naczelnik zrukałby oddziałowego, a nie „złodzieja”. U naczelnika możesz jednak, Szanowny Czytelniku, ponarzekać nawet na wychowawcę. Co innego, jeśli wychowawca przyprował „złodzieja” do raportu karnego i stoi obok. Wtedy lepiej się nie wychylać.

Największą atrakcją stanowią jednak „patrzonka”, czyli widzenia - na ogół z najbliższymi. W rygorze obostrzonym i zasadniczym przysługuje jedno w miesiącu - po sześćdziesiąt minut każde. W rygorze złagodzonej dwa - też po sześćdziesiąt minut. Naczelnik może w nagrodę dać „złodziejowi” więcej „patrzonka” albo za karę liczbę tę ograniczyć. Zakazać w ogóle nie może.

W praktyce widzenia odbywają się od poniedziałku do piątku, od godziny dziewiątej do czternastej. Dla „złodziei” od litery A do J w poniedziałki, od litery D do K we wtorki itd. W soboty prawo do widzeń mają rodziny, które przyjeżdżają z miejscowości oddalonych o ponad sto kilometrów. A w środy przyznawane są widzenia w nagrodę. Widzenie może być „przez kratę” - to dla „złodziei” niepewnych lub tymczasowo aresztowanych - albo przy stoliku. Zawsze jednak w obecności „klawisz”. Mimo to zawsze jest okazja, aby podać gryps lub coś niedozwolonego, na przykład pieniądze, które są środkiem do wszelakiego urozmaicania sobie życia „pod celą”.

Ci, którym udało się wyjść z celi, to jedna, bardzo zadowolona grupa. Druga, niestety, siedzi w celach i albo czeka na przyjscie oddziałowego, albo nie mając na nie szans, nudzi się śmiertelnie. Ci ostatni „złodzieje” - to na ogół mało pomysłowi „frajrzy”.

Najlepiej mają ci, którzy posiadają w celi własne telewizory. Mogą coś oglądać. Mają też masę przyjaciół, gdyż każdy chce z nimi siedzieć. Ale to są ci bogatsi.

Inni muszą się czymś zająć.

Najprościej jest leżeć i patrzeć w sufit rozpamiętując swoje sukcesy na wolności. Ale od tego można dostać „świra”.

Leżąc można palić papierosy, których liczba jest jednak i finansowo, i z powodu możliwości zakupu ograniczona. Palić można od apelu porannego do ciszy nocnej. W nocy i podczas spożywania posiłków palenie jest zabronione. Kiedy do celi wchodzi „klawisz”, papierosa należy natychmiast odłożyć - gasić szkoda - i stanąć w postawie zasadniczej. Nie wolno palić tak długo, jak długo „klawisz” przebywa w celi. Tak samo trzeba się zachować, jeśli zdarzy się jakaś wizytacja - nie musi być oficjalna. Bardzo mnie to żenowało, kiedy z „klawiszami” zwiedzałem zakłady. W pracy pali się tylko w palarniach.

Można robić to, co dozwolone. Grać w tak zwane gry towarzyskie, czyli w warcaby, szachy, wilka i owcę, chińczyka. Organizuje się turnieje w celi. Coś na kształt ligi piłkarskiej. Rozgrywki trwają nieraz tyle, co w lidze, to znaczy całą wiosnę i jesień. Można też grać o coś: o mycie sedesu, pranie skarpetek, sprzątanie. Bogatsi grają o pieniądze, nawet o dolary. Grają też o produkty żywnościowe, papierosy, a także gorzałę.

Inni piszą listy. Ale ile można pisać i o czym - w celi, w której nic się nie dzieje, i wiedząc, że listy będzie czytać wychowawca (w przypadku tymczasowo aresztowanych również prokurator). Tymczasowo aresztowani muszą na kopercie podawać swój numer sprawy. Listy prywatne i korespondencję tak zwaną nieterminową wystawia się wraz z taboretami i ubraniami w każdą sobotę wieczorem po apelu.

Rano listy zabiera „klawisz”. Terminowe, do sądu, daje się wychowawcy. Listy od bliskich można przechowywać tylko przez sześć miesięcy, żeby nie robić bałaganu i nie mnożyć śmieci.

Czas pisania listów jest również ograniczony - tylko między godziną ósmą rano a dziewiątą wieczór. Jeśli „złodzieja” nie stać na przybory do pisania i papier - tak również się zdarza, zwłaszcza gdy wyląduje w więzieniu, zaraz po wyroku, biedny „złodziej” - ołówek, kopertę i papier wręcza mu wychowawca. Zakupuje je z funduszy penitencjarnych.

Można oczywiście czytać, większość więzień jest doskonale zaopatrzona we wszelką lekturę, ostatnio również religijną.

Zdarzają się jednak więźniowie z zainteresowaniami. Ci na ogół proszą o celę pojedynczą, i jeśli zachowują się spokojnie, w takiej właśnie siedzą. Dużo czytają, niektórzy robią nawet notatki, uczą się języków, rzeźbią. Od czasu do czasu proszą oddziałowego, aby ich zaprowadził do innej celi, do kolegi, z którym chcą zagrać w szachy. To jest dozwolone, ale pod warunkiem, że w celi będzie co najmniej trzech „złodziei”. Nigdy nie wiadomo, czy to nie koledzy „homo”. Ten trzeci zawsze ich przypilnuje, a może też okazać się świnią i o czymś donieść wychowawcy.

Można też zabawiać się nielegalnie, grać w gry niedozwolone, to znaczy głównie w karty i kości. Trzymanie kart i kości jest zabronione. Można je jednak przemycić, kupić od innego „złodzieja” lub „klawisza”-handlarza, który ryzykuje taką transakcją utratę pracy. Karty i kości można też zrobić samemu.

Karty najlepiej wykonać z białego chleba i smalcu. Chleb trzeba ugnieść mieszając go ze śliną. Potem powinien poleżeć 4-6 dni (jak długo, to zależy od temperatury w celi), tak aby lekko sfermentował. Dodaje się do tego ciasta smalcu, aby karty miały połysk i były gładkie. Następnie dodaje się trochę sadzy z kawałka spalonego prześcieradła. Znowu ciasto trzeba ugnieść. Robi się ono hebanowe. Wówczas wałkuje się na cienkie trzymilimetrowe placuszki i wycina prostokąty szczytem pudełka. Przed wyschnięciem - co następuje po paru dniach - rzeźbi się po jednej stronie identyczne koszulki, a po drugiej oznaczenia, i te oznaczenia smaruje się proszkiem do zębów rozpuszczonym w ślinie. Kolory znakuje się długimi paskami na środku prostokąta i bieli proszkiem do zębów. Jeden rowek pionowy oznacza pik, dwa rowki pionowe - kier, jeden rowek poziomy - trefl, dwa rowki poziome - karo. Jest to oczywiście system umowny. Można przyjęć inne oznaczenia kolorów, z różnymi wariantami pasków. Wysokość karty oznacza się kropkami: jedna kropka - as, dwie - król, trzy - dama, cztery - walet. Ale tylko po jednej stronie pasków. Błotki oznacza się po obu stronach pasków w taki sposób: po jednej kropce na obu połówkach -

dwójka, jedna kropka po lewej, a dwie po prawej - trójka, dwie kropki po lewej i dwie po prawej - czwórka, i tak do dziesiątki.

Tasowanie i rozdawanie kart przypomina domina. Poza tym karty są podobne do domina i w razie znalezienia ich podczas rewizji można zawsze powiedzieć, że to inny rodzaj domina, czyli gra towarzyska.

Ze zrobieniem kości w podobny sposób nie ma problemów. Kości mają mniej oznaczeń i nie muszą być takie płaskie.

W gry „nietowarzyskie” gra się „pod celą” zawsze o coś konkretnego, rzadko o sprzątanie.

O godzinie dwunastej cztery pięciosekundowe dzwonki oznajmniają obiad. Wtedy wszyscy powinni być w celach. Procedura jest taka sama jak przy śniadaniu. Tym razem wystawia się miski na zupę i płaskie talerze na drugie danie. Obsługuje celę wskazany więzień, a podaje mu kalifaktor.

Po obiedzie mycie talerzy i misek. Jedni robią to sami, za innych „frajjerzy” albo przegrani w gry „towarzyskie” i „nietowarzyskie”.

Więźniowie powracają do normalnego życia. Jedni śpią, drudzy grają, inni oglądają telewizję. Tak jest do godziny szesnastej. Wtedy więzienie zamiera. Personel więzienny kończy pracę i wychodzi z „pudła” do domów. Zostają - dyżurny wychowawca i niezbędna ochrona.

Między siedemnastą a osiemnastą dwa krótkie dzwonki oznajmniają porę wydawania kolacji. Wystawia się kubek na kawę i płaski talerz na jakąś wędlinę - salceson, kaszankę, mortadelę, pasztetową. Chleb trzeba wygoszparować ze śniadania. Można go też wygrać od kolegi. Wtedy on nie je kolacji „w pełnym wymiarze”.

Czasami po kolacji przyjmują lekarze specjaliści pracujący w więzieniu nie na pełnym etacie. Ci ze „złodziei”, którzy są do nich zapisani, mają trochę rozrywki, ale przecież czekali na nią cały dzień w celi.

Po kolacji, do godziny dwudziestej, czas wlecze się niemiłosiernie. Tylko mała grupa skazanych ogląda telewizję lub zajmuje się jakąś działalnością kulturalno-oświatową. Reszta siedzi w celach i potwornie się nudzi.

O dwudziestej jest apel. Tak jak podczas apelu rannego, tak i na apelu wieczornym dowódca ochrony oddziału kolejno przyjmuje meldunki starszych celi, a inni stoją, jak mówi regulamin, w wyrównanym szeregu i postawie zasadniczej. Muszą być schludnie ubrani, ale do apelu wieczornego, w przeciwieństwie do porannego, „złodzieje” mogą nosić kaptcie. Luz.

Jeszcze raz otwierane są drzwi celi, gdy jeden ze „złodziei” wystawia na korytarz taborety. Na nich ułożone są w kostki ubrania, a pod nimi ustawia się obuwie.



Jak mówi regulamin - „wymiary ułożonej odzieży muszą być równe z wymiarami taboretu”. Na samym wierzchu powinny być złożone czapki, a także jeden talerz wraz z łyżkami. Chodzi tu mianowicie o to, aby „złodzieje” w razie ucieczki nie mieli przy sobie ani ubrań, ani butów. Miski wystawia się, aby skontrolować ich czystość. Tak samo łyżki. (Ale dlaczego właśnie łyżki, a nie widelce?)

W ten sposób „złodzieje” pozostają w samej bieliźnie do spania albo w pidżamach. Nie mają też na czym siedzieć, bo wystawili taborety. Na łóżkach nie wolno im leżeć ani siedzieć - muszą do ciszy nocnej być schludnie posłane, według wzorca wojskowego. W takiej sytuacji zastaje ich kolejny punkt regulaminu: „zajęcia własne w celach” - mogą go realizować tylko stojąc, w pidżamach. Trwa to do godziny dwudziestej drugiej.

Wtedy jeden dziesięciosekundowy dzwonek oznajmia ciszę nocną. Oddziaływoy po kolei gasi w każdej celi światło. „Złodzieje” udają się do łóżek. Teoretycznie, bo tak naprawdę zaczyna się dopiero nocne życie. Sprzyjają temu ciemności, mała liczba funkcjonariuszy i izolacja „złodziei” - dzięki niej, tak męczącej w ciągu dnia, „złodzieje” czują się bardziej bezpieczni. Przez judasza ochrona nie może ich podglądać, bo ciemno. Oddziaływoy przysypia w swojej celi, a zmordowani pracą niektórzy, ci porządni, „złodzieje” śpią smacznie.

Po dwudziestej drugiej rozpoczyna się nocne życie. Co można robić do pobudki?

Przed wszystkim można się porozumiewać. Z kolegą z sąsiedniej celi jest to stosunkowo proste. Trzeba tylko znać alfabet Morse'a. Stuka się wtedy w ścianę. Ci, którzy znają go dobrze, stukają z szybkością wyszkolonego radiotelegrafisty.

Trudniej porozumiewać się z celami leżącymi na innych poziomach. Podłogi są za grube. Ale przecież są rury. Stuka się więc w rury od kanalizacji i centralnego ogrzewania. W ten sposób można rozmawiać nawet z celą o cztery piętra wyżej lub niżej. Istnieje jednak pewne ryzyko. Może usłyszeć stukanie strażnik, ponieważ jest dość głośne i słychać je w całym budynku.

Dobra jest też metoda „przez kibel”. Trzeba wypompować całą wodę z syfonu w sedesie. Kolega, z którym się umówiliśmy, na przykład poprzez gryps lub innego więźnia, robi to samo. Przez rury kanalizacyjne można w ten sposób normalnie rozmawiać, tak jak na statku robi to kapitan rozmawiając, na przykład, z maszynownią.

Można też po prostu krzyknąć przez okno:

- Cella piętnaście do celi dwadzieścia pięć. Wyjdź na lipo!

Po chwili:

- Cela dwadzieścia pięć do celi piętnaście. Jestem na lipie. Słucham.
- Tu cela piętnaście. Pozdrówcie Maćka i powiedzcie mu, żeby jutro zapisał się do łapiducha. Chcę z nim porozmawiać.
- Tu cela dwadzieścia pięć. Zrozumiałem, powtórzę, koniec.

I tak dalej.

Naczelnik więzienia, który chce poznać prawdziwe życie swojego zakładu, poświęca raz na miesiąc jedną noc, po capstrzyku staje w cieniu na podwórku więziennym i słucha. Wtedy może dowiedzieć się wszystkiego. Kto z kim handluje, kogo jutro pobiją, kto ma zamiar symulować itp. Identyfikacja jest prosta - „złodzieje”, aby się porozumieć, muszą wymienić numer celi.

Do cel obok, i to nawet dość odległych, ale leżących na jednym poziomie, można wysłać paczkę poprzez „konia”. Trzeba zrobić dobrze zapakowaną paczuszkę i solidnie przymocować do niej sznurek. Na nim spuszcza się paczkę za okno i kiedy osiągnie pion, zaczyna się nią huścić. Paczka zatacza coraz większy łuk i po kilkunastu sekundach, mocno już rozbujana, przelatuje obok pożądanego okna (odległość reguluje długość sznurka). Wystarczy wtedy wyciągnąć rękę i przesyłkę przejąć. „Konia” nie widać dobrze z wieżyczki albo go wcale nie widać. Jeśli zauważy go „klawisz” na wieżyczce i powiadomi telefonicznie dyżurnego oddziałowego, a ten wyjdzie ze swojej celi, dojdzie do celi, gdzie nadano i odebrano „konia”, jest już za późno. Zawartość paczki została rozpakowana i wraz ze sznurkiem schowana. Nikomu się w nocy nie chce robić rewizji.

„Koniem” przesyła się na ogół drobne przedmioty, często papierosy. „Złodziej” mógłby w ciągu dnia poprosić oddziałowego, aby można było te papierosy jawnie podać. Ale to przecież nie żadna sztuka. Sztuką jest zorganizować papier i sznurek.

Podczas ciszy nocnej reguluje się też osobiste porachunki i wykonuje wyroki na podpadniętych „frajarów”. Egzekucje odbywają się jednak po cichu. Dwóch trzyma, a jeden wali.

Jeśli „złodzieje” mają herbatę, mogą sobie zrobić „parzoche”. Do tego trzeba zagotować wodę. Obecnie w większości zakładów karnych grzałki są dozwolone, kiedyś były zakazane. Jeśli nie ma grzałki, bierze się dwie żyłki (też nie wolno ich było trzymać w celi) i cztery zapałki. Żyłki osadza się na zapałkach, a całość dwoma kabelkami podłącza się do gniazdka rozdzielczego lub do kabla w ścianie. Opór prądu jest tak duży, że litr wody można zagotować w pięć sekund. Jeżeli nie ma żyłek ani kabla i nie można nic podgrzać za pomocą elektryczności, „złodzieje” wykorzystują papier toaletowy. Z rolki wyciągają, w formie stożka, środkowe zwoje papieru do góry i podpalają. Papier dość długo pali się równym płomieniem.

Jeśli przytrzymać rolkę jakimś niepalnym narzędziem - na przykład dwoma widelcami - lub postawić ją na talerzu, a nad płomieniem trzymać kubek z wodą, również się zagotuje. Choć nie tak szybko, jak za pomocą żyletek. Do gotującej się wody wrzuca się pół szklanki herbaty, tytoń z dwóch papierosów, trzy-cztery aspiryny lub proszki od bólu głowy, a „smakosze” dodają ponadto szczyptę popiołu z papierosa. „Parzochę” („czaj”) gotuje się tak długo, aż stanie się czarna. Potem czeka się z dziesięć minut, aż się „przegryzie”, następnie studzi i pije małymi łykami. Działa to jak haszysz.

Od niedawna zresztą bogatsi więźniowie używają już normalnych narkotyków. Przymyt ich jest o wiele prostszy niż na przykład alkoholu. Mają małą objętość i można je podać „złodziejowi” nawet w słoiku z dżemem podczas widzenia lub wysłać w smalcu w normalnej paczce. Zdaniem „klawiszy” następną plagą więziennictwa będą zamiast alkoholu narkotyki. To kolejny etap. To, co zabronione na wolności, prędzej czy później przechodzi do więzienia, ale ma oczywiście o wiele wyższą cenę.

W nocy można sobie też „strzelić” setę. Nie musi to być czysty alkohol z przemytu spoza więzienia, który jest w „pudle” bardzo drogi. Ci, którzy pracują na przykład w więziennych warsztatach samochodowych, mają dostęp do borygo, inni dysponują płynami hydraulicznymi, ci, co czyszczą szyby i sprzątają, również mają dostęp do płynów z alkoholem. U fryzjera - niekoniecznie zresztą „złodzieja” - można kupić „małpkę” wody brzozonej lub toaletowej. Towarzystwo jakoś sobie radzi. Są też handlujący „klawisze” - u nich można zamówić, co się chce, byle była „tapeta” (pieniądze).

Są „złodzieje”, ci z mniejszą inicjatywą i spokojniejsi, którzy lubią słuchać opowiadań innych. Słuchają tak zwanych „opowiadaczy”, czyli więźniów mających duży dar wymowy i wyobraźnię. Opowiadają filmy, których inni nie widzieli, lub książki, których nie czytali, bo nie ma ich w bibliotece więziennej. Na ogół dodają to i owo, a nieraz całkowicie zmieniają treść. Zmyślają szczegóły, a nawet wątki akcji. Zwykle powstaje z tego zupełnie inna książka niż ta, którą naprawdę przeczytali. Jak zwierzył się memu przyjacielowi jeden „małolat” - gdyby te książki, o których mu opowiadano, miały treści „opowiadacza”, byłyby dwa razy lepsze. Nawet „Potop” Sienkiewicza zmieniany był nie do poznania.

Głównym kryterium oceny nie jest prawdziwa treść książki czy filmu, ale inwencja „opowiadacza”. Jeśli słuchający, w chwili przerwy w opowiadaniu, zachęcają „opowiadacza” okrzykami: „i co dalej, i co dalej?”, kontynuuje on swoją opowieść i stara się ją jak najbardziej uatrakcyjnić.

Jeśli tych zachęt nie słyszy, po paru minutach przerywa i udaje, że zasnął, lub mówi, że chce mu się spać.

Poszczególni „złodzieje” lubią też opowiadać swoje życiorysy. Robią to brawurowo i z uczuciem. Najczęściej wspominają udane (rzadziej: nieudane) „skoki”. Ze wszystkimi szczegółami: jak polowali na ofiarę, jak ją ograbili lub jak - z detalami - włamali się do peweksu.

Inni chwalą się swoim bogactwem na wolności, uzyskanym oczywiście ze „skoku”. Są miliarderami. Opowiadają, co zrobią z pieniędzmi oraz jak i gdzie będą szaleć. Głośno wyobrażają sobie, jakie potrawy będą jedli, jakie trunki pili i jakie dziwki... Na ogół wychodząc z więzienia po zakończeniu kary ci właśnie „bogacze” zwracają się do wychowawcy z prośbą o zapomogę... na bilet kolejowy. Natomiast na tych, którzy nie wymyślali takich historii, czeka przed więzieniem srebrny mercedes. Ci najbogatsi zwykle milczą.

Nigdy wśród prawdziwych „git-ludzi” nie słyszy się o planowanym „skoku”. Takimi rzeczami chwalą się zwykle „fajerzy”, ale oni nigdy tego wyimaginowanego „skoku” nie zrealizują. Tak przynajmniej twierdzą „ludzie”, z którymi rozmawiałem. Głośno nie planuje się też zemsty. Sprytny „git” załatwi to sekretnie w kryminale lub przez kumpla na wolności. W celi o czymś takim nie wspomina, gdyż liczy się zawsze z obecnością „ucha”.

Najbardziej pożądane są opowiadania o seksie - zwłaszcza wśród „małolatów”. Opowiadają godzinami, jak postępowali z konkretną panienką. Opisują sytuację z największymi detalami: jakie miała majtki, a jaką sukienkę, jak leżała, jak pojękiwała, a nawet, jakie miała „te rzeczy” i jaki kolor owłosienia. Opowiadania tym są lepsze, im więcej w nich szczegółów, tym bardziej pożądane, im bardziej wartka akcja. Chłopaki „przebijają” się nawzajem w coraz bardziej wyrafinowanych treściach, a czas leci, coraz bliżej do pobudki. Inni pod kocami ostro się onanizują.

Rano, kiedy wstają, po ogłoszeniu dzwonekami pobudki, dochodzą do wniosku, że wszystkie te nocne opowieści nie miały sensu. Ale to widać w dzień. W nocy i opowiadanie o filmie, i opowiadanie o stosunku z dziewczyną miały głęboki sens, według lekarzy i psychologów - właśnie psychologiczny.

Do najspokojniejszych „złodziei”, którzy ani nie rozrabiają, ani nie słuchają durnych opowiadań, należą kulturyści. Ci znowu połowę nocy ćwiczą pompki i zwisy na poręczy łóżka. Często ukrywają hantle i ciężarki - trzymanie ich w celi jest niedozwolone.

Spokojni „cwele” dokonują conocnej toalety. W tym czasie w „pudle” ożywia się życie seksualne. I to dobrowolne, i to przymusowe. Noc sprzyja też „cwełom-kurwom”.

Najważniejszą rzeczą dla „złodziei”, którzy nie pracują, jest „zabić czas”.

Wszystkimi dozwolonymi i niedozwolonymi sposobami. Normalny człowiek na wolności zwykły kwadrat czy jakąś bryłę geometryczną narysuje w trzy sekundy. „Złodziej” będzie to robił trzy minuty - spokojnie, wolno, ale z różnymi ozdobami: może powstać z tego arcydzieło. Zwykle niepracujący „złodzieje” planują w nocy szczegółowo, co będą robili następnego dnia.

Rano zapiszę się do dentysty, zęby mnie nie boją, ale zgłoszę, że mnie boli ząb trzonowy, on już był raz leczony i dentysta powinien czuć się zobowiązany mnie przyjąć. W kolejce kogoś się spotka - kontynuuje planowanie „złodziej” - i trochę się pogada. Jak wrócę, wypiorę skarpetki i zrobię sobie herbatę albo lekką „parzochę”. Potem będzie obiad i trochę czasu zleci. Po obiedzie umyję miski i pójdę do biblioteki. Tam się trochę pomarudzi. Tych książek, które mam, jeszcze nie przeczytałem, ale do biblioteki iść można. Teraz opowiada Heniek; ciekawe, jak się ta jego książka skończy - duma „złodziej”.

Nie jest jednak nigdy pewny, czy oddziałowcy da mu szansę na zrealizowanie jego planów. Za każdym razem oddziałowcy musi „złodzieja” wpuścić i wypuścić z celi. Jeśli nie ma na to czasu lub jest zmęczony, nic z planowania „złodzieja” nie będzie.

Wszyscy „złodzieje” i „klawisze”, z którymi rozmawiałem, zgodnie twierdzili, że największą dolegliwością dla więźniów niepracujących są zamknięte cele. Gdyby były one otwarte (tak jak pokazują to na filmach amerykańskich, gdzie więźniowie jedzą nawet we wspólnej dużej sali), życie w „pudle” miałoby zupełnie inny charakter. Odpadłaby cała masa kruczków i forteli, a służba więzienna miałaby mniej pracy i stresów.

Regulamin nic nie mówi o zamknięciu w celach, toteż można byłoby je otworzyć, nawet na cały dzień. Taką decyzję może podjąć jednak tylko naczelnik więzienia. Nikt mu tego nie zabrania, ale naczelnik się boi, że w przypadku jakiejś awantury, tylko on będzie za swoją decyzję odpowiadał. Nie jest wykluczone, że przy otwartych przez cały dzień celach „złodzieje” - uprzedzeni, że jeśli się coś zdarzy, będą z powrotem w nich zamknięci - zachowywaliby się poprawnie. Właśnie w obawie, że naczelnik swoją decyzję cofnie.

Z drugiej jednak strony - twierdzą „klawisze” - otwarcie cel jest niebezpieczne, bo „złodzieje” mogą się pobić, zrobić bunt, zaatakować strażnika czy wziąć go jako zakładnika. Wystarczy jeden „frajer”-furiat lub zdesperowany „git” i może dojść do nieszczęścia, a nawet czyjejś śmierci.

Sprzyja temu nienowoczesność budynków więziennych, w których nie można automatycznie, jednym naciśnięciem guzika, odizolować kratą określonych pomieszczeń. Tak jak w bogatszych krajach. Tam strażnik może odciąć przejście do

kilkudziesięciu cel w jednej sekundzie. Taka instalacja jednak dużo kosztuje. W nowych zakładach karnych wystarczyłoby wykonać przeróbki, ale w starszych budynkach trzeba montować wszystko od nowa. Łatwiej natomiast jest wprowadzić zakaz opuszczania cel i problem ma się z głowy - oczywiście pozornie.

Wyobraź sobie, Szanowny Czytelniku, że siedzisz pół roku w jednym pomieszczeniu, a dookoła wciąż te same cztery mordy, w dzień i w nocy. Nawet wysrać się nie możesz bez świadków, bo kibel znajduje się tylko za parawanem, a nie w osobnej kabinie. Każde pierdnięcie koledzy usłyszą. Twarzy współwięźniów na ogół już po miesiącu nienawidzisz, nawet gdyby to byli najbardziej sympatyczni ludzie pod słońcem. Konflikty w takiej sytuacji są nieuchronne. Denerwuje każde głupstwo. Stresy są coraz częstsze. Niektórzy „złodzieje” wariują, wpadają w melancholię albo w szał i w furii biją innych lub sami się kaleczą. Trzeba ich siłą prowadzić do izolatek, dawać im uspokajające zastrzyki.

Innym powodem sprzyjającym stresom wśród więźniów i strażników są niewielkie możliwości prowadzenia w zakładach karnych właściwej pracy kulturalno-oświatowej. Z przeprowadzonych badań wynika, że 70% więźniów nie uczestniczy w żadnej działalności tego typu - nawet przez przyglądanie się, jak robią to inni. Prasę i książki czyta około 30%. Aktywnie zajmuje się kulturą tylko 5%, w zajęciach sportowych uczestniczy też tylko 5% „złodziei” - grają zwłaszcza w siatkówkę i ping-ponga. Najwięcej badanych więźniów zajmuje się tak zwanymi grami stolikowymi - około 75% - robią to przeważnie w celach.

Jednym z najważniejszych powodów takiego stanu rzeczy jest przeludnienie zakładów karnych. W niektórych z nich - właśnie z powodu przeludnienia - w latach siedemdziesiątych polikwidowano świetlice. Sprzyja temu również brak personelu więziennego, który - w warunkach konieczności trzymania stale „złodziei” w celach - nie ma czasu na ciągle - wyprowadzanie i wprowadzanie więźniów.

W najgorszej sytuacji są niepracujący więźniowie, siedzący razem z tymczasowo aresztowanymi. Obłożeni są oni dodatkowymi ograniczeniami przy wychodzeniu z cel lub w prowadzeniu działalności kulturalno-oświatowej. Taka sytuacja wynika również z przeludnienia. Bardzo często skazany już „złodziej” musi siedzieć z tymczasowo aresztowanymi, bo nie ma dla niego miejsca w innym, właściwym do odbywania kary zakładzie karnym. Może czekać na to miejsce miesiącami. Początkowo, zaraz po wyroku, kiedy ma różne ograniczenia i dolegliwości - jest na ogół w stanie szoku psychicznego, ale po pewnym czasie, kiedy pozna regulamin i to, co mu przysługuje, zaczyna się słusznie buntować. Stwarza to funkcjonariuszom problemy i dodatkową robotę.

W o wiele lepszej sytuacji są więźniowie, którzy pracują. Pracujący więźniowie lub ci, którzy mają rygor P-3, czyli rygor złagodzony, są to na ogół skazani, którym do końca kary pozostało kilka, kilkanaście miesięcy. Jest jakaś gwarancja, że nie uciekną i nie będą robić awantur. Ich cele są otwarte cały dzień, często też pracują w gospodarstwach rolno-hodowlanych.

Najbardziej chyba luksusowe warunki mają „złodzieje” obsługujący wczasowy ośrodek Ministerstwa Sprawiedliwości w Popowie nad Narwią. Piękny dom, śliczny park, rzeka, dobre wyżywienie. Słowem, żyć, nie umierać. Kiedyś w tym ośrodku mój znajomy zostawił po obiedzie na krześle saszetkę z dokumentami. Było tam sporo forsy. Nie zdążyliśmy odejść od stołówki i stu metrów, kiedy dogonił nas „złodziej „-kelner i z uśmiechem podał saszetkę. W mieście coś takiego jest nie do pomyślenia. Kelner saszetkę by wyrzucił, a pieniądze zabrał.

„Złodzieje” pracujący muszą co prawda wstawać wcześniej: o szóstej, ale za to mają osiem-dziesięć godzin zajętych jakąś pracą (niektórzy, jeśli wymaga tego zmianowość, wstają o piątej rano, a pracownicy kuchni nawet o trzeciej, po to, aby przygotować na siódmą śniadanie). Pracujący muszą już tylko martwić się, jak spędzić połowę dnia. Ponadto są zwykle po pracy zmęczeni. Teraz mogą odpoczywać leżąc na łóżkach, kiedyś leżenie było zabronione. Toteż większość więźniów chce pracować.

Praca czy nauka zwykle były w polskich powojennych więzieniach luksusem. Ten fakt stanowił główną przeszkodę w prowadzeniu właściwej i skutecznej resocjalizacji, a przecież to właśnie, zgodnie z celami więziennictwa w całym cywilizowanym świecie, jest podstawowym zadaniem działalności penitencjarnej. W ten sposób można dojść do wniosku, że pobyt „złodzieja” w „pudle” mija się właściwie z celem. Wychodzi on ukarany, ale nie zresocjalizowany.

Można wyodrębnić najważniejsze potrzeby „złodzieja”, tak je szeregując:

Pierwsza to praca lub nauka; chociaż niektórzy „git-ludzie” i „małolaty” są innego zdania i lubią się byczyć - dla większości „frajerów” jest to sprawa absolutnie pierwszorzędna.

Druga to „micha”, głównie żywienie na co dzień. W każdym „pudle” dobry kucharz jest na wagę złota i szanuje się go na równi z najmądrzejszym naczelnikiem. Większość buntów i głodówek zaczyna się od krytyki menu. Olbrzymie znaczenie ma też możliwość „wypiski” i to, co można za nią kupić. Rozsądny naczelnik często zajmuje się sklepikiem, sprawdza jego zaopatrzenie i uczciwość sprzedawcy. Najgorzej bywało w sklepikach wtedy, kiedy papierosy i niektóre artykuły żywnościowe

były na tak zwane kartki. Wtedy również w więzieniu ich brakowało, a „złodzieje”, chociaż znali sytuację w kraju, mocno się denerwowali. Trzeba im było robić pogadanki wyjaśniające.

Trzecia w kolejności sprawa to „patrzonka”. Ich liczba jest ograniczona przepisami, a mogą one stanowić poważny atut w rękach naczelnika mającego prawo za dobre sprawowanie przyznać dodatkowe widzenia.

Czwarta sprawa to korespondencja, zwłaszcza z najbliższymi. Bardzo często od tego, jak długo jest przetrzymywana, czekając na ocenę u wychowawcy, zależy samopoczucie „złodzieja”.

Tak więc, Drogi Czytelniku, który zapobiegliwie, dla własnego dobra, postanowiłeś - zupełnie zresztą słusznie - kupić tę książkę, dowiedziałeś się już z niej rzeczy najważniejszej: jak się w „pudle” żyje z dnia na dzień. Każdy dzień - jak pewnie zauważyłeś - ma tu swój własny wymiar, o każdą chwilę trzeba samemu zadbać, żadna nie przychodzi łatwo ani lekko. Jako kapitalistyczny biznesmen, masz czas doskonale zagospodarowany i gdyby doba liczyła trzydzieści sześć godzin, może miałbyś czas na życie prywatne. W „pudle” zastaniesz sytuację całkowicie odmienną, i to będzie właśnie najgorsze. Nie żarcie, nie izolacja i nie brak rodziny, którą i tak teraz w tym kołowym robieniu pieniędzy rzadko widzisz. Tylko czas i czas.

Abyś jeszcze bardziej mógł przybliżyć sobie ten problem, przeczytaj uważnie zamieszczony w tej książce pamiętnik pisany przez prawdziwego „złodzieja”.



## V. „Klawisze” i „złodzieje”

*Na wolności dozwolone to, co nie zabronione,  
„pod celą” dozwolone to, co dozwolone*

Zasada „klawiszy”

O atmosferze w „pudle” decyduje w dużej mierze cała służba więzienna, a wśród niej najbardziej widoczny jest naczelnik, któremu w polskim więziennictwie przysługują ogromne uprawnienia.

Na poziomie wychowawcy, który bezpośrednio odpowiada za resocjalizację więźnia, oraz oficera operacyjnego, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo obiektu, najważniejsze jest rozeznanie sytuacji i stosunków panujących wśród „złodziei”. Do tego celu najlepsza jest współpraca z „wtyką”, czyli kapusiem. Od niego wychowawca czy naczelnik więzienia mogą otrzymywać informacje z pierwszej ręki. Jeśli obaj są fachowcami w swoim zawodzie, współwięźniowie mają małe szanse, aby zorientować się co do roli, jaką pełni ich kolega. Oczywiście obowiązują przy takiej współpracy zasady konspiracji, i to zasady trudniejsze niż w podziemiu podczas okupacji. Kontakty między informatorem a służbą więzienną muszą być rzadkie i odbywać się w naturalny sposób, aby nie budzić żadnych podejrzeń. Każde przeniesienie informatora (kapusia) z celi do celi czy z jednego zakładu karnego do innego musi być znakomicie wiarygodne dla współwięźniów. Czasem celowo zaostrza się informatorowi rygor, aby zmylić podejrzenia jego kolegów. On sam musi od czasu do czasu „podpaść”, wymierza mu się wtedy normalną karę regulaminową, i to w sposób najbardziej ostentacyjny. Aby się nie ujawniać, dobra „wtyka” bierze udział w buntach i głodówkach, protestuje i stara się, jeśli umie, „grypsować”. Oczywiście nie można informatorowi za jego współpracę przyznawać nagród czy wyróżnień w sposób demonstracyjny. Byłoby to wbrew zdrowemu rozsądkowi i prowadziłyby do dekonspiracji. Toteż w zasadzie jedyną, ale najbardziej pożądaną

nagrodą jest przedterminowe zwolnienie „za dobre sprawowanie”, wyniki w resocjalizacji itp. „Ludzi” lub „frajerów” chętnych do takiej współpracy jest jednak bardzo mało. Każdy kandydat na kapusia zdaje sobie bowiem sprawę, że jeśli zostanie zdemaskowany, „git-ludzie” nie dadzą mu spokoju w żadnym więzieniu w Polsce, nawet gdyby wsadzono go do pojedynczej celi.

We wspomnieniach więźniów, zwłaszcza politycznych, byłych żołnierzy AK, którzy w latach 1945-1956 siedzieli w aresztach, możemy znaleźć mnóstwo przykładów na zmuszanie więźniów do współpracy, może nie tyle ze służbą więzienną, co ze służbą bezpieczeństwa. Nagminne też było wsadzanie do celi razem ze skazanymi zawodowego kapusia, czyli specjalnie przeszkolonego pracownika esbecji, milicji czy służby więziennej. Były to jednak inne czasy.

Trzeba brać pod uwagę, że obecnie ryzyko pracy takiego zawodowca byłoby ogromne, a w warunkach względnego spokoju politycznego stało się zbędne. Jakkolwiek teraz nie zmusza się nikogo do kolaboracji, to zawsze zdarzali się i zdarzają kapusie ochotnicy. Przyczyny były i są różne.

Jedni mają to we krwi i donosząc na sąsiada „złodzieja” czują się ważniejsi, sprytniejsi, mądrzejsi. Robią to na ogół z przyzwyczajenia. Inni znowu kapują za coś. Za dodatkowy talon na paczkę, za dodatkowe widzenie, przedterminowe, warunkowe zwolnienie. Smutni „cwele-szmaty” kapują nawet za paczkę papierosów, herbatę, kawałek wypiskowego salcesonu.

Zdarzają się też ochotnicy z „transportu”. To „złodzieje” przewiezieni z innego „pułdła” za karę, którym jednocześnie zaostrzono rygor. Chcą dostać poprzedni, mniej dokuczliwy, i zaraz po przyjeździe meldują wychowawcy, że za złagodzenie rygoru będą współpracować. Tacy są najbardziej zaangażowani i skuteczni.

O tym, co się naprawdę dzieje wśród więźniów, wychowawca zawsze chce wiedzieć. Czyni to ze względu na dobro uwięzionych. Przynajmniej tego typu informacje pozwalają zapobiegać lub wręcz ograniczać znęcanie się „gitów” nad „frajerami” i „cwełami”, pomagają w zapobieganiu demoralizacji jednych przez drugich, ograniczają władzę podziemnych przywódców tak w celi, jak i na oddziale. Są to względy humanitarno-resocjalizacyjne.

Jak duże znaczenie ma dla wychowawcy właściwe rozeznanie tego, co się dzieje „pod celą”, świadczy historia „złodzieja” Z., który wielokrotnie prosił o przeniesienie do innej celi. Z rozeznania wychowawcy wynikało, że Z. „trzyma się dobrze”, w celi panuje spokój, miski leżą razem, na „spacerniaku” ani w łaźni nikt nikogo nie bije, posiłki „złodzieje” jedzą wspólnie przy stole - słowem, idylla. Mimo to Z. nadal nalegał na przeniesienie i w końcu zaczął grozić samouszkodzeniem.

Wychowawca długo podejmował decyzję. Zakładał nawet, że Z. jest ukrytym „gitem” i chce dostać się do celi z „frajerami”, aby nimi trochę porządzić - to wydawało się mu najbardziej prawdopodobne. Chciał nawet poradzić się naczelnika, ale nie zdążył. Z. porznął sobie żyłką klatkę piersiową tak, że nieprzytomnego z upływu krwi odwieziono go do szpitala. Oczywiście komisja i dochodzenie nie dały rezultatów. Jeden ze współmieszkańców czytał, drugi spał, a trzeci był na spacerze. Rozdzielono zatem „złodziei” siedzących dotąd z Z. i poprzez „swojego człowieka” uzyskano taką, zupełnie wiarygodną informację:

W celi z Z. siedzieli sami „git-ludzie”. Z. nie był ani jednym z nich, ani „frajerem”. Był neutralny, ale nikt się nad nim nie znęcał, gdyż - zdaniem „gitów” z celi - miał wystarczająco dużo „charakteru”. Jednakże inna cela „gitów” zarzuciła „gitom” z celi Z., że trzymają u siebie „frajera”. Ponieważ tamci byli silniejsi i mieli lepsze układy wśród starszyny więzienia, „ludzie” siedzący z Z. poradzili mu, aby załatwił sobie przeniesienie. Z. nie zdołał tego zrobić i w końcu „ludzie” kazali się Z. pociąć, aby się go pozbyć. I rzeczywiście się udało, tylko wychowawca dostał za brak właściwej decyzji upomnienie od naczelnika.

Istnieją jednak ponadto względy bezpieczeństwa, za które odpowiada inny, na ogół nie ujawniony pracownik ochrony lub czasem nawet administracji. Ci ostatni mają z natury rzeczy łatwiejszy i częstszy dostęp do więźniów i lepsze możliwości kontaktu z nimi. „Klawisz” odpowiedzialny za bezpieczeństwo nazywa się oficerem operacyjnym i odpowiada w praktyce za kontrolę, o ile to jest oczywiście możliwe, nad „drugim życiem” skazanych. Przede wszystkim zapobiega awanturom, ucieczkom, buntom, zorganizowanym głodówkom i tak dalej. Zdarza się często, że o jego podwójnej roli wie tylko naczelnik więzienia i jego zastępca. Oficer operacyjny ma oczywiście do dyspozycji odpowiednie fundusze i pewien, bardzo rzadko otwarcie manifestowany, zakres władzy czy możliwości, z którego zresztą również bardzo rzadko korzysta w sposób jawny. Swoje przywileje i uprawnienia wykorzystuje zawsze albo poprzez naczelnika, albo przez wychowawcę. Celem takiego utajnienia jest kamuflaż, nawet przed własnymi kolegami, aby ci w ten czy inny sposób (czasami niechęć, a czasami złośliwie) nie ujawnili jego poufnej funkcji więźniom. Oficerami operacyjnymi są na ogół najbardziej doświadczeni pracownicy służby więziennej.

Poza bezpośrednimi informatorami „drugie życie” skazanych jest pilnie obserwowane na co dzień przez wyznaczony personel służby więziennej. Znając obyczaje „złodziei”, bystry „klawisz” natychmiast zauważy anomalie, kiedy tylko przekroczy próg celi.

I tak na przykład, kiedy podczas posiłku, nawet patrząc przez judasza, zauważy, że jeden z więźniów je siedząc na łóżku lub na podłodze, a nie przy stole, oznacza to, że jest on dyskryminowany lub prześladowany - albo przez całą resztę współwięźniów, albo jedynie przez przywódcę, niekoniecznie przez „grypsującego”.

Ogólną sytuację czy atmosferę panującą w celi można też poznać po ułożeniu misek na półce. Jeżeli wszystkie leżą jedna na drugiej, co przy małej powierzchni szafek jest najbardziej logiczne, oznacza to, że mieszkańcy celi siedzą w zgodzie i „wzajemnym poszanowaniu”, jeśli natomiast miski leżą oddzielnie (lub jedna miska leży oddzielnie), nasuwa to wniosek, że w tym lokalu kwitnie hierarchia, która może doprowadzić do awantury lub prześladowania jednego z więźniów. Bardzo rzadko się zdarza, aby sami prześladowani czy poniżani zgłaszali wychowawcy skargi na innego więźnia (choć i takie sytuacje też mają miejsce). Boją się bowiem odwetu.

Doświadczony „klawisz” na podstawie tego typu oznak natychmiast się zorientuje, że coś jest w celi nie w porządku. Wystarczy nawet, że spostrzeże zmianę koloru spodni więźnia, bo to może świadczyć o tym, że ktoś mu spodnie zabrał lub pod przymusem zamienił. Jeśli jednak „git-ludzie” nie przekraczają regulaminu, należy traktować ich normalnie, jak poprawnych więźniów.

Stosunkowo prostą sprawą jest obserwacja więźniów w czasie kąpieli (po zachowaniu niektórych nawet niefachowiec bez trudności rozpozna „cwela”). Chociaż trudno w obłokach pary dostrzec guzy, sińce i zadrapania, które mogą być oznakami awantury czy bijatyki.

Nie jest łatwe rozpoznanie „cwela”, jeśli on sam się nie ujawni lub wręcz nie zadeklaruje. Wydawałoby się, że na przykład w celi „cwelów” powinny wisieć fotografie kulturystów lub nagich mężczyzn. Otóż nie, zdarzają się, co prawda, takie zdjęcia, ale wcale nie świadczą o tym, że mieszkańcy są „cwelami”. Na ogół uprawiają kulturystykę lub interesują się sportem. Prawdziwi „cwele” nie potrzebują podniecających obrazków.

W każdej niemal celi wiszą na ścianach powycinane z gazet zdjęcia nagich dziewcząt. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to znaczy za komuny, takie ozdoby były kategorycznie zabronione, a pornografia czy półpornografia ściągana tak jak dolary. Teraz, w dobie pełnej demokracji, każdy może sobie wieszać na ścianie, co chce. Stąd cele obwieszane są rozebranymi panienkami, jak muzeum obrazami. Do tego nad drzwiami zwykle wiszą krzyże.

Jeśli wychowawca chce na oddziale utrzymać jaką taką moralność, a przynajmniej porządek (o „cwelach” regulamin nic nie mówi, co jest bardzo dziwne), musi

od czasu do czasu interweniować. I tutaj są dwie szkoły - jak mówią warszawiacy: jedna „falenicka”, a druga „otwocka” - obie mało skuteczne.

Pierwsza szkoła „klawiszy” uważa, że jeśli nie ma awantur, bijatyk, nie widać w kapieli posiniaczonych ludzi, to to, co się dzieje w celach, nie jest sprzeczne z regulaminem. Nawet jeśli w którejś z cel gwałcą „małolata”, a on się nie skarży, nie ma powodu do interwencji. W ten zresztą sposób można przepracować w więziennictwie trzydzieści lat i nie nabawić się ani razu stresu, nie mówiąc już o nerwicy zawodowej.

Druga szkoła (ta „otwocka”) uważa, że regulamin i kodeks są „nieszczelne” i nie są w stanie przewidzieć wszystkich sytuacji. Tacy „klawisze”, bardziej niż ci z poprzedniej szkoły humanitarni, interweniują o wiele częściej, a nawet bardzo często. Kierują się przy tym nie regulaminem, którego luki są widoczne gołym okiem, lecz własnymi kryteriami etyczno-moralnymi. Oczywiście każdy człowiek ma inne kryteria. Dla jednego homoseksualizm to grzech wobec Stwórcy, dla innego - choroba psychosomatyczna. Dla jednego „klawisza” pranie pod przymusem skarpetek „gitowi” stanowi przejaw słabej woli, dla innego zaś jest poniżaniem ludzkiej godności. Przydałyby się poważne badania socjologiczne właśnie na ten temat. Na temat zasad „klawiszy” przy ocenie życia „złodziei”.

Istnieje również grupa „klawiszy” wykazujących wyjątkową czujność. Oni niejako żyją więziennym życiem również prywatnie, na co dzień, w domu. Ci „spalają się” najszybciej. Ich zasadą jest permanentne śledztwo nawet wobec najmniej groźnych więźniów. Wychodzą bowiem z założenia, że i w spokojnej celi „złodzieje” coś mogą wymyślić.

Konsekwencją istnienia tych dwóch, a właściwie nawet trzech szkół jest fluktuacja więźniów, czyli przenoszenie ich z celi do celi czy nawet z zakładu do zakładu w zależności od stopnia podejrzliwości wychowawcy czy naczelnika. Jeśli na przykład w celi dobrze współżyje się (w tym również fizycznie) „cwelom” i „gitom”, może to być różnie komentowane, ale również, zgodnie z normami moralno-etycznymi wychowawcy czy naczelnika, może być oceniane jako dobre lub złe.

Niewątpliwie „falenicka” szkoła „klawiszy” toleruje demoralizację (ale czy w jakimkolwiek więzieniu można jej uniknąć?), ma jednak tę zaletę, że w takim „pudle” wszystkim zgodnie się żyje.

Służba więzienna może złośliwie, na przykład wobec opornego więźnia, zastosować pozaregulaminową niejako karę. Wsadzić mianowicie normalnego jeszcze „fajera” do celi z „gitami” czy recydywistami. Wiadomo, że w jeden dzień zrobią oni z normalnego „fajera” „fajera-szmatę”. Są to jednak - jak twierdzi mój przyjaciel - praktyki niedopuszczalne i ścigane.

Sam jednak, pracując jako konsul w Libii, bardzo często spotykałem się ze skargami - na szczęście nigdy Polaków - na wsadzenie do jednej celi młodego Europejczyka wraz z kilkoma recydywistami, „gitami” arabskimi. To, co z nim robili, nie nadaje się do opisanie nawet w tej książce - zastrzeżonej przecież dla czytelnika dorosłego.

Rzadko, ale zdarza się, że skazani współpracują i pomagają „klawiszom” w sposób otwarty i niemal jawny. Czynią to więźniowie, którzy wkrótce po wyroku zrozumieli zło popełnionego przez siebie czynu. Ich resocjalizacja przebiegała błyskawicznie albo wręcz nie była potrzebna.

O jednym z nich opowiedział mi mój przyjaciel. Był to młodociany, który dostał wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia. Pełniąc służbę wojskową, otrzymał od „życzliwego” kumpla informację, że jego narzeczona ma zamiar wyjść za mąż za kogoś innego. Uciekł z bronią i ostrą amunicją z posterunku, chcąc niewiernej kobiecie wymierzyć sprawiedliwość. Władze wojskowe zarządziły pościg i w trakcie obławy, w lesie, doszło do strzelaniny. Nasz bohater zabił dwóch żołnierzy. Tylko wiek uratował go od kary śmierci.

W więzieniu został otoczony przez młodocianych powszechnym szacunkiem. Złożyły się na to zarówno wysokość wyroku, zuchwałość i brawura przestępstwa, jak i jego charakter. Był silnym, zdecydowanym na wszystko człowiekiem. Nie ugiął się przed żadnym miejscowym „gitem”. Wkrótce stał się więźniem numer jeden, chociaż, co dziwne, nie „grypsował”. Podjął naukę, skończył szkołę zawodową, a potem zrobił maturę. Nie przeszkadzało mu to rządzić w „pudle”. Zresztą jego sukcesy i pilność w nauce w jakiś sposób wzmagaly szacunek innych młodych współwięźniów. Byli wpatrzeni w niego jak w obraz.

Jednocześnie nie doprowadzał do żadnych konfliktów z ochroną czy wychowawcami. Wręcz przeciwnie, starał się tonować zadziorność „gitów”, przeciwstawiał się nieuzasadnionym buntom czy głodówkom. Bronił słabszych, chociaż w rozsądzaniu sporów między kolegami był surowy i sprawiedliwy. Potrafił sam wyznaczać im kary. Nie mógł jednak nagradzać.

Nigdy nie donosił na innych. Potrafił jednak wychowawcy stanowczo sugerować rozwiązania, które potem, w praktyce, okazywały się słuszne lub sprawiedliwe. Były to raczej rady doświadczonego „grypsera” niż wynurzenia potulnego i zresocjalizowanego więźnia. Wychowawca na ogół korzystał z tych wskazówek i dobrze sobie radził ze skazanymi. Potem więźnia przeniesiono do innego zakładu. Wyszedł po piętnastu latach. Był już dorosłym, surowo doświadczonym przez życie człowiekiem. Dostał się na politechnikę i obecnie jest elektronikiem, założył rodzinę i żyje

normalnie. Być może przeczyta tę książkę i dowie się, co o nim sądził wtedy jego wychowawca.

Opisany tu przypadek należy jednak do wyjątków. Zwykle piętnaście lat w więzieniu oznacza koniec normalnego życia i jeśli nie demoralizację, to przynajmniej ciężkie okaleczenie psychiczne.

Poważnym atutem w rękach „klawisza”-wychowawcy czy „klawisza”-naczelnika jest rodzina skazanego. Zakłada się z góry, że może mieć ona duży wpływ na jego resocjalizację.

Tam, gdzie jest to możliwe i wskazane, wychowawca bądź naczelnik więzienia przeprowadzają z najbliższymi więźnia rozmowy mające na celu dobro samego skazanego. Na ogół przynosi to pozytywne rezultaty - w 90%. Dobry wychowawca powinien pamiętać, że przywiązanie więźnia do rodziny jest zwykle większe niż obawa przed karami regulaminowymi i nieregulaminowymi.

M. siedział za zabicie człowieka w wypadku samochodowym. Zachowywał się bardzo dobrze, nie „grypsował”, przestrzegał regulaminu i był spokojny oraz uprzejmy. Z żoną, która go często odwiedzała i do niego pisała, bardzo się kochali. Po pewnym czasie żona przestała przychodzić na widzenia i wysłała do M. list, że chce wystąpić o rozwód. Było jasne, że taki rozwód otrzyma. Wychowawca zatrzymał list i przeprowadził z M. rozmowę mającą na celu wybadanie, jak też M. po otrzymaniu listu się zachowa. Słyszał bowiem od jego matki, że M., choć na co dzień człowiek spokojny, kiedy „wyjdzie z nerw”, grozi, że popełni samobójstwo. Zwłaszcza jeśli chodzi o żonę, o którą jest niesamowicie zazdrosny. Robił tak kilka razy w domu.

Wychowawca wziął wtedy M. na rozmowę i najpierw opowiedział mu kilkanaście przykładów symulowanych samobójstw, które skończyły się śmiercią symulantów. A to jeden przedawkował walium, a to drugi przy udawanym wieszaniu poślizgnął się i powiesił naprawdę, inny znowu „złodziej” przeciął sobie żyły itd. Opowiadania trwały z godzinę, po czym wychowawca wręczył M. list od żony zapowiadający rozwód. M. poszedł do celi, trochę popłakał, ale nic sobie nie zrobił. Potem „klawisz” dowiedział się od matki M., że żona nie miała zamiaru od M. odejść. Przerwała wizyty i wysłała taki list, aby „wyleczyć” M. z zazdrości i groźenia jej wciąż samobójstwem. Swoją cel osiągnęła, ale kosztem nerwów i czasu „klawisza”-wychowawcy. Od wyjścia M. z więzienia są przykładnym stałem małżeńskim, a on, chociaż nie przestał być zazdrosny, nie grozi już samobójstwem.

Zwykle ważny jest również autorytet ojca, zwłaszcza jeśli skazany jest „małolatem”. Dobry wychowawca powinien pamiętać, że gdy rodzina ma na „złodzieja”

pozytywny wpływ, to on powinien być jedynie przekąźnikiem intencji i dobrym organizatorem spotkań.

Odsiadujący cztery lata za rozbój młodociany „Złodziej” S. pochodził z tzw. dobrej rodziny. Ojciec rzemieślnik, brat oficer w wojsku, matka nauczycielka. W rozboju, zresztą grupowym, grał drugoplanową rolę, a w „pudle” początkowo sprawował się dobrze. Później jednak przystał do „gitów” i po pewnym czasie stał się nawet nieformalnym szefem oddziału. Wychowawca kilkakrotnie z nim rozmawiał, ale bez rezultatu. W końcu zdecydował się, że zasięgnie rady ojca S. Ten po wysłuchaniu wychowawcy powiedział krótko:

- Ja to sam załatwię, ale muszę z nim porozmawiać w cztery oczy.

Wychowawca się zgodził. Po kilkunastu minutach rozmowy ojca z synem z pokoju, który im udostępniono, wychowawca i asystujący mu strażnik usłyszeli odgłosy bicia i zawodzenie „gita”. Kiedy wpadli do pokoju, zobaczyli nieoczekiwany widok. „Git” leżał na stole, a ojciec lał go paskiem. Przerwano „tę rozmowę”, odprowadzono „gita” do celi, a ojciec wyjaśnił wychowawcy, że zastosował swoją dawną, wypróbowaną metodę. Tym razem uprzedził syna przed laniem, że jeśli nie przestanie on „grypsować”, to poprosi wychowawcę, aby opowiedział „gitom”, jak S. dostał od ojca paskiem po dupie. Po takiej „smudze” w „pudle” S. byłby całkowicie ośmieszony i długo by trwało, zanim by go „wyprostowano”.

Interwencja ojca pomogła znakomicie. S. poprosił o przeniesienie do „frajerów”, i chociaż tam też uznano go za przywódcę, to jednak wyraźnie się uspokoił.

Są również rodziny obojętne, które nie utrzymują kontaktu ze skazanymi nawet z „małolatem”. Wynika to albo ze wstydu za przestępcę, albo z nienawiści czy żalu do niego, że zawiódł pokładane w nim zaufanie. Wtedy skazany nie ma widzeń, listów, paczek, pieniędzy. Jest samotny jak przysłowiowy pies. Można powiedzieć, że dolegliwość wyroku odczuwa wtedy podwójnie. Wrażliwy jest na stresy, może mieć załamania psychiczne, a nawet „wpaść w dołek”, stać się „cwelem” czy ulegać „git-ludziom”.

„Złodziej” T., odsiadujący karę za pobicie po pijanemu milicjanta, w „pudle” zachowywał się fatalnie. Obrażał „klawiszy”, bił „frajerów” i w końcu zasygnalizował wychowawcy, że jest „gitem”.

Opiekowała się nim matka, kierowniczka restauracji, a więc kobieta, jak na tamte czasy, dość zamożna. Przynosiła synowi paczki, dawała dużo pieniędzy, podtrzymywała go na duchu, a T. szalał. Po pewnym czasie matkę wyrzucono z pracy za nadużycia. Zbiedniała; najpierw przestała przynosić pieniądze, potem przysyłać paczki, a w końcu i sama już nie przychodziła. „Git” T. został wywieziony do innego więzienia i najprawdopodobniej z powodu braku wsparcia ze strony matki



zupełnie się załamał. W końcu połknął „kotwicę” „na ostro” i po operacji w szpitalu zmarł.

Niektóre rodziny nie odwiedzają swoich krewnych w więzieniu z bardzo prozaicznego powodu - nie mają pieniędzy na podróż. Koleje droższą regularnie i przyjazd do małych miejscowości, w których zwykle zlokalizowane są kryminali, nastęrcza rodzinom poważnych kłopotów. Drogie są też hotele, w których trzeba choćby jedną noc zamieszkać, i drogie restauracje czy bary. Jak tak dalej pójdzie - twierdzą „klawisze” - trzeba będzie przy niektórych kryminalach zorganizować tanie hotele, aby resocjalizacja skazanych przebiegała prawidłowo i szybko. Zarobiłby na tym zakład karny lub areszt śledczy, a oszczędziłyby rodziny.

Zdarza się jednak również, że rodzina ma na skazanego zły wpływ. Dzieje się tak wówczas, kiedy ona sama składa się z kryminalistów lub ludzi z półświatka. Wtedy, zamiast nakłaniać skazanego do dobrego zachowania i zachęcać go do przetrwania, opowiada o kolejnych „skokach” kolegów na wolności, podjudza przeciwko żonie czy dzieciom, przemycza gorzałę, wysyła grypsy.

Skazany za rozbój z nożem w rękę R. miał sześcioro rodzeństwa, matkę i ojca. Wszyscy oni, na zmianę, siedzieli w więzieniach, a kiedy nie siedzieli, to odwiedzali w „pudle” R. Podtrzymywali go na duchu w ten sposób, że zachęcali go do „grypsowania” (mimo że siedział po raz pierwszy - był w rodzinie najmłodszy), przemycali grypsy, a w kompotach spirytus. Opowiadali, kto ze znajomych zrobił jaki „skok” itd. Oddzielono R. od rodziny wywożąc go na drugi koniec Polski, w Bieszczady. Tam się uspokoił, przestał „grypsować”, a później pracując poza zakładem, poznał miejscową dziewczynę, z którą się po odbyciu kary ożenił. Został w Bieszczadach na stałe, a z rodziną kontaktów nie utrzymywał. Naczelnikowi z poprzedniego więzienia, który zdecydował, że trzeba go wywieźć w Bieszczady, przywiózł kiedyś przed świętami pieczonego prosiaka i gąsiorek dobrego bimbru.

Naturalnym odruchem rodziny (ale niezgodnym z prawem) jest jej chęć dopomożenia krewniakowi w opuszczeniu kryminali, jak najszybciej to możliwe. Jeśli zawiodą wszystkie instancje sądowe albo nie ma nadziei - w związku ze złym sprawowaniem się więźnia w czasie odbywania kary - na przedterminowe, warunkowe zwolnienie, po odsiedzeniu dwóch trzecich kary, wtedy „złodziej” czasami symuluje. Dąży do otrzymania od sądu zgody na przerwę w odbywaniu kary ze względu na zły stan zdrowia. Zwykle pomaga mu w tym rodzina.

Skazany D., wsadzony za rozbój z bronią w rękę, po badaniach zakwalifikowany został przez komisję penitencjarną jako niezdolny do pracy

(kategoria „D”). Nie można było stwierdzić, do jakiego stopnia jest ślepy, a na ile widzi. Na wszelki wypadek dano mu najniższą kategorię. Śledzono sprawę nadal i według informatorów w różnych celach, do których go specjalnie przenoszono, w dzień D. rzeczywiście potykał się o sprzęty, ale w nocy, kiedy inni spali, poruszał się po celi normalnie, tak jakby widział. Podejrzewano go też, że po powrocie od lekarza mył sobie oczy pod kranem - lekarz wkraplał mu lekarstwo. Wkrótce władze otrzymały od kapusia informację, że D. zasypuje sobie oczy jakimś proszkiem, który dostał podczas widzenia od matki. Po takiej „zasypce” zgłaszał się do lekarza i narzekał, że gorzej widzi. Wożono go kilkakrotnie na zabiegi i na obserwację do szpitala na wolności. Wkrótce ustalono, że jego matka właśnie w tym szpitalu pracuje i robi wszystko, aby przeniesiono tam jej syna. Pisze pisma do sądu, prokuratora, naczelnika, a jednocześnie daje synowi jakieś proszki podrażniające mu oczy. Była to cała zorganizowana przez matkę i syna akcja. W końcu wywalczyli u sędziego zwolnienie, przerwę w odbywaniu kary - ze względu na zły stan zdrowia i konieczność leczenia poza więzieniem. Następnego dnia po wyjściu z kryminału ten „niewidomy” popełnił gwałt na nieletniej dziewczynie. Odbyła się rozprawa. Dostał duży wyrok i w kryminale od początku zaczął zasypywać sobie oczy. Również matka zaczęła od nowa walkę o syna.

Jeśli rodzina przeszkadza w resocjalizacji, trudno temu przeciwdziałać. Nie ma podstaw prawnych, aby całkowicie zabronić widzeń, których jest - w zależności od rygoru - określona liczba. Korespondencję również można kontrolować i zatrzymywać, ale nikt nie jest w stanie przeszkodzić w kursowaniu grypsów. Wpływ rodziny jest więc większy lub mniejszy, ale jest zawsze. Najskuteczniej jest przenieść więźnia do innego miasta, na drugi koniec Polski. To przynajmniej utrudni rodzinie kontakt.

Zdarzają się też rodziny całkowicie pozbawione uczuć. Miał na przykład miejsce fakt samobójstwa. Skazany dowiedział się w czasie kryzysu psychicznego, który właśnie przeżywał, że będzie ponownie sądzony z oskarżenia o inne przestępstwo i grozi mu jeszcze jedna kara więzienia, wyższa od tej, którą właśnie odsiadywał. Symulował chorobę i uzyskał pozwolenie lekarza na pozostanie w godzinach pracy w swojej celi. Kiedy współwięźniowie wyszli do roboty, powiesił się na prześcieradle. Nie zdołano go odratować.

Mój przyjaciel, który rozpoczynał wtedy swoją karierę jako wychowawca, nerwowo oczekiwał rozmowy z ojcem samobójcy, który miał przyjechać po zwłoki. Zebrał wszystkie raporty, przesłuchania więźniów, którzy mieszkali z samobójcą w jednej celi, przejrzał akta i wziął parę proszków uspokajających. Spodziewał się

długiej i trudnej rozmowy. Przy tym czuł się w pewnym stopniu winny, gdyż nie dopilnował więźnia. Przecież przed zawiadomieniem więźnia o następnej rozprawie mógł przenieść go do innej celi, dla niepracujących. Oni na pewno nie daliby mu się powiesić.

- Ojciec od progu zadał dwa krótkie pytania: - Gdzie jest ten skurwysyn i ile miał na koncie? Chciałem zabrać pieniądze.

I na tym spotkanie się skończyło. Ojciec nie dał wychowawcy szans na rozmowę.

Zdarza się również, że w przypadku samobójstwa więźnia nikt z rodziny się nie zgłasza. Nie chcą po prostu mieć nic wspólnego ze swoim mężem czy synem. Wtedy, po normalnym śledztwie prowadzonym przez prokuratora, umarza się sprawę i chowa denata na koszt państwa. Są na to specjalne fundusze. Czasami nie ma kogo zawiadomić... Ot, odszedł samotny człowiek, nikomu niepotrzebny.

Generalnie, stosunek „złodziei” do „klawiszów” jest wrogi. Twierdzili tak wszyscy wychowawcy, z którymi rozmawiałem. „Złodzieje” nie winią prokuratora, który ich oskarżał, sędziego, który ich skazał, czy policjanta, który ich złapał. Wręcz przeciwnie, czują dla nich szacunek lub poważanie. Za swoją sytuację oskarżają również nie siebie, ale inną osobę, przez którą wpadli. Może to być kumpel od wspólnego przestępstwa, paser albo jakieś „ucho” (donosiciel ze środowiska), które go „zakapowało”.

Do „klawisza” zaś „złodziej” czuje zwykłą nienawiść i złość. Traktuje go tak, jakby ten był sprawcą jego wszystkich nieszczęść, i w miarę swoich możliwości stara się na nim odegrać, utrudnić mu życie, a nawet próbować podkopać jego opinię u naczelnika więzienia.

Wystarczy, że oddziałowy (oczywiście nie lubiany) wydawać będzie obiad bez fartucha, „złodzieje” złożą naczelnikowi doniesienie, że nie przestrzega on higieny. Nie przeszkadza im jednak jedzenie kotletów brudnymi rękoma. Mogą też donieść, że „klawisz” pije.

Najczęściej „podpadają” „złodziejom” „klawisze”-pragmatycy, to znaczy ci, którzy szczegółowo przestrzegają regulaminu więziennego i w ten sposób najbardziej dotkliwie dokuczają więźniom. Są oni również nie lubiani przez „złodziei” dlatego, że urzędują „bez serca” i „bez głowy”. Takim „złodzieje” najbardziej dokuczają.

Wyjątek stanowią bardzo doświadczeni „git-ludzie” albo recydywiści. Oni nie obwiniają „klawiszów” o swój los, lecz traktują ich jako dopełnienie swojego losu. Uważają, że „klawisze” również muszą żyć na tym wiecie, tak jak sędzia czy prokurator, który ich wsadził do „pudła”.

Naturalnie jeśli jakiś „klawisz” będzie dokuczliwy, starszyzna go osądzi i będą mu wszyscy utrudniać życie.

Jak z tego widać, poprawne postępowanie „klawisza”, zwłaszcza trzymanie się regulaminu, nic nie daje. Trzeba „pracować głową”.

Zbyt ludzki „klawisz” nie jest w „pudle” poważany. Bardzo często „złodzieje” traktują go jako „słabego” człowieka i pozwalają sobie na wykorzystywanie jego wyrozumiałości.

Podobnie traktowany jest „klawisz”, który nie umie podejmować szybko decyzji i ze wszystkimi sprawami biega do naczelnika. Właśnie takiemu „złodzieje” starają się stwarzać jak najwięcej drobnych problemów, aby go zamęczyć.

Nie lubiani i mało poważani są „klawisze” tępi, mało inteligentni i mało sprytni. Więźniowie wyczuwają wtedy swoją przewagę intelektualną i kąpią z nich w żywe oczy, a oni nie mogą sobie dać z nimi rady. Więźniowie mało też poważają „klawiszy”-gadulę. Zwłaszcza tych, którzy w kryminale opowiadają naokoło o swoich prywatnych sprawach. Miejsc i sytuacji do takiego gadulstwa jest wiele. Na przykład fryzjer.

Przychodzi „klawisz”, aby się ostrzyc. Najpierw porozmawia z fryzjerem-”złodziejem” o pogodzie i dupie Maryni, a potem wpada nagle w zadumę,

- Co pan taki dziś smutny? - pyta fryzjer-”złodziej”.
- A wiesz, żona dziś na noc nie wróciła i się martwię - odpowiada „klawisz”.
- A to cholerna baba - współczuje „złodziej”.

Na tym w zasadzie rozmowa się kończy. Następnym klientem fryzjera jest „złodziej”.

- Wiesz - mówi fryzjer - Kowalskiemu żona nie wróciła dziś na noc. Był tu przed chwilą.

- Co ty powiesz? A to afera - odpowiada „złodziej”, i to już wystarczy.

Po paru godzinach wie o tym cały oddział, a po dwóch dniach całe więzienie, Jakiś cwaniak „git” potrafi w rozmowie z Kowalskim powiedzieć:

- Słyszałem, panie Kowalski, że żona panu na noc nie wraca. Moja też próbowała na noc nie wracać, ale porzuciłem ją żyletką.

Z Kowalskiego śmieją się wszyscy więźniowie. Trudno, żeby miał jakiś autorytet u „złodziei”.

Do więziennego krawca, jeśli taki pracuje akurat w konkretnym „pudle”, przychodzą jako klientki także żony i dzieci „klawiszy”. Żony również - jak to baby - gadają i gadają. Jeśli krawiec-”złodziej” jest uprzejmy i sprytny, wkrótce wie już wszystko o rodzinie „klawisza”, a po paru dniach wie o niej całe więzienie. Na ogół

więc więźniowie znają swoich dozorców wraz z ich problemami domowymi.

Gadulstwo samych „klawiszów” wynika najczęściej z ich frustracji, izolacji w pracy i samotności. Jeśli są w konflikcie z rodziną, a nie mają komu zwierzyć się w pracy lub są przez kolegów źle traktowani, zwierają się wtedy więźniom.

Taki na przykład kierownik warsztatów, w których pracowali również więźniowie, został zwymyślany przez naczelnika za bałagan. Wraca do warsztatów i klnie. Słyszy to „złodziej” i pyta:

- Co pan taki wkurwiony, panie kierowniku?
- Naczelnik mnie właśnie opierdolił za bałagan.
- A to skurwiel - mówi „złodziej”. - Nie miał racji, tu jest przecież porządek.
- A no właśnie - stwierdza kierownik. - No to napijmy się na pohybel temu łobuzowi - i nalewa więźniowi szklanek gorzały. W taki sposób rodzą się przyjaźnie.

Takie zażyłości mogą wkrótce spowodować łamanie prawa (choć już i częstowanie skazanych wódką jest poważnym wykroczeniem). Następnego dnia po takiej rozmowie „złodziej”, którego częstowano wódką, może poprosić, aby kierownik zaniósł do jego żony list - oczywiście list przez wychowawcę nie cenzurowany.

- Wie pan - mówi „złodziej” - to jest prywatny list, może pan sprawdzić, jest otwarty. Żona się puszcza i piszę, że jej łeb uknęę, jak wrócę. Nie chcę, aby wychowawca to czytał.

Jeśli kierownik list zaniesie, to na ogół wpada. Następnym razem „złodziej” poprosi go o przyniesienie z domu lub od kumpla paczki. Jeśli kierownik odmówi, „złodziej” będzie go szantażował.

- Jeśli pan tej paczki nie przyniesie, pójdę do naczelnika i powiem, że wyniósł pan mi list i częstował gorzałą.

W ten sposób kierownik-„klawisz” jest w potrzasku. Nie wie, co zrobić.

Zdarzają się też „klawisze”, którzy handlem z więźniami dorabiają sobie do pensji. Sprzedają im to, co jest zabronione w celi, albo to, czego nie ma w więziennej kantynie. Ale głównie handlują alkoholem. Jest to proceder najbardziej opłacalny, gdyż wódka za więziennym murem kosztuje co najmniej trzy razy drożej niż w sklepie. Tacy „klawisze” mogą być szantażowani przez „złodziei”, którzy potrafią zmuszać handlarza do przynoszenia i wynoszenia różnych rzeczy. Jeśli ten odmówi, powiedzą wtedy:

- Doniosę do naczelnika, że pan handluje gorzałą.
- Ale przecież sam ją piłeś - odpowie „klawisz”-handlarz.

- Wcale jej nie piłem. Kupiłem od pana, bo się pan narzucał i groził, że mnie upieprzy. Kupiłem, ale wylałem do kibla, a butelkę potłukłem i wyrzuciłem szkło na spacerniaku.

I handlarz jest „ugotowany”.

„Klawisze” sprzedają też „złodziejom” ubrania, pornografię, karty, bieliznę. Przynoszą to z miasta. Ale zdarza się, że handlują tym, co jest w kryminale. Kupują od jednych więźniów i sprzedają innym.

Zażyłość „klawiszy” ze „złodziejami” przybrała kiedyś wyjątkowy charakter. Wspólnie zorganizowano działającą w nocy kawiarnię-bufet. W świetlicy sprzedawano herbatę, kawę, wódkę, wino i kanapki, grano w karty i tańczono przy magnetofonie. „Klawisze” i „złodzieje” bawili się tak parę tygodni, zanim ich wykryto. Kilku funkcjonariuszy wyrzucono, ale nie można było ukarać wszystkich więźniów, którzy brali udział w libacjach. Sprawa była głośna we wszystkich więzieniach w Polsce.

Stosunek „złodziei” do „klawiszy” zależy jednak przede wszystkim od samych „klawiszy”. Do najbardziej cenionych cech „klawiszy” zalicza się:

- dotrzymywanie danego słowa: jeśli „klawisz” coś przyrzekł, musi tego dotrzymać. Załatwić dodatkowe widzenie, dodatkowy talon na paczkę, rozmowę u naczelnika. Jeśli raz i drugi zawiedzie, żaden „złodziej”, a zwłaszcza „git”, nie będzie miał dla niego szacunku;

- nienadużywanie władzy; powinien karać wtedy, kiedy to konieczne, nie wyzywać się na więźniach, a przede wszystkim szanować ich jako ludzi. Honor w „pudle” jest bardzo ważny - nie tylko dla „gitów”;

- sprawiedliwość; musi sprawiedliwie rozsądzać konflikty i sprawiedliwie nagradzać. Nie wolno mu mieć swoich protegowanych. Dotyczy to również, a nawet przede wszystkim naczelnika. Dobry naczelnik w przypadku konfliktu „złodziej”- „klawisz” musi zawsze stać po stronie tego, który ma rację, a nie po stronie „klawisza” - co jednak zdarza się najczęściej. Jeśli „klawisz” był pijany na służbie, a więźniowie naskarżą, że się nad nimi znęcał, to nawet jeśli tego nie robił, ale jest kilku świadków, naczelnik musi „klawisza” ukarać.

„Klawisze” rządzący się innymi prawami będą zawsze mieć ze „złodziejami” kłopoty. Nie rozumieją bowiem, że i tym środowiskiem rządzą swoiste prawa.

Oficjalnie „złodzieje” do „klawiszy” i „klawisze” do „złodziei” powinni zwracać się regulaminowo per „pan” - „złodzieje” dodając ponadto stopień lub funkcję: „panie naczelniku”, „panie poruczniku”.

Kiedyś, zanim wybuchła u nas demokracja, obowiązywał w obu kierunkach „obywatel”.

W praktyce jednak jest tak jak w wojsku. To znaczy starsi mówią młodszym po imieniu, a młodszy wymieniają stopień i „pana”. Do „złodzieja” mówi się per „ty”, zwłaszcza jeśli jest to „złodziej” dobrze „klawiszowi” znany, na przykład kilkakrotny recydywista. „Złodzieje” zaś zawsze zwracają się do funkcjonariuszy per „pan” - zwykle ze stopniem.

## ***VI. Powszedni dzień „klawisza”***

*„Złodziej” odsiadyuje karę,  
a „klawisz” dobrowolnie siedzi  
pół życia razem z nim*

Z rozmów z „klawiszami”

Nie zaprzeczają temu nawet „złodzieje”, że zawód „klawisza” jest jednym z najtrudniejszych. Pełni on w zasadzie wobec „złodzieja” rolę usługową - jest swego rodzaju pomostem między „złodziejem” a wolno żyjącym społeczeństwem.

„Klawisze” służbę mają uciążliwą i niewolniczą. Przede wszystkim, na co dzień, spotykają się z ludźmi znajdującymi się pod wpływem stresu, i ten stres się „klawiszom” udziela. Muszą często służyć pomocą i poradą oraz tolerować wybryki „złodziei”, których trudno polubić.

„Klawisz” musi być pracownikiem zdyscyplinowanym, bo rygor jest taki jak w wojsku. Musi być również dyspozycyjny - w razie jakiegoś wypadku, buntu, ucieczki musi stawić się na wezwanie przełożonego i pracować nieraz po trzy, cztery doby bez przerwy.

Pracuje w trudnych warunkach. Właściwie te osiem-dwanaście godzin, które przebywa w pracy, można potraktować jako odsiadywanie wyroku razem ze skazanymi. Na ogół, tak jak i oni, zajmuje jedną z cel, przeznaczoną na jego pokój do pracy. W przeciwieństwie jednak do „złodziei” siedzi sam, nie ma z kim pogadać, komu się zwierzyć, a w zimie, kiedy pomieszczenia są niedogrzone, siedząc sam bardziej odczuwa zimno niż pięciu „złodziei” w jednej celi. Uciążliwa jest też - zwłaszcza dla pracowników ochrony - zmianowość, i to świątek i piątek. Denerwujące były ciągle pogotowia i dodatkowe dyżury we wszystkie święta państwowe i religijne, na wypadek buntu - teraz to zlikwidowano.

„Klawisz” znajduje się pod stałą presją skazanych i ich rodzin. Zawsze starają się coś przez niego albo u niego załatwić. Proponują mu łapówki, prezenty, gorzałę, aby pomógł krewniakowi w „pudle”, zaniósł mu paczkę, list, gryps, papierosy, żeby go lepiej traktował lub przeniósł do innego zakładu karnego.



„Klawisz” musi być uodporniony na wszystkie pokusy i nadarżające się okazje.

Powinien również być sprawiedliwy. Zwłaszcza wychowawca ma nad „złodziejem” pełną kontrolę na co dzień. Zdarza się, że podejmuje decyzje pod wpływem ludzkiego impulsu, złości, nienawiści, gniewu - a przecież nie powinien tego robić, powinien kierować się zwykłą sprawiedliwością.

Poza więzieniem „klawisz” powinien być wzorem obywatela i przykładem dla sąsiadów, swoich dzieci i rodziny. Tego wymaga od niego pragmatyka.

„Klawisze” na wysokich stanowiskach, zwłaszcza naczelnicy i ich zastępcy, są w pracy najbardziej izolowani i sami się izolują. Wynika to ze specyficznej atmosfery w „pudle”, w którym szef, który chce mieć autorytet, musi zachowywać się tak jak kapitan na okręcie wojennym, przede wszystkim być nieprzystępnym i z nikim się nie spoufalać.

Jeśli „klawisz” się z kimś w „pudle” zaprzyjaźni, to przyjaźń ta trwa już do końca życia. Ale zaprzyjaźnia się bardzo rzadko, „klawisza” bowiem cechuje z natury nieufność, tak jak dobrego policjanta - obaj spotykają się wszak na co dzień ze złodziejstwem i kręctwem, więc trudno im się dziwić.

Spróbujmy prześledzić powszedni dzień „klawisza” na przykładzie wychowawcy i oddziałowego. Możemy założyć, że personel finansowy czy gospodarczy nie tak często styka się ze „złodziejami” i pracuje jak urzędnicy w innych biurach - to znaczy przekładając papiery od ósmej do szesnastej.

Wychowawca przychodzi do pracy, między siódmą a siódmą trzydzieści. Powinien być w „pudle” wtedy, kiedy wstają „złodzieje”. Jest pożądane, aby mógł być obecny przy apelu i ewentualnie wysłuchał pierwszych skarg i zażaleń.

Potem idzie do swojej celi, bo tak trzeba nazwać jego pokój pracy. Chwilę rozmawia z dyżurującym w nocy oddziałowym i od niego dostaje informacje, co się działo od capstrzyku do pobudki.

Następnie sumienny wychowawca obchodzi wszystkie cele i po kolei zadaje to samo pytanie. Czy ktoś czegoś nie potrzebuje. Jest to możliwe wtedy, gdy na jednego wychowawcę przypada czterdziestu-sześćdziesięciu więźniów. W końcu lat osiemdziesiątych na jednego funkcjonariusza (nie wychowawcę, których w więzieniu pracuje około 15-20%) przypadało trzech skazanych. Dla porównania w RFN - około 2, w Holandii - 0,8, w Wielkiej Brytanii - 1,9, w Belgii - 2, w Szwajcarii - 2,5.

W czasie obchodu po celach wychowawca notuje wszystkie sprawy, które więźniowie chcieliby załatwić. Na przykład jeden uważa, że ma na koncie więcej pieniędzy,

niż mu księgowość podała, inny chciałby wyjść na dwanaście godzin do miasta, bo ma bardzo ciężko chorą matkę i chciałby ją odwiedzić, jeszcze inny ma bardzo osobistą sprawę i musi porozmawiać o niej z wychowawcą w cztery oczy.

Potem wychowawca wraca do swojej celi. Sprawdza w grafiku, jakie na dziś zaplanował zajęcia kulturalnooświatowe w świetlicy, i prosi oddziałowego, aby zaprowadził tam pierwszą grupę. Sam rozpoczyna przyjmowanie „złodziei” indywidualnie. Przychodzą do niego ze swoimi prywatnymi problemami.

Na przykład „złodziej” prosi wychowawcę o pomoc w okiełznaniu żony, która „poszła w tango”, od tygodnia nie ma jej w domu, a dziećmi „złodzieja” zajmuje się teściowa. „Złodziej” prosi wychowawcę, aby porozmawiał z żoną, bo w przeciwnym razie albo coś połknie, albo porznie się szkłem. Inny prosi o pomoc w sformułowaniu pisma procesowego do sądu. Odwołuje się od wyroku, a pisać prawie nie umie. Jeszcze innemu „złodziejowi” chodzi o zmianę celi, bo nie chce, jako „git-człowiek”, siedzieć z „cwelami”.

Po rozmowach indywidualnych wychowawca musi wpaść do świetlicy, aby zobaczyć, co porabiają jego podopieczni, czy się czasami nie biją lub nie mordują. Potem zajmuje się listami. Każdy list od „złodzieja” i do „złodzieja” musiał do niedawna przeczytać i ocenzurować, na znak czego przystawiał specjalny stempel. Jeśli wychowawca nadzorował, powiedzmy, osiemdziesięciu „złodziei”, a każdy „złodziej” siedzący na przykład w rygorze zasadniczym mógł wysłać trzy listy miesięcznie i powiedzmy tyleż otrzymać, to w ciągu miesiąca przez ręce wychowawcy przechodziło czterysta osiemdziesiąt listów, czyli około dwudziestu dziennie. Początkujący wychowawcy starali się czytać wszystkie i tracili na to pół dnia albo siedzieli w „pudle” nocami. Doświadczony „klawisz” czytał dokładnie tylko listy wybranych „złodziei” - tych, których podejrzewał o jakieś numery. To, co mu się nie podobało, zamazywał flamastrem albo w ogóle rekwirował list i wkładał go do teczki „złodzieja”. Inne tylko przeglądał, czytając co drugi lub co trzeci akapit. Miał do ich adresatów ograniczone zaufanie, ale stempel i podpis musiał złożyć na każdym liście. Pracy nad korespondencją nie można odkładać, bo dla „złodzieja” listy to jedna z najważniejszych spraw.

Przez ręce wychowawcy przechodzą też wszystkie pisma sądowe. Niektóre z nich wymagają przestrzegania ustalonych prawem terminów - na przykład odwołanie czy rewizję wyroku trzeba wnieść w ciągu siedmiu dni. Jeśli się tego nie zrobi, bardzo często „złodziejowi” grozi odsiadka dłuższa niż ta, której się spodziewał. Może mieć wtedy do wychowawcy pretensję, a nawet złożyć skargę do naczelnika.

Korespondencja „złodziei” może stać się przyczyną załamań psychicznych. Na przykład żona „złodzieja” pisze do niego, że chce wziąć rozwód. Wychowawca wie, że właśnie w tych dniach „złodziej” „przechodzi załamanie psychiczne. Przewiduje, że jeśli mu list od żony da teraz, „złodziej” może targnąć się na swoje życie. Chowa więc list do szuflada, a w notesie zapisuje, że konieczna jest rozmowa z żoną „złodzieja”.

Cenne dla wychowawcy są adresy, pod które „złodziej” pisze listy. W razie jego ucieczki pod tymi właśnie adresami ustawia się zasadzki i na ogół tam właśnie się uciekiniera łapie.

Ubočnym niejako skutkiem lektury listów jest dla „klawisza” stopniowy zanik znajomości ortografii. Listy pisane są zwykle okropną polszczyzną, z potwornymi błędami. Jak myślisz, Szanowny Czytelniku, jak można najkrócej napisać słowo: „Łódź”, otóż można je napisać „Uć”. Po pewnym czasie „klawisz” pisze listy z błędami ortograficznymi - nawet ten po wyższych studiach.

Chcąc być w zgodzie z regulaminami, sumienny „klawisz”-wychowawca powinien być przede wszystkim dobrym i sprawnym biurokratą. A jest zawałony papierami.

Musi na przykład pisać okresowe opinie o każdym „złodzieju”. Są one potrzebne komisji penitencjarnej, która decyduje o tak ważnej dla każdego więźnia sprawie, jak rygor, który go obowiązuje. Zmiana rygoru na lżejszy zmniejsza skutecznie wiele dolegliwości.

Kiedy „złodziej” idzie w „transport”, trzeba mu również wypisać opinię, za każdym razem. Ta opinia przeznaczona jest dla jego wychowawcy w kolejnym więzieniu. Opinię o skazanym trzeba też pisać na żądanie sędziego. A także wtedy, kiedy „złodziej” występuje o przedterminowe zwolnienie warunkowe lub kiedy opuszcza „pułdło” po odbyciu kary. Mnożenie opinii to istna zmora polskiego więziennictwa. Przyprawiają one każdego wychowawcę o zawrót głowy.

Rutynowe opinie -jak twierdzą wychowawcy - pisze się zwykle „na okrągło”. Same slogany, z których nic dla czytającego nie wynika. Na dobrą sprawę wychowawca zna dobrze z piętnastu „złodziei” - dziesięciu „grypsujących” recydywistów, tych złych, i pięciu spokojnych, wyróżniających się więźniów, normalnie pracujących, zachowujących się i żyjących w zgodzie z więziennymi przepisami; o tych zwykle pisze się prawdę.

Często „klawisze”-wychowawcy, broniąc się przed robotą „opiniotwórczą”, robią wśród „złodziei” ankiety, ponieważ nie mają czasu rozmawiać z nimi indywidualnie. Ankiety, nawet ich nie czytając, wkładają do tak zwanych teczek osobopoznawczych. W razie konieczności pisania konkretnej opinii wychowawcy z różnego

rodzaju ankiet wyciągają różne - jak należy sądzić, nie zawsze trafne - wnioski i na ich podstawie piszą opinie, nie oglądając nieraz opiniowanego na oczy. W ankietach są pytania o rodzinę, hobby, stan majątkowy, zdrowie, dzieci itp. W ten sposób przygotowują sobie materiał na zapas.

Poza opiniami wychowawca musi różnymi raportami, skonfiskowanymi listami, grypsami i uwagami uzupełniać teczkę skazanego. Po każdym, na przykład, samookaleczeniu się „złodzieja” do teczki składa się specjalny raport. To samo się robi, jeśli więzień czymś się wyróżnił i dano mu pochwałę lub nagrodę. Ma to dla „złodzieja” istotne znaczenie, nawet dla jego przyszłego zwolnienia warunkowego lub aktualnego rygoru.

„Klawisz”-wychowawca pisze też różnego rodzaju raporty i sprawozdania: dla kierowników działów, zastępcy naczelnika, samego naczelnika, ministerstwa, różnych dyrektorów itd. Słowem, lawina papieru spada codziennie na każdego „klawisza”-wychowawcę jak deszcz.

Jeśli pogubi się w tych papierach i zajmie się przede wszystkim robotą biurokratyczną, straci kontakt ze swoimi podopiecznymi, a to jest najgorsze, co może go spotkać. Skutki takiego zaniedbania mogą być opłakane. Kończą się na ogół jakimś wypadkiem, bijatyką, samookaleczeniem, buntem, głodówką, a nawet morderstwem. Licho nie śpi, a „złodzieje” w celach mają mnóstwo wolnego czasu, aby coś wymyślić i utrudnić życie wychowawcy, który zaniedbuje ich sprawy.

Wychowawca, kiedy już upora się z papierami, zajmuje się przede wszystkim organizowaniem „złodziejom” zajęć - tak aby się nie nudzili. Nadzoruje pracę różnych kółek zainteresowań, zdobywa jak najciekawsze filmy na taśmach wideo, a jeśli więzienie nie ma na to pieniędzy, bywa, że sam je pożycza od swoich przyjaciół, nieraz z własnych funduszy stawiając wódkę. Stara się, aby grafik oglądania telewizji był sprawiedliwy, ci gorsi oglądają ją do południa (na ogół wideo), ci lepsi po południu, kiedy telewizja nadaje ciekawsze programy. Jego sprawiedliwość jest kontrolowana przez wszystkich. Nie tylko przez „złodziei”, ale również przez zwierzchników, do których docierają skargi skazanych i donosy „życzliwych” kolegów. W „pudle” nigdy nic nie wiadomo. W tej chwili jest spokój, ale po dziesięciu minutach na jedno hasło zdesperowanego „gita” wszyscy „złodzieje” mogą z byle powodu zrobić awanturę, podjąć głodówkę lub dokonać samouszkodzeń.

- Był taki zwyczaj - wspomina mój przyjaciel - że od czasu do czasu dzwonił do mnie zwierzchnik z Warszawy.

- Co tam u pana słychać? - pytał.

Zawsze powinienem mówić to samo: „Nic, zależy, gdzie się ucho przyłoży”, lecz odpowiadałem:

- Teraz jest dwunasta pięć i jest spokój, ale o dwunastej piętnaście może być awantura.

Za awanturę odpowiada zwykle wychowawca i naczelnik. Nawet gdyby robili wszystko zgodnie z przepisami. Wtedy zwierzchność i tak postawi im zarzut, że „nie dopilnowali i nie przewidzieli”. A przecież w takiej pracy bardzo łatwo zrobić błąd, źle ocenić człowieka, zwłaszcza jeśli żyje on w masie kilkudziesięciu ludzi. Dotyczy to głównie, bardziej od dorosłych „złodziei”, „małolatów”, z którymi nigdy nic nie wiadomo.

Wychowawca rozliczany jest ze swojej pracy na naradach, odprawach i zebraniach. Raz w tygodniu jest narada zwana „operatywką” i dotyczy spraw bieżących i przyziemnych. Co miesiąc są narady robocze, niejako taktyczne. Co rok jest jedna narada strategiczno-podsumowująca „dorobek” w „pudle”. Do tego dochodzą różnego rodzaju wizytacje, kontrole „z góry” oraz - w zależności od potrzeb i sytuacji - rozmowy i narady z naczelnikiem. Wszystkie te nasiadówki zabierają masę czasu. Większość z nich jest całkowicie zbędna. W latach sześćdziesiątych na przykład nie wolno było w pracy czytać gazet, „klawisze” mieli natomiast prasówki, które codziennie zabierały cenne pół godziny tym, co słuchali, a dwie temu, kto taką prasówkę przygotowywał.

„Klawisz”-wychowawca musi się również angażować w losowe sprawy rodzinne „złodziei”, tak jakby miał za mało roboty z nimi samymi. Musi znać osobiste sprawy tych, którzy mają kłopoty z żonami, dziećmi, teściowymi i zięciami. Ze zgonami, porodami i rozwodami. Musi to wiedzieć bardzo często po to, aby zapobiec samouszkodzeniu czy samobójstwu zdesperowanego swoją sytuacją rodzinną „złodzieja”. Prawda bowiem jest taka, że w izolacji, z dala od swoich bliskich, każdy reaguje na kłopoty rodzinne o wiele silniej, niż gdyby był w domu. Wynika to przede wszystkim z bezsilności zamkniętego w celi człowieka.

„Klawisza”-wychowawcę nie omijają też zdarzenia losowe dotyczące „złodziei”.

Może na przykład być świadkiem na ślubie „złodzieja” - najczęściej z konieczności, bo takiego świadka akurat brak, a mistrz ceremonii już czeka. Dla każdego „złodzieja” to zwykle honor, kiedy wychowawca, zwłaszcza jeśli jest lubiany, staje na ślubie za świadka.

W razie samobójstwa lub śmierci „złodzieja”, kiedy nie ma on rodziny albo nie zgłasza się nikt po zwłoki, wychowawca organizuje pogrzeb i odprowadza osobiście nieboszczyka na wieczny odpoczynek. Jeśli rodzina się zgłosi, jest tym, który musi pierwszy złożyć jej serdeczne kondolencje, nawet jeśli nieboszczyk był skończonym łobuzem.

Poważnym problemem wychowawcy-„klawisza” są „git-ludzie”. Oni zawsze są na „nie”, zwykle wobec wszystkiego: regulaminu, ustroju społeczno-

politycznego, prawa, prezydenta, całego społeczeństwa, a nawet wobec samego wychowawcy. Na tym „nie” polega między innymi zasada „grypsowania” „ludzi”. Z drugiej jednak strony, na ogół, jako kilkakrotni recydywiści, potrafią „git-ludzie” docenić mądrego i sprawiedliwego „klawisza”. Wtedy są z nimi mniejsze kłopoty, ale są zawsze. Dodatkowa trudność polega na tym, że „klawisz” inaczej musi rozmawiać i postępować z „gitami”, a inaczej z „frajerami”. Jeśli się pomyli, będzie z tego prędzej czy później awantura.

Robota, którą musi wykonać wychowawca, jest - jak się to popularnie mówi - nie do przerobienia. Na dobrą sprawę zawsze można mu zarzucić, że nie wykonał jej do końca, że czegoś zaniedbał, zapomniał lub przeoczył. Ale prawda jest taka, że przy aktualnym systemie przepisów i organizacji taka praca nie może być nigdy zakończona.

Wychowawca pracuje zwykle osiem godzin lub, co się wprowadza ostatnio, dwanaście, a potem ma jeden dzień wolny. Ale sumienny „klawisz” myśli o swej pracy całą dobę, a w nocy śni mu się sprawy, których nie zdążył lub nie zdołał załatwić.

Zupełnie inne zadania ma oddziałowy. Ten „klawisz” też się nie nudzi, ale jego robota jest potwornie monotonna.

Pracuje na trzy zmiany - po osiem godzin na dobę. Czasami, jeśli ma dodatkowe dyżury, nie opłaca mu się wracać na kilka godzin do domu i śpi w „pudle”. W ten sposób jeszcze bardziej niż wychowawca odbywa karę ze skazanymi.

Rano przychodzi do pracy przed pobudką. Od nocnego zmiennika otrzymuje klucze (z którymi nie rozstaje się już do końca zmiany; wyraz „klawisz” pochodzi zresztą od łacińskiego *clavis, clavi*, czyli klucz) oraz raport o tym, co się działo w nocy. Jeśli coś się działo, dostaje raport na piśmie.

Po dzwonekach na pobudkę idzie od celi do celi i otwiera drzwi. „Złodzieje” zabierają taborety z ubraniami, a oddziałowy po kolei cele zamyka. Kiedy już zamknie ostatnią, wraca do pierwszej i znowu ją otwiera. Przyjmuje raport starszego celi i znowu ją zamyka. Potem następuje wydawanie śniadania. Wraz z kalifaktorem wydaje posiłek pilnując, aby nie przemycono z celi do celi grypsu albo jakiegoś niedozwolonego przedmiotu. W czasie apelu przyjmuje i zapisuje zgłoszenia „złodziei” do lekarza, wychowawcy, biblioteki, księgowości itd. Potem musi całe to towarzystwo rozproszyc według zamówień. Jest jedna zasada, że nie mogą być otwarte dwie cele jednocześnie. Czyli wygląda to tak, że oddziałowy wyprowadza z jednej celi dwóch, z drugiej trzech i prowadzi ich do lekarza. Nie jest wskazane, aby rozproszadzał większe grupy, nawet ze względu na własne bezpieczeństwo i słabe zabezpieczenie techniczne zakładów karnych.

Kiedy już doprowadzi tę grupę do lekarza, idzie po następną, zapisaną do wychowawcy. Wywołuje „złodziei” po kolei i z różnych cel, inni stoją obok swoich drzwi i czekają, aż zbierze się komplet. Otwiera i zamyka w kółko cele, dzwoniąc kluczami, następnie wraca, aby wyprowadzić „złodziei”, którzy zgodnie z grafikiem powinni oglądać telewizję. Kiedy ich zaprowadzi i zamknie w świetlicy, idzie po tych, których już zbadał lekarz, zamyka ich w celach i otwiera inne, aby wypuścić resztę „złodziei” zapisanych do lekarza. W tym czasie przed celą wychowawcy czekają już więźniowie po odbytej rozmowie, których też należy z powrotem zamknąć. W celach natomiast czekają ci, którzy zapisali się do księgowości, biblioteki, dentysty czy naczelnika. Oni muszą poczekać na swoją kolej. Jednocześnie skończył się czas - zgodnie z grafikiem - tym, którzy oglądali telewizję i trzeba ich też odprowadzić i zamknąć, a w zamian wyprowadzić następnych. W pewnym momencie oddziałowy przychodzi do wychowawcy i mówi:

- Mam do pana zapisanych jeszcze ośmiu, ale nie mam już siły latać, powiem im, że pan wyszedł do naczelnika, a przyjmie ich pan jutro w pierwszej kolejności. Zgoda?

- Zgoda - mówi wychowawca. I w tym momencie obaj łamią regulamin.

Potem oddziałowy biegnie znowu do cel, aby zaprowadzić „złodziei” do łaźni, potem do fryzjera, a potem bierze tych, którym przysługuje tego dnia „wypiska”. Otwieranie i zamykanie cel trwa.

- Najlepiej, gdybyśmy mieli służbowe wrotki - powiedział mi poważnie jeden z nich. I miał rację.

Kiedy słuchałem tych opowiadań o pracy oddziałowego, przyszła mi na myśl dziecinna zagadka o wilku, owcy i kapuście. Jak przewieźć je przez rzekę jedną łodzią, aby się wzajemnie nie pozjadały. Dylematy oddziałowego-”klawisza” są niemal identyczne.

Obaj z wychowawcą, jeżeli mają chwilę przerwy, to tylko podczas posiłków „złodziei”. Idą wtedy do stołówki i konsumują. Żywnienie jest inne dla „złodziei”, a inne dla „klawiszy”, z tym że „złodzieje” nie płacą. „Klawisze” natomiast uiszczają pełną sumę, ale mają wybór - na ogół dwie zupy i dwa drugie dania. Stołówkę prowadzi przeważnie agent, zwykle ten sam, który zajmuje się sklepikiem z artykułami na „wypiskę” dla „złodziei”. Podobno interes idzie nieźle.

Czasem obaj „klawisze”, w celi wychowawcy, otworzą sobie pół litra. Z lodówki wyjmą zimną coca-colę i zrobią silny cocktail Habana Libra. Piją małymi łykami i opędzają stresy. Gdyby ktoś wszedł, w szklaneczkach jest coca-cola. Upić się jednakże nie mają prawa. „Złodzieje” zauważyliby to od razu i starali się to wykorzystać - nawet poprzez szantaż. Gdyby złapał ich naczelnik, mogliby wylecieć

z pracy. Mogą też donieść do naczelnika koledzy, ale wtedy można się tłumaczyć, że to jeszcze od wczoraj, że są „wczorajsi” - pod warunkiem, że nie belkoczą i się nie zataczają.

Kiedy wrócą do swoich cel, nie położą się ani nie usiądą, tylko, tak jak „złodzieje”, będą po celi chodzili tam i z powrotem...

Czasami w monotonnym życiu więziennym „klawiszy” dzieje się coś innego. Na przykład robi się „kipisz”, czyli rewizję w jakiejś celi, podczas gdy „złodzieje” są na spacerze. Czasami, na polecenie naczelnika, robi się „kipisz” w całym „pudle”. Pracują wtedy wszystkie zmiany „klawiszy” i spokojnie, bez pośpiechu, cela za celą zaglądną do sedesów, pod łóżka, za kaloryfery, w sienniki, w przewody wentylacyjne, odrywają linoleum z podłogi, a nawet robią rewizje osobiste. Zawsze coś znajdują, mimo wysoko wyspecjalizowanej inwencji „złodziei”. Najczęściej szuka się alkoholu, to znaczy tego, co najbardziej pożądane i zabronione. Szuka się nie tylko w celach, ale i w magazynach, w kuchni, w warsztatach. Sprytny „złodziej” alkohol zrobi ze wszystkiego, nawet z pasty do zębów. Gorzałę najlepiej ukrywa się w węzłach sanitarnych i w siennikach.

Może też zdarzyć się jakiś furiat - „złodziej” na wiadomość z domu zareagował niszczeniem sprzętów w celi, wybijaniem okien i biciem kolegi. Kilku strażników z ochrony „wbija” go w kaftan bezpieczeństwa, lekarz robi mu zastrzyk i wszyscy wspólnie wędrują do izolatki. Tam jest tylko siennik na podłodze. Żadnego innego sprzętu. Nie ma nawet głośnika połączonego z radiowęzłem. Jedna szyba jest z pancernego pleksiglasu, a drzwi obite wołokiem tak, aby furiat nie zrobił sobie krzywdy. Ale nie ma kibla i za każdym razem, kiedy tylko zechce, furiata trzeba wyprowadzić. Nowa robota.

Po szesnastej więzienie opuszcza cały personel administracyjno-gospodarczy. Zamyka się łaźnie, sklep, fryzjera. „Złodzieje”, poza świetlicą i lekarzami specjalistami, nie mają dokąd chodzić. Od osiemnastej oddziałowy z drugiej zmiany może moczyć nogi. Ten z pierwszej zmiany moczy je w domu.



## VII. Życie „klawisza”

*„Klawisz” żyje dobrze dziewięć lat - siedem,  
zanim pójdzie do szkoły, i dwa na emeryturze*

Porzekadło „klawiszy”

*Choćbyście mieli najlepsze ustawy, najlepszych sędziów, to jeśli nie będziecie  
mieć zdolnych wykonawców kary, możecie ustawy wyrzucić do kosza, a  
wyroki sądowe spalić.*

Kröhne. wybitny kryminolog niemiecki z XIX wieku

Przed wojną „klawisz” to była figura. Wszyscy go szanowali i poważali - wzdychali wszyscy moi znajomi „klawisze”, z którymi rozmawiałem. - Ale to byli zawsze fachowcy - dodawali z uznaniem. Moi rozmówcy, z których większość przyszła do pracy w więziennictwie w latach sześćdziesiątych, pamiętali jeszcze kilku przedwojennych „klawiszy”.

Według nich byli to bardzo spokojni i zrównoważeni ludzie, podchodzący z dystansem do swoich więźniów. Czasem byli wobec nich serdeczni lub dobroduszni, ale jednocześnie, na swój rzeczowy i zrównoważony sposób, bardziej wymagający. Zawsze potrafili podjąć właściwą decyzję i nie biegali z byle problemem do naczelnika czy kierownika. Z ich decyzjami „złodzieje” bardzo się liczyli. Polecenia wykonywali błyskawicznie i bez szemrania. „Złodzieje” wiedzieli bowiem, że taki przedwojenny „klawisz”, na ogół bardzo silny fizycznie, potrafi wziąć krnąbrnego „złodzieja” do osobnej celi i tam - bez zgody naczelnika i zbędnych formalności - zdrowo mu przyłożyć. I „złodzieje” bardzo rzadko się na nich skarżyli, zwłaszcza oficjalnie u naczelnika.

Mieli bardzo wysokie poczucie godności i nie płaszcyli się przed zwierzchnikami - nawet wtedy, kiedy nie mieli racji lub gdy ich indywidualna decyzja została oceniona jako błąd.

Ich wzajemne stosunki oraz relacje z innymi, młodszymi „klawiszami” cechowała koleżeńska powściągliwość. Bardzo rzadko przyjaźnili się z kimś w pracy. Woleli raczej życie rodzinne. Byli dobrymi mężami, dziadkami, ojcami. Przede wszystkim zaś szanowali się jako ludzie.

Młodszy od nich „klawisz” twierdzą stanowczo, że taki sposób bycia i w pracy, i w życiu prywatnym wynikał przede wszystkim z wysokiego stopnia profesjonalizmu. Znali bardzo dobrze środowisko, w którym pracowali. Znali, bo chcieli poznać, chcieli się uczyć, i to nie tyle w szkołach i na uniwersytetach, co w praktyce. Rzadko im też w tym przeszkadzano. Chcieli się zaś uczyć, bo do pracy w więzieniu przyszli dobrowolnie, z ciekawości bądź z zamiłowania.

Ich poczucie godności brało się zaś przede wszystkim z poczucia ważności funkcji pracownika państwowego. Pracownik państwowy był przed wojną „kimś”. Był tym lepszym, bardziej poważanym od innych obywatelem. Miał dobre uposażenie, ochronę lekarską, zapewnioną emeryturę. Często jego dzieci dostawały państwowe stypendia lub uczyły się bezpłatnie.

Przedwojenny „klawisz” był w społeczeństwie bardziej poważany od policjanta, chociaż oczywiście mniej od wojskowego, zwłaszcza oficera. Mógł nosić broń, o czym naturalnie wiedzieli „złodzieje”, i nie miał nigdy problemów, kiedy spotykał byłych więźniów na wolności, ponieważ w „pudle” był sprawiedliwy - karał i nagradzał, jak należało.

„Klawiszem” przed wojną nie było łatwo zostać. Poza obywatelstwem polskim musiał on wykazać się nieskazitelną przeszłością (sama niekaralność nie wystarczała), wiekiem od 21 do 35 lat, dobrym zdrowiem i ukończeniem szkoły podstawowej (matura była w przedwojennej Polsce już prawie stopniem naukowym); musiał też zdać specjalny egzamin i być zatwierdzony przez specjalną komisję kadrową działającą przy Departamencie Karnym Ministerstwa Sprawiedliwości. W skład komisji wchodziłi prawnicy, lekarze i pedagodzy.

Na służbie i poza służbą przedwojennego „klawisza” obowiązywało wiele ograniczeń: nie mógł być członkiem - bez zgody zwierzchników - żadnych związków i stowarzyszeń, nie mógł podjąć pracy na tak zwanym teraz drugim etacie, musiał też, w razie potrzeby, poddać się skoszarowaniu.

Pierwszeństwo przy kwalifikowaniu do tego zawodu mieli byli wojskowi - oficerowie i podoficerowie zawodowi oraz ludzie z wyższym wykształceniem, o których w przedwojennej Polsce nie było tak łatwo w administracji państwowej.

Po wojnie nastąpiła całkowita zmiana. Jako kwalifikacje wystarczały wtedy: zasadnicza służba wojskowa, dobry stan zdrowia, obywatelstwo polskie, odpowiednie wykształcenie ogólne (przy czym nie było dokładnie ustalone, jakie wykształcenie „klawisz” powinien mieć, najczęściej nie miał żadnego). Najważniejsza jednak była postawa moralno-ideologiczna, która powodowała, że kryterium naboru stał się nie profesjonalizm, ale polityka. Zresztą według powiedzenia z tamtych czasów:

„Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Od tej pory do końca lat osiemdziesiątych do pracy w więziennictwie kierowano ludzi według doboru negatywnego. Oznaczało to w praktyce, że jeśli ktoś nigdzie już się do pracy nie nadawał, szedł „robić do pułka”. W ten sposób zdeklasowano ten tak potrzebny społeczeństwu zawód. Jednocześnie wyrzucano z pracy dobrych fachowców, którzy nie mieli tej postawy moralno-politycznej jaką mieć wtedy należało, lub wręcz prześladowano „klawiszy”, którzy współpracowali z prolondyńskim podziemiem. Niektórzy „klawisze” stali się z dnia na dzień „złodziejami” - miejmy nadzieję, że dawali sobie w celi radę.

Tylko niektórzy powojenni „klawisze” szli do więziennictwa z powołania, ale musieli to być ludzie pewni - czasy były trudne i nie można dziwić się ówczesnym władzom. Brano więc ochotników z byłej partyzantki, inwalidów z wojska, byłych funkcjonariuszy UB czy milicji, którzy, za liche wtedy pieniądze, starali się sprostać wymaganiom czasów.

Była jednak druga, przeważająca grupa - „odrzutków” z milicji i bezpieczeństwa oraz z wojska. Praktycznie bez żadnych kwalifikacji i predyspozycji, ale za to z zupackimi, a nawet sadystycznymi nawykami. Ponieważ nie nadawali się do pracy w UB, jako zasłużonych towarzyszy, kierowano ich z takim samym uposażeniem do pracy w więziennictwie. Tam mogli się wyżyć, zarobić, a przede wszystkim być kimś. W życiu prywatnym, na wolności, nigdzie się nie liczyli.

Jako nieprofesjonaliści w pracy nie mogli dać sobie również rady. Nadrabiali dryblem wojskowym, trzaskaniem obcasami, znajomością i ścisłą realizacją regulaminów więziennych oraz zwykle brutalnością.

Natychmiast spadł wśród społeczeństwa przedwojenny prestiż „klawisza”. Przyczyniło się do tego kilka faktów.

Więziennictwo do roku 1956 podlegało nie Ministerstwu Sprawiedliwości, lecz Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. W praktyce było to państwo w państwie. UB zajmowało się głównie, zaraz po wojnie, ściganiem byłych akowców. W więzieniach były wydzielone pawilony, gdzie siedzieli wyłącznie więźniowie polityczni, chociaż oficjalnie tak ich nie nazywano - zwali się wrogami ludu. W tych pawilonach „pracowali” funkcjonariusze UB, ale pomagali im - na ogół z przekonaniem - nowo zatrudnieni „klawisze-odrzutki”. Czynili to tym gorliwiej, im mniej się na pracy penitencjarnej znali. Na ogół najokrutniej potrafili się znęcać nad „politycznymi”, nawet jeszcze po przesłuchaniach prowadzonych przez pracowników UB. Liczne tego przykłady przynosi wydawana obecnie literatura faktu - wspomnienia akowców z więzień.

Wiedziało o tym całe społeczeństwo i nietrudno zrozumieć, że wkrótce „klawisz” stał się człowiekiem nie lubianym, nawet jeśli nie zajmował się katowaniem byłych akowców.

Drugim ważnym czynnikiem obniżającym bardzo prestiż „klawiszy” był spadek poważania dla urzędnika państwowego w ogóle. Wynikało to z gwałtownego rozrostu biurokracji państwowej, zatrudniania w niej ludzi niewykształconych, niefachowych, z tzw. awansu społecznego. Pensje były też w porównaniu do rozwiniętego wtedy sektora prywatnego - niewielkie, a łapówkarstwo, między innymi i z tego powodu, nagminne. Zjawisko to przenosiło się również do zakładów karnych.

Poziom profesjonalny „klawiszy” usiłowano w latach czterdziestych do połowy lat pięćdziesiątych stopniowo podnosić. Organizowano na przykład dziesięciodniowe kursy zawodowe z egzaminem oraz kursy dla analfabetów i naukę na poziomie szkoły średniej. Wszystko to nie zmieniło jednak ogólnego niskiego poziomu „klawiszy”. Ich nawyków też. Dopiero w roku 1955 utworzono Centrum Wyszkożenia Służby Więziennej w Szczypiornie oraz Ośrodek Szkolenia Kadry Kierowniczej w Warszawie.

Szkolenie zawodowe „klawiszy” nabrało cech przemysłanej organizacji po roku 1956. W roku 1958 utworzono trzyletnie zaoczne Technikum Penitencjarne, w roku 1977 powołano do życia Liceum Penitencjarne dla Pracujących, rozbudowano sieć punktów konsultacyjnych, a przede wszystkim od lat sześćdziesiątych zaczęto przyjmować do pracy w więzienictwie ludzi ze średnim i półwyższym wykształceniem. Osób z wyższym wykształceniem chętnych do pracy w więzienictwie było zawsze mało.

W tym to właśnie okresie zaczęła pracować w zakładach karnych większa część „klawiszy”, z którymi rozmawiałem. Przede wszystkim wspominają oni atmosferę, jaką tam zastali.

Naczelnik był bogiem. Zachowywał się jak marszałek polny w wojsku pruskim. Otoczony zastępcami i różnymi kierownikami, pojawiał się na terenie zakładu raz na miesiąc lub raz na dwa miesiące. Do wszystkich mówił per „ty”, drapał się po genitaliach i zawsze miał rację, nawet wtedy kiedy z tych „racji” śmiali się najbardziej prymitywni „złodzieje”.

Służbistość naczelnika była tak daleko posunięta, że kiedy zakład otrzymał jakąś pulę pieniędzy na nagrody, naczelnik połowę tej puli odsyłał z powrotem do centrali. Jego zdaniem co najmniej połowa „klawiszy” na żadne nagrody nie zasługiwała. Chciał, by widać było, że ostro rządzi. A przecież w związku z rzadkimi kontaktami z personelem naczelnik w istocie nie miał zielonego pojęcia, co naprawdę robią jego podwładni.

Tak jak w wojsku, starszy funkcją lub stopniem zawsze miał rację. Obowiązywało stałe meldowanie się i odmeldowywanie, trzaskanie obcasami. Obowiązywały też wszystkie mundury - teraz wychowawcy ich nie noszą.

Kary były także wojskowe, włącznie z aresztem, co znaczyło, że młodszy stażem i funkcją „klawisz” mógł znaleźć się w „pudle”. Nie budowało to oczywiście prestiżu funkcjonariusza w oczach przestępców i nic dziwnego, że ukarany „klawisz” miał potem kłopoty ze „złodziejami”.

Wśród niższych stopniem „klawiszy” kwitło donosicielstwo. Kto mógł, „kablował” na drugiego, chcąc w ten sposób wkupić się w łaski zwierzchnika.

Zdarzali się też prawdziwi sadyści. Ich główne zajęcie polegało na znęcaniu się nad więźniami. Bali się ich nie tylko „złodzieje”, ale również „klawisze”-koledzy. Bał się nawet naczelnik. Nigdy nie było wiadomo, co przyjdzie do głowy takiemu „Stodole” z Wronek. Tacy w „pudle” się wyżywali. Gdyby życie ułożyło się im inaczej, skończyliby w kryminale.

Osobną sprawą - wspominają moi „klawisze” - był poziom intelektualny starszych „klawiszy”. Tylko co drugi umiał po polsku porządnie pisać i czytać. Do kin i teatrów nie chodzili, książek nie czytali, radia nie słuchali. Znali natomiast dobrze regulaminy i tego się trzymali. Jedyłą ich rozrywkę stanowiła „gorzała”. Na to patrzono przez palce. Byle „klawisz” się nie zataczał i nie gadał głupstw. Pili oczywiście w grupach - młodszy stopniem z młodszymi, a starsi ze starszymi. Naczelnik, jak kapitan na statku, pił na ogół sam - ewentualnie z zastępcami.

O poziomie starej kadry świadczyły najlepiej przezwiska, jakie dawali im „złodzieje”. W „pudle” nazywa się to „ksywa”. Jeden z „klawiszy” miał ksywę „Pipa”, inny „Bambosz”, a jeszcze inny „Głęb”. Ten ostatni, jak mawiali „złodzieje”, miał mózg jak lewe jądro pawiana. Wszystkim był też znany starszy „klawisz”, któremu dano ksywę „Jan bez Głowy” (musiał to zrobić jakiś wykształcony „złodziej”, bo ksywa wygląda na trawestację imienia króla angielskiego, Jana bez Ziemi).

Do „Jana bez Głowy” zgłosił się kiedyś mój rozmówca - początkujący wtedy „klawisz”, który zarządzał bibliotekami. Przyniósł raport, z którego wynikało, że zamek w drzwiach do biblioteki jest zepsuty i trzeba go wymienić. „Należy zdjąć stary zamek i założyć nowy” - pisał mój znajomy na zakończenie raportu. Ponieważ w budżecie zakładu nie było wtedy pieniędzy, „Jan bez Głowy” zadekretował: „Zdjąć zezwalam, założyć nie pozwalam, bo nie ma”. Tak też uczynił młodszy „klawisz”. Kiedy po pół roku robiono inwentaryzację, okazało się, że brakuje mnóstwa książek. „Jan bez Głowy” chciał obciążyć finansowo młodszego „klawisza”, ale ten poszedł do naczelnika i przedstawił dekretację na raporcie. Skutek był taki, że „Jan bez Głowy” sam zapłacił za skradzione książki.

Zdarzali się też „klawisze”-hobbyści. Jeden hodował gołębie i wszyscy „złodzieje”, którzy się znali na takiej hodowli, byli przez niego faworyzowani. Inny miał kolekcję zegarków, które sam lubił i umiał reperować.

Do „pudła” trafił kiedyś zegarmistrz z którym „klawisz”-hobbista zamykał się w celi i godzinami rozmawiał o zegarkach, a nawet przynosił z domu co bardziej interesujące egzemplarze i pokazywał „złodziejowi”-zegarmistrzowi. Czasem wspólnie je reperowali. Jeszcze inny, starszy „klawisz” hodował rybki. W świetlicy stało akwarium, więc razem ze „złodziejem”, który znowu był specjalistą od rybek, siedzieli godzinami i ustalali: która rybka się koci, którą trzeba przenieść, które skrzyżować itd. Byli to jednak „klawisze” niegroźni.

Do bardziej niebezpiecznych należeli ci, którzy chcieli się wykazać lub podkreślić swą ważność. Poza pisaniem i przekazywaniem donosów każdą czynność służbową dosłownie celebrowali. Czy to chodziło o wydawanie śniadania, czy o wieszanie człowieka. W tym ostatnim przypadku byli w swoim żywiole. Znany moim rozmówcom pewien oddziałowy, na którego terenie wykonywano od czasu do czasu egzekucje (bo tam właśnie była celą śmierci), tego dnia przychodził do pracy dwie godziny wcześniej. Zarządzał przed czasem pobudkę i zapędzał „złodziei” i podwładnych do robienia porządków. Potem przebierał się w galowy mundur. Każdemu wyznaczał rolę - gdzie ma stać i co robić. Sam wypijał setkę, stawał w drzwiach i czekał na kata.

Nowa kadra, która napływała do zakładów karnych od lat sześćdziesiątych, byli to ludzie stosunkowo młodzi, energiczni, wykształceni - zwykle co najmniej po maturze lub po różnych humanistycznych studiach pomaturalnych. Zawsze byłem ciekaw, czym kierowali się wybierając taki niewdzięczny zawód. Jak wynika z krótkiej ankiety, którą przeprowadziłem w tej sprawie, przyczyny były prozaiczne. Oto przykłady. Aby nie nudzić, tylko trzy, ale za to bardzo charakterystyczne.

„Klawisz” numer 1 tak „zeznał” do magnetofonu:

„Poszedłem pracować do «pudła» po Studium Nauczycielskim. Nie miałem mieszkania ani bogatych rodziców, którzy mogliby mnie urządzić. Pracowałem w szkole. Jako młody nauczyciel, bez znajomości w kuratorium i u dyrektora. Moje lekcje zaczynały się późnym przedpołudniem i pracowałem do wczesnego popołudnia - czyli w środku dnia. W ten sposób nie mogłem nigdzie nic dorobić. Nawet fizycznie w warsztacie. Złe godziny. Ogłoszenie o naborze znalazłem w gazecie. Zadzwoiłem i powiedziano mi, że mogę dostać o 750 złotych więcej niż w mojej szkole. Do tego prawie darmowe wczasy i w dalekiej perspektywie - jak będę dobrze! pracował - służbowe mieszkanie. Po namyśle się zdecydowałem. Ponieważ zaproponowano mi od razu funkcję wychowawcy, sądziłem, że moja praca będzie zbliżona do pracy w szkole. Tak naprawdę to nie wiedziałem, gdzie idę!!!”

„Zeznaje” „klawisz” numer 2:

„... Maturę zrobiłem bez problemów. Byłem bardzo zdolny. Ale po maturze nie dostałem się na pedagogikę - zabrakło mi punktów za pochodzenie. Ojciec był rzemieślnikiem i było trochę w domu pieniędzy. Pożyczyłem więc od rodziny sporą sumę i zacząłem handlować. Najpierw towarami z przemytu (były to przeważnie modne wtedy płaszcze ortalionowe), a potem na rynku we Wrocławiu obcą walutą; za taki handel groziła wtedy poważna odsiadka. Wkrótce założyłem «biuro» w pobliskiej kawiarni i tylko dyrygowałem «konikami», którzy handlowali pod sklepami PKO (dzisiejsze peweksy) na moje konto. Powodziło mi się zupełnie nieźle. Miałem samochód, co prawda używany, bo obawiałem się pytań urzędu skarbowego, ale zawsze był to samochód. Na owe czasy był to luksus. Wkrótce poznałem cały wrocławski półświatek. Wszystkich najważniejszych handlarzy, «gitów», przemysłników i cinkciarzy. To, co robiłem, było jednak niebezpieczne, w każdej chwili mogłem znaleźć się w «pudle». Zdawałem sobie z tego sprawę od samego początku mojej działalności «handlowej». I wtedy poznałem dziewczynę, w której zakochałem się na śmierć i życie. Postanowiliśmy się pobrać, a do tego potrzebna jest stabilizacja. Rzuciłem więc w cholerę cały handel i zacząłem rozglądać się za stałą pracą i mieszkaniem. Przeczytałem ogłoszenie w gazecie i tak znalazłem się w więzieniu, ale jako «klawisz». Sądziłem, że moja znajomość półświatka pomoże mi w pracy. Okazało się jednak, że przeszkadzała. Co rusz spotykałem w «pudle» swoich znajomych z ulicy i z knajp. Jako «klawisz» musiałem im pomagać. Przemyciałem papierosy, paczki, a nawet gorzałę. Narażałem się w ten sposób na wylanie z pracy. W końcu jednak, opanowałem sytuację i pracuję w «pudle» do dziś. Z pracy jestem zadowolony, chociaż to ciężka robota...”

„Klawisz” numer 3:

„... Pochodzę ze wsi. Ojciec miał pięć hektarów i pięcioro dzieci. Jedno dziecko na hektar. Na wsi zostać nie mogłem. Nie było z czego żyć. Przeniosłem się do miasta, skończyłem szkołę zawodową, a potem technikum. Trochę dorabiałem u nielicznych wtedy prywaciarzy, ale ledwo starczało na życie. W mieście zostać musiałem, bo najstarszy brat przejął gospodarkę. Trochę mi pomagał, tak jak innym braciom, którzy też «ustawili się» w mieście. Też znalazłem ogłoszenie w gazecie o naborze do zakładu karnego. Obiecywali zupełnie niezłą pensję i dali nadzieję, w przyszłości, na służbowe mieszkanie. Nic mi więcej nie potrzeba było do życia. Nie zdawałem sobie sprawy, gdzie i do jakiej pracy idę. Nie miałem też pojęcia o zawodzie, byłem przecież technikiem. Pierwsze parę miesięcy to był koszmar - ten ciągły kontakt ze «złodziejami» i do tego potworne stosunki w pracy.

Ja również spotkałem na początku swojej pracy kilku kolegów, ale szkolnych.

Pamiętam dwóch braci, którzy w technikum byli prymusami. Chwalił ich publicznie dyrektor, a na akademiach rocznicowych zawsze oni recytowali socrealistyczne wiersze. Wpadli do «pudła» za chuligaństwo. Trochę podpici, w nocy, załatwiali się w bramie, co spotkało się z interwencją, i to czynną, dozorcę. Po krótkiej wymianie zdań pobili ciecia i dostali z tak zwanej bomby (rodzaj sądu doraźnego) po dwa lata. Nie powiem, siedzieli grzecznie. Trochę im pomagałem. Jednego umieściłem w bibliotece, a drugiego w radiowęźle.

Drugiego kolegę, z tej samej klasy w szkole podstawowej, zastałem pewnego dnia na «spacerniaku», był właśnie po wyroku. Dostał siedem lat za porznięcie żony żyłką. Był o nią fanatycznie zazdrosny. Oszpecił ją na całe życie. Wziąłem go do swojej celi i razem powspominaliśmy stare dzieje. Chłopak w końcu się popłakał. Siedem lat to już wyrok «damski». Jemu również pomagałem, jak mogłem. Stawałem nawet za to u naczelnika do karnego raportu. Tak to życie płata figle. Pamiętam też trzeciego. Dostał parę lat za fałszowanie książeczek oszczędnościowych... W sumie jednak nie żałuję, że tyle lat pracowałem w «pudle»,,.

Jak z tego widać, do podjęcia pracy w więzieniu zmusił moich przyjaciół albo zbieg okoliczności, albo przyczyny czysto finansowe. W tamtych czasach nauczyciel na pełnym etacie zarabiał 1200-1300 zł, „klawisz” na tak zwane „dzień dobry”, czyli rozpoczęcie pracy, dostawał 1900-2000 zł. Była to spora różnica - około 30-40%. Zarabiał jednak mniej niż podoficer w wojsku, nie mówiąc o oficerze; lepiej zarabiała też milicja. W perspektywie było ponadto mieszkanie; prawdę mówiąc, wszyscy moi rozmówcy mieszkania otrzymali... w dziesięć lat po wstąpieniu do służby.

Wszyscy trzej ukończyli zaocznie wyższe studia. Pedagogikę lub psychologię. Były to już czasy, kiedy - jeśli się uczono - władze awansowały. Teraz większość „klawiszy” z poboru w latach sześćdziesiątych - oczywiście ci, którzy z pracy nie zrezygnowali lub nie zostali wyrzuceni - pełni kierownicze funkcje. Są zastępcami, naczelnikami, a nawet pracują w centrali więziennictwa w Warszawie. Przetrwali mimo przeszkód w samym środowisku stwarzanych przez starszych „klawiszy”. A ci nie dawali im przez dłuższy czas spokoju. Dochodziło do spięć z przyczyn zupełnie naturalnych.

„Starzy” starali się przede wszystkim udowodnić, że „młodzi” są gorsi. Gorzej znają regulaminy, nie umieją postępować ze „złodziejami”, są dla nich zbyt tolerancyjni i często lekce sobie ważą przepisy. Sypały się donosy i raporty przy najmniej ważnych przekroczeniach regulaminów.



Nawet za podanie przez młodego „klawisza” „złodziejowi” paczki papierosów. „Starzy” zawsze starali się podkreślać, że „młodzi” nie mają życiowego doświadczenia, nie walczyli bowiem w partyzantce ani z bandami, nie pracowali w UB. To właśnie starali się udowodnić, zwłaszcza donosami, naczelnikowi.

Ale i „starym” zdarzały się wpadki, których powodem był najczęściej zupacki sposób podejścia do własnych obowiązków.

Jeden ze starych „klawiszy” zawsze chciał się wykazać przed naczelnikiem. Wykorzystywał każdą okazję, zwłaszcza besztając więźniów, stawiając ich do raportu, wynajdując różne dokuczliwe prace. Pewnego razu, widząc naczelnika przez otwarte okno, otworzył pustą celę (więźniowie byli akurat na spacerze) i zaczął krzyczeć, że tu jest burdel i bałagan i on dopiero zrobi porządek. Następnie otworzył drugą pustą celę i znowu opieprzył rzekomo siedzących w niej „złodziei”. Wszystko to słyszał naczelnik. Wszedł do pawilonu i przyjął meldunek od nadgorliwego „klawisza”:

- Wszystko w porządku., a więźniowie są na spacerze. - Zdziwiony tym naczelnik powiedział:

- Jak to wszystko w porządku, przecież słyszałem przed chwilą, że opierdalaliście ludzi. Otwórzcie no tę celę.

I tak nadgorliwiec wpadł. Za wprowadzenie naczelnika w błąd dostał służbowe upomnienie.

Inny znowu stary „klawisz” specjalizował się w podkładaniu więźniom, przy rewizji w celi, różnych niedozwolonych przedmiotów, za co potem mógł postawić ich do raportu i ukarać. W ten sposób wykazywał również i służbistość. Miał zwyczaj podrzucać ten sam, bardzo ładny, wielofunkcyjny nóż szwajcarski, ze śrubokrętem, otwieraczem, szpikulcem i korkociągiem - była to bardzo elegancka zabawka. Za trzecim razem „przyłapany” na trzymania w sienniku tego noża „złodziej” „przyznał się” do własności. Zrobił to celowo, gdyż cały oddział wiedział o praktykach starego „klawisza”. Zgodnie z regulaminem więzień został ukarany, ale nóż oddano do depozytu „złodzieja”, a nie - jak by należało, gdyby się nie przyznał - do depozytu więziennego. Skończyło się podrzucanie noża, a „klawisz” stracił bardzo ładną zabawkę, gdyż nigdy do depozytu, po ukaraniu więźnia, tego noża nie oddawał.

Te dwa przykłady dobitnie świadczą o prymitywizmie starych „klawiszy”.

Młodym „klawiszom” przydzielano na początku najtrudniejsze oddziały i najbardziej sfrustrowanych „gitów”, którzy również starali się dawać nowym do wiwatu. Sprzyjała temu zasada, że nowi, jako ludzie lepiej wykształceni, od razu dostawali funkcję wychowawcy, a nie biegali po korytarzach z kluczami,

otwierając i zamykając cele. Przydzielano też nowym najgorsze pokoje (czytaj: cele), stare sprzęty i zmuszano do jak najczęstszych dyżurów poza godzinami pracy.

„Starzy” trzymali się razem. Nie chcieli żadnych zmian. Przestrzegali przepisów i ze wszystkiego robili tajemnicę. O wtajemniczeniu nowych nie było mowy. Musieli oni sobie radzić sami z każdym niemal problemem..

Naczelnicy byli już jednak w tym czasie doświadczonymi profesjonalistami. Przyjaciel opowiadał mi o przypadku, kiedy naczelnik przeprosił go nawet za swoją mylną decyzję (i karny raport), którą podjął na skutek donosu. Na ogół naczelnicy - zwykle byli wyżsi oficerowie z wojska, odkomenderowani na te stanowiska służbowo - mieli już pewną klasę.

„Młodzi” zresztą bronili się, jak mogli. Przede wszystkim, po pewnym czasie, zaczęli działać w grupie, również donosili i pisali raporty. Przyjęli też taktykę swoich adwersarzy i robili różne złośliwe kawały.

„Pewnego dnia - wspomina jeden z «klawiszów» - wyznałem do oglądania telewizji jednocześnie wszystkich cichych informatorów mojego oddziałowego. Obserwowałem ich przez miesiąc i na własny użytek zrobiłem sobie listę. Kiedy ich razem zobaczyłem, bardzo się przestraszyłem. Nie mogłem dojść, skąd mam takie informacje. Sądziłem, że wśród jego informatorów mam też swoich kapusiów. Zdenerwowałem się tak bardzo, że zaprosiłem mnie do swojej celi (pokoju), tam otworzył pół litra, które wypiliśmy po wojskowemu, na jeden raz dwiema szklankami”. Od tej pory zostali przyjaciółmi. „Stary” poznał się na inteligencji „młodego”.

Po jakimś czasie na roboczych naradach „młodzi” zaczęli otwarcie występować przeciwko „starym”. Krytykowali ich podejście do więźniów, bezdusność, pragmatyzm, złośliwość i sadyzm. Udowadniali, że praktyki „starych” negatywnie odbijają się na resocjalizacji skazanych i więzienie opuszcza więcej kryminalistów, niż się ich w nim zamyka. Nawet jeden z najbardziej energicznych ułożył pierwszy chyba słownik „grypserów” i udowodnił, że jej znajomość nie przeszkadza, lecz pomaga w pracy.

„Starych” denerwowały opowiadania „młodych” o ich studiach, kontaktach z profesorami, wykładach i seminariach. Czuli się wtedy jak pracownicy drugiej kategorii. A o to właśnie „młodym” chodziło. By „starzy” stracili tę pewność siebie.

„Młodzi” chodzili też zawsze zadbani, w wyprasowanych mundurach, ogoleni. Nigdy nie pili w pracy. Uczyli się nawet ostentacyjnie języków obcych - śmieszne to było, bo po co „klawiszowi” angielski. Ich żony zjawiały się na wspólnych oficjalnych imprezach ubrane jak żony ambasadorów na przyjęciach

dyplomatycznych. Dzieci posyłano do szkół plastycznych, muzycznych i bardzo dbano, aby o żadnych kłopotach rodzinnych nie wiedziano w pracy. W ten sposób „młodzi” bronili się przed zwykłym chamstwem.

Ale musieli również walczyć o swoją pozycję na zewnątrz kryminału.

Opinię społeczną dawno spisali już na straty, ale nie mogli zrozumieć, dlaczego nie szanowała ich ani prokuratura, ani młodszy sędziowie. Za każdym razem, kiedy dochodziło do kontaktów z milicją, dawano im dotkliwie odczuć, że są gorsi. Do podobnych sytuacji dochodziło też na wczasach w ośrodkach wypoczynkowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z których korzystali młodzi „klawisze”; już po pierwszej wódce na pierwszej zabawie, kiedy funkcjonariusze MO dowiadywali się, że piją z „klawiszem”, robili to na ogół po raz ostatni.

Zdarzało się też, że któryś z młodych „klawiszy” przebrał miarę w picciu, a pili (chcąc zrelaksować się po stresach) ostro, i dostał się w ręce patrolu milicji. Korowody z wyciągnięciem ich z aresztu trwały godzinami.

Kiedyś dwóch pijących w restauracji „klawiszy” znalazło gazetę, w której wyczytali, że na pobliskim rogu zakwitły kasztany - była bowiem wiosna. „Zrobili” jeszcze pół litra i powędrowali obejrzeć te kwitnące kasztany - trzeba przyznać, że jak na „klawiszy” byli bardzo sentymentalni. Nie skończyło się na oglądaniu. Weszli na drzewo i mimo interwencji patrolu MO nie chcieli, a może nie potrafili zejść. Siedzieli na gałęziach i śpiewając „Międzynarodówkę” wymachiwali milicjantom legitymacjami służbowymi. Zejść z drzewa pomogła im dopiero specjalnie sprowadzona w tym celu straż pożarna. Naczelnik musiał w komisariacie podpisać protokół i mnóstwo dokumentów, a milicjanci wyraźnie dawali mu odczuć, że „klawisze” są administracyjną hołotą.

Zdarzały się też pijaństwa w więzieniu. Pijany „klawisz” otworzył trzy cele i naubliżał „złodziejom”. Inny znowu upił się w pracy tak, że nie mógł trafić w bramę, którą wjeżdżają ciężarówki z zaopatrzeniem.

Zgodnie z przepisami i regulaminem służby więziennej „klawisze”, tak jak wojsko i milicja, nie podlegali kolegom orzekającym. Ukarać mógł ich tylko naczelnik więzienia - oczywiście jeśli było to wykroczenie, a nie przestępstwo. Kara wymierzana przez naczelnika była zwykle bardziej dotkliwa. Mogło to być nawet wstrzymanie awansu na dwa, trzy lata, co odbijało się poważnie na zasobach finansowych ukaranego, podczas gdy wyrok kolegium sprowadzał się do jednorazowej kary pieniężnej, i na tym się kończyło. Delikwent mógł też stracić pracę, co było największą karą.

Obowiązywała zresztą solidarność. Naczelnik karał ostro, ale nie pozwalał

na afery poza zakładem. Kiedyś zarzucano jednemu „klawiszowi”, że spił się jak świnia i spowodował wypadek samochodowy, i radzono naczelnikowi oddać sprawę do prokuratora.

- Zachował się jak świnia, uciekł z miejsca wypadku - stwierdził któryś ze „starych” oddziałowych.

- Tak, ale to nasza świnia - powiedział naczelnik i sprawy prokuratorowi nie oddał.

Kiedy „moi” „klawisze” wstępowali na służbę, naczelnik dał im polecenie-radę, aby unikali knajp, gdzie mogliby spotkać ludzi z marginesu.

Czasu wolnego było zresztą bardzo mało. W soboty pracowało się też sześć godzin (poza dyżurnymi) i zostawała tylko niedziela - na ogół dla rodziny. W sobotę po pracy mój przyjaciel wraz z kolegami „klawiszami” kupowali czasami parę butelek i aby wykonać zalecenie groźnego naczelnika i nie łązić po knajpach, szli do pobliskiego lasu na tyłach więzienia i tam, tak by nie widzieli ich z okien więzienia „złodziej”, pili „z gwinta” (z butelki). Chodzili też na swoją melinę do „baby”, która na zakąskę dawała im gotowane kartofle z masłem.

Rozrywek w ogóle było mało, ale załatwiano bilety do teatru, czasem chodzono do kina. W tamtych czasach były to akcje obowiązkowe, tak jak prasówki. Niestety, zawsze otaczały ich te same twarze innych „klawiszy”. Zresztą nawet podczas obowiązkowych wspólnych grzybobrań starzy „klawisze” zbierali grzyby osobno, a młodzi osobno.

Później, kiedy „młodzi” już bardziej się zintegrowali i poznali, i doszli do wniosku, że nie ma wśród nich kapusia, spotykali się czasami, by grać w brydza lub w kierki. Od społeczeństwa, a nawet od swoich byłych kolegów szkolnych byli jednak praktycznie odizolowani. Nadal wisiało nad nimi odium powojennych „klawiszy”, którym nikt nie ufał i którymi pogardzano.

Sprawą prestiżu „klawiszy” zmieniła się dopiero na początku lat siedemdziesiątych. Zaczęto zagospodarowywać Bieszczady, rozbudowywać przemysł. Zatrudniano wtedy masowo więźniów, z których wreszcie był jakiś pożytek. „Propaganda sukcesu” przeniosła się niejako na więziennictwo, co postawiło w lepszym świetle zarówno „klawiszy”, jak i „złodziei”. Nie mówiono już, że w więzieniach męczy się ludzi, ale zastanawiano się, dlaczego więźniowie nic nie robią i żyją kosztem społeczeństwa. A że pracują - to dobrze, mówiono.

Zmieniły się również stosunki wśród samych „klawiszy”. „Starzy” odchodzili na emeryturę lub umierali. Do więzień przychodzili nowi, na ogół bardziej wykształceni młodzi ludzie. Często nawet z powołania. Bywało, że i po wyższych studiach. Wprowadzali nową atmosferę i zwyczaje. Lepiej się pracowało.

Ale przy kontaktach z ludźmi z zewnątrz nawet teraz pozostał u „klawisz” pewien uraz.

Kiedy „klawisz” wchodzi do restauracji czy kościoła, uważnie się rozgląda, czy nie zobaczy znajomego „złodzieja”, którego trzymał parę lat w celi. Jeśli go zobaczy, to nigdy nie jest pewien jego reakcji. Ale „klawisze” sprawiedliwi w „pudle”, są również poważani przez „złodziei” na wolności. Ci nie lubiani mogą się na wolności obawiać wszystkiego.

Mój przyjaciel twierdzi, że kiedy idzie ulicą, kłania mu się masa łobuzów. Nie pamięta wszystkich, jeśli już pamięta, to głównie numery paragrafów kodeksu karnego w związku z którymi siedzieli w „pudle”. „Złodzieje” kłaniają się również dlatego, a czynią to zwykle recydywiści, „git-ludzie”, gdyż nigdy nie są pewni, czy kiedyś znowu nie będą od „klawisza” uzależnieni. W złej sytuacji są ci „klawisze”, którzy ze „złodziejami” handlowali i nie daj Boże na czymś ich oszukali. Taki „złodziej” zapamięta to dokładnie i może na ulicy „klawiszowi” dołożyć. No, ale nic dziwnego. Tak było kiedyś. Jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych. Teraz jest o wiele gorzej.

Wszyscy „klawisze”, z którymi rozmawiałem, twierdzą zgodnie, że takiego zalewu przestępczości jeszcze nie było. Jak poradził mi jeden, teraz najlepiej kupić sobie dwa pistolety magnum 45. Jeden na gaz, a drugi na ostrą amunicję, i nosić je pod obiema pachami. „Trzeba tylko zrobić sobie ściągawkę, z którego najpierw strzelać, tak, aby się nie pomylić” - dodał.

Rzecz w tym - twierdzą „klawisze” - że kiedyś półświatkiem rządili „git-ludzie”, a teraz „biznesmeni”. Zmieniło to całkowicie wszystkie kryteria, bo nie ma już dawnych autorytetów. Wkrótce będzie tak jak na Zachodzie. Do sklepu przyjdzie dwóch elegancko ubranych panów z walizeczkami i zaproponuje ochronę. Jeśli właściciel odmówi, następnej nocy zdemolują mu lokal. Zbliża się panowanie mafii - twierdzą „klawisze”. A przecież oni najlepiej znają to środowisko.

Do tego dochodzi przestępczość międzynarodowa, różne ormiańskie i rosyjskie gangi, mające w Polsce coraz większe wpływy i powoli nawiązujące coraz ściślejsze więzy z naszymi rodzimymi bandytami i złodziejami.

Wszystko to zmienia sytuację jakościowo, nie mówiąc już o ilościowym wzroście przestępczości, co wynika również z bezrobocia i ubóstwa społeczeństwa. Wkrótce jedna połowa Polaków będzie łapać i pilnować drugą połowę.

- Gdyby teraz wybuchły jakieś rozruchy lub zamieszki, to tak jak w stanie wojennym żona otwierałaby drzwi i stawałaby za nimi, a ja, z pistoletem, z łazienki,

która jest na wprost drzwi wejściowych, mierzyłbym w gościa, być może nie pożądanego - powiedział mi „klawisz”.

Ostatnio doszło nawet do pobicia dyrektora zakładu poprawczego. Zrobiono to podobno spontanicznie, bez nakazu „starszyny”. Kiedyś, jak twierdzą „klawisze”, była to rzecz nie do pomyślenia.

Mimo to „klawiszom” żyje się teraz lepiej niż kiedyś.

W końcu lat osiemdziesiątych były jeszcze kłopoty z naborem. Brakowało zwłaszcza pedagogów (czyli wychowawców), lekarzy i różnych specjalistów, głównie w jednostkach położonych w małych miejscowościach. Powody były różne. Nikt nie chciał pracować z przestępcami, a ponadto większość studiów humanistycznych jest sfeminizowana - kobieta zaś ze „złodziejami” pracować nie może. Nit ma u nich żadnego autorytetu. W 1988 roku brakowało 1126 osób, ale już w pierwszej połowie roku 1989 podania o zwolnienie ze służby złożyło ponad 250 osób. Odchodziły głównie osoby młode, poniżej 38 roku życia i poniżej 5 lat stażu pracy. Jako przyczyny podawano przede wszystkim: uciążliwość służby, stałą dyspozycyjność, przeciążenie dyżurami i dodatkowymi zajęciami w pracy, zmęczenie psychiczne, niewspółmierność wymagań do wynagrodzeń, niepopularność służby w społeczeństwie i niski prestiż zawodu, brak mieszkań, nieatrakcyjne warunki socjalne i w końcu obawę przed niekorzystnymi zmianami pragmatyki służbowej, czyli pogorszeniem statusu „klawisza”.

Najbardziej jednak doskwiera wciąż współczesnym „klawiszom” brak szacunku w społeczeństwie. Są to obecnie ludzie wykształceni i inteligentni (po starej kadrze nie zostało ani śladu), mają jakieś wymagania intelektualne i bardzo odczuwają swoją izolację. Ci, którzy nie mają wyższego wykształcenia, mogą kończyć studia zaoczne. Nauka jest warunkiem awansu i lepszych uposażeń.

W końcu lat osiemdziesiątych wyższe wykształcenie miało już 68,2% pracowników pełniących funkcje oficerskie. Studiowało 10,3%. Z podoficerów średnie wykształcenie miało 55% osób, a 9,5% uczyło się w szkołach średnich, w tym przede wszystkim w Liceum Penitencjarnym dla Pracujących.

Na wszelki jednak wypadek większość „klawiszy” wpisuje swoim dzieciom do szkolnej ankiety „pracownik Ministerstwa Sprawiedliwości”, a nie „funkcjonariusz więziennictwa”. Mają nadzieję, że kiedyś nie będą musieli tego robić. Wobec ludzi, którzy ich nie dyskryminują, są ufni i serdeczni. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Mają jeszcze jedną godną zazdrości cechę, na miłą rozpoznają cwaniaka i odróżnią go od normalnego człowieka, ale nie dadzą tego po sobie poznać.

Ostatnio nabór do pracy w więziennictwie jest łatwiejszy ze względu

na postępujące bezrobocie. Z więzieniem „przeprosiło się” nawet kilku znajomych „klawiszy”, którzy kiedyś zrezygnowali z pracy. Dla przykładu, w jednym z zakładów są trzy wolne miejsca, a w drugim cztery, i to tylko praca w ochronie, czyli najbardziej niewdzięczna. Prawdopodobnie te wakaty nie będą czekały zbyt długo.

Zwykły „klawisz” żyje obecnie na średnim poziomie. Na „dzień dobry” dostają: strażnik około 3 milionów złotych, wychowawca - 3,5 do 4 milionów, oddziałowy, po trzech latach pracy, 3,5 miliona (dane z marca 1993 r.). Naczelnik zarabia godziwie, bo około 7 milionów.

Trzeba jednak pamiętać, że w porównaniu z innymi zawodami praca „klawisza” jest niewspółmiernie ciężka i niewdzięczna. Ostatnio robi się pewne eksperymenty. Wychowawcy pracują co drugi dzień, ale ochronę obowiązują zmiany całą dobę. Raz pracuje się w nocy, raz w dzień. Do tego dochodzą dyżury. Zakład nie może pozostać bez opieki. Dyżury są też w święta, nawet w Wigilię i Boże Narodzenie.

W razie awantury, buntu, głodówki alarmowana i ściągana do pracy jest cała załoga - bez wyjątku. Nieraz trzeba interweniować siłą. „Klawisze” muszą umieć się bić, posługiwać pałami, gazem łzawiącym, tarczą. Muszą być koleżeńscy i zgrani w każdej akcji. Ryzykują bowiem życiem. Ze zbuntowanymi „złodziejami” nie ma żartów. I to wszystko za (mniej więcej) średnią pensję krajową. Byle handlarz na bazarze uśmiełby się do rozpuku, gdyby zaproponowano mu takie wynagrodzenie za podobną pracę.

W pracy i poza nią obowiązuje „klawisza” pragmatyka zbliżona do wojskowej. Pisze się raporty i melduje przełożonemu. Tak jak w wojsku są stopnie i funkcje. Ważniejsza jest funkcja. „Klawisze” mają też stopnie wojskowe. Awansuje się tak jak w armii. Na przykład, jeśli „klawisz” nie narozrabia - czeka na awans z podporucznika na porucznika dwa lata, ale już z kapitana na majora - siedem lat. Bardzo trudno dostać pułkownika.

W zakresie urlopów „klawisze” mają pewne przywileje. I chyba słusznie. W zasadzie mają 26 dni, ale po 10 latach - dodatkowo pięć dni, po 15 latach - dziesięć, a po 20 latach - nawet trzynaście dni.

Wczasy spędzają w ośrodkach wypoczynkowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W marcu 1993 roku odpłatność wynosiła - w zależności od kategorii ośrodka - od 60000 do 90000 złotych za dobę. Dofinansowania już nie ma (kiedyś było, zwłaszcza gdy ktoś miał większą rodzinę). Ośrodki są ładne, chociaż coraz gorzej wyposażone. Ponieważ jednak „klawisze” są podporządkowani Ministerstwu Sprawiedliwości, bardzo często dostają skierowania na wczasy jedynie jesienią lub wiosną (w lecie na wczasy jeździ wyższa kadra więziennictwa), co koliduje z wakacjami ich dzieci.

„Klawisze” leczą się również w szpitalach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Najczęściej spotykane choroby „klawiszy” to różnego rodzaju nerwice, wraz z wrzodami układu wegetatywnego. Chorują też na serce - na ogół mają nadciśnienie. Niektórzy mają problemy z wątrobą - przyczyn nie trzeba chyba tłumaczyć. Cierpią też na skrzywienia kręgosłupa. To od ciągłego siedzenia nad papierami. Jest ich mnóstwo i zajmują „klawiszowi”-wychowawcy większość czasu. Oddziałowi na ogół mają żylaki. To od ciągłego biegania z kluczami i otwierania oraz zamykania cel. Dostają też uczulenia od żelaza, zwłaszcza od kluczy, z którymi się nie rozstają.

Pracują w niezbyt przyjemnych warunkach. Otoczeni kratami, sztabami i „złodziejami”. Siedzą tak jak „złodzieje”, z tym że ich cele nazywają się pokojami. Często chodzą po tych celach z kąta w kąt. Upodobniają się w ten sposób do „swoich” „złodziei”, czasami nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Znużony wychowawca od czasu do czasu czuje potrzebę ruchu. Ponieważ wraz z więźniami spacerować mu nie wypada, „klawisz” chodzi albo po korytarzu, albo idzie do innej celi - „klawisza” lub „złodzieja”. I to jest jego jedyna przerwa w pracy. Wskoczyć na kawę albo na zakupy nie może.

O wiele lepsze warunki ma starszyzna. Naczelnik i zastępcy. Oni siedzą w prawdziwych gabinetach. Jeden, w którym byłem, miał chyba ze czterdzieści metrów kwadratowych. A jakże, palma, biurko mahoń, stół konferencyjny i regał z „uczonymi” książkami oraz pucharami za zawody sportowe. Na widocznym miejscu stały kodeksy i książki prawnicze. Na ścianie, nad fotelem, oczywiście orzeł, oczywiście z koroną. Z orłami w koronach był kłopot. Nie można ich było kupić, a przyszedł rozkaz z ministerstwa, żeby powiesić. Ale od czegoż „złodzieje”? Jeden z nich, zdolny plastik, dorobił wszystkim orłom korony. Nawet nie widać, że są dorabiane. Obok orła wisi krzyż. To ostatnio. „Klawisze” mieli niezłą zabawę, kiedy jeden z naczelników - jak mówią - stary ubek, szybko się przeorientował i również powiesił krzyż. Ochrzczył nawet publicznie dziecko. Ojcem chrzestnym był podobno były pierwszy sekretarz dzielnicy.

Do „wybuchu” w Polsce demokracji nie mówiło się w środowisku „klawiszy” o religii. Było to tabu. Kto chciał, to wierzył, kto nie, to nie. Nie było problemu. Większość jednak chrzczyła dzieci, chociaż do kościoła nie chodziła.

Natomiast przynależność do partii była powszechna, choć nieobowiązkowa. Członkostwo było jednak warunkiem awansu służbowego i zapisywał się, kto mógł. Były oczywiście zebrania, ale na ogół nudne. W zasadzie partia w sprawie „pułda” nie interweniowała. Ostało się kilku „klawiszy”, którzy do partii nie wstąpili.



Teraz są górą i szybko będą awansować. Ale przecież nie można wyrzucić wszystkich partyjnych z pracy - było ich 95%, i kto by pilnował teraz „złodziei”, których zresztą przybywa.

Zapytałem wprost znajomych „klawiszów”, jakie konkretne korzyści mieli lub mają ze swojej pracy. „Złodziejami” przecież można się wystugiwać. Zgodnie stwierdzili - i to nie uzgadniając stanowisk - że korzyści takie mieli „klawisze” do połowy lat pięćdziesiątych. Budowano im domy, malowano mieszkania, reperowano samochody i bardzo popularne wtedy motocykle. Teraz jest o wiele gorzej. Choć zdarzają się wyjątki.

Na przykład znajomy mojego przyjaciela robił dyplom na dziennikarstwie z prasoznawstwa. Musiał dokonać pomiarów powierzchni poszczególnych fragmentów gazet i obliczyć je w centymetrach kwadratowych, potem ułożyć sporą statystykę. Znajomy poprosił przyjaciela o pomoc, a ten w osobnej celi zamknął matematyka i fizyka, przydzielił im tę pracę, dał kawę, wodę sodową i ciastka. Odwalili robotę w tydzień. Znajomemu przyjacielu zajęłoby to ze dwa miesiące. „Złodzieje” byli bardzo zadowoleni - mieli co robić. Ale najbardziej zdumiony był profesor, który tę pracę przyjmował. Nigdy jeszcze takiego tempa nie widział i serdecznie pogratulował swojemu studentowi pracowitości.

„Klawisz” może natomiast zanieść do warsztatu część samochodową, na przykład prądnicę, i tam ją zreperować. Do więzienia samochodem wjechać nie wolno. Oczywiście naczelnik może. Jak wszędzie są równi i równiejsi. (Naczelnik ma zresztą do dyspozycji samochód służbowy, jako jedyny w „pudle”. Jeśli „pudło” jest małe, może mieć tylko prywatny).

W więzieniu „klawisz” może się u „złodzieja” ostrzyć i ogolić. Darmo. Poza tym może uszyć sobie garnitur, jeśli jest dobry krawiec. Może kazać zreperować jakiś sprzęt gospodarstwa domowego - mikser lub żelazko. Może podzelać buty. Dać mundur do pralni. Wziąć prysznic. Zjeść posiłek - gwarantowane, że się nie zatruje, jak w restauracji. I to chyba wszystko.

Zdaniem mego przyjaciela istnieją trzy grupy „klawiszów”.

Pierwsza to ci, którzy lubią i szanują swój zawód. O nich tu pisaliśmy.

Druga grupa to „nijacy” - tym jest wszystko jedno, gdzie pracują i z kim pracują. Z równym powodzeniem mogliby pracować w PGR lub w pralni.

Trzecia to ludzie, którzy chcą w więzieniu coś załatwić lub - co może wydać się śmieszne - zarobić. Ci handlują, przemycają, noszą grypsy i paczki. Zdarzył się nawet wypadek, że „klawisz” ukradł coś z mieszkania żony „złodzieja”, która mu szykowała paczkę dla męża. Ci jednak są w zdecydowanej mniejszości.

Po pracy życie „klawisz” toczy się dalej, zależy jednak w dużej mierze od wielkości i położenia miejscowości, w której „klawisz” mieszka i pracuje.

W dużym mieście, niekoniecznie wojewódzkim, zwykły szeregowy „klawisz”, a nawet naczelnik więzienia - giną w tłumie, a ich życie nie różni się niczym szczególnym od życia innych.

Dość uciążliwe są jednak dojazdy do pracy. Większość więzień w dużych miastach położona jest na peryferiach. Przedsiębiorstwom komunikacyjnym nie opłaca się utrzymywać specjalnych linii autobusowych dla „klawiszy”. Dojście do zakładu poprzez ulice i pola najczęściej nie oświetlone, a zawsze wyludnione, nie jest przyjemne. Można łatwo dostać w łeb od „złodzieja”, który już wyszedł z więzienia, a miał z „klawiszem” na pieńku. Toteż funkcjonariusze wolą czasem, po dyżurze albo przed nim - zwłaszcza gdy muszą pokonywać tę niesympatyczną drogę w nocy - spać w „pudle” lub odrabiać biurokratyczne zaległości.

Inaczej żyją po pracy „klawisze” w małych miasteczkach. Tam, gdzie są również garnizony wojskowe, „klawiszy” łączą z wojskowymi braterskie więzi. Razem grają w karty i piją gorzałę. Żony „klawiszy” zdradzają ich z wojskowymi, a żony wojskowych robią to samo z „klawiszami”. Dzieci wojskowych bawią się w więzienie, a dzieci „klawiszy” w wojsko. Kontrole naczalstwa są przeżywane i omawiane przez obie grupy bez względu na to, kogo dotyczą.

Czasami w takich miasteczkach zawód „klawisz” (tak jak i wojskowego) przechodzi z pokolenia na pokolenie - od dziadka do wnuka i prawnuka. Nie potrzeba tam młodych „klawiszy” szkolić tak intensywnie, jak w dużych miastach. Szkołą się sami w domu - dziadek uczy wnuka przy kolacji. Z drugiej jednak strony, rodzinne kręgi „klawiszy” stanowią zamknięte enklawy i każdy nowy „klawisz”, spoza środowiska, musi się do takiej enklawy wkupić, podporządkować się jej lub „przebić” siłą. W pierwszym okresie swojej pracy nie może on liczyć na żadną pomoc, a nawet wręcz przeciwnie - robi mu się różne małe trudności lub złośliwości, bo zdarzało się i tak, że w jednym zakładzie 90% pracowników stanowiły trzy, cztery rodziny.

W takim miasteczku „klawisz” już się oczywiście wyróżnia, jest znany i najczęściej nie lubiany, głównie ze względu na zawód, który wykonuje, zwłaszcza gdy musi pilnować kogoś z miejscowych. Im większym jest służbistą, tym mniej go ludzie lubią. Stąd i naturalne więzy przyjaźni z wojskiem i policją. Ich rodziny, jeśli siedzą, siedzą gdzie indziej. Powstają więc enklawy, w których wszyscy wszystko o wszystkim wiedzą. Kogo żona nie wpuściła pijanego do domu, kto sprzedał stary telewizor i kto komu zrobił nieślubne dziecko.

W lepszej sytuacji jest starszyzna „klawiszy”, zwłaszcza naczelnik. Ten należy do elity miasteczka, razem z księdzem, aptekarzem, burmistrzem, ordynatorem szpitala, a kiedyś i z pierwszym sekretarzem. Razem grają w karty i jeżdżą na wycieczki. W takim miasteczku naczelnik naprawdę dużo może. Podobnie jak komendant policji, który również jest figurą, zresztą więcej od naczelnika więzienia wie i więcej może załatwić.

W małych osiedlach „więziennych”, głównie w Bieszczadach, „klawisz” po pracy ma jeszcze inną sytuację. Skazany jest tylko na towarzystwo swoich kolegów, swojej rodziny - jeśli ją ma - i „złodziei”.

- Ze „złodziejami” łączy go zupełnie inne stosunki niż w dużym mieście - powstaje pewien trudny do określenia związek, czasami całkowicie przyjacielski. Tu rzadko się zdarza, aby „złodziej” miał pretensję do „klawisza” o to, że siedzi. Łączy ich zresztą wspólna praca, czasem bardzo ciężka. Bo trzeba wiedzieć, że wiele obiektów w Bieszczadach zbudowali (zwłaszcza w okresie „propagandy sukcesu”) „złodzieje” wraz z „klawiszami”. Drogi, mosty, domy, szkoły to często ich dzieło. Zdarzało się, że rozpoczynali budowę zakładu karnego od zera, od postawienia namiotów, potem ogrodzenia - aby nie można było uciec - a potem baraków. Pracowali jak pionierzy na amerykańskim Dzikim Zachodzie. To łączyło ich na pewno. Bywało i tak, że pobitemu na zabawie w pobliskiej wsi „klawiszowi” przychodzili z odsieczą - albo brali odwet na następnej zabawie - „jego” „złodzieje”, dając zdrowy „więzienny” łomot wieśniakom. Jednak generalnie „klawisze” w takich zakładach karnych byli całkowicie wyizolowani i pozbawieni jakichkolwiek cywilizowanych rozrywek. Teraz mają telewizję, wideo, porno, satelitę i piwo holenderskie. A jeszcze 5-8 lat temu pozostawały im wspaniałe lasy, jeziora, polowania, grzybobrania, no i gorzała pita przy każdej okazji, nawet czasem wspólnie z porządnymi „złodziejami”.

W takich środowiskach najlepiej mieli „klawisze” tubylcy, mieszkańcy okolicznych wsi. Zarabiali mniej, bo bez „rozłåkowego”, ale mieli babę na miejscu, krowę w zagrodzie i własne kiełbasy oraz bimber. Żyli zupełnie inaczej niż ci, którzy przyjechali w Bieszczady służbowo. Po pracy, jak prawdziwi chłopci-robotnicy, zajmowali się i zajmują własnym gospodarstwem, nie mają czasu na stresy i rozmyślania o tym, co robi żona w Warszawie czy Radomiu.

Na miejscowych „klawiszy” ci „zagraniczni” patrzą zawsze z zazdrością i nie zawsze ich lubią. Czasem dochodzi do otwartej, biurokratyczno-regulaminowej walki. Ale w końcu życie i praca zmuszają do kompromisów.

Wszystko to obserwują pilnie i z ciekawością „złodzieje”.

Gdybyś dostał się kiedyś do „pułta”, Drogi Biznesmenie, pamiętaj, że przy ocenie Twoich w nim możliwości jest bardzo istotne, gdzie siedzisz i kto Cię pilnuje. Problemy życiowe „klawiszy”, również prywatne, musisz znać nie gorzej od regulaminów i swoich własnych spraw, dzień „klawisza” po pracy jest dla Ciebie bowiem równie ważny, jak jego zachowanie na służbie. Stanowią nierozdzielny całość.

## VIII. Internowani

*„Najważniejsze to zabić czas”*

Ze wspomnień internowanego

W tego typu publikacji nie sposób pominąć internowanych w stanie wojennym działaczy politycznych, głównie „Solidarności”. Na rynku wydawniczym ukazało się ostatnio mnóstwo wspomnień z okresu stanu wojennego, w tym również wspomnień więźniów politycznych w latach 1981-1989, gdyż tak w istocie należy traktować internowanych. Wspomnienia te zostały zebrane przez wydawnictwo „Karta” i wydane, jako swojego rodzaju antologia, w roku 1991 pod wspólnym tytułem - „W stanie”. Wybrawszy z niej tylko wspomnienia internowanych, usiłowałem uporządkować je w taki sposób, aby dały one choćby przybliżony obraz warunków życia, nastrojów, zachowań i postaw internowanych. Zdaję sobie sprawę, że jest to obraz niepełny. Jak piszą we wstępie autorzy „W stanie”, postanowili oni podjąć pracę dokumentującą czas stanu wojennego: „... próbowaliśmy zdobyć się na dystans wobec wspólnych przeżyć, fobii, nadziei (...) Korzystaliśmy tylko z zapisów powstałych spontanicznie, w naturalnym odruchu, nie tworzonych na nasze zamówienie. Z fragmentów, w sumie tysięcy przejranych dokumentów - relacji, dzienników, notatek, listów, grypsów, wierszy, spisanych nasłuchów radiowych, wywiadów - wyłaniać się zaczął nie dostrzegany dotąd obraz ^wewnętrznej okupacji»,„.

Tak więc autorzy wyboru, z którego głównie zaczerpnąłem materiał do tej części książki, podkreślają swój obiektywizm i dystans do tematu. Niewątpliwie sprzyjał temu czas, dziesięć lat, jakie upłynęły od stanu wojennego do wydania „W stanie”. Przyjmując to w dobrej wierze za prawdę i tylko prawdę, można uznać, że i nasz wybór (z wyboru) wspomnień internowanych działaczy powinien być rzetelny.

Cała nasza publikacja stara się oddać Czytelnikowi dwa punkty widzenia - „klawisza” - i więźnia. Podobną konwencję utrzymujemy w tym trudnym i być mo-

że nieco kontrowersyjnym dla niektórych rozdziale. Przedstawiamy wspomnienia internowanych oraz punkt widzenia ludzi, którzy ich pilnowali, czyli „klawiszy”.

Zacznijmy zatem od internowanych. Na początek kilka słów wprowadzenia dla młodych, słabo pamiętających ten czas, Czytelników.

Internowanie rozpoczęło w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Miało ono na celu odebranie możliwości działania opozycji. Jak stwierdzał dekret o stanie wojennym, były to działania zapobiegawcze. Nie będziemy tu wnikać, czy rzeczywiście Polsce groziła interwencja państw Układu Warszawskiego, czy groził strajk generalny po zapowiadanych manifestacjach na 18 grudnia. Zostawmy to historykom.

W przemówieniu z 13 grudnia generał Jaruzelski powiedział, że internowano „ekstremalnych” działaczy „Solidarności” i „nielegalnych organizacji antypaństwowych”, a także „kilkadziesiąt osób, na których ciąży osobista odpowiedzialność za doprowadzenie w latach siedemdziesiątych do głębokiego kryzysu czy za nadużywanie stanowisk dla osobistych korzyści”. 16 grudnia „Trybuna Ludu” podała trzydzieści dwa nazwiska internowanych osób, które zajmowały „kierownicze stanowiska”. Byli to między innymi: były pierwszy sekretarz KC, dwóch byłych premierów, czterech wicepremierów, dziesięciu wojewodów. O ile obecnie wiadomo, osoby te nie zostały internowane w więzieniach, lecz w ośrodkach wczasowych. Warunki były tam zupełnie znośne, chociaż podobno Piotr Jaroszewicz narzekał na małe porcje masła.

Następnego dnia „Trybuna Ludu” podała listę internowanych działaczy „Solidarności” i innych organizacji antypaństwowych. Lista zawierała pięćdziesiąt siedem nazwisk. Na początku nie wymieniono Lecha Wałęsy.

Wałęsie wręczono decyzję o internowaniu dopiero 21 stycznia 1982 roku, z Wsteczną datą 12 grudnia. Internowaniem Wałęsy nie będziemy się tu zajmować. Właściwie cały okres spędził w komfortowych warunkach w pałacyku w Bieszczadach, grając z ochroną w ping-ponga i usiłując wymusić na Jaruzelskim spotkanie. Warunki Wałęsa miał na pewno lepsze niż aresztowani prominenci, dawni koledzy generała. Dowożono mu nawet małżonkę.

28 lutego podano - według oświadczenia ministra Kiszczaaka że od 13 grudnia 1981 do 26 lutego 1982 roku internowano 6647 osób, z których w „ośrodkach odosobnienia” przebywało 4095 osób. Natomiast wiceminister spraw wewnętrznych Stachura stwierdził w grudniu 1982 roku, że od grudnia 1981 roku internowano 10131 osób, ale liczba jednocześnie internowanych nie przekroczyła 5300 osób.

Tyle fakty historyczne i oficjalne oświadczenia. A jak się żyło internowanym?

Podstawowym i decydującym czynnikiem było miejsce internowania. Były ich trzy rodzaje: zakłady karne, ośrodki wczasowe - oczywiście odpowiednio zaadaptowane - oraz przystosowane do tego celu ośrodki na terenach wojskowych. O tych ostatnich milczą dostępne teksty, me-muary internowanych i czynniki oficjalne. Prawdopodobnie o przydziale w większości przypadków decydowały warunki „lokalowe” w poszczególnych województwach czy okręgach wojskowych. Tam, gdzie brakowało miejsca w zakładach karnych i aresztach, wojsko, SB i milicja organizowały „miejsca odosobnienia” -jak to eufemistycznie oficjalnie określano - w ośrodkach wczasowych. Pamiętajmy, że było to zimą i większość ośrodków stała pusta.

Ci, którzy do nich trafili, na pewno wygrali. Nie siedzieli w celach, tylko w pokojach, w większości przypadków mieli do dyspozycji parki i wybiegi lub las. Ograniczeni byli nie więziennym murem, lecz zwykłą siatką. Również regulaminy i warunki bytowe mieli z pewnością mniej dokuczliwe niż osoby umieszczone w zakładach karnych i aresztach. Lepsza była obsługa i nie „opiekowali się” nimi zawodowi „klawisze”, z natury rzeczy przywykli do więziennego porządku. Tak opisuje „internatowe” życie Waldemar Kuczyński, przeniesiony z więzienia do Jaworza:

„Stołówka standardowa, wczasowa, ale po żarciu z platerów na ordynarnych taboretach i stołach, w sąsiedztwie szaletu, czuję się, jakbym wchodził do luksusowej restauracji. Rzędy stołów pokryte białymi obrusami. Dla nas ten przy oknach. Eskorta i wolnościowi zajmują sąsiedni. Po przeciwnej stronie personel kuchni i chyba kelnerzy. Kilka młodych chłopców w wojskowych spodniach i białych kurtkach. Przyglądają się nam z zaciekawieniem i nie ukrywają życzliwością. Na stołach fajansowe dzbany z herbatą - słodką. Normalna zastawa. Filiżanki, spodki, noże, widelce. Wszystko ładnie ułożone. Papierowe serwetki, wiklinowe koszyki wysłane lnianymi serwetkami, a w nich pokrojony chleb. Kelnerzy roznoszą talerzyki. Złota klatka ujawnia swój dobrobyt (...) Przed każdym przyzwoitą porcją szynki i wczasowa porcja masła!”

Było to 21 grudnia 1981 roku; wtedy o szynce mógł w Polsce zwykły obywatel tylko marzyć.

Inny internowany 3 stycznia 1982 roku wspomina:

„Ludzka dobroć powoduje, że odżywasz się nie gorzej niż Stefan Olszowski, a oficerowie SB [autor wspomnień myli ich z pewnością z „klawiszami” - przyp. K.K.] łakomie patrzą na twój zapas papierosów. Ale kradną rzadko. Jesteś bowiem wizytówką liberalizmu gen. Kiszczaka.

Odwiedza cię MCK, Prymas Polski, a nawet kamienni osobnicy, nazywający siebie posłami na sejm...”

Inaczej wspominają swoje warunki internowani, którzy trafili do zakładów karnych i aresztów śledczych. Dla nich szokiem było to pierwsze zderzenie się z więzienną rzeczywistością.

Późniejszy minister kultury i sztuki, Izabela Cywińska, tak wspomina swoje pierwsze chwile po aresztowaniu:

„We wnęce dwie duże, silne, gołe żarówki. Drewniana prycza wypełniała trzy czwarte celi, małeńki stoliczek wrosnięty w ścianę, kibel, plastikowy, czerwony, pełny, na pryczy koc, bardzo brudny, i również brudny podglówek od materaca. Upał. Duchota. Zostawiono mi papierosy, odebrano ogień. W judaszu coś się poruszyło, za moment otwarły się przed chwilą zamknięte z hałasem drzwi. Wszedł wysoki milicjant w mundurze i spytał się: «Pali?» Potem to pytanie powtarzało się mniej więcej co godzinę. Siedziałam na brudnej pryczy starając się niczego nie dotykać, paliłam papierosy i usiłowałam cokolwiek zrozumieć”.

Ktoś internowany w więzieniu Jastrzębie Sieradz tak opisuje warunki w celi:

„Lodowatą wodę w kranie mamy przeciętnie po pół godziny dziennie. Przez dwa miesiące nie mieliśmy nawet miednic do mycia, a w ciągu cotygodniowej dziesięciominutowej kąpieli trudno dobrze się umyć, skoro jeden prysznic przypada naraz na pięciu-sześciu brudasów (zdarza się, że namydleni wracamy do cel, bo «klawisz» zakręci wodę). W tej sytuacji nie zdziwiło nas pojawienie się wszy. Szczury wchodzą nam przez klozety do cel. Ogrzewanie działa tylko podczas wizyt delegacji - w czasie mrozów ściany wielu cel były pokryte lodem, a teraz kwitną wilgotnym grzybem...”

Opisywane tu warunki można uznać za ekstremalne. Nie sądzę, aby występowały w większości zakładów karnych, gdyż nie wytrzymałoby w nich recydywiści i zwykli więźniowie odsiadujący nawet krótkie wyroki. Ale fakty pozostają faktami. I takie sytuacje się zdarzały.

Fatalne wspomnienia mieli też niektórzy internowani z tak zwanych transportów. Halina Mikołajska tak to opisuje:

„... przed recepcję zajeżdża «więźniarka». Metalowa skrzynia bez okien. Pojazd widmowy, w którym wymioty zaczynają się po godzinie jazdy. Pudło z metalową ścianką dzielącą je na dwa przedziały tak wąskie, że osoby siedzące naprzeciw siebie nie mieszczą kolan, muszą się więc wzajemnie zaklinować. Twarde ławeczki, również waziutki. Siedzi się na czubku tyłka, na kości ogonowej. Pojazd jest nieresorowany”.

Z wielu relacji wynika, że największym problemem dla internowanych było nie złe traktowanie, pożywienie czy warunki, w których siedzieli,



lecz nuda i konieczność zabijania czasu. Bardzo aktywni przed aresztowaniem działacze „Solidarności” najbardziej przeżywali przymusową bezczynność.

„Sztuka zabijania czasu - notował w celi Marek Karpiński - polega na tym, żeby go nie dorznąć od razu, ale zaczynać powolutku, jak trzeba opatrzyć, jak trzeba - ożywić, i ... rznąć dalej. Zabijanie czasu dzieli się na grupowe i indywidualne. Zbiorowe zbrodnie dokonywane są przez codzienne czynności (spacer, posiłki) bądź też przez gry towarzyskie... Przez całe moje młode życie nie nagrałem się tyle w brydża, kierki, tysiąca, 66, garibaldkę, szachy, warcaby, wilka i owcę, domino, kości...

Indywidualnie można czytać, pisać i myśleć. Nie należy jednak z butami i głową ładować się już to w lektury, już to w przemyślenia. Spokojniutko trzeba, wolniutko, na luzie - relaks, równy oddech, swobodny krok (...). To po prostu nudne. Nudne jak flaki z olejem, jak mieszczkański pensjonat w niedzielne popołudnie”.

Wymienione tu gry towarzyskie, lektura, pisanie wspomnień i listów nie były jedynymi zajęciami internowanych.

Zajmowali się też oni różnymi robotami ręcznymi, do najbardziej popularnych należało robienie stempli, którymi oznaczano listy do rodzin i przyjaciół (miały one potem, i mają, dość dużą wartość filatelistyczną), oraz ekslibrisów.

„Zapanowała moda na robienie stempli, ekslibrisów, pocztówek etc. Dłubie się je pilnikiem do paznokci w linoleum wyrwanym z podłogi. Następnie zapisuje się do lekarza, skarżąc się na grzybicę. Otrzymuje się Pigmentum Castellans - fioletowe mazidło, za pomocą którego się drukuje. Tusze robi się też z pasty do butów i wkładów do długopisu. Każda ceta ma swój przepis... A całe to linorytnictwo ma jedną dobrą stronę - jest pracochłonne”.

Ktoś (autorzy „W stanie” nie podają, niestety, nazwiska, a szkoda) opisuje zabawę we władzę po jej przejęciu przez działaczy „Solidarności”:

„Utworzyliśmy rząd według pomysłu Jacka B. Mieliśmy prezydenta, u jego boku radę synarchiczną, dalej premiera, ministra spraw wewnętrznych, marszałka sił zbrojnych, sędziego sądu najwyższego, szefa związków zawodowych, przedstawiciela przemysłowców zrzeszonych w Narodowej Izbie Gospodarczej; senatora i dwóch posłów.

Izba poselska zażądała likwidacji rady synarchicznej jako zbędnej i obciążającej budżet państwa. Prezydent odwołał się do senatu, ale senat poparł dezyderat sejmu. W tej sytuacji, w myśl koncepcji Jacka, prezydent powinien ustąpić, ale sam pomysłodawca, pełniący właśnie tę zaszczytną funkcję, jakby o tym zapomniał. W krytycznej sytuacji minister spraw wewnętrznych wspólnie z marszałkiem dokonali

zamachu stanu, kapitał zwiął za granicę (czyli na górną pryczę), a związki zawodowe na wszelki wypadek ogłosiły strajk generalny. Nie widząc wyjścia z tego totalnego bałaganu i przesilenia gabinetowego, a nie chcąc ustąpić, prezydent oddał zamachowców pod sąd i - ponieważ posłowie nadal demagogicznie propagowali swe żądania - ogłosił stan wojenny...”

Czytając te wspomnienia po dziesięciu latach, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zabawa we władzę miała charakter proroczy. Ciekawe, kim jest teraz w III Rzeczypospolitej Jacek B., który tę zabawę wymyślił?

Innym zajęciem urozmaicającym życie internowanym były różnego rodzaju demonstracje. Wykorzystywano do tego celu wszystkie rocznice, które, jeszcze na wolności, obchodzili działacze opozycyjni.

„W godzinach rannych pierwsze grupy spacerowe na dyżurze «klawiszy» pomiędzy pierwszym i drugim pawilonem wymalowały znak «V» i znak Polski Walczącej - wspomina internowany w Strzebielinku działacz o pseudonimie Jan Mur. - Na wszystkich oknach pojawiły się małe plakaty okolicznościowe z orłem w koronie, trzymającym w łapach rulon z Konstytucją 3 Maja, i biało-czerwone flagi. Niektóre cele wystawiły kilkumetrowe, widoczne spoza muru więzienia, maszty z flagami. zagrała tu żyłka współzawodnictwa - która cęła zdoła wystawić wyższy maszt. Z trzeciego pawilonu jeden z «konstruktorów» wypalił maszt na osiem metrów w górę, zrobiony z listew stanowiących boazerię w świetlicy i powiązanych ze sobą systemem przemysłnych powiązań. Dyżurujący «klawisze» wpadli w popłoch, gdy okazało się, że prawie na ich plecach wymalowano symbole ruchu oporu, i nakazali więźniom ich wywabienie. Nie puszczało ani rozpuszczalnikiem, ani mydłem, kazano im więc w tym miejscu położyć świeży tynk. Po jego wyschnięciu znaki «cudownie» ujawniły się spod spodu. Tajemnica polegała na użyciu specjalnej mieszanki pasty do butów, oleju, sadzy - przez kolegów mających niemałe doświadczenie w tym względzie”.

Świętowano też hucznie dzień „Solidarności”:

„...porobiliśmy pochodnie. O dziewiątej wieczorem wszystkie trzy nasze pawilony zaczęły śpiewać. Nastroj niesamowity. Pochodnie wystawione przez kraty, a naprzeciw, w blokach, wszyscy okna pootwierali. „Rota”, „Boże, coś Polskę”, hymn... Przylecieli z pistoletami, stanęli, próbowali przeszkadzać...”

Przeprowadzano rozmaitego rodzaju akcje protestacyjne. „Dobre warunki, jakie tu mamy, tym bardziej nas rozkładają. Gdyby nie proklamowane od czasu do czasu głódówki czy inne akcje protestacyjne, gdyby nie redagowanie i zbieranie podpisów pod różnymi oświadczeniami - niektórzy zapomnieliby może, że są tu «za coś» - (i po coś)...”

Wojciech Wołyński, internowany w Ostrowie Wielkopolskim, tak opisuje jedną z takich akcji:

„Założyliśmy głodówkę; każdy złożył podanie do ministra spraw wewnętrznych, że ma dosyć bezprawia, plus prywatne pretensje, i wszyscy przystąpili 7 marca wieczorem. Byłoby nas 42, ale 8 marca jeden uciekł (...). Głodówka ma przebieg spokojny: w przepisach o internowaniu zapomnieli się zabezpieczyć na taką ewentualność i nie mogą stosować przymusowego dokarmu. Zresztą jest nas zbyt dużo, jedno dokarmienie to minimum jedna godzina plus cztery osoby obsługi (...) Panowie złodzieje, jak tylko usłyszeli, że zakładamy głodówkę, to zaraz się zadeklarowali iść z nami, wybijać blindy i w ogóle robić szum. Z trudem ich odciągnęliśmy, bo im policzono by za bunt. Co wyjdziemy na spaceriak, to ryczą z okien: «Komuna do piachu», «Czerwoni do więzienia, Solidarność do rządu», i wyryli na ścianie: «Solidarność górą, partia dołem:». Przyjemnie posłuchać”.

Wśród internowanych kwitło życie religijne. Można się domyślać, że oprócz wiernych i praktykujących katolików, których wśród internowanych było sporo, w obrządkach religijnych uczestniczyli również internowani niewierzący. Była to bowiem forma protestu z jednej strony i pewne urozmaicenie życia z drugiej. Poza tym wspólnota religijna dawała więźniom mocne poczucie solidarności i braterstwa.

Przeglądając wspomnienia internowanych ani razu nie spotkałem się z sytuacją, w której zabroniono by im praktyk religijnych.

„Życie religijne kwitnie. Coniedzielne msze. Codzienne modlitwy. Te ostatnie odbywają się przez okno. Początkowo miały charakter protestacyjny. Słyszałem kiedyś okrzyk: - Przeciwko czemu się dziś modlimy?”

Tak więc modlitwa, co widać tu wyraźnie, pełniła wśród internowanych również funkcje polityczne.

Księża natomiast spełniali, poza duszpasterstwem, także rolę nielegalnych pośredników w przekazywaniu korespondencji od internowanych do ich rodzin i przyjaciół.

„Wybacz, że mój list jest krótki i chaotyczny, ale piszę go podczas mszy - by go przekazać. Rezygnuję z moich obyczajów i chcę go podać przez księży. Przywiódłś mnie do grzechu. Wątek listu trochę się rwie, bo musimy klękać i wstawać - a pisać w tych chwilach i niestosownie, i nieporęcznie. Mszę celebrował Prymas, więc grzech był ciężki” - kończy swe wspomnienie jeden z internowanych.

Nieodłączną cechą wszystkich zamkniętych zbiorowości ludzkich jest wzrost poczucia humoru. Również internowani, mimo ogólnie przygnębiającej atmosfery, robili sobie i „klawiszom” różne kawały. Pozwalały im one przetrwać,

zabić czas i nudę. Pozwalały przez chwilę zapomnieć, gdzie są i co robią. Oto niektóre z żartów wspominanych przez internowanych:

„W celi 25 siedzą zamknięci na zasuwę trzej ubole. Przyjechali do roboty. Dostrzegli ich chłopaki idąc na mszę i zatrzasnęli zasuwę. Potem było oglądanie ich przez judasza. Zasłonili go kartką papieru. Wypchnęliśmy ją zapałą. Chowali się po kątach celi, starając się nie pokazywać twarzy”.

A oto inny dowcip:

„Komendant tutejszego ośrodka poinformował mnie, iż gdybym chciał zająć się jakąkolwiek formą twórczości literackiej - wspomina Antoni Pawlak - muszę w tym celu uzyskać zgodę «organu dysponującego». W związku z powyższym zwracam się z prośbą o pozwolenie napisania wiersza. Przewidywana tematyka utworu - tęsknota za kobietą. Myśl przewodnią planowanego utworu można streścić w następujący sposób - złą rzeczą jest rozłąka. W chwili obecnej trudno mi określić rodzaj metaforyki oraz metrum wiersza. Mogę przypuszczać, że wiersz skomponowany zostanie na zasadach tzw. czwartego systemu peiperowskiego z zachowaniem niektórych regularności informacyjno-syntaktycznych. Z góry dziękuję za pozytywne załatwienie podania”.

Robiono też kawały „klawiszom”:

„Ucieczka była prosta, jak z kiepskiego kryminału: szli do rentgena wolnościowego, poprosili do kibla, jeden zrobił zamieszanie, drugi uciekał...”

Albo:

„Dzisiaj dwóch świętych strażników: św. Procesy i św. Martyniana (pilnowali apostołów, św. Piotra i Pawła, i zostali przez nich ochrzczeni). Komendant więzienia i pozostali strażnicy dostają życzenia oraz piękne, ostemplowane laurki. Są zaskoczeni, ale widać, że jest im przyjemnie. Spotkanie zakończyło się wesoło”.

Internowani robili również kawały we własnym gronie, sobie samym. Wybrałem, moim zdaniem, najlepszy.

„Wczoraj w nocy za oknem wyły psy, nie dając mi się porządnie wyspać. O północy jakiś wesolek otworzył okno i zawołał:

- Internowani, internowani!
- Co, co? - odezwały się wszystkie cele.
- Ja was pozdrawlaju, ja toż internowany).

Posypały się przekleństwa”.

Trzeba zwrócić uwagę, że większość internowanych traktowała swoich strażników jak przygłupów. Wynika to wyraźnie z różnych, w tym również cytowanych tu, wspomnień. Zakładano też powszechnie, że „klawisze” są niewierzący.

Bez względu na to, czy „klawisze” byli dla internowanych źli, czy dobrzy, spokojni czy nerwowi, zawsze odnoszono się do nich pogardliwie i starano się im dokuczyć. Bardzo często uważano ochronę obiektu, w którym przebywali internowani, za pracowników służby bezpieczeństwa.

Na „klawiszach” wyładowywano też - co wyraźnie wynika ze wspomnień - wszystkie żale i frustracje. Można powiedzieć, że utożsamiano ich z decydentami partyjnymi, którzy spowodowali to uwięzienie. Na ogół czyniono to całkowicie bezkrytycznie.

Generalnie przeżycia działaczy „Solidarności” w ośrodkach internowania są o wiele mniej wstrząsające niż opisy samych aresztowań oraz pierwszych godzin pobytu w aresztach milicyjnych. Złe traktowanie i brutalne przesłuchania oraz warunki, w jakich musieli przebywać w pierwszych dniach po aresztowaniu, były w porównaniu z właściwym internowaniem, zwłaszcza w ośrodkach czasowych, zdecydowanie gorsze.

Poza zabijaniem czasu, nudą i monotonią internowani - jak wynika ze wspomnień - nie mieli wielu problemów. Ale mimo to problemy jednak istniały.

3 marca 1982 roku ogłoszono, że internowani mogą uzyskać zezwolenie na emigrowanie z Polski i część rzeczywiście skorzystała z tej możliwości. Automatycznie stali się oni dla wytrwałych opozycjonistów odszczepieńcami. Były to prawdopodobnie bardzo trudne decyzje. Istotną rolę przy podejmowaniu decyzji pozostania w kraju odgrywały naciski kolegów i księży. W jednym z cytowanych tu wspomnień po demonstracyjnej postawie księdza w czasie mszy następuje wycofywanie podań o emigrację.

„Już w trakcie drugiej mszy jeden z młodych kolegów przedał się do komendy obozu i zażądał oddania swego podania. Podał je na oczach zdumionego kpt. Marcinka i kpt. Biegaja. Inni zaś tłumaczą się, że tych swoich podań nie traktują poważnie. Chcieli się jedynie zabezpieczyć na wypadek, gdyby zostali bez pracy, oraz zobaczyć, czy tą drogą nie można szybciej wyjść z obozu, a na wolności zrezygnować z wyjazdu”.

Inni tłumaczyli swoją decyzję o emigracji fatalnymi warunkami w więzieniu. Jeszcze inni chęcią działalności politycznej gdziekolwiek, nawet za granicą. Jako przyczynę podawano też zły stan zdrowia.

Nie udało się mi uzyskać danych, ile osób skorzystało z możliwości emigracji politycznej.

Jeden z istotnych problemów rozważanych przez tych, którzy byli internowani w dobrych warunkach, wiązał się z obawą, że daje im się luksusy po to, aby skłócić ich z tymi, którym takich warunków nie zapewniono.

„- Coś taki ponury - pytam Ryśka Rubinsztajna, milczącego z zachmurzoną twarzą w kącie.

- Coraz bardziej mi się tu, kurwa, nie podoba - słyszę. - Jutro piszę podanie o przewiezienie do Białoleki. To jest perfidne. Oni chcą nas oderwać od robotników i skłócić. Potem powiedzą: zobaczenie, tamci wylegują się w Jaworzcu, a wyście nadstawiali dupy i teraz gnijecie w więzieniach, po co wam to było...”

19 grudnia 1982 Rada Państwa uchwaliła zawieszenie stanu wojennego z dniem 31 grudnia 1982 roku. Poinformowano też oficjalnie o zwalnianiu większości internowanych. Jednocześnie jednak aresztowano kilkunastu działaczy opozycji i zapowiedziano ich rozprawę sądową.

21 lipca 1984 roku sejm uchwalił ustawę o amnestii „z okazji jubileuszu 40-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Była to dziesiąta amnestia po wojnie. Objęła ona około 35 tysięcy osób. Według wypowiedzi ministra sprawiedliwości, Lecha Domerackiego, do 15 września 1984 roku w zakładach karnych przebywało „635 sprawców przestępstw przeciwko państwu lub porządkowi publicznemu”. Z tej liczby opuściło zakłady karne bądź areszty śledcze 630 osób. Lech Wałęsa opuścił miejsce internowania w listopadzie 1982 roku.

\*                      \*  
\*

Ogłoszenie stanu wojennego było dla „klawiszy”, tak jak i dla całego społeczeństwa polskiego, kompletnym zaskoczeniem. Wyżsi rangą „klawisze”, jak naczelnicy i ich zastępcy, dowiedzieli się o stanie wojennym około 1-2 w nocy 13 grudnia. Reszta funkcjonariuszy około godziny 3-4. Poinformowano ich po prostu, że transporty są w drodze i należy przygotować cele. „Góra” podała też orientacyjną, ale nieprecyzyjną liczbę internowanych, których należało zamknąć.

W tym jednak czasie więzienia były już przeludnione. Starsi Czytelnicy pamiętają z pewnością anarchię, jaka panowała przed ogłoszeniem stanu wojennego. Ponieważ praktycznie cała milicja (może z wyjątkiem „drogówki”) walczyła z opozycją, podziemiem, szukała nielegalnych drukarni i pałowała demonstrantów, „złodziejstwo” robiło w Polsce, co chciało.

W latach 1981 i 1982 wskaźnik przestępczości na 100000 mieszkańców wynosił około 213 osób (obecnie wynosi około 150, chociaż nie możemy powiedzieć, aby w Polsce było bezpiecznie). Obywatele organizowali komitety samoobrony, i z tego okresu datują się tak zwane społecznie strzeżone parkingi oraz pierwsze, nielegalne jeszcze wtedy, agencje ochrony. Z samochodów kradziono nawet benzynę, która była zresztą na kartki.

Z tej fali przestępczości milicja wyłapała niewielką część „złodziei”, ale to wystarczyło, by więzienia i areszty śledcze były przepełnione, kiedy w nocy z 12 na 13 grudnia napłynęła pierwsza fala internowanych.

W kryminalach wybuchła wśród „klawiszy” panika. Przede wszystkim pojawiły się problemy organizacyjne.

Jeśli chciało się na przykład zwolnić kilkanaście cel dla internowanych, trzeba było przenieść dokądś siedzących tam „złodziei”, co wiązało się z totalnym zaniechaniem dotychczasowej polityki selekcji. Musiano więc wsadzać razem „gitów” i „cweli”, „grypsujących” z „niegrypsującymi” czy „małolatów” z „recydywą”. Cały system izolacji, tak konieczny dla właściwej resocjalizacji skazanych, polegający na tym, aby jeszcze bardziej nie demoralizowali sami siebie, po prostu zawałił się w ciągu godziny. Podejmowano decyzje indywidualne najlepsze z możliwych, nie mając nigdy gwarancji, czy takie rozstrzygnięcie nie doprowadzi do bójki czy samookaleczenia jakiegoś protestującego „złodzieja”.

Następną kwestią było zaopatrzenie, głównie w żywność, której wtedy w Polsce nie było wiele. Skąd wziąć dodatkowe przydziały i kto miał tego dokonać, z jakiej puli, na czyje polecenie. Wiadomo było tylko, że nie można obciążyć racji „złodziejom”, bo wybuchnie bunt. A bunt w przeludnionym kryminale jest w stanie wyobrazić sobie tylko „klawisz”. O odzież się nie martwiono, chociaż naczelnicy zastanawiali się nad tym, jak internowani będą wychodzić na spacer, jeśli bezpieka przywiezie ich w garniturach - była przecież połowa grudnia.

Kolejną sprawą była opieka lekarska dla internowanych w razie jakiegoś wypadku. Do jakiego szpitala ich zawieźć, kto ma o tym zdecydować i w jakim trybie prawnym.

Największym jednak problemem dla przyzwyczajonych do niemal wojskowego drylu „klawiszy” były sprawy regulaminowe. Internowanych można było traktować jak skazanych, jak tymczasowo aresztowanych, jak recydywistów, jak „małolatów”. A co robić z kobietami? Każda grupa ma w „pudle” swoje przywileje i ograniczenia, zasady postępowania, a nawet zwyczaje. Każdy „klawisz” ma po kilku latach pracy pewne odruchy wobec każdej z grup i zupełnie podświadomie wobec nich się zachowuje i realizuje regulamin.

W tym okresie z Warszawy wydawano głównym „klawiszom” idiotyczne rozkazy (często szybko je odwołując). Do najbardziej kuriozalnych należał zakaz użycia broni. Przeżył ten rozkaz kilkanaście godzin i spowodował otwarte protesty „klawiszy”, którzy nie mogliby bronić swojego życia w razie buntu. Potem wprowadzono centralnie inne zarządzenie.

O użyciu broni miał decydować naczelnik więzienia lub jego zastępcy. Nikt nie wyjaśnił, w jaki sposób „klawisz” pilnujący kryminału ma się skontaktować z naczelnikiem, kiedy napadnie go trzech groźnych recydywistów. Ubocznym skutkiem tego idiotyzmu było to, że naczelnik i jego zastępcy na zmianę mieszkali w kryminale, gdyż na nich spoczywała cała odpowiedzialność. Jak twierdzą moi fachowcy, był to chyba jedyny tego typu wypadek w historii światowego więziennictwa.

Życie internowanych bez regulaminu trwało kilka dni. Wkrótce zdecydowano, że internowanych należy traktować tak jak tymczasowo aresztowanych. Później, na skutek nacisków różnych organizacji przykościelnych, kościelnych i kleru katolickiego, reżim dla tymczasowo aresztowanych był stopniowo łagodzony. Doszło nawet do tego, że internowani dostawali takie wyżywienie jak „złodzieje”, którzy pracują, czyli najwyższe normy. Zezwolono też na dowolną liczbę paczek, nieograniczoną korespondencję, której praktycznie, ze względu na jej liczbę, „klawisze” nie mogli kontrolować. Praktycznie też w niewielkim stopniu ograniczono możliwości widzeń z rodziną. Wbrew zdrowemu rozsądkowi dopuszczono internowanych do powszechnej informacji - mogli słuchać radia (I programu oraz dziennika telewizyjnego). Po każdej awanturze politycznej w kraju pobudzało to ich do protestów. Przejawiały się one głównie w śpiewaniu hymnu, „Boże, coś Polskę”, „Roty”, we wznoszeniu okrzyków ubliżających „klawiszom” i Jaruzelskiemu oraz w waleniu, czym popadnie, w kraty, okna, drzwi.

Zgodnie z regulaminem było to zakłócanie porządku, za co grożą w kryminale różne kary. Stosowano je rzadko, najsurowsza była kara twardego łóża, czyli spanie bez siennika i poduszki na samych deskach. Zdaniem „klawiszy” wymierzano ją sporadycznie, raczej nią straszono. Kiedy naczelnicy więzień pytali „górze”, czy nie zaostrić reżimu i kar, bo przecież może to doprowadzić do buntu, słyszeli odpowiedź: „Róbcie, jak uważacie”.

Z biegiem czasu następowała ewolucja stosunku „klawiszy” do internowanych. Początkowo obchodzili się z internowanymi jak z jajem. Starali się ich niczym nie urazić, nie obrazić, byli uprzejmi. Słowem, schodzili internowanym z drogi, łamiąc często-gęsto regulamin. „Klawisze” czuli się zażenowani swoją rolą. Toteż wyznaczanie do „opieki” nad internowanymi odpowiednich funkcjonariuszy było dla wszystkich naczelników kryminałów sprawą zasadniczą. Musieli wybierać „klawiszy” zrównoważonych psychicznie, znających dobrze swoją pracę i co najważniejsze pewnych politycznie, chociaż aktywna działalność solidarnościowa zdarzała się wśród „klawiszy” niezmiernie rzadko. Nie można było jednak wykluczyć, że „klawisze” znali internowanych z wolności, ze szkoły, z sąsiedztwa, a nawet z rodzinnego kręgu.



Ze swej strony szeregowi „klawisze” starali się unikać pracy z internowanymi. Twierdzili, że wolą zajmować się najgorszymi „gitami” i recydywą, bo to i bezpieczniej, i spokojniej, a przede wszystkim nikt nie poniża ich godności osobistej. Nie wiedzieli, który z internowanych naskarzy księdzu i z jakiego powodu. Obawiali się też o własne rodziny, gdyż internowani niekiedy otwarcie im grozili mówiąc, co zrobi podziemie polityczne z nimi samymi, z ich dziećmi i żonami. Skierowanie do pracy z internowanymi było więc dla „klawisza” karą, a nie wyróżnieniem. Zwłaszcza że większość została skoszarowana, a niektórzy zobaczyli swoje domy dopiero na Święta Bożego Narodzenia.

Stosunek internowanych do funkcjonariuszy był - zdaniem „klawiszy” - od początku, oględnie mówiąc, nieprzychylny. Tak jak niedorozwinięci recydywiści nie winią za odsiadkę siebie, prokuratora czy sędziego, tylko właśnie „klawisza”, tak i internowani całą swoją złość, nienawiść i rozgoryczenie przelewali na „klawiszy”. Robili, co mogli, aby obrzydzić im życie. Tak było przynajmniej z początku. Wkrótce jednak część internowanych, zazwyczaj po podpisaniu tak zwanej lojalki, została zwolniona do domu. Nieco później wypuszczono tych, którzy zadeklarowali chęć wyjazdu na Zachód.

W kryminale pozostały dwie grupy.

Pierwsza, najbardziej nieugięta, w dalszym ciągu walczyła z „klawiszami”, z upodobaniem im ubliżając. Druga, zdecydowanie większa, zachowywała się o wiele spokojniej. Oczekiwała ona na rozwój wydarzeń, nie chcąc z jednej strony mieć kłopotów w kryminale, a z drugiej nie chcąc wypaść ze środowiska solidarnościowego i stracić przyjaciół. Zdaniem moich znajomych „klawiszy” do tego ugodowego stanowiska przyczyniła się w poważnym stopniu właściwa i regulaminowa postawa - Bogu ducha przecież winnych - funkcjonariuszy, którzy prowadzili z internowanymi nie kończące się dyskusje na tematy polityczne i o tak zwanym życiu. Czasu było przecież dużo. W końcu obie strony wpadły w więzienną rutynę i zobojętnienie i oczekiwały normalności. To znaczy internowani czekali, kiedy wrócą do rodzin, a „klawisze”, kiedy wreszcie będą mogli zająć się tylko swoimi „złodziejami”. Słowem, czekano na koniec stanu wojennego.

Bardziej nieprzejednana wobec „klawiszy” była postawa rodzin internowanych. Niemal do samego końca większość kobiet odwiedzających swych mężów w kryminale, zachowywała się wobec „klawiszy” wrogo i z nienawiścią, ale i w tym wypadku życie i czas zrobiły swoje. Obie strony pogodziły się ze swoją obecnością i koniecznością kontaktów.

Natomiast postawę „złodziei” wobec internowanych „klawisze” oceniają jako ewolucyjną.

W momencie wprowadzenia stanu wojennego „złodzieje” byli bardzo, bardzo potulni. Żadnych protestów, awantur, głodówek, bójek. Nawet w tych celach, gdzie nie można się było doprosić o porządek, wszystko lśniło czystością, podłogi były wymyte, łóżka zasłane i kible wypucowane. Większość „złodziei” stan wojenny całkowicie zaskoczył. Byli przekonani, że naczelnik otrzyma większe uprawnienia i możliwości karania. Internowanych przyjęli niemal entuzjastycznie. Powodem było przekonanie, że coś wreszcie będzie się w tym „pudle” działo, zaczną się jakieś protesty, zakłócające normalny tryb życia w kryminale. „Złodzieje” zawiedli się jednak srodze. Internowani byli dość spokojni. Chociaż protesty miały miejsce, były jednak stosunkowo łagodne. Mimo to w niektórych zakładach karnych wybuchły bunty lub głodówki. Recydywa skorzystała z bałaganu i z braku szybkich i konkretnych postanowień dotyczących regulaminu dla internowanych. Nieraz „git-ludzie” wykorzystywali bunty internowanych sami przejmując inicjatywę i kierowanie awanturą.

Z biegiem czasu panowie „złodzieje” - jak o nich piszą sami internowani - stali się bardziej oziębli, zorientowali się, że „interna” ma coraz lepsze warunki, większe przywileje, częstsze widzenia, paczki i listy. Miała też najlepsze „koryto”, i dostawy żywności i papierosów z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Internowanych odwiedzały różne komisje, księża, biskupi, goście z zagranicy, a „klawisze” pieścili się z nimi coraz bardziej. Wszystko to wywoływało niechętną postawę „złodziei”, którzy czuli się wyraźnie pokrzywdzeni. Zadziałała tu czysto ludzka zawiść. Przyjaźń przeradzała się w niechęć, a potem w nienawiść, czego najlepszą oznaką był brak wspólnych demonstracji. Zdarzało się nawet, że kiedy internowani śpiewali, „złodzieje” gwizdali. Było to zresztą na rękę „klawiszom”, którzy wreszcie przestali obawiać się wspólnych zorganizowanych wystąpień obu grup. I tak zostało do końca stanu wojennego.

Kiedy internowanych wypuszczono, „klawisze” odetchnęli z ulgą. Natychmiast też zapędzono „złodziei” do naprawy łóżek, podłóg, malowania ścian, reperowania boazerii i sprzątnięcia cel, w których siedziała „interna”.

## *IX. Samoagresja „złodziei”*

*To nieważne, że się pociąłem, ważne, że mnie za krótko trzymali w szpitalu*

Z wypowiedzi „gita”

Ten rozdział pokazuje, co człowiek może zrobić złego sam sobie, dobrowolnie, z premedytacją, często tylko po to, aby przysporzyć lekarzowi czy „klawiszowi” roboty lub kłopotów. To pierwszy cel samouszkodzeń. Drugim jest chęć - jak to ładnie określają „klawisze” - zmiany warunków wykonywania kary. Choćby na parę tygodni opuścić zakład karny, pooglądać ludzi na wolności, podszczypywać siostry w szpitalach, zjeść trochę białego pieczywa i, jak się da, wypić sto gram kradzionego spirytusu. Są to rozrywki, Drogi Czytelniku, które są Ci obce i dla których nie poświęciłbyś z pewnością jednego z dwojga oczu, które dał Ci Pan Bóg. „Złodzieje”, a zwłaszcza „git-ludzie”, mają jednak inne zapatrywania. Dla nich każdy dzień w więziennym lub wolnościowym szpitalu to tak jak dla kogoś innego dzień spędzony na wakacjach na Majorce.

Cała sztuka „złodzijskiej” samoagresji polega na tym, żeby wywołać jak największe wrażenie, jak najdłużej być w szpitalu, a jednocześnie zrobić sobie jak najmniejszą krzywdę. Pojęcie „jak najmniejszej krzywdy” jest oczywiście względne.

Najdłużej w szpitalu „złodzieje” pozostają po zabiegach operacyjnych związanych z tak zwanymi połykami. Mniej doświadczeni łykają w zasadzie wszystko, co znajduje się pod ręką w celi. Mogą to być trzonki od łyżek lub widelców, uchwyty od kubków, kawałki sprężyn z łóżek. Przedmiot powinien być jednak metalowy, ponieważ jego obecność w żołądku albo w przełyku musi potwierdzić zdjęcie rentgenowskie.

Bardziej wyspecjalizowani „złodzieje” konstruują specjalne kotwice. Mogą być one pojedyncze lub podwójnej różnej wielkości. Biorą na przykład cztery druty i ostrzą je na końcach. Następnie przez środek przewiązują je innym drutem.

Potem wyginają właściwe ramiona drutów w formę kotwicy. Końcówki oblepiają chlebem lub obwiązują nitką tak, aby ostre końce nie zaczepiły się w gardle czy przełyku. Później łykają kotwicę, i spokojnie czekają, aż ruch robaczkowy przewodu pokarmowego doprowadzi ją do żołądka. Dopiero wtedy zgłaszają to wychowawcy lub oddziałowemu. Oczywiście takiego delikwenta prowadzą do rentgena, badają go lekarze i „złodziej” wędruje do szpitala. Jediną możliwością usunięcia kotwicy jest zabieg operacyjny, ponieważ chleb lub nitka rozpuszczają się w kwasach żołądkowych i kotwica na dobre zaczepia się o ścianki żołądka, a czasem jelita. Taka metoda nazywa się „połykiem na ostro”.

Inna metoda, „połyk na tępo”, polega na połknięciu kotwicy z końcówkami przewiazanymi drucikami nie rozpuszczającymi się w treści żołądkowej. Fachowiec wyjmuje ją z łatwością, gdyż nie zaczepia się o ściany żołądka. Dlatego do jej górnego oczka przywiązuje nitkę lub żyłkę, która utrzymuje kotwicę w pozycji pionowej. Koniec nitki (żyłki) przywiązuje sobie do zęba. Po rentgenie, kiedy lekarze stwierdzą połyk, „złodziej” sobie taką kotwicę spokojnie tą nitką wyciąga, czyli wyholowuje. Informuje o tym władze. Celem takiego „zabiegu” jest zwykle chęć uniknięcia zmiany kryminału, czyli tak zwanego transportu. Są osobnicy tak w tym procederze wyspecjalizowani, że nie można ich wysłać z jednego kryminału do drugiego normalnym transportem wraz z innymi „złodziejami”. Takiego specjalistę trzeba upolować bez kotwicy, skuć mu ręce, zaprowadzić do lekarza na obowiązkowe przed transportem badanie i dopiero wtedy można go wysłać. Zwykle już nie w więźniarce, lecz osobowym samochodem, komfortowo, indywidualnie, co zresztą „złodziejowi” bardzo odpowiada.

Furiaci, psychopaci i niezrównoważeni „złodzieje” połykają natomiast, co popadnie. Nie muszą to być kotwice czy części metalowe. Zdarzają się nawet kostki domina czy trzonki od szczotek do zębów. Takie przedmioty opuszczają zwykle ciało „złodzieja” odbytnicą albo są wyciągane specjalnymi urządzeniami przez doświadczonych chirurgów - górą lub dołem.

W podobny sposób jak do układu trawienia wprowadzają niektórzy fachowcy różne przedmioty do cewki moczowej. Są to specjalnie przystosowane, czasami w formie miniaturowych kotwiczek, odpowiednio zagięte druciki czy maleńkie sprężynki. Po - jak się należy domyślać - dość bolesnym umieszczeniu takiego instrumentu w penisie, dzięki funkcjonowaniu krwioobiegu przesuwa się on dalej i może się dostać do pęcherza. Zabiegu usunięcia instrumentu można dokonać tylko operacyjnie. Jedyne wyspecjalizowane w takich operacjach szpital znajduje się

w Łodzi. Ponieważ o tej specjalizacji wiedzą również „złodzieje”, szpital ten stał się w pewnym okresie bardzo modny. Dwóch kumpli w dwóch różnych kryminałach wsadziło sobie różne przedmioty do penisów, by po przetransportowaniu ich do tego szpitala móc się spotkać i spokojnie sobie pogadać. Dodatkową atrakcją stanowił oddział kobiecy, gdzie mogli podrywać panie-”złodziejki”. Warunkiem takiego samouszkodzenia jest jednak absolutna perfekcja, tak z operacyjnego, jak i technicznego punktu widzenia. Instrumentów przydatnych do tej operacji nie sposób wykonać w celi. Musi je zrobić dobry ślusarz w więziennych warsztatach, a wykorzystać bardzo doświadczony „git”. W przeciwnym razie można na zawsze stracić męskość. Leczenie w szpitalu trwa czasem i kilka miesięcy. A o to przecież tu chodzi.

Nieźłym pomysłem, gwarantującym dłuższy pobyt w szpitalu lub lecznicy, są tak zwane „wbitki”. Dokonuje się ich zaostrzonymi gwoździami. Wbić je sobie można w zasadzie w każdą część ciała. Najlepiej jednak skutkują „wbitki” w płuca, okolice serca lub w czaszkę - w szczelinę, którą ma czaszka między dwoma półkulami. „Wbitka” w czaszkę musi być bardzo precyzyjnie wykonana; z jednej strony nie może uszkodzić mózgu, a z drugiej, gwóźdź powinien jednak prawie go dotykać, tak aby na zdjęciu rentgenowskim wyglądało to wystarczająco groźnie.

Zdarzają się artyści, którzy potrafią w celi wkładać i wyjmować sobie gwóźdź z czaszki, ku zdumieniu i podziwowi kolegów, nie ponosząc przy tym najmniejszego szwanku. W tym celu drążą sobie w czaszce odpowiedni otwór, i tylko oni wiedzą dokładnie, w którym miejscu się on znajduje.

Dłuższy pobyt w szpitalu gwarantują też „wstrzyki”. W różne miejsca, ale najlepiej w staw kolanowy. „Złodzieje” wstrzykują sobie igłą lekarską osad z zęba, najlepiej z zęba kolegi, aby infekcja była stuprocentowa. W stawie tworzy się ropa i delikwent nie może chodzić. „Klawisze” wożą go więc i podtrzymują. Mają z nim duże utrapienie, zanim nie zostanie odwieziony do szpitala. Po takim „wstrzyku” można stracić nogę albo nawet umrzeć.

Popularne, bo nie wymagające ani zdolności chirurgicznych, ani specjalnych przyrządów, są różnego rodzaju nacięcia, zwane sznytami. „Złodzieje” tną się na ogół po całym ciele szkłem, chociaż dość przydatne są do tego celu również wyostrzone na parapecie trzonki łyżek. Tak zwany sznyt wiedeński - dla najodważniejszych - polega na przecięciu sobie skóry żyłką lub szkłem od ucha, poprzez szyję, klatkę piersiową, brzuch, po udzie do łydki. Kończy się przy kostce.

Zdarzają się też nacięcia brzucha. „Złodziej” wyjmuje sobie wtedy jelita i posypuje popiołem i niedopałkami papierosów. Co bardziej odważni używają do

posypywania metalowych wiórków, które pozostają po cyklinowaniu podłogi drutem. Chodzi tu o to, aby przed zaszyciem brzucha chirurg musiał myć i obsypywać jelita antybiotykami, co zajmuje mu zwykle dużo czasu i gwarantuje „złodziejowi” długi pobyt w szpitalu. Ułatwione zadanie mają „złodzieje”, którzy byli już raz zszywani. Oni mogą sobie po prostu rozszarpać stare pooperacyjne rany. Bez nacinania. Nie trzeba dodawać, że wszystkie zabiegi odbywają się bez sterylizacji, więc istnieje 90% pewności, że wda się infekcja, zwłaszcza po użyciu wiórków.

Bardzo efektywne jest podcinanie sobie żył. Ale tylko żył - w żadnym przypadku tętnic, gdyż może to spowodować prawdziwe wykrwawienie. Krew, która wycieka z żyły, „złodziej” miesza z wodą i - zanim zawoła strażnika - rozchlapuje po całej celi, mażąc tym stół, krzesła, ściany. Rozmazuje też tę mieszaninę po swoim ciele. Kiedy do celi wpadają „klawisze”, widok jest makabryczny. Zwłaszcza kiedy „złodziej” udaje omdlałego z upływu krwi. Nigdy nie wiadomo, ile tej krwi z niego wyciekło.

Najmniej odporni na ból, ale za to wytrwali, stosują głodówki. Stwierdzają oficjalnie, że nie będą przyjmować pożywienia, ale tylko od administracji. Takich trzeba siłą dokarmiać. Robi się to za pomocą sondy, przez którą wlewa się „złodziejowi” odpowiednio spreparowany płyn z kaloriami i witaminami. Zdarzały się głodówki, które trwały nawet i dwa lata. Po pewnym czasie takiego dokarmiania „złodziej” mówił do lekarza:

- Niech pan się nie męczy, panie doktorze, ja to sam wypiję.

Ale jeść posiłków nie chciał.

„Złodziejowi”, który kilka miesięcy głoduje, towarzyszy podziw kolegów, ma ich pomoc, rozmowy z wychowawcą i częste badania lekarskie. „Złodziej” jest w centrum zainteresowania.

Oczywiście to, że „oficjalnie” nie przyjmuje posiłków, nie oznacza, że się ukradkiem nie odżywia. Jeśli głodówka ma trwać krótko, „złodziej” przygotowuje sobie żywność, ukrywając ją po kątach, w przewodach wentylacyjnych, w sedesie. Może też namoczyć w wodzie z silnym stężeniem cukru własny ręcznik frotte, a następnie wysuszyć go na kaloryferze. Podczas głodówki moczy ręcznik, kawałek po kawałku, w kubku z ciepłą wodą, odzyskuje cukier i tym się odżywia.

Jeśli głodówka trwa dłużej, „złodzieja” dokarmiają inni „złodzieje”; produktami z paczki, dzieląc się z nim swoimi porcjami, nawet na spacerze. Jeśli taki proceder się wyda, „złodzieja” przestaje się dokarmiać oficjalnie i na ogół, jeśli nie chce umrzeć, musi zacząć jeść posiłki.

Aby stwierdzić, czy „złodziej” się „nielegalnie” dożywia, trzeba go

codziennie ważyć. Jeśli traci na wadze, ma kłopoty z chodzeniem, blednie - głoduje naprawdę. Jeśli nie, to znaczy, że ktoś go dokarmia albo sam się dokarmia.

„Złodzieje” również Si@ trują. Jedni robią to świadomie - różnymi środkami uspokajającymi lub odurzającymi (oxazepam, relanium), które albo dostają ukradkiem podczas widzeń, albo kupują od nieuczciwych „klawiszy”, albo też kradną z ambulatorium. Zdarza się, że nie uwzględniają wagi swojego ciała, biorą zamiast 30 tabletek na przykład - 35, i wtedy trzeba wieźć ich do szpitala i robić płukanie żołądka. Czasami trudno ich odratować.

Inni trują się nieświadomie. Piją, zużyte najczęściej, borygo lub inne płyny chłodnicze. Kupują je od „złodziei” pracujących w warsztatach samochodowych, które działają niemal przy każdym zakładzie karnym. Niektórzy przepuszczają borygo przez chleb, inni wrzucają witaminę C myśląc, że to zneutralizuje składniki toksyczne. Takie zabiegi pomagają oczyścić tylko spirytus salicylowy, ale nie borygo. Pamiętaj o tym, Szanowny Czytelniku.

Swego czasu modne były samozatrucia śledziem. Śledzia wyjmowano ze słoika, zawijano w plastik i kładziono na kaloryferze - na dwa, trzy tygodnie. Śledź fermentował i po skonsumowaniu dawał znakomity efekt w postaci normalnej żółtaczk. Jak wiadomo, leczenie tej choroby trwa ponad pół roku. Raj w szpitalu.

Największe jednak możliwości stwarzają „złodziejom” oczy. Najczęściej zasypują sobie oczy ołówkiem kopiowym. Robi to - przy minimum ryzyka - duże wrażenie, bo oczy łzawią rozmazując ołówek po całej twarzy. Odważniejsi rozdrobiony ołówek mieszają z maleńkimi kawałkami szkła lub metalowymi opiłkami. Po takim zabiegu szpital jest gwarantowany, a okulista ma masę roboty, aby szkło czy opiłki wyjąć, a oczy wypłukać. Jeszcze odważniejsi wbijają sobie do oczu małe metalowe przedmioty, czasami szkło. W wyciąganiu tego specjalizuje się jedynie szpital w Gliwicach i tam też wędrują odważni „git-ludzie”, jeśli chcą się spotkać z kolegą. Wymyślono też w „pudle” specjalny aparat do nacinania gałki ocznej. Funkcjonuje on podobnie jak przyrząd do pobierania krwi z palca. Głębokość „wbitki” można regulować. Urządzenie działa na gumkę, która wypycha ostrze. Jeśli źle się ustawi głębokość „wbitki”, można stracić oko. Dlatego też „złodzieje” nacinają, obsypują lub kaleczą tylko jedno oko. Drugie musi być zdrowe.

„Złodzieje” stosują również samopodpalenia. Jeden z nich, ukarany pobytem w izolatce, wysmarował całe ciało pastą do podłogi, potem rozerwał siennik, ułożył morską trawę w stosik, podpalił i wszedł w płonąca trawę. Zapalił się jak pochodnia. Gaszono go kocami i wodą. Po ugaszeniu nie można było jednak znaleźć

zdrowego miejsca, aby mu zrobić zastrzyk znieczulający. Zmarł w szpitalu wojskowym, gdzie wypróbowano na nim przy okazji specjalne preparaty przygotowywane przez armię na wypadek wojny. Innych trzech „gitów” podpaliło dla „draki” celę. Zanim zdołano ściągnąć sprzęt gaśniczy, spaliło się sześciu „złodziei”.

Dla „hecy” robi się „pod celą” różne kawały. Do najbardziej oryginalnych moi „klawisze” zaliczyli: przybicie worka mosznowego do taboretu zardzewiałym gwoździem; przybicie do stołu dłoni, bez uszkodzenia kości i dużych naczyń krwionośnych; przybicie obu stóp do parkietu podłogi - zamiast lekarza wezwano ślusarza z obcęgami.

Modne też jest nadmuchiwanie sobie za pomocą igły lekarskiej skóry za uchem. „Złodziej” może to zrobić sam, przez rurkę, lub przy pomocy innego „złodzieja”, który dmucha w igłę ustami.

Samouszkodzeniom nie można praktycznie przeszkodzić. Nie można też ograniczyć „złodziejom” instrumentów. Trzeba by zakazać używania łyżek, domina, szczotek do zębów, zamknąć warsztaty i ślusarnię, a nawet kuchnię.

Pozostają tylko naukowe studia nad zjawiskiem. No więc, co na to naukowcy?

10% samouszkodzeń powstaje - tak twierdzą kryminolodzy - na skutek czynników emocjonalnych: gniewu, lęku, desperacji. W takim przypadku okaleczający się „złodziej” nie ma zamiaru ciągnąć z desperackiego czynu jakiejś korzyści. Sam słyszałem stwierdzenia, że do podjęcia aktu samoagresji desperata pchała „jakaś siła”, siła niezidentyfikowana, której nie rozumiał. Po samouszkodzeniu czuł się lepiej, odpływał lęk i napięcie stresu. Świat wydawał mu się prostszy do zrozumienia, a co najważniejsze był spokojniejszy. Wszyscy moi rozmówcy czuli się tak, budząc się nierzadko w łóżku szpitalnym, po bardzo ciężkiej operacji, często już jako kaleki.

Lekarze twierdzą, że tych 10% „złodziei”, którzy popełnili samoagresję pod wpływem emocji, nie kierowało się świadomością, lecz podświadomością. Samookaleczenia dokonywali często wbrew własnej woli. I chyba tak było naprawdę, gdyż każdy człowiek ma instynkt samozachowawczy. Jeśli wkłada rękę w ogień, to czyni to albo nieświadomie, albo jego siła woli przewycięża ten instynkt. Niewątpliwie ta grupa samouszkodzających się „złodziei” jest ciekawym studium dla każdego wykwalifikowanego psychiatry czy psychologa.

Przyczyny samouszkodzeń, których powodem była czysta emocja, czyli emocjonalne, są na ogół podobne. Najczęściej wynika ona z prywatnego życia osadzonego i jego spraw rodzinnych, na które siedząc w „pudle” nie ma wpływu,



więc czuje się całkowicie bezsilny. Może to być zdradzająca żona, choroba matki, złe prowadzenie się córki czy jakiś wypadek w rodzinie, czemu - zdaniem „złodzieja” - mógłby zapobiec, gdyby był na wolności. Często tacy samouszkodzeniowcy nie potrafili po odzyskaniu świadomości podać celu, dla którego popełnili akt samoagresji.

W o wiele mniejszym stopniu i rzadziej ludzie popełniający samoagresję to psychopaci lub co najmniej niezrównoważeni psychicznie bądź też bardzo pobudliwi. U nich akt samoagresji prowadzi do obniżenia napięcia nerwowego.

W obu przypadkach „klawisz”-wychowawca w jakimś stopniu jest w stanie zapobiec samouszkodzeniu. Ze „złodziejem” w miarę normalnym - przez częste rozmowy, zmiany otoczenia, to znaczy przeniesienie do innej celi czy zakładu, interwencje w rodzinie, wystąpienia do naczelnika o przepustkę na pogrzeb matki czy nawet wstrzymanie listów przyjaciół „złodzieja” opisujących, jak jego żona „idzie w tango”. Są tutaj pewne możliwości i gdyby „klawisze”-wychowawcy mieli mniej podopiecznych, a co za tym idzie, więcej czasu na rozwiązywanie problemów indywidualnych, liczba samouszkodzeń emocjonalnych byłaby z pewnością mniejsza. „Złodziei” niezrównoważonych psychicznie wychowawca może skierować po prostu na badania lekarskie.

W obu przypadkach potrzebny jest czas na spokojną obserwację oraz spostrzegawczość i wyczucie zawodowego „klawisza”.

Gorzej jest z przewidywaniem pozostałych 90% samouszkodzeń, które fachowcy określają jako instrumentalne, to znaczy takie, które mają konkretny cel. Co drugi „grypsujący” żąda spełnienia swoich postulatów, gdyż prośenie o coś „klawisza” jest uważane za dyshonor. Gdyby prosił, i do tego grzecznie, nabawiłby się w oczach swoich kolegów „krzywości”. Nie jest to dyskwalifikacja, ale pewien sposób „podpadnięcia” innym skazanym. Toteż „grypsujący” charakterniak żąda. Żąda wszystkiego, i tego, co mu się należy, i tego, co mu się nie należy. Robi to na ogół w formie prawie dla „klawisza” obraźliwej lub aroganckiej. „Klawisze” znają zasady gry i tak szybko się nie obrażają, ale są postulaty, które po prostu nie mogą być spełnione. Albo ze względów regulaminowych, albo wychowawczych. Wtedy „grypsujący” grozi, że „zrobi taki numer, że go będą wieźli karetką na sygnale, a cały pierdel jeszcze przez dziesięć lat będzie to wspominał”.

Ponieważ w ten sposób protestuje większość „grypsujących”, „klawisze” często nie zwracają na to uwagi. Zwłaszcza że w większości wypadków protesty „grypsujących” dotyczą naprawdę błahych spraw. „Ot, coś znowu temu Kowalskiemu do łba wpadło” - myślą i przechodzą nad postulatami do porządku dziennego.

Jeśli się pomylą i Kowalski sprawę potraktuje poważnie, nieszczęście gotowe.

Na przykład, Mirosławowi W. polecono, w ramach tak zwanej pracy społecznej, przenieść gruz, który po remoncie blokował wjazd do magazynu żywnościowego. Ponieważ wcześniej rano miała być dostawa produktów właśnie do tego magazynu, a zrzucanie gruzu zakończono o godzinie szesnastej, „złodziej-grypsler” dostał polecenie wywiezienia gruzu po „fajrancie”. Oczywiście odmówił i oczywiście otrzymał karę dyscyplinarną. W ramach protestu wbił sobie szkło w oko. Mimo operacji, stracił je. Powołano komisję, która „klawisz” uniewinniła. Z punktu widzenia przepisów i ludzkiego rozsądku i „klawisz”, i „złodziej” mieli obaj rację. Jedyłą satysfakcją „złodzieja” były kłopoty „klawisz”. Pisanie oświadczeń i wyjaśnień, zeznania przed komisją, słowem, nerwy.

„Klawisze” zresztą z zasady starają się nie drażnić „grypsujących”, a zwłaszcza potencjalnych desperatów. I to nie tylko ze względu na ewentualne kłopoty z komisjami. Po prostu czują się źle, kiedy z ich powodu nawet przypadkiem, człowiek straci oko czy musi być poddany skomplikowanej operacji. Nie mówiąc już o zejściu śmiertelnym delikwenta. Większość „klawiszów” to spokojni ludzie, którzy chcą mieć w miarę spokojną pracę. Nie odczuwają więc żadnej satysfakcji. Natomiast samookaleczeni „grypsujący” satysfakcję taką odczuwają - potwierdzili to wszyscy moi rozmówcy, zarówno „klawisze”, jak i „złodzieje”. Zresztą robienie na złość „klawiszom” jest jedną z podstawowych zasad „grypsowania”.

Innym, równie popularnym celem samoagresji instrumentalnej (przepraszam za ten uczony bełkot, ale prościej i krócej nie da się tego wyrazić) jest to, co „grypsujący”, a czasami i „niegrypsujący”, chce w ten sposób osiągnąć. Na przykład, „grypsujący” potencjalny kandydat do samoagresji, chce wymusić zmianę zakładu - bo do innego narzeczona ma bliżej i widzenia z nią będą częstsze - zmianę celi, bo siedzi z „cwelem”, którego nie lubi, zmianę tak zwanego rygoru, co pozwoliłoby mu, pracować poza kryminalem, który mu się już znudził itp.

W takim przypadku „klawisz”, a najczęściej naczelnik „klawiszów”, staje przed dylematem: ustąpić czy nie ustąpić. Jeśli ustąpi, po paru dniach „grypsujący” może zażądać czegoś innego. Poza tym będzie to przykład ustępstwa władzy dla innych „złodziei”, którzy tylko czekają na to, aby w swoich żądaniach powołać się na konkretny przypadek. Jeśli nie ustąpi, może sprowokować „złodzieja” do samoagresji. Słowo „sprowokować” jest tutaj na pewno nie na miejscu, ale takim właśnie słowem posługiwali się wszyscy „złodzieje”, którzy się samouszkodzili. „Zostałem sprowokowany”, „sprowokowano mnie”, „klawisz chciał wypijać ze mnie krew

bez robienia rany”. Słowo „prowokacja” przejęli również „klawisze”.

Inną dziedziną życia, gdzie „grypsujący” starają się szantażować „klawiszy”, są ich sprawy rodzinne i osobiste, których sami nie mogą załatwić. Grożą na przykład samoagresją, jeśli żona nie chce przychodzić z dziećmi na widzenia, nie przysyła paczek lub nie pisze listów. Grożą, jeśli adwokat domaga się wysokiego honorarium, a dziadek Janek nie pomaga synowi „złodzieja” finansowo. Grożą, jeśli sąd nie dopuści jakichś świadków obrony lub nie odroczy rozprawy (albo nie przyspieszy). Grożą, bo ich zdaniem zostali niesłusznie aresztowani tymczasowo, a przecież mogą odpowiadać z wolnej stopy. Grożą wreszcie samouszkodzeniem, jeśli sąd apelacyjny nie zmniejszy im wyroku zasądzonego w pierwszej instancji itp.

Wobec takich gróźb (czy prowokacji) „klawisze” są bezradni. Mogą tylko wezwać pomoc, kiedy „grypsujący” „git” połknie ucho od kubala (ucho od kubka).

Wiele przyczyn samoagresji instrumentalnej (czyli dla osiągnięcia celu) tkwi w normach i zasadach tak zwanej podkultury więziennej, czyli w obyczajach „gitów” i „grypsujących”, zgodnie z którymi albo muszą się oni samouszkodzić, albo im po prostu wypada.

Przede wszystkim samoagresją to oznaka chojractwa, wytrzymałości na ból, odwagi, lekceważenia własnego życia. Aby to zademonstrować „pod całą”, warto narazić się na trwałe kalectwo lub śmierć. To nie do wiary dla przeciętnego człowieka, ale wbicie sobie czegoś metalowego w brzuch podnosi prestiż w celi.

Czasami „git-ludzie” wymuszają akty samoagresji na innych „grypsujących”. Dzieje się tak wtedy, jeśli dany „git” lekko „się skrzywił”, czyli niezbyt groźnie - oczywiście z punktu widzenia środowiska - przekroczył zasady postępowania. Może to być drobiazg: podniesienie kluczy, które oddziałowy przez nieuwagę upuścił na podłogę, nieprawidłowe użycie wobec innego „gita” słów „ładny”, grzeczny”, „kochany” - co oznacza w żargonie „cwela”, uchylenie się od wspólnej głodówki w celi itp. Taki podpadnięty powinien się zrehabilitować. Więc mu mówią:

- Jeśli jesteś taki chojrak, to zrób sobie sznyt na dupie.

- Proszę bardzo - mówi „skrzywiony” i spuszcza spodnie, a potem tępą żyłką rżnie sobie tyłek, i już jest w oczach kumpli „wyprostowany”. Dają mu spokój.

Zdarza się też, że jeden „git” przegra do drugiego sporą sumę pieniędzy lub większą liczbę papierosów. Niestety, nie ma z czego oddać, bo nie pracuje, rodzina nie przysyła mu pieniędzy, a pożyczyc nikt nie chce, bo boją się, że pożyczki nie odda, bo i z czego. Wtedy wygrany mówi:

- Daruję ci dług, jeśli połkniesz agrafkę, może być zamknięta.
- I dłużnik łyka.

Dług jest darowany, ale wiozą go do szpitala. I tam operują, aby tę agrafkę wyciągnąć. Masa ludzi ma kupę roboty, koszty są ogromne, ale dłużnik dowiódł, że jest „charakterny”. Wieść o tym roznosi się po całym kryminale, gdzie prestiż „złodzieja” wzrasta.

Nierzadko samouszkodzenia są rodzajem sprawdzianu. Do celi przyprawiają więźnia, który podaje się za „grypsującego”. Jeśli innym „gitom” nasuwają się jakieś wątpliwości, najpierw go wypytyją, potem wpędzają w różne zasadzki znane tylko „gitom”, ale jeśli to nie wystarcza, zmuszają nowo przybitego do samouszkodzenia, na ogół niezbyt groźnego. Zwykle taki delikwent nie ma wyboru, jeśli nie chce być obity lub okaleczony przez innych w sposób nie kontrolowany przez siebie. Woli zrobić to sam.

Jest zresztą generalną zasadą, że „złodzieje”, którzy dokonują aktów samoagresji pod wpływem emocji, nie zwracają uwagi czy zrobią sobie małą krzywdę, czy wielką. Co innego doświadczeni „samoagresorzy”. Ci zawsze małym kosztem chcą osiągnąć duży efekt. Uważają więc, aby nie okaleczyć się bardziej, niż jest to konieczne.

Wśród wytrawnych „grypsujących” znana jest zabawa, określana jako „zastawka”. Ma ona wykazać przede wszystkim „charakterność” uczestników i przynależność do grupy. Bywa też lekarstwem na więzienną nudę. Na przykład: „połyk” - tego i tego przedmiotu, „nacięcie” - tego i tego miejsca na ciele. Na osobnych kartkach wypisują kolejne numery - tyle, ile jest „gitów” w celi. Następnie losują. Najpierw typ samouszkodzenia, a potem kolejność, w jakiej będą dokonywać.

Ustalają termin, i jeden po drugim robią sobie kuku.

Inną odmianą tej gry - przypominającej rosyjską ruletkę - jest „zastawka”, którą można nazwać ambicjonalną. Na przykład dwóch „gitów” chwali się swoimi wyczynami i reszta towarzystwa nie może zdecydować, który z nich jest „lepszy”. Wyznaczają wtedy coś w rodzaju średniowiecznego Sądu Bożego. Niech jeden zasypie sobie oczy kopiowym ołówkiem, a drugi wbije sobie w oko kawałek szkła. Jeśli obaj to zrobią, „pod całą” zapanuje zgoda i konkurenci podadzą sobie ręce. Jeśli jeden „pęknie”, ma od razu „krzywość”, z której, prędzej czy później, będzie się musiał „wyprostować”, na ogół też przez samouszkodzenie. Dopóki tego nie zrobi, jest poza marginesem „gitów”, a to boli najbardziej.

Opisaliśmy tu zasadnicze powody samouszkodzeń, zdarzających się najczęściej. Poza nimi istnieją dziesiątki innych, które trudno by było nawet poklasyfikować w jakieś sensowne grupy. Przyczyn i pomysłów dostarcza życie i więzienna

nuda. Niestety, nie dysponujemy materiałami z innych krajów. Prawdopodobnie nie ma dużych różnic, są tylko różnice ilościowe, chyba na niekorzyść polskich kryminalów i polskich „git-ludzi”.

Fachowcy - kryminolodzy, psychiatrzy i psychologowie - robią w więzieniach różne ankiety. Z jednej z nich, robionej w 1984 roku w 17 aresztach śledczych i 25 zakładach karnych, wynika kilka prawidłowości. Jest to statystyka makabryczna, ale podajemy ją dla ilustracji problemu. Ludzi dokładnych powinna zadowolić całościowo.

Najwięcej prób samobójstwa było przez powieszenie (63,3% wszystkich prób u tymczasowo aresztowanych i 67,6% u skazanych). Przez zatrucie, na ogół przez połknięcie nadmiernej ilości lekarstw, usiłowało pozbawić się życia 28% skazanych i 16% tymczasowo aresztowanych. Przez samopodpalenie chciało umrzeć 8,5% tymczasowo aresztowanych oraz 2% skazanych. Drogą wykrwawienia się (na ogół przez podcięcie żył u rąk) chciało odejść z tego świata po około 6% w obu grupach.

Najbardziej popularnym samouszkodzeniem ciała ze wszystkich tego typu samoagresji jest pocięcie żył u rąk i ramion - dokonało ich około 55% skazanych i około 50% tymczasowo aresztowanych. Pocięcia powłok brzusznych dokonało odpowiednio: 33,7% i 49,7%. Mniej popularne były: wbicie obcego ciała, na ogół szkła lub czegoś z metalu w mięsień, lub też wstrzyknięcie w mięsień specjalnie przygotowanej trującej substancji chemicznej. Najbardziej pomysłowi byli tymczasowo aresztowani i recydywiści.

Połykano na ogół przedmioty, które znajdowały się w celach, głównie metalowe, jak fragmenty łyżek, widelców, noży, uch od kubków - 52,4% tymczasowo aresztowanych i 51% skazanych. Specjalne kotwice połknęło odpowiednio: 27,9% i 32,7%. Nie połykano lub bardzo rzadko połykano tłuczone szkło. W sumie połknięto tylko 7-8% przedmiotów niemetalowych, reszta to metalowe.

Fachowcy stwierdzają, że zanika wprowadzanie obcego ciała do płuc. Zannotowano tylko jeden wypadek wstrzyknięcia do płuc własnej śliny.

Do samookaleczenia oka najczęściej używano kawałków metali - 34,5% tymczasowo aresztowanych oraz 27,8% skazanych, ale równie często zasypywano sobie oczy szkłem (odpowiednio: 34,5% i 29,6%) oraz substancjami chemicznymi (20,7% i 22,2%). Najczęściej cięli sobie gałkę oczną recydywiści - 21,7%, tymczasowo aresztowani - 6,9%.

Zbadano również prawidłowości czasowe. Z badań wynika, że 60,9% prób samobójczych nastąpiło między 22<sup>00</sup> a 4<sup>00</sup>, najczęściej między 22<sup>00</sup> a 24<sup>00</sup>, prawdopodobnie, kiedy skazany nie mógł zasnąć. Samookaleczeń ciała dokonywano nieregularnie: od 10<sup>00</sup> do 22<sup>00</sup> (77%). Oczy wykluwano, cięto i zasypywano „falowo” -

- jak piszą fachowcy - to znaczy między 8<sup>oo</sup> a 12<sup>oo</sup>, 16<sup>oo</sup> i 2<sup>oo</sup>. Połykano najczęściej między 8<sup>oo</sup> a 20<sup>oo</sup>. Po godzinie 22<sup>oo</sup> nie połykano w ogóle.

Gdy wziąć pod uwagę długość kary, to wśród skazanych na powyżej 3 lat samouszkodziło się aż 48,8%. Nie ma tu jednak prawidłowości, że długowyrokowcy popełniają samookaleczenie częściej, pod warunkiem, że są pierwszy raz karani. Recydywa popełnia akty samoagresji częściej, podobnie jak i więźniowie młodociani.

Gdyby każdą karę podzielić na trzy równe części, to okazuje się, że najwięcej samouszkodzeń miało miejsce w pierwszej fazie - ponad 44% u młodocianych, 41,1% u nierecydywistów. Ciężyla tutaj na pewno marna perspektywa dla desperatów - perspektywa długoterminowej odsiadki.

Okolo 50% samo się uszkadzających to ludzie z wykształceniem podstawowym i zasadniczym. Według wieku dominują osoby do 39 roku życia - aż 94% ogółu aktu samoagresji. 66% wszystkich aktów samoagresji dokonali ludzie do 29 roku życia, a wśród młodocianych dokonało samouszkodzeń 73,1% populacji do 20 roku życia.

Z punktu widzenia stanu cywilnego 87,2% to ludzie o zdezorganizowanym życiu rodzinnym lub kawalerowie.

Najczęściej - aby dopełnić już tej formalności statystycznej - dokonywali samouszkodzeń skazani za przestępstwa przeciwko mieniu, czyli typowi złodzieje - okolo 40%, bandyci - tylko okolo 3%.

Co mają robić „klawisze”, aby aktów samoagresji było jak najmniej? Niewiele, ale coś jednak mogą. Przede wszystkim muszą się kierować zdrowym rozsądkiem, gdyż życie w więzieniu to „samo życie”. Regulaminy muszą być uwzględniane, ale w takim stopniu, w jakim jest to absolutnie konieczne.

Wychowawca musi wiedzieć, że ma u siebie faceta, który już sam się uszkadzał (dokumentacja), czy delikwenta, który jest psychicznie nie zrównoważony (tak zwany syndrom „niezrównoważenia życiowego”). Łatwiej jest, kiedy potencjalny samobójca grozi otwarciem, gorzej, jeśli nie grozi.

Takiego osobnika bierze się pod lupę. Przeciwdziałać samouszkodzeniom można drogą perswazji i poprzez pomoc w rozwiązywaniu osobistych konfliktów. Żadne zakazy ani nakazy nie pomogą. Delikwent zawsze znajdzie okazję, aby sobie coś zrobić. Bywało, że aktów samoagresji dokonywano w izolatkach, gdzie przedmioty przymocowane są do podłogi i ścian.

Kontakty z podejrzanym o chęć popełnienia samoagresji powinny przede wszystkim prowadzić do eliminacji jego stresów. Jeśli dotyczy to spraw życiowych, należy mu w miarę możliwości pomóc je rozwiązać.

Jeśli jest podejrzenie, że może protestować przeciwko wysokości wyroku, trzeba dać mu nadzieję lub ten wyrok uzasadnić lepiej i zrozumiałej od sądu. Jeśli wymierza się podejrzanemu karę regulaminową, należy z nim porozmawiać, tak aby zrozumiał jej motyw. I tak dalej.

Do tego potrzebne są kontakty, kontakty i rozmowy oraz zaangażowanie „klawisza”, który musi widzieć, tak jak dobry ksiądz, człowieka nawet w mordercy. Do takiego precyzyjnego działania potrzebny jest jednak czas. A z tym jest u zawałonych papierami wychowawców bardzo źle. Twierdzą jednak, że robią, co mogą.

Jeśli nie uda im się zapobiec samoagresji, pozostaje lekarz, któremu przekazuje się na pół żywego nieraz delikwenta. Do kolejnej z nim rozmowy może dojść, gdy będzie odratowany. Kiedy minie szok, a lekarze zrobią już swoje.

Lekarz, podobnie jak i „klawisz”, ma również ograniczone możliwości działania. Ogranicza je nasze prawo. Cały problem tkwi w artykule 62 kodeksu karnego wykonawczego, który mówi w paragrafie 1, że: „W wypadku gdy zdrowiu skazanego grozi niebezpieczeństwo, spowodowane odmową przyjmowania pokarmu, lekarz podejmuje decyzje o konieczności i rodzaju zabiegów, które powinny być dokonane, zabiegi te mogą być dokonane nawet mimo sprzeciwu skazanego”. Tutaj sprawa jest jasna, można „złodzieja” dokarmiać kroplówką, jeśli inaczej się nie da, ale problem zaczyna się wraz z paragrafem 2:

„W wypadku gdy życiu skazanego grozi poważne niebezpieczeństwo, można, jeśli wymagają tego względy zdrowotne, stwierdzone orzeczeniem komisji lekarskiej, dokonać koniecznego zabiegu lekarskiego, nawet mimo sprzeciwu skazanego. W nagłych wypadkach, jeżeli zachodzi bezpośrednio niebezpieczeństwo śmierci skazanego, o konieczności zabiegu decyduje lekarz”.

Paragraf 2 ustanawia jasno, że, najpierw musi się zebrać komisja - jeśli jest czas. Jeśli nie ma, może postanowić lekarz. Ale lekarz też człowiek, może nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności i czekać na zebranie się komisji. W tym czasie krnąbrny delikwent może umrzeć.

Druga wątpliwość to określenie „zagrożenie życia”. A dlaczego nie zdrowia? Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem lekarz powinien mieć prawo, a nawet obowiązek podjęcia natychmiastowej decyzji, czy „git” idzie na stół operacyjny, czy też nie. Od tej decyzji nie powinno być odwołania, gdyż w praktyce lekarskiej „życie” równa się bardzo często „zdrowiu”. Pogłębia ten nonsens sformułowanie: „poważne niebezpieczeństwo życia”. A cóż to znaczy w praktyce - „poważne”? Czy inne są niepoważne?

Sytuacja lekarza komplikuje się jeszcze bardziej, jeśli uszkodzony „złodziej”

stanowczo sprzeciwia się operacyjnemu wyjęciu widelca z żołądka. Nie zdaje sobie na ogół sprawy, że czas działa przeciwko niemu. Oto kilka przykładów z życia.

Młodociany „złodziej” z Sieradza kilkakrotnie się nacinał, łykał i wieszał. Za każdym razem wzbudzał zainteresowanie nieczulej dotąd na jego los rodziny, jak również całego otoczenia, z naczelnikiem włącznie. Leżał sobie w białej pościeli, usługiwały mu „dupy”, matka wreszcie przyniosła mu paczki, a ojciec z NRD, gdzie pracował, pisał pokrzepiające listy. Wszystko to bardzo mu się podobało. Wymyślał różne samookaleczenia, aż wreszcie wbił sobie gwóźdź w czoło. W szpitalu nie zgodził się na zabieg. Facet żył, rozmawiał, więc jego życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Lekarz nie zwoływał komisji, pacjent odmawiał zabiegu i leżał sobie spokojnie z gwoździem w głowie. Ale po pewnym czasie zaczął tracić wzrok, dostał paraliżu części twarzy i zaburzeń równowagi. Wtedy po orzeczeniu komisji gwóźdź mu wyjęto. Dopiero jednak wtedy, gdy stracił przytomność. Przeżył, ale pozostał kaleką.

Inny „git”, dwudziestoczteroletni Wiesław M., wielokrotny recydywista, od dziesiątego roku życia związany z półświatkiem i praktycznie bez rodziny (dostał wyrok między innymi za pobicie matki), również specjalizował się - nawet na wolności - w samouszkodzeniach. Ciął się, łykał i wieszał. Łykał całe opakowania leków. W końcu pociął sobie żyły w stawie łokciowym. Krew lała się strumieniami, ale Wiesław M. nie dawał nikomu do siebie podejść. Musiano go uspić gazem i zoperować bez zgody. Też przeżył.

Zgodnie z artykułem 2 kodeksu lekarz mógł zażądać zwołania komisji, co oznaczałoby śmierć delikwenta. Różnica polega na tym, że w drugim przypadku widać było zagrożenie „gołym okiem”. Jeśli o czymś decyduje lub nie decyduje „gołe oko”, to cóż to za prawo?

Przepis artykułu 62 paragrafu 2 umożliwia lekarzowi postawę asekuracyjną, co w konsekwencji może kosztować śmierć głupiego, bo głupiego, ale przecież człowieka. Oto typowy przykład takiej, tym razem zbiorowej, asekuracji.

Cyryl S. wbił sobie dwie igły, jedną w płuco, drugą w klatkę piersiową tak, że ocierała się ona o serce. Na zabieg się nie zgodził. Poleżał sobie wygodnie na obserwacji w szpitalu, a ponieważ jego życiu „nie zagrażało poważne niebezpieczeństwo”, lekarze wypuścili go z powrotem do kryminału. Tam następnego dnia poszedł do łaźni. W wysokiej temperaturze nastąpiło rozszerzenie naczyń krwionośnych i minimalne przemieszczenie igły. Cyryl zmarł od razu, mimo że lekarze wydali mu zaświadczenie o ograniczonej zdolności do pracy (tzw. kategoria B) - zrobili to też „na oko”.



Ten i inne przykłady wskazują, że lekarz więzienny lub lekarze mający do czynienia z więźniami, pracując zupełnie w innych warunkach niż na wolności muszą mieć inne uprawnienia. Brak tych uprawnień może być powodem konkretnych zarzutów prokuratora bez względu na to, czy lekarz był naprawdę winien, czy też nie. Nie mówiąc już o życiu pacjenta. Opisaliśmy ten problem jako przykład konieczności konkretnych reform, tak szeroko zapowiadanych przez aktualne władze więzienne.

Rola lekarza więziennego jest szczególnie uciążliwa. Pomijając już fakt, że pracuje on w arcytrudnym środowisku i narażony jest na stresy nie mniejsze niż zwykły „klawisz”, to dodatkowo jego działalność budzi zwykle całą masę zastrzeżeń „złodziei”. Większość z nich leczy się dla rozrywki. Wymyślają choroby, aby wyjść z celi i w kolejce do łapiducha pogadać z kumplem, ale lekarz każdego z nich musi traktować poważnie. Wiedząc nawet, że pigułki, które dał „złodziejowi”, pójdą w celi do „hasiora” (śmietnika).

Negatywny stosunek do więziennego lekarza mają również skazani, którzy leczą się naprawdę. W większości twierdzą, że są leczeni źle, wolno, nieskutecznie, nietrafnie. „Lekarz na wolności - mówią «złodzieje» - wyleczyłby mnie natychmiast. Ale ten nasz to zwykły skurwysyn. Na niczym się nie zna”. „Złodzieje” mówiliby tak nawet, gdyby leczył ich prawdziwy profesor zwyczajny. Przelewają bowiem swoje rozgoryczenie i nienawiść na lekarza tak, jak na każdego „klawisza”. Z tym że lekarz ma z nimi do czynienia zawsze w sytuacjach trudnych lub czysto dla „złodzieja” osobistych.

Ponadto - jak twierdzą „klawisze” - większość „złodziei” ma fobię na punkcie swojego zdrowia, czemu trudno się przy tej izolacji dziwić. Człowiek na wolności ma w ciągu dnia różne zajęcia i to odwraca jego uwagę od rozmaitych własnych dolegliwości. Ale spróbuj, Szanowny Czytelniku, położyć się do łóżka z bolącym zębem lub wątrobą - bez współczującej rodziny wokół - a jeśli nie wolno Ci się w ciągu dnia położyć, stój lub siedź całą dobę i myśl tylko o tym, co Ci dolega. Możesz w ogóle już nie pamiętać o tym, że chłasteś całe życie i z tego powodu boli Cię wątroba albo że nie byłeś u dentysty od pięciu lat, a teraz właśnie założył Ci plombę, bo chciał Ci ząb uratować, a nie wyrwać. Szlag Cię trafi po dwóch godzinach takiego siedzenia bez sensu i na pewno dojdiesz do wniosku, że winien wszystkiemu jest dentysta. Po pięciu godzinach go znieńawidzisz. Podobnie reaguje każdy osamotniony w celi, prawdziwie chory „złodziej”. Toteż „złodzieje” mają do więziennych lekarzy zawsze pretensje.

Natomiast z punktu widzenia lekarza-„klawisza” większość „złodziei” to symulanci, w czym zresztą niewiele się mylą. Ci, których chcą wyleczyć, zdaniem

lekarzy nie chcą się leczyć, tak jak im kazano. Często tak jak stary emeryt, który zwykle lepiej od lekarza wie, co mu jest, tak chory „złodziej”, nauczony różnych głupot przez kolegów „pod celą”, przychodzi do łapiducha już z gotową diagnozą. Takich więźniów lekarze nie lubią jeszcze bardziej niż symulantów, którym wystarczy parę dni zwolnienia od pracy.

Najgorsi są jednak samouszkodzeniowcy, którzy nie chcą żadnej pomocy. Chcą natomiast jechać. Najczęściej do szpitali wolnościowych, gdzie mają większą swobodę. Zdarzyło się, że „złodziej” po akcie samoagresji czekał na lekarza w celi z taboret w rękę, aby go nie dopuścić do siebie. Odkładał taboret, kiedy do celi wchodzili pielęgniarki z karetki pogotowia. Czuł się wtedy prawie na wolności, a poza tym był dumny, że za chwilę na sygnale pędzić będzie tą karetką przez miasto, a inni będą mu ustępować z drogi.

Lekarze nie lubią też, kiedy z gabinetu giną im różne proszki, igły, strzykawki, które „złodzieje” używają do samookaleczeń, trucią się lub „parzochy”. Robią to w trakcie wizyty, kiedy tylko lekarz na moment odwróci swoją uwagę od pacjenta. Kradną również pracujący w ambulatorium „złodzieje”-sanitariusze czy pomocnicy. Ci znowu na wyraźne zamówienie „gitów”, i to tych rządzących w kryminale.

Trudno się zatem dziwić, że najlepszymi pacjentami są dla lekarzy więziennych zdyscyplinowani „klawisze”. Ci łykają przynajmniej, co im się da, i nie marudzą.

Trudno się też dziwić, że kryminał jest ostatnim miejscem, gdzie lekarz chciałby pracować. W epoce „propagandy sukcesu” i później w więzieniach zawsze były wakaty. Pracowali tam tylko lekarze niezaradni życiowo, mało operatywni lub entuzjaści. Znałem jednego, który tylko po to poszedł do pracy w kryminale, że chciał z samoagresji skazanych napisać pracę doktorską. Napisał ją rzeczywiście, ale mu jej uczeni nie przyjęli jako dysertacji. Nie żałuje, że zmarnował tyle lat z kryminalistami. Pogodził się z losem, tyle że ostro pije. Ma stresy.

Lekarze wrócili do więzień teraz, w dobie kryzysu i bezrobocia. Każda praca jest dobra, aby zarobić na życie. Nie jest to już jednak stara kadra doświadczonych łapiduchów - twierdzą „klawisze”. Nowi nie mają nerwu do tej pracy. Łatwiej ich oszukać i zastraszyć. Robią to, co muszą, i idą do domu. Jest to tak zwany drugi sort! No, ale zarabiali w kwietniu 1992 roku na pełnym etacie tyle, co inni funkcjonariusze równi im stopniem i stażem.

Na zakończenie tego dość makabrycznego rozdziału trochę więziennego folkloru. Parę słów o tatuażach.

„Złodzieje” tatuują się z dwóch powodów.

Po pierwsze dla dekoracji. Do tego celu trzeba „złodzieja”, który wykona wzór rysunku. Albo skopiuje go z gazety czy książki, albo wymyśli sam. Taki „git” jest w więzieniu szanowanym artystą. Wzorek za pomocą kalki przenosi na wybrany fragment ciała. Przedtem przygotowuje specjalną miksturę, z tłuszczu i sadzy, którą otrzymuje ze spalonego kawałka prześcieradła. Po wymieszaniu sadzy i tłuszczu, na przykład smalcu, otrzymuje się coś w rodzaju tuszu. Ten właśnie tusz używany jest do nakłuwania skóry, według wzoru plastyka, igłą, drutem lub ostrym gwoździem. Kiedyś dodawano farbek kradzionych podczas zajęć kulturalno-oświatowych, ale okazały się mało trwałe. Toteż obecnie stosuje się tatuaż czarny.

Wzory najczęściej używane mają zwykle związek z naturą: zwierzęta, kwiaty. Jeśli facet wyobraża sobie, że jest lwem - zamawia lwa, jeśli panterą - panterę. Popularne były też trupie czaszki z pieszczelami i znak „SS”. Nagie baby były modne zawsze, zwłaszcza tak wytatuowane, aby przy poruszaniu jakimś mięśniem ruszały pupą lub rozstawiały nogi. Byli marynarze mają zwykle kotwice lub koła ratunkowe.

Znany był „git”, który kazał sobie wytatuować wzorki na penisie, a nad owłosieniem napisać: „Tylko dla pań”. Inny „git” miał na karku tatuaż: „Tylko dla kata”. Zdarzają się też tatuaże w obcych językach: „Aj was born to heli” - to oczywiście z błędem ortograficznym, ale też robi wrażenie (Urodzony zostałem dla piekła).

Inna grupa tatuaży świadczy o przynależności do klasy „gitów”.

Są to przede wszystkim stopnie starszych oficerów tatuowane na barkach jak pagony: powyżej 5 lat wyroku - kapitan, powyżej 10 lat odsiadki - major, powyżej 15 lat - pułkownik. Wyjątkowo twardzi „wałą” sobie generała.

Dla wzajemnego rozpoznania „git-ludzie” mają swój system tatuaży. Oto niektóre przykłady:

„Cwelowi” robi się - czasami siłą - kropkę na nosie.

„Git” ma kropkę pod lewym okiem lub w kącie lewego (oka w zależności od regionu) albo na obu powiekach - taki „git” twierdzi, że kiedy śpi, to te kropki nad nim czuwają. „Git” może też mieć kropkę między kciukiem a palcem wskazującym. Niejako wyższy stopień „gita” nosi na piersi, między obojczykiem a lewym sutkiem, czerwone usta. Oznacza to, że ma dużą „szywność”, długi staż więzienny i „charakter”. Czerwone usta przecięte strzałą oznaczają „gita”, który umie dochować tajemnicy i nie wolno się go o nic pytać, bo był w coś trefnego zamieszany. To samo może oznaczać kropka pod lewym okiem.

Każdy taki tatuaż musi być zatwierdzony przez starszyzną „gitów”. Może się zdarzyć, że „git” się „skrzywił” i inni traktują go jak „frajera”.

Wtedy mogą go zmusić, aby sobie tatuaż wytarł lub wypalił - jest to równie bolesne, jak samo tatuowanie.

Są jednak „git-ludzie”, którzy się nie tatuują. Dotyczy to najbardziej „sztywnych”, długo „grypsujących” i mających bardzo duży autorytet w środowisku. Taki „git” nie musi manifestować swego charakteru. Jest powszechnie znany.

Najczęściej tatuują się „małolaty”, aby pokazać, że należą do środowiska „gitów”.

Tatuaże robi się również w trudnych do zobaczenia przez samego klienta miejscach. Na przykład z tyłu na szyi, plecach czy pośladkach. Daje to możliwość robienia kawałów. Klient zamawia sobie na pośladku dużego lwa, a tatuuje mu się małą świnię, na plecach węża, a robi mu się kutasa z jajami, na szyi kwiat róży, a tatuuje mu się organ damski. Zabawy wtedy co niemiara, zwłaszcza jeżeli w „pudle” zabroniono trzymać szklane lusterka i klient nie może zobaczyć, co nosi z tyłu. Dopiero w łaźni dowiaduje się wśród salw śmiechu, od życzliwych, co mu „artysta” wytatuował. Uciechę ma wtedy całe więzienie, z naczelnikiem włącznie. Klient natomiast może za papierosa lub dwa pokazywać arcydzieło „złodziejom” z innych cel, i to jest jego jedyna korzyść.

Ale tatuuje się również „na siłę”. Specjalnymi oznakowaniami „cweli”, innymi kapusiów. Trzech, czterech „gitów” trzyma delikwenta, a „artysta” robi swoje. Jednak „cwele” i kapusie rzadko stawiają opór. Wiedzą, że i tak ich wytatuują, a na dodatek mogą jeszcze mocno oberwać. Toteż takie operacje przebiegają w spokoju.

Zdarzają się i zabiegi odwrotne. Jeżeli „git-ludzie” dojdą do wniosku, że „frajer” kazał sobie niesłusznie wytatuować jakiś symbol, mogą siłą wskrobać lub wypalić mu ów tatuaż. Taka operacja jest bardzo bolesna, ale w tym świecie nie ma litości. W takich wypadkach interweniuje często lekarz, lecząc delikwenta różnymi maściami po „zabiegu”.

Jak dotąd nie ma jeszcze w naszych więzieniach symbolu oznaczającego młodego, demokratycznego biznesmena. Jest więc pole do popisu. Gdyby coś takiego udało się komuś wymyślić, a potem rozpowszechnić - stałby się w „pudle” kimś. „Gitem” na pewno. Jeśli ten symbol lub symbole tatuażu przyjęłyby się w innych „pudłach”, bo przecież wciąż w nich biznesmenów przybywa, ich twórca zdobyłby nieśmiertelną sławę. Spróbuj, Szanowny Czytelniku. Może to być na przykład zwykły napis: „One dolar” - pod pachą (lewą). Tak, abyś mógł po wyjściu z „pudła” pokazywać go dyskretnie panienkom.

## *X. Jak się siedziało i siedzi w Polsce*

*W średniowiecznej Polsce uwięzienie trwało zwykle tylko rok i sześć niedziel*”

Profesor S. Kutrzeba (w skrypcie uniwersyteckim z 1947 roku)

Tak jak na całym świecie, tak i w Polsce rozwój więziennictwa i metody karania mają swoją historię i trzeba przyznać, że do czasów II wojny światowej nie zostawaliśmy zbyt w tyle za Europą Zachodnią.

Idee poprawczego, a nie tylko represyjnego traktowania kary zaczął głosić już w XVIII wieku Hugo Kołłątaj, który pisał: „Kary powinny być pobudką poprawy lub grozą od przestępstwa, lecz nie powinny być owocem wrogości i tyranii. Dlatego wszelkie pastwienie się przed śmiercią nie może być prawem dozwolone.”

Warto przypomnieć, że w 1780 roku sejm odrzucił „Zbiór praw sądowych” Andrzeja Zamoyskiego, w którym proponował on sześć następujących rodzajów egzekucji: ścięcie, a potem wydarcie serca i spalenie ciała na stosie; szarpanie piersi rozpalonymi cęgami, potem ręki prawej, a na koniec głowy ścięcie i ze wszystkim ciałem na stos rzucenie; szarpanie ręki prawej rozpalonymi cęgami, a potem bicie kołem na śmierć; eięcie obu rąk, potem głowy; ćwiartowanie, z wystawieniem ćwierci na publicznej drodze; powieszenie na szubienicy. Problem poprawczego charakteru kary został zresztą poruszony już na sejmie w 1736 roku, co przyczyniło się między innymi do założenia pierwszego w Polsce „domu poprawy”, gdzie zwracano również uwagę na resocjalizację skazanych.

Trendy te były jeszcze bardziej widoczne w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Wielu polskich znawców więziennictwa brało przykłady z Zachodu i pod wpływem tamtych koncepcji kształtowało poglądy władz polskich. A światowe koncepcje zmierzały cały czas w kierunku zmniejszania odwetu społecznego na przestępcy, preferowały natomiast coraz bardziej poddanie go systemowi resocjalizacji.

W okresie międzywojennym polskie więziennictwo przeżywało ostry kryzys. Jak pisał na temat polskich więzień znany przedwojenny kryminolog L. Rodzinowicz: „Mało jest krajów, w których dysproporcja między tym, co jest, a tym, co być powinno, jest tak wielka, jak u nas”. Potwierdzały to częste głodówki i bunt więźniów oraz pisane przez nich skargi do różnych organizacji, a zwłaszcza do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Warunki w naszych więzieniach były nieludzkie. Brak higieny, przeludnienie i marne wyżywienie (2400 kalorii dziennie) doprowadzały więźniów do ostateczności. Powołano nawet specjalną komisję sejmową, która zajmowała się - bez widocznych jednak rezultatów - sprawami więzień i uwięzionych.

Z drugiej strony historycy twierdzą, że polski system penitencjarny w okresie międzywojennym miał swoje zalety. Regulamin przewidywał wiele możliwości dostosowania warunków wykonania kary do osobowości skazanego. Istniał też podział na więzienia zwykłe i specjalne, a wśród tych ostatnich działały: więzienia obserwacyjne, lecznicze, dla recydywistów i przestępców zawodowych, kolonie rolnicze i zakłady rzemieślnicze. Działały też komitety więzienne, które nadzorowały wykonanie kary. Następowala segregacja „złodziei”, wprowadzono obowiązkową pracę i kształcenie ogólne i zawodowe więźniów.

Po II wojnie światowej więziennictwo zorganizowano na nowo. Weszło ono w skład resortu bezpieczeństwa publicznego. Początkowo obowiązywało prawo przedwojenne, ale wkrótce stworzono przepisy odcinające więziennictwo od społeczeństwa, które straciło nad nim całkowitą kontrolę. Było to wyrazem tezy, że państwo musi przejąć wszystkie obowiązki, nawet te, które należały kiedyś do społeczeństwa i które społeczeństwo z powodzeniem wykonywało. Odmówiono legalnej rejestracji bardzo użytecznemu Polskiemu Towarzystwu Społecznej Walki z Przestępczością i Opieki nad Więźniami. Bezpieka robiła w kryminale, co chciała, i w praktyce więźniowie nie mieli żadnych praw. „Klawisze” rekrutowali się z „odrzutów”, nikomu nieprzydatnych ludzi z wojska, bezpieczeństwa i milicji.

Od 1956 roku więziennictwo znalazło się w resorcie sprawiedliwości. Był to nowy etap, w którym więziennictwo rozwijało się powoli i systematycznie. Tworzono komitety więzienne, dopuszczono do zakładów karnych organizacje społeczne, a co najważniejsze odbudowano jakiś system kontroli społecznej nad wykonywaniem kary. Podjęto pierwsze kroki w kierunku stworzenia, a właściwie przywrócenia nadzoru sędziowskiego nad więźniami. Rozwinięto też pomoc postpenitencjarną, mającą istotne znaczenie dla pełnej resocjalizacji skazanych. Wspomagały te działania nowo powstałe organizacje społeczne, w rodzaju Klubów Anonimowych

Alkoholików czy Towarzystw Kulturalnych i Domów Kultury, udzielające byłym więźniom pomocy w zakwaterowaniu się i w adaptacji do normalnego życia.

W połowie lat sześćdziesiątych nastąpił drugi przełomowy okres w zakładach karnych. Po zmianie przepisów doszło do stopniowej wymiany kadr funkcjonariuszy, wywierano też większy nacisk na ich szkolenie zawodowe. To w jeszcze większym stopniu poprawiło sytuację skazanych. Ale „nowe” przebiegało się z trudem, o czym można przeczytać w rozdziale opisującym życie „klawisza”.

W latach sześćdziesiątych rozpoczęto też rozbudowę, modernizację i budowę nowych zakładów karnych. Jak twierdzą jednak „klawisze”, niektóre bzdurne przepisy pozostawiono. Chodzi tu o konkretne przepisy utrudniające na co dzień życie zarówno „klawiszom”, jak i „złodziejom”, wśród nich zakaz swobodnego poruszania się więźniów między celami oraz niektóre regulaminy dotyczące pracy ochrony więzień. Nie zmniejszono też biurokracji obowiązującej wychowawców, co powodowało, że więcej czasu zabierało im gromadzenie dokumentów i papierów niż kontakty ze „złodziejami”, które powinny stanowić istotę pracy wychowawcy.

Jednocześnie jednak naukowcy, kryminolodzy i specjaliści więziennictwa rozpoczęli szeroką dyskusję, czerpiąc wzory z Zachodu.

W latach siedemdziesiątych zaczęto nawiązywać kontakty międzynarodowe. Polskie zakłady karne odwiedzały różnego rodzaju delegacje i wizytacje zagraniczne, kontakty ze specjalistami zachodnimi zaczęły przynosić konkretne wyniki w postaci nowej polskiej myśli penitencjarnej. To również - zwłaszcza poprzez szkolenia szeregowej kadry „klawiszy” - zmieniało życie w więzieniach.

Okres „propagandy sukcesu” najbardziej chyba przyczynił się do poprawy sytuacji materialnej więziennictwa. Nie żałowano wówczas pieniędzy również na inwestycje w więziennictwie, chociaż - zdaniem moich znajomych „klawiszy” - budowano źle. Zakłady były zbyt duże. Powstawały więzienia molochy, którymi trudno zarządzać i trudno się je ochrania.

Jedno z takich więzień zwiedziłem osobiście. Jest to olbrzymi obiekt składający się z kilku pawilonów - budynków podzielonych na piętra, na których znajdują się oddziały. Te dzielą się na cele. Na drzwiach każdej z cel wypisano, jaką ma ona powierzchnię. Cele zbiorowe, w których siedzi po czterech lub pięciu więźniów, mają po około 16,5 metra kwadratowego, a pojedynki po około sześć metrów. Nie jest to dużo, bo w celach zbiorowych przypada na jednego „złodzieja” od 3,2 do 4 metrów kwadratowych. Na tej powierzchni muszą się zmieścić piętrowe łóżka,

stół z czterema lub pięcioma taboretami oraz wydzielone i osłonięte miejsce na kibel, odizolowany na ogół parawanem lub cienką ścianką. Na ścianach wiszą szafki, w których „złodzieje” trzymają żywność z „wypiski” i paczek oraz niezbędne rzeczy osobiste. Z wyjątkiem przyborów toaletowych, które muszą stać na półce, pod lustrem wiszącym nad umywalką koło sedesu. Miejsca w celi, jak również w szafkach i na półce, jest bardzo mało. Wszystko z trudem się tam mieści, toteż wykorzystane są nawet miejsca/ia szafkach, gdzie „złodzieje” kładą swoje miski, talerze i sztucce. Reszta powierzchni ścian pokryta jest na ogół zdjęciami nagich lub półnagich dziewcząt, powycinanych z ilustrowanych tygodników. W celach „złodziei”-kulturystów widnieją fotografie rozebranych mężczyzn. W takim towarzystwie wisi - zwykle nad drzwiami - krzyż.

Ściany - lub to, co widać spod szafek, łóżek i zdjęć - pokryte są szarą farbą, prawdopodobnie jest to najmniej brudzący się kolor. Okno - oczywiście okratowane - umieszczone jest około dwóch metrów nad podłogą. Pod oknem parapet, na który nie wolno wchodzić.

Koło krzyża wisi głośnik połączony z radiowęzłem, skąd płyną dźwięki audycji redagowanych przez więźniów albo transmitowanych z programów Polskiego Radia - tak więc codzienny kontakt ze światem jest.

Co rzuca się od razu w oczy, to pedantyczny wręcz porządek. Łóżka są idealnie zaścielone w kancik, poduszki uformowane w kostki, podłoga lśni, sedes też.

Do celi prowadzą drzwi szaroniebieskiego koloru. W drzwiach dwie zasuwki i jeden olbrzymi zamek, który otwiera chyba półkilogramowy klucz. Oddziałowy z pękiem takich kluczy biega cały dzień. Mimo rozmiarów zamka i klucza oddziałowy twierdzi, że zamek może otworzyć nawet małe dziecko, za pomocą zwykłego kawałka drutu. Na bardziej skomplikowane zamki brak pieniędzy. W razie buntu wystarczy, że „złodzieje” wydostaną się z jednej celi, a już po chwili zdolni są uwolnić kolegów z drugiej, ci otworzą cztery następne i po kwadransie cały oddział może być na korytarzach. Zabezpieczenie jest więc żadne.

W drzwiach celi znajduje się też wizjer, przez który od strony korytarza można podglądać, co „złodzieje” robią w celi. Wizjer przegrodzony jest drobną siatką, aby w napadzie złości „złodziej” nie włożył podglądającemu „klawiszowi” widelca w oko. Wszystko przewidziano.

Na korytarzu, naprzeciw celi, postawiona jest wysoka balustrada, zabezpieczona siatką. Za balustradą znajduje się rodzaj studzienki ciągnącej się od dachu do podłogi na parterze. Jednak na wysokości każdego piętra położono poziomo siatkę zabezpieczającą, po to, aby zdesperowany „złodziej” nie mógł skoczyć w dół i się zabić.



Wszystko - korytarze, drzwi, siatki, balustrady - pokryte jest tą samą szaroniebieską farbą, co w sztucznym świetle jarzeniowym robi trochę niesamowite i upiorne wrażenie. Ta szarość odbija się też na twarzach „klawiszy” i „złodziei”, którzy są o wiele od „klawiszy” blejsi, co w połączeniu z piaskowymi uniformami czyni ich wygląd jeszcze bardziej koszmarnym. Ale przejdźmy do konkretów.

Każdy oddział ma swoją bibliotekę, i to zupełnie nieźle zaopatrzoną. Widziałem głównie beletrystykę, choć była tam również klasyka: Tołstoj, Dostojewski, Sienkiewicz. Osobny dział zajmują pozycje prawnicze - „złodzieje” mogą się na kodeksach dokształcać. Znalazłem też dzieła encyklopedyczne i różne słowniki. To wszystko relikty przeszłości, kiedy książka była tania, a niektórzy państwowo-partyjni przywódcy mieli tę ambicję, aby docierała nie tylko „pod strzechy”. Teraz zakłady karne nie mają pieniędzy nawet na żywność, a jednym z największych dostarczycieli literatury, i to niezbyt popularnej wśród „złodziei”, jest Kościół. Obejrzałem niektóre z tych nowych pozycji. Były to przede wszystkim Biblie i żywoty różnych świętych oraz dzieła Dobraczyńskiego, wydawane masowo zwłaszcza w okresie rządów Jaruzelskiego. Teraz się przydały. Zauważyłem, niestety, że niektóre książki, w tym sporo „kościelnych” (dla których są wydzielone osobne półki), miały powydzierane kartki. „Złodziej”-bibliotekarz poinformował, że niektórzy robią sobie z tych kartek użytek higieniczny, kiedy nie mają innego papieru. Wstyd.

Z biblioteki przeszliśmy do ambulatorium. Lekarza nie było, ale „złodziej”-laborant pokazał nam całe wyposażenie. Było zupełnie nieźle i dostosowane nawet do robienia prostych zabiegów operacyjnych. Gorzej było z lekarstwami, zwłaszcza z antybiotykami. Dużo leków uśmierzających ból i nasennych, jak wyjaśnił laborant, takich właśnie lekarstw potrzebują „złodzieje”, kiedy się samouszkodzą lub nie mogą zasnąć.

Piszę o tym tak szczegółowo, abyś, Drogi Czytelniku, mógł wcześniej zaopatrzyć się w niezbędne dla Twojego zdrowia medykamenty.

Potem poszliśmy do świetlicy. Mieściła ze dwadzieścia osób - ot, taka większa cela. Na środku stał stół do ping-ponga, a w rogu telewizor - jedyny kolorowy telewizor na oddziale. Akurat grano w ping-ponga i przeszkadzano tym, którzy oglądali telewizję. Oglądali ją zresztą przez stół ping-pongowy, bo nie było już miejsca, aby rozstawić krzesła. Gdyby krzesła rozstawiono, część oglądających musiałaby wyjść z sali i oglądać program z korytarza albo tylko słuchać. Pod oknem zauważyłem dwie małe, rachityczne roślinki, pewnie pielęgnowane tak pieczołowicie, jak samotny kaktus przez Arabów na pustyni. Ściany w świetlicy obwieszono były obrazami i rysunkami wykonanymi osobiście przez „złodziei”.

Taka mała wystawa. Bardzo schludnie i czysto. Kolory też sino-szaroniebieskie - jak wszędzie.

Wreszcie zwiedziliśmy oddział izolacyjny. Najpierw pojedynczą celę, w której zamyka się „złodziei” za karę. Cella podobna do innych, ale wszystkie sprzęty przymocowano tam silnymi śrubami do podłogi. Okno, oprócz kraty, miało solidną siatkę. Okratowany był też głośnik, aby go „złodziej” nie wyrwał ze ściany. Na łóżku tylko surowe, ledwo heblowane deski, bez siennika, koca i poduszki.

Kiedyś - jak mi wyjaśniono - do łóżka przymocowane były jeszcze pasy, którymi przywiązywano delikwenta do „twardego łoża”. Jeśli , strażnicy byli złośliwi lub łobuz rozrabiał, zostawiano go tak na kilkanaście godzin, aby nie mógł napić się wody lub załatwić. Wtedy robił pod siebie i tak leżał w moczu i kale przez parę godzin. Było to podobno największą karą, gorszą od wszystkich regulaminowych, po której miękły najbardziej twarde „gity”.

Pokazano mi też drugą izolatkę - przeznaczoną dla furiatów. Była całkowicie pusta. Na podłodze leżał tylko siennik, zresztą mocno uszkodzony. Poza tym żadnego sprzętu, nawet zwykłego wiadra zastępującego kibel. Głośnika, czyli podstawowej więzi ze światem, nie było również. Jedną ścianę zrobiono z pancernego pleksiglasu, tak aby można było swobodnie obserwować więźnia. Światło wyłącza się tam poza celą, a bardzo słaba żarówka jest mocno okratowana. Natomiast kolor tej celi był pomarańczowożółty, powiedzmy, lekko rozweselający.

Na każdy oddział wchodzi się kontrolowanym przez ochronę wejściem. Strażnik, który może nacisnąć otwierający je elektryczny przycisk, stoi na zewnątrz, za okratowaną siatką. Od strony oddziału stoi drugi strażnik, z krótkofalówką.

Z pawilonu wychodzi się na betonową ścieżkę, która prowadzi w jedną stronę na ogólny dziedziniec, a w drugą na „spacerniak”. „Spacerniak” jest niewielki, ma może ze 100 metrów na 50, i otoczony trzymetrowym murem. Po jednej stronie muru, tej od wewnątrz, znajduje się rodzaj pomostu , po którym w czasie spaceru chodzą strażnicy pilnujący więźniów. Pomagają im w tym strażnicy na tak zwanych „zwyżkach”, czyli wieżyczkach. Ci drudzy uzbrojeni są w pistolety maszynowe.

Na „spacerniaku” można chodzić tylko w kółko, parami lub trójkami. Chodzi się po płytach betonowych - na środku placu jest trawa i chyba jakieś klomby, z kwiatami w lecie, w zimie wyglądało to na błoto, bo akurat padał deszcz. W sumie „spacerniak” nie robi zbyt przyjemnego wrażenia.

Po przejściu przez główny dziedziniec można dojść do warsztatów, budynku gospodarczo-biurowego lub do bramy. Budynek biurowy i warsztaty

nie odróżniają się niczym szczególnym od zwykłych, natomiast brama jest potężna. W „pudle” mówi się na nią „śluza”. Składa się z dwóch bram i nie można otworzyć zewnętrznej, jeśli otwarta jest wewnętrzna - to znaczy nie mogą być otwarte obie na raz. Ten cały system, wraz z pomieszczeniami dla ochrony, jest ogrodzony wysoką, chyba pięciometrową siatką.

Drugie wejście do więzienia jest w biurowcu. Tam nie ma już takich zabezpieczeń, ale całą dobę czuwa dwóch-trzech ochroniarzy. Każdy wchodzący musi się wylegitymować.

Budowane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych więzienia miały być samowystarczalne. Również i to, które opisuję, ma swój własny agregat prądowczy - na wypadek, gdyby „złodzieje” chcieli wykorzystać awarię elektrowni w mieście i wszcząć jakąś rozróbę. W „pudle” jest też studnia głębinowa, niezależna od wodociągów, dzięki czemu „złodziej” pije wodę o wiele lepszą niż zwykły obywatel w tym mieście.

Pod głównym dziedzińcem wykopano olbrzymią piwnicę. Jest w niej magazyn, gdzie trzyma się kartofle, buraki i inne jarzyny na zimę. Kupuje się je taniej, a przynajmniej kiedyś się kupowało, w sezonie ogrodniczym.

Poza tym, naturalnie, zakład wyposażony jest w kuchnię, łaźnię, pralnię, kotłownię, centralne ogrzewanie, ma fryzjera, sklepik i stołówkę. Tak na zdrowy rozsądek nie wiadomo, czego chcą jeszcze ci „złodzieje”. Z tego więzienia można nie wychodzić całe życie - pełna obsługa na miejscu.

W opisywanym tu „pudle” siedział przez parę lat dyrektor, którego firma je budowała. Siedział za defraudację i handel kradzionymi materiałami budowlanymi. Miał możliwość docenić i ocenić swoje dzieło w praktyce. Jak twierdzą „klawisze”, denerwował się bardzo, że źle położono tynk i krzywo podłogę. Narzekał też na izolatkę dla furiantów, w której również siedział, a której budowę sam osobiście nadzorował. Wyszedł z nowymi doświadczeniami.

A teraz trochę statystyki.

W końcu lat osiemdziesiątych istniało w Polsce 148 podstawowych jednostek więziennictwa, w tym 67 aresztów śledczych i 81 zakładów karnych. Ponadto działało 66 oddziałów więzień (tak zwanych zewnętrznych), które były podporządkowane innym zakładom karnym lub aresztom śledczym, oraz 8 ośrodków przystosowania społecznego.

Większość polskich więzień pochodzi jeszcze sprzed II wojny światowej i zaraz po wojnie była w bardzo złym stanie technicznym. Dotyczy to zarówno budynków, w których siedzą „złodzieje”, jak i pomieszczeń gospodarczych. W najgorszym stanie i najbardziej prymitywne są systemy i urządzenia sanitarno-higieniczne.

Oznacza to po prostu, że w niektórych więzieniach do tej pory zamiast sedesów z bieżącą wodą stoją kible, a umywalnie znajdują się w korytarzach, jedna na kilkanaście cel.

Około 70% obiektów, w których znajdują się polskie więzienia, zostało wybudowanych przed I wojną światową - w wieku XIX, XVII, a nawet wcześniej. W końcu lat osiemdziesiątych objęto kompleksową lub częściową modernizacją 94 jednostki. Ale nadal w tym okresie około 20 jednostek nie miało w celach podstawowych urządzeń sanitarnych, a 5 zakładów nie miało centralnego ogrzewania. W ostatnich latach, z powodu totalnego kryzysu w Polsce, większości prac modernizacyjnych zaniechano.

Generalnie, ze względu na przepisy oszczędnościowe, w naszych więzieniach nie ma w celach ciepłej wody, z wyjątkiem więzień dla kobiet oraz szpitali i oddziałów lub izb chorych.

Opisywane tu poprzednio więzienie jest dość nietypowe, rzekłbym luksusowe. Każdy ze „złodziei” chciałby w nim siedzieć, i Ty prawdopodobnie też, Drogi Czytelniku.

Ponieważ o adaptacji poszczególnych budynków decydował często przypadek, rozmiary polskich więzień są bardzo zróżnicowane. Tak na przykład areszt śledczy w Białoleścu pod Warszawą ma aż 2100 miejsc, ale areszt śledczy w Chełmie tylko 68; zakład karny dla mężczyzn w Czarnem 2084 miejsca, a w Kluczborku - 201; zakład karny dla kobiet w Krzywaniu 703 miejsca, w Lublińcu - 302; zakład karny dla młodocianych we Włocławku 1533 miejsca, w Nysie - 755.

Jak twierdzą moi znajomi „klawisze”, którzy pracowali w różnych więzieniach, duże jednostki są dla nich złą złą z kilku powodów.

Po pierwsze, personel jest tam zwykle niewystarczający i wychowawcy mają pod opieką o wiele więcej „złodziei” niż w małych jednostkach. Nie pozwala to im na właściwe kontakty i nadzór, w związku z czym ich praca jest mało skuteczna, a „podziemie”, czyli „drugie życie” w „pudle”, o wiele bardziej rozwinięte.

Po drugie, w razie buntu kłopoty ze skazanymi są o wiele większe, a jego stłumienie trudniejsze i bardziej dla „klawiszy” niebezpieczne.

Po trzecie, większe więzienia, choć nie stanowi to reguły, są zwykle położone w dużych odległościach od wielkich aglomeracji, co utrudnia dojazd, zakupy, znalezienie mieszkania czy dobrej szkoły dla dzieci, a nawet, w razie wypadku, specjalistycznej pomocy lekarskiej.

„Złodzieje” natomiast wolą siedzieć w dużym kryminale. Mniej skuteczny dozór, większa możliwość kontaktów, bogate życie „wewnętrzne”. Choć z drugiej strony oddalenie tych kryminałów od miast utrudnia widzenia z rodziną i kumplami, a teraz, kiedy środki transportu drożeją, nawet bardzo je ogranicza.

Generalnie jednak można powiedzieć, że „złodzieje” wolą duże kryminaly od małych, gdyż w nich zawsze coś się dzieje i można jakoś zabić więzienną nudę. Najlepiej zaś czują się w dużych więzieniach wybudowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdzie dodatkowo mają dobre warunki sanitarne.

Na warunki odsiadki duży wpływ miało zawsze tak zwane zaludnienie, czyli stosunek liczby miejsc do liczby „złodziei”. Największe było w 1985 roku i wynosiło 114,5%. Najmniejsze przypadało na rok 1988 - 68,1%, w 1974 roku wynosiło 78,4%, a w 1977 - 80%. Trzeba jednak pamiętać, że w latach 1974, 1977, 1981, 1983, 1984, 1986 uchwalano amnestię.

Wbrew temu, co się powszechnie uważa, liczba i częstotliwość amnestii nie mają zasadniczego wpływu na liczbę uwięzionych. Decydujące są inne czynniki: liczba tymczasowych aresztowań i czas trwania postępowania karnego, liczba i wysokość orzekanych kar i obciążeń finansowych, liczba kar nakładanych przez kolegia orzekające oraz liczba zwolnień przedterminowych, czyli efekty pracy resocjalizacyjnej „klawiszy”.

Ważna dla tej statystyki była zawsze liczba tymczasowo aresztowanych. Na przykład w 1984 roku - aż 33,9% . W praktyce oznacza to, że statystyki zawyżają również ludzie siedzący niewinnie, zgodnie z zasadą, że „facet siedzi, a wymiar sprawiedliwości działa”. Nawiasem mówiąc, jest to od wojny pięta achillesowa polskiego wymiaru sprawiedliwości - powolność i bezdusność całej maszyny. To, że podejrzany siedzi, czasem niewinnie, zupełnie nie przeszkadza naszym organom ścigania, które działają według starej zasady: „Jak posiedzi, to się sam przyzna”. W tej sprawie - twierdzą „klawisze” - nic się od czasów powojennych nie zmieniło. Obecnie z takiej sytuacji może wyratować delikwenta tylko dobry adwokat, choroba lub udana symulacja, ewentualnie, u kobiety, ciąża.

Na przykład, w 1988 roku siedziało bez wyroku sądu: 6500 osób do 3 miesięcy, 3600 osób od 3 do 6 miesięcy, 1755 osób od 6 miesięcy do 1 roku, 627 osób od jednego roku do dwóch lat i powyżej dwóch lat 171 osób. W sumie w 1988 roku siedziały bez sądu 12653 osoby, z czego 171 ponad dwa lata.

Są to liczby przerażające, nawet dla „klawiszy”. Musisz zatem pamiętać, Drogi Biznesmenie, że znaleźć się w polskim „pudle” - zwłaszcza obecnie - jest szalenie łatwo, ale doczekać się rozprawy i wyroku o wiele trudniej.

W liczbach bezwzględnych najwięcej osób siedziało w 1973 roku - 124000, a najmniej po amnestii w 1956 roku - 35000; rozrzut jest tutaj olbrzymi. W ciągu dwóch ostatnich lat przybyło nam 22000 więźniów.

- Biorąc pod uwagę liczbę siedzących do liczby obywateli, tak zwany współczynnik na 100000 ludności wynosił w Polsce w 1988 roku 179 osób. Nie był szokujący w porównaniu z takimi krajami jak Węgry (około 250) czy Czechosłowacja (około 220), ale w porównaniu z krajami Europy Zachodniej był bardzo wysoki (dane za rok 1984): RFN - 104, Anglia - 83, Włochy - 76, Francja - 74, Dania - 70, Szwajcaria - 62, Szwecja - 57, Norwegia - 48, Hiszpania - 38 i Holandia (rekordowo i taka jej pozycja cały czas się utrzymuje) - 31 osób. Liczby te do 1992 roku raczej się obniżyły.

W Polsce od tego czasu współczynnik ten spadł również i w lutym 1992 roku - według oświadczenia szefa polskiego więziennictwa, dyrektora Moczydłowskiego - wynosił 150 osób. Warto tu zauważyć, że na przykład Turcja - powszechnie uważana przez Polaków za kraj, ogłędnie mówiąc, niespokojny - miała w lutym 1992 roku współczynnik 86.

Takie polskie „osiągnięcie” wynika nie tylko z liczby tymczasowo aresztowanych, ale również z naszej polityki karno-kryminalnej. Jest ona zdecydowanie represyjna, w o wiele mniejszym stopniu - resocjalizacyjna. Uważa się powszechnie, tak twierdzą polscy naukowcy, że tylko poprzez karę pozbawienia wolności można skutecznie zwalczać przestępczość i zapewnić społeczeństwu bezpieczeństwo. Przebijają to wyraźnie z kodeksu z 1969 roku i innych ustaw karnych. Przyczyniają się do tego również sądy stosujące areszty zapobiegawcze wobec 30% ogółu skazanych, a aż 50% wobec młodocianych. Sądy - zdaniem fachowców - zbyt często (w porównaniu z krajami zachodnimi) stosują kary więzienia - w niektórych latach nawet do 88% wyroków skazujących. Również wysokość przeciętnej kary pozbawienia wolności jest w Polsce olbrzymia - w przypadku recydywy wynosi nawet 25 miesięcy (średnia!!). Do tego wszystkiego dokładają się kolegia orzekające, które karzą więzieniem bez umiaru i rozsądku, zamiast - tak jak na Zachodzie - stosować inne, równie dokuczliwe i skuteczne kary (na przykład praca przy porządkowaniu miasta czy rekompensaty dla pokrzywdzonych), mniej kosztowne dla budżetu państwa, a bardziej użyteczne dla społeczeństwa.

Budżet państwa w Polsce obciążają ponadto bardzo silnie „grzywniarze”, czyli ludzie skazani na odsiadkę wobec niemożności zapłacenia grzywien albo alimentów. Jest to oczywiście dziwna polityka państwa, a właściwie sądownictwa. W areszcie śledczym na warszawskim Grochowie siedziała w lutym 1992 roku pewna obywatelka za niezapłacenie 150000 złotych, co kosztowało państwo 15 milionów. W tym samym areszcie przebywało wówczas - na 400 osadzonych - 20 „grzywniarzy”. Każdy z nich, licząc po cenach z roku 1992, kosztował miesięcznie skarb państwa 2,5-3 milionów - wliczając w to remonty, pensje „kławiszów”, inwestycje,

transport, ogrzewanie, energię elektryczną. W całej Polsce za grzywny siedziało ponad 10000 osób.

W Stanach Zjednoczonych państwo handluje wolnością. Proponuje się skazanemu bardzo dokuczliwą terapię lub inne kary, które mogą skrócić jego pobyt w „pudle”. Amerykańscy przestępcy przystają na to na ogół z ochotą. Zyskuje na tym i państwo - nie musi utrzymywać „złodzieja”.

Sytuacja więziennictwa polskiego była w 1992 roku tragiczna. W prowizorium budżetowym przyznano tyle pieniędzy, że mogły one wystarczyć tylko na żywność dla „złodziei” i pensje funkcjonariuszy. W połowie roku jednak były cięcia i zabrakło 93 miliardów złotych. W lutym 1992 długi wynosiły już ponad 100 miliardów. Nie spodziewając się redukcji, w 1991 roku więziennictwo bardzo oszczędzało, niestety tych oszczędności nie zobaczyło, zginęły gdzieś w przepaścistych kasach skarbu państwa.

Poza tym więzienia mają bardzo duże długi. Warszawski areszt śledczy na Grochowie zamknął rok 1991 minusowym saldem w wysokości 350 milionów złotych. Ale to drobiazg, więzienie we Wronkach miało na koniec 1991 roku 2,5 miliarda długu. Więzienia zadłużone są głównie wobec dostawców komunalnych (woda, energetyka, telefony).

Obecnie więziennictwo jeszcze egzystuje, chociaż prędzej czy później trzeba będzie zrobić remonty, wywieźć szamba, kupić nowe żarówki. Ale co będzie za rok, dwa - nikt nie wie.

Dla lepszej orientacji przeanalizujmy autentyczny budżet kryminału średniej wielkości (z roku 1991), podając tylko główne jego elementy (liczby w zaokrągleniu).

Dobry biznesmen, jakim niewątpliwie jesteś, Szanowny Czytelniku, już po tym przykładzie zorientuje się, co w trawie piszczy i na co powinien zwrócić uwagę, aby uczynić sobie odsiadkę przyjemniejszą. Zrozumie też pewne mechanizmy funkcjonujące w każdym kryminale, gdyż proporcje wydatków w każdym z nich są podobne. Na elementy podstawowe zwracam uwagę we własnych komentarzach, ujętych w nawiasy.

#### I. Ile kosztowali państwo „klawisz”?

1. wynagrodzenia osobowe - pensje	- 8.072.000.000
2. dodatki za pracę z zarażonymi HIV (Za taką pracę płacą niedużo, to trzeba przyznać.)	- 8.720.000
3. godziny nadliczbowe (Obecnie płatne są wszystkie godziny nadliczbowe, kiedyś tak nie było.)	- 215.420.000

4. ekwiwalent finansowy zamiast urlopu	-	94.650.000
5. wynagrodzenie służby zdrowia	-	141.350.000
6. dodatki funkcyjne	-	3.444.000
7. nagrody jubileuszowe	-	77.476.000
8. umundurowanie „klawiszy”	-	8.507.760.000
9. remonty mieszkań	-	153.000.000
10. dodatki rodzinne	-	401.000.000
11. wynagrodzenia bezosobowe	-	20.000.000
12. nagrody uznaniowe	-	887.900.000
13. nagrody roczne	-	49.200.000
14. pomoc finansowa dla emerytów służby więziennej, głównie remonty mieszkań		
-		155.000.000
15. podróże służbowe	-	24.600.000
16. wyżywienie „klawiszy” (służbowe)	-	162.000

Wynika z tego, że najwięcej kosztują pensje i umundurowanie „klawiszy” - w sumie ponad 16 miliardów złotych rocznie.

## II. Jakie były wydatki na „złodziei”?

1. wynagrodzenie za pracę (Trzeba pamiętać, że mamy bezrobocie również w kryminalach i wielu „złodziei” nie ma pracy. Czasem pracują społecznie, za darmo, ale każdy chciałby pracować odpłatnie, również poza kryminałem.)	-	
		795.480.000
2. nagrody uznaniowe	-	34.820.000
3. odzież, bielizna, pościel	-	1.024.000
4. środki czystości, materiały dekoracyjne	-	247.500.000
5. wyżywienie „złodziei” (Limit na żywność dla „złodziei” przyznawany jest tylko - nie wiadomo dlaczego - raz na rok. Jeśli w ciągu roku „złodziei” jest więcej, niż wynikało to z normy zaludnienia kryminału, dotacje są dodawane po sporządzeniu budżetu. Wynika z tego, że kryminał musi albo wygospodarować pieniądze dla „złodziei” nadliczbowych, albo wpaść w długi.)	-	3.450.000.000
6. lekarstwa i materiały medyczne	-	243.500.000
7. usługi transportowe	-	85.800.000
8. ubezpieczenie „złodziei”	-	271.800.000
9. usługi socjalne i kulturalno-oświatowe	-	8.466.000



Zdecydowanie najwięcej kosztuje wyżywienie „złodziei”, inne wydatki są mało istotne. Może z wyjątkiem wynagrodzeń za pracę. Trzeba też zwrócić uwagę, że na rozrywki dla „złodziei” (usługi kulturalno-oświatowe) wydano przez cały rok tylko 8,5 miliona złotych. Ta suma dobitnie potwierdza to, na co żałują „złodzieje” najbardziej - na potworną więzienną nudę. Czy nie byłoby słuszne, aby część pieniędzy przeznaczonych na wyżywienie przeznaczyć na rozrywki i resocjalizację?

Główne koszty utrzymania samego kryminału:

1. opał i materiały pędne	450.200.000
2. materiały remontowe	197.600.000
3. materiały do konserwacji pomieszczeń	35.700.000
4. energia	1.806.000.000
5. konserwacje i naprawy	141.902.000
6. usługi remontowo-budowlane	378.000.000
7. usługi komunalne (m.in. śmieci)	142.000.000
8. usługi - remonty kapitalne	760.100.000
9. opłaty za korzystanie ze środowiska (czytaj: dewastowanie środowiska)	99.800.000
10. zlecone administrowanie budynków kryminału	104.000.000
11. ubezpieczenie środków transportu (Więziennictwo, po PKP i PKS, jest trzecim co do wielkości przewoźnikiem w kraju - licząc osobokilometry - a to z powodu ciągłego wo- żenia „złodziei” z kryminału do kryminału.)	38.000.000

IV. Na samo biuro w omawianym kryminale, czyli na czystą biurokra-  
cję, wydano:

1. książki, prasa, materiały biurowe (aż)	85.000.000
2. tak zwane przedmioty nietrwałe, w tym również biurowe	190.000.000
3. opłaty pocztowe, telefon	238.735.000
4. ogłoszenia, obwieszczenia, ekspertyzy, w tym też listy gończe (tylko)	7.200.000

W tym przypadku sumy wydane na same materiały piśmienne (przede wszystkim prawdopodobnie papier) dobitnie potwierdzają żale wychowawców, że są zawałeni robotą papierkową. Nieźle też sobie „klawisze” pogadali przez telefon.

V. Psy służbowe kosztowały państwo:

1. wyżywienie i opieka	-	20.306.000
2. koszty weterynaryjne	-	8.824

Z czego wynika, że w tym zakładzie psy były zdrowe jak ryby.

Wydatki ogółem w 1991 roku wyniosły w tym kryminale ponad trzydzieści cztery miliardy złotych, z czego zalegano w lutym 1992 roku z opłatami dla dostawców ponad cztery miliardy - głównie za żywność, modernizację zakładu i realizację inwestycji. Biedni wierzyciele.

Trzeba też zwrócić uwagę, że w przedstawionym budżecie nie ma żadnych zakupów tak zwanych środków trwałych (czyli według przepisów z lutego 1992 - przedmiotów o wartości ponad pięć milionów złotych). Oznacza to skrajną dekapitalizację zakładu, gdyż jak długo można wyposażenie naprawiać i remontować. Zwłaszcza że zakład ma długi również wobec realizujących remonty. Oni już drugi raz nie podejmą się podobnej transakcji. Kilka lat takiej gospodarki, a niektóre kryminały się po prostu zawała.

Naczelnicy, którzy czują się zwykle prawdziwymi gospodarzami zakładów, starają się nie tylko oszczędzać pieniądze z budżetu. Organizują na przykład własne piekarnie, aby obniżyć koszty żywności. Artykuły żywnościowe kupują bezpośrednio od producentów lub importerów, płacąc zresztą z opóźnieniem, w kredycie, albo nie płacąc wcale.

Dostawcy muszą dowozić towary własnym transportem, bo transport więzienny się rozpada. Podnosi to oczywiście koszty zakupu, bo dostawca wlicza sobie cenę benzyny do ceny towaru. Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób uzależnia się pośrednio ceny żywności od ceny paliwa, która stale rośnie. Znany jest moim „klawiszom” przykład ich kolegi, który w okresie inflacji i prosperity handlu przeszedł na rentę, wziął z banku dość wysoko oprocentowany kredyt i założył hurtownię, mającą zaopatrywać głównie pobliskie więzienia. Po roku zbankrutował, gdyż więzienia płaciły w takim tempie, że nie był w stanie spłacić kredytu. Sądził, naiwny, że - tak jak za komuny - instytucja państwowa, jaką jest więziennictwo, będzie zawsze wypłacalna.

Część kosztów więziennictwo stara się przerzucić na „złodziei”. Nie dostają na przykład nowych drelichów - każe im się używać ich własnych ubrań. „Złodzieje” w ramach protestu chodzą cały dzień w więziennych pidżamach, a w prywatnych ubraniach śpią. Więzienia zbierają też odzież od organizacji charytatywnych. W ten sposób nie dostają jej naprawdę biedni i najbardziej potrzebujący obywatele.

W więzieniach zablokowano telefony, tak aby nie można było dzwonić poza miasto.

-

Ale również zabrano „złodziejom” radia, a za używanie prywatnych telewizorów wprowadzono opłaty - 15 000 złotych miesięcznie. Zrobiono też przegląd grzałek, za pomocą których skazani gotują sobie „parzochę”. Te, które zużywają za dużo prądu, zabrano. Oczywiście zmusza to „złodziei” do konstruowania grzałek własnego pomysłu, najczęściej z dwóch żyłek i zapalek oraz kabla - takie urządzenie dopiero zje prąd!

Niektórzy naczelnicy starają się zarobić. Naczelnik zakładu w Siedlcach wydzierżawił na reklamy mur więzienny od ulicy. Sprzedaje go na metry, wywołując tym wesołość miejscowego społeczeństwa i dowcipy wśród „złodziei”. Ale to są wyjątki.

Jaki będzie koniec tej zabawy, trudno przewidzieć. Polskie władze nie mogą prawdopodobnie zrozumieć, że sytuacja zmierza do anarchii. Wkrótce dojdzie do tego, że bogaci „złodzieje”, a takich zresztą przybywa najwięcej, będą sobie mogli kupić innego „złodzieja”, „klawisza”, a może, jak dobrze pójdzie, i naczelnika.

Pensje „klawiszów” i naczelników również podlegają inflacji i dewaluacji i, jak zwykle w takiej sytuacji ekonomicznej, nie nadążają za podwyżkami. Korupcja lub nawet tylko protekcyjizm wobec wybranych, bogatszych, „złodziei” może doprowadzić do parodii wymiaru sprawiedliwości. „Złodziej” nie będzie musiał dawać naczelnikowi łapówki. Wystarczy, że poprosi kolegę o zatrudnienie w swojej firmie kuzynki naczelnika, wnuka wychowawcy czy teściowej oddziałowego. W tej sytuacji o sprawiedliwym traktowaniu wszystkich skazanych nie będzie mogło być mowy.

Stworzy się zupełnie inna hierarchia wartości i ważności w „drugim życiu” w „pudle” - twierdzą moi znajomi „klawisze”. Możliwe, że powstaną wkrótce dwie grupy „złodziei”: arystokracja i łachudry. Ci pierwsi będą jedli codziennie szynkę i sardynki, popijając zimną coca-cola, oglądając we własnych telewizorach i wideo filmy pornograficzne - w niektórych więzieniach zwiększono już przydziały paczek, aby urozmaicić „złodziejom” skromne z konieczności menu, oraz bez ograniczeń dopuszczono wideo, aby poprawić im samopoczucie pogarszane systematycznie pogłębiającą się więzienną nędzą.

Druga grupa, łachudrów, będzie płaszczyć się i żebrać, aby dostać kawałek tłuszczu od szynki albo wylizać pudełko po portugalskich sardynkach. Niektórych nie stać nawet będzie na używanie własnego starego, czarno-białego telewizora, bo z czego zapłacą te 15 000 miesięcznie, jeśli nie pracują i nie zarabiają. (Bezrobocie wśród więźniów osiągnęło w 1992 roku 70%, jest to liczba nie mająca precedensu we współczesnym więziennictwie europejskim). W podobnej sytuacji są ich bezrobotne rodziny i stamtąd „złodzieje” również nie mogą spodziewać się wsparcia

finansowego. Pozostanie im żebrać u bogatszych kolegów.

Stąd płynie, Drogi Biznesmenie, nauka, aby odkładać pieniądze na czarną godzinę na specjalnym koncie, którego nie osiągnie prokurator (najlepiej na nazwisko teściowej lub kuzyna, do którego ma się zaufanie). W czasie odsiadki będziesz mógł nawet postawić naczelnikowi dobre holenderskie piwo, które specjalnie dla Ciebie trzymać będzie w przywieziennym sklepie więzienny agent.

A co na to nasze władze? Według moich szeregowych klawiszy, nie robią absolutnie nic. Zrozumiałe, że trudności gospodarcze muszą odbić się na więziennictwie, ale są możliwości zaradzenia temu poprzez zmiany polityki sądowniczej i penitencjarnej ograniczającej liczbę osadzonych. Tak zrobiono już w wielu krajach na Zachodzie kilkanaście lat temu. Jak kapitalizm, to kapitalizm - rozumiemy zasady, mówią „klawisze”, ale to nie jest kapitalizm, tylko burdel.

Pozostawiam to bez komentarza, chociaż chciałbym przypomnieć, że w Holandii miał miejsce przypadek, iż „klawisze” zastrajkowali w związku z przeludnieniem kryminalów.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę, która bardzo często pojawiała się w opowiadaniach moich rozmówców. Społeczeństwo w swej ogromnej większości nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, jakie nad nim obecnie wisi w postaci zorganizowanej przestępczości i zwykłego bandyckiego rozboju, wymierzonego zwykle w najbardziej bezbronnych ludzi, na ogół starszych i kobiety. Zjawisko to dobrze znają mieszkańcy Nowego Jorku, gdzie poza samym centrum nie można bezpiecznie wyjść wieczorem na ulicę. Bandyci, ci stojący najniżej w hierarchii przestępczej, z niewinną miną proszą o pieniądze, a jeśli ich nie masz lub nie chcesz dać, wyciągają nóż lub żyłkę.

Jest to oczywiście wynik nędzy i bezrobocia, ale również świadczy - co podkreślali „klawisze” - o nie szanowaniu państwa. W socjalizmie państwo zajmowało się każdym obywatelem na każdym kroku (nie wolno było utopić się w Wiśle, bo na brzegu stały tablice karzące grzywną topielców). W kapitalizmie państwo daje obywatelowi taką swobodę, że samo w tej demokracji powoli ginie. „Złodziej” nie czuje żadnego zagrożenia. Jeśli w takiej sytuacji utrzyma się słaby aparat ścigania i złe, nie resocjalizujące przestępców więziennictwo, bardzo szybko będziemy mieli w Warszawie Nowy Jork, a w Łodzi - Chicago. Aby ten stan rzeczy zlikwidować, potrzeba będzie ze dwudziestu-trzydziestu lat.

Nie można zatem spraw poruszanych w tej książce lekceważyć. Nie można zapominać, że więzienia to siła i przestroga dla potencjalnych przestępców. Jeśli aparat ścigania i więziennictwo będą słabe i „złodzieje” nie będą się ich bali

i respektowali, nie będą się bali również państwa. A zdaniem moich rozmówców polskie więziennictwo tkwi w XIX wieku i wymaga prawdziwych reform.

Na zakończenie tego rozdziału kilka bardzo praktycznych informacji dla przyszłych odsiadkowiczów. Bardzo ważne dla każdego „złodzieja” - co już tu nieraz podkreślałem - jest „koryto”. A więc, co jemy w „pudle”? Udało mi się uzyskać autentyczne jadłospisy z prawdziwego kryminału. Nieważne z którego, ale prawdziwe. Przeanalizowałem uważnie parę dni z grudnia 1991 roku (2 robocze i 3 świąteczne).

Zgodnie z normą „złodzieje” niepracujący mogli zjeść wówczas za 10320 złotych, a pracujący za 12430 złotych dziennie (według danych z marca 1993 obecnie stawki te wynoszą: 14 100 zł dla niepracujących, 16000 dla pracujących; na dietę specjalną przeznaczają się 18 600 zł). Nie są to zawrotne sumy, ale zważmy, że w kryminale siedzi średnio kilkaset osób. Żywność kupuje się u producenta. Obsługa kelnerska jest darmowa (żarcie wożą tak zwani „złodzieje” funkcyjni, czyli kalifaktorzy), a kucharzom płaci się mało. Dobry kucharz potrafi z takich stawek, przy kilkuset klientach, zdziałać cuda. Kucharz od „naszych” jadłospisów chyba nie jest wirtuozem, ale widać, że robi, co może. W każdym razie, jak mówili mi „złodzieje”, raczej mało kradnie. Z więzienia zresztą trudno coś wynieść, bo są rewizje. Można tylko zjeść na miejscu. Ponieważ „kławiszki” mają swoją pełnopłatną stołówkę, możliwości manipulowania poszczególnymi składnikami są mocno ograniczone, jeśli nie niemożliwe. Możemy zatem przyjąć, że rozliczenia kuchni są w miarę rzetelne.

Każdorazowo codzienny jadłospis zatwierdza osobiście naczelnik kryminału, umieszczając na nim swój podpis. Sama karta jadłospisu jest bardzo, bardzo dokładna. Poza składem poszczególnych posiłków zawiera wszystkie zużyte ilości produktów, liczbę gramów węglowodanów, tłuszczu, białka, liczbę kalorii dziennie oraz koszt każdego składnika - nawet soli i przyprawy do zup. Oszustwo jest więc bardzo utrudnione, zwłaszcza że poza naczelnikiem jadłospis dzienny zatwierdzają: lekarz, kierownik działu gospodarczego oraz technik działu gospodarczego.

Przy analizie jadłospisów rzuca się w oczy monotoność posiłków. Nawet w święta kucharz „oparł się” na pulpetach, mielonych i kiełbasie. Jedyne urozmaicenie to syte zupy. Fatalnie było też z witaminami. Tylko buraki, marchew, cebula i kiszony ogórek. Inna sprawa, że było to w grudniu, czyli wtedy gdy jarzyny są bardzo drogie. To go trochę tłumaczy.

Natomiast widać bardzo dużo tłuszczu, czym oczywiście napędza się kalorie, dla których jest norma, a tę trzeba wykonać. Dużo było też węglowodanów

(chleb, ziemniaki), zupełnie nieprzydatnych w okresie świąt, kiedy się nie pracuje i kalorie nie są potrzebne. Można było z nich zrezygnować na korzyść urozmaicenia.

Wydaje się też, że jedzenie jest zbyt kaloryczne. Według profesora Tatonia, znanego diabetologa, emeryci potrzebują średnio 2330 kalorii, urzędnicy 2520, robotnicy budowlani 3000, rolnicy 3550, a górnicy dołowi - 3660 kalorii. Nasi „złodzieje” otrzymują tyle kalorii, co rolnicy, a niekiedy tyle, co górnicy. Czy jest to im potrzebne? Znajomy „złodziej” po roku odsiadki „nabył” 8 kilogramów. Nadmierna liczba kalorii przy jednoczesnym ciągłym siedzeniu w celach powoduje, że niepracujący tyją, choć jednocześnie narzekają na „koryto”, gdyż jest za mało urozmaicone.

Ponadto różnica jakościowa między pracującymi a niepracującymi jest niewielka. Różnią je zupy, masło i niekiedy drugie dania. Reszta to twarogi, sery, jajka, kiełbasa.

Pomimo to „złodzieje” na ilość wyżywienia nie powinni (przynajmniej w tym kryminale) narzekać. „Klawisze” zresztą twierdzą, że ich podopieczni jedzą lepiej od nich - nawet ci niepracujący. Obecna stawka 14100 złotych dziennie normy dla niepracujących oznacza, że na żarcie musieliby przeznaczyć około 400 000 złotych miesięcznie na osobę, a to jest niemożliwe przy czteroosobowej rodzinie i zarobkach w granicach 2,5-3 milionów, gdyż trzeba opłacić świadczenia, czynsz, ubezpieczenia itd. Inna sprawa, że „klawisze” nie chcieliby jeść wspólnych posiłków ze „złodziejami”. Jakoś im nie smakuje.

Dla eksperymentu wraz z moją rodziną zaplanowaliśmy na dwa tygodnie menu „złodziei”. Nie wytrzymaliśmy nawet tygodnia. Brakło urozmaicenia, owoców, słodyczy, nie mówiąc o piwie. Zrobiliśmy się wszyscy jacyś nerwowi i konfliktowi. Chodziliśmy w kółko po mieszkaniu.

A teraz, dla przykładu, podaję Ci, Szanowny Biznesmenie, dwa takie autentyczne więzienne jadłospisy z grudnia 1991.

23 grudnia 1991, poniedziałek - zwykły dzień pracy

a) niepracujący (norma 10 320 zł) Śniadanie: Kasza jęczmienna (40 g) na mleku (450 g), chleb, margaryna,  
jajko Obiad: Kapuśniak (na słoninie, z włoszczyzną), klopsy wołowo-wieprzowe (120 g) w sosie jarzynowym, sałatka z ogórka kiszzonego (120 g) Kolacja: Kawa (zbożowa), chleb, margaryna, kiełbasa

Razem: 3488 kalorii (oraz 52,72 g białka, 178,32 g tłuszczu, 412,44 g węglowodanów, 300 g warzyw). Koszt: 10539 zł

b) pracujący (norma 12430 zł) Śniadanie: Makaron (40 g) na mleku (450 g), chleb, masło, herbata,

jajko Obiad: Krupnik z ziemniakami, pulpety wołowe (160 g) w sosie jarzynowym, ryż (100 g), sałatka z buraczków Kolacja: Herbata, chleb, masło, kiełbasa (100 g)

Razem: 3551 kalorii (oraz 46,63 g białka, 157,8 g tłuszczu, 376,87 g węglowodanów, 300 g warzyw). Koszt: 12 318 zł Uwaga: Chleb, tylko żytni, wydaje się raz dziennie, rano (400 g) i trzeba nim samemu gospodarować do kolacji. Chleba nie można dokupić. Kawa i herbata są zawsze słodzone, mimo to „złodzieje” kupują dużo cukru, co zwiększa spożywaną przez nich liczbę kalorii. 25 grudnia 1991, środa - pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia

a) niepracujący

Śniadanie: Herbata, chleb, margaryna (Delikata), salceson włoski

Obiad: Zupa wiejska (na wołowinie, w niej: ziemniaki, marchew, cebula, włoszczyzna, makaron, fasola, sól, pieprz, przyprawa), kotlet mielony (160 g - pręga, wieprzowina, wołowina, jajka), kapusta zasmażana (150 g)

Kolacja: Ciasto drożdżowe (100 g), chleb, herbata, margaryna, kiełbasa (100 g)

Razem 3733 kalorii. Koszt: 11 397 zł

b) pracujący

Śniadanie: Herbata, chleb, masło (25 g), kiełbasa (100 g)

Obiad: Manna w rosole (z pręgi), porcja (innej) kiełbasy (100 g), sos

pomidorowy, sałatka włoska z buraków Kolacja: Ciasto drożdżowe (100 g),

chleb, masło, herbata, jajko Razem: 3800 kalorii. Koszt: 12 625 zł

Chciałbym też podać, Drogi Czytelniku, co Ci w „pudle” przysługuje. Abyś nie musiał o coś prosić lub żebrać.

Tak więc, tymczasowo aresztowanym, którzy siedzą w aresztach śledczych, przysługują „z urzędu”: trzy koszule, piżama lub koszula nocna, koszulka gimnastyczna, kalesony długie (ale tylko w okresie zimowym), spodenki gimnastyczne, dwa ręczniki, cztery ścierki do naczyń, para kapci, dwa koce, dwa prześcieradła,

materac, poduszka, poszewka na poduszkę, podkład pod materac.

Bielizna osobista wymieniana jest raz w tygodniu, zwykle w tym dniu, kiedy prowadzi się więźniów pod prysznic. Bielizna pościelowa jest zmieniana raz na dwa tygodnie, w dni ustalone tak zwanym grafikiem. Dwie chusteczki do nosa pierzesz sobie sam w celi, kiedy chcesz, lub piorą Ci je „frajerzy”, jeśli jesteś „gitem” lub bogatym.

Tymczasowo aresztowani mogą mieć w areszcie własne ubrania, ale nie wolno im mieć bielizny.

Kiedy już jesteś po wyroku (nie musi być prawomocny), dostajesz jako „skazany”: czapkę letnią, czapkę zimową, bluzę letnią, spodnie letnie, bluzę zimową, spodnie zimowe, kurtkę zimową, rękawiczki zimowe, buty, pantofle i trzy pary skarpet na rok. Nawiasem mówiąc, brak tu szalika.

Jeśli pracujesz (bez względu na to, czy jesteś tymczasowo aresztowany, czy skazany), dostajesz ponadto ubranie i bieliznę roboczą, zgodnie z potrzebami i wykonywaną pracą. Przysługują też wtedy dodatkowo środki czystości,

Podstawowe osobiste środki czystości to: mydło toaletowe 150 g (1 miesięcznie), mydło do golenia (1 na 3 miesiące), szczotka do zębów (1 na 6 miesięcy), pasta do zębów (1 tuba na miesiąc), papier toaletowy (1 rolka na miesiąc).

Środki higieny to: mydło gospodarcze 50 g (1 na miesiąc), mazak do obuwia (według potrzeb), pasta do obuwia (według potrzeb).

Każda z tych rzeczy jest do kupienia w kantynie (jeśli „złodziejowi” zabraknie) - oczywiście trzeba mieć pieniądze od rodziny lub zarobione w „pudle”.

Jeśli masz, Drogi Czytelniku, jakieś nawyki co do bielizny lub kosmetyków, możesz je dostać z zewnątrz. Zasadniczo nie jest to zabronione. Również spodziewając się, że Cię zamkną, możesz z góry przygotować sobie paczkę (na przykład ulubionego mydła) - oczywiście niewielką, aby nie drażnić nią biednych „klawiszów” i biednych „złodziei”.



## ***XI. Kara śmierci, czyli „czapa”***

*Kat do skazańca:*

- *Twoje ostatnie życzenie?*
- *Poziomki ze śmietaną.*
- *Poziomki w styczniu?*
- *Ja mam czas, ja poczekam.*

Stary dowcip żydowski

Zbliża się w Polsce koniec moratorium na wykonywanie wyroków śmierci. Mimo to sądy nadal skazują morderców, którzy oczekują w swoich celach na wykonanie wyroku lub zamianę tej kary na dwadzieścia pięć lat więzienia. Mają więc i nadzieję na życie, i perspektywę szybkiej, niechlubnej śmierci.

Wszystko zależy od sejmu, który w tej sprawie podejmie decyzję. Może też zarządzić ogólnonarodowe referendum. To byłoby najwłaściwsze.

Jednak każdą decyzję będzie się różnie komentowało. Sprawa jest atrakcyjna dla dziennikarzy, gdyż przemawia do podstawowych instynktów czytelników. Jest też atrakcyjna dla polityków, gdyż odwraca uwagę od ich nieudolności - tu jednak można przypuszczać, że politycy będą głosowali przeciw, bo przecież wracamy do Europy, gdzie kara śmierci stosowana jest rzadko.

Można przewidzieć, że wkrótce w całej polskiej prasie, w radiu i telewizji pojawi się tłum dyskutantów. Jedni będą za, drudzy przeciw. Dowiesz się też, Drogi Czytelniku, jak i gdzie się taką karę wykonuje, ilu skazańców czeka na jej wykonanie w USA, a ilu w Indonezji. Jakie są procedury teraz i jak wykonywano tę najsurowszą i najbardziej kontrowersyjną z kar kiedyś. To temat rzeka. Można o nim pisać tomy i można się dziwić, dlaczego i w tej książce poruszam tę kwestię.

Z jednego powodu. Żaden dziennikarz nie opisze szczerych opinii „klawiszy”, i nie uwzględni postaw „złodziei” wobec różnych skazańców. Nikt lepiej od „klawiszy” nie odda atmosfery egzekucji, w której brali osobiście udział. Nikt, tak jak „klawisze”, nie zna procedury egzekucji. Tego wszystkiego można dowiedzieć się tylko z tej książki i z tego rozdziału.

Dla porządku, gdybyś musiał rozmawiać o tych sprawach kiedyś sam w kryminale, zwłaszcza z „grypsującymi”, to: kara śmierci nazywa się „czapa” albo „ks”, ceka śmierci - to „kaesowa”, wieszka to „huścić”, a „kat” to nie kat, lecz prokurator.

Inne słówka znajdziesz w słowniczku „grypsery” na końcu tej książki.

Karę śmierci w Polsce wykonuje się przez powieszenie. Zgodnie ze specjalną instrukcją o wykonywaniu kary śmierci egzekucja powinna być przeprowadzona w ścisłej tajemnicy. Jej wykonanie ukrywa się zarówno przed innymi „złodziejami”, jak i przed „klawiszami” nie mającymi brać w niej udziału. W żadnym przypadku o terminie nie może być poinformowany wcześniej skazany, który zazwyczaj do ostatniej chwili łudził się, że Rada Państwa skorzysta z prawa łaski i zmieni mu „czapę” na 25 lat więzienia.

Nieinformowanie skazanego ma przede wszystkim na celu zachowanie spokoju i powagi chwili podczas egzekucji, jak również uniemożliwienie mu skutecznego oporu przy wyprowadzaniu z celi, w której przebywa wraz z innymi więźniami. Stosuje się zasadę, że oczekującemu na egzekucję przydziela się w celi specjalnego opiekuna spośród siedzących z nim „złodziei”. Taki „złodziej” ma za zadanie czuwać, aby skazany, w desperacji, nie zrobił sobie krzywdy, nie pobił innych czy nie zdemolował celi. O tym, że ma opiekuna, skazany, nie wie. Opiekuna wyznacza

i naczelnik spośród silnych psychicznie i mądrych życiowo więźniów. Na ogół nie są nimi „git-ludzie” ani „frajerzy”, lecz tak zwani „złodzieje” niezależni, cieszący się zaufaniem szefa „klawiszy” i innych „złodziei”. Muszą też oni dysponować odpowiednią siłą fizyczną, aby potrafić, w razie potrzeby, udaremnić skazanemu jego nieprzewidziane reakcje. Opiekun wzywany jest wcześniej do naczelnika i tam powierza mu się tę bardzo trudną, być może trudniejszą od roli kata, misję. Musi ją dobrowolnie zaakceptować, ale „klawisze” nie ukrywali przede mną, że zwykle kandydatowi na opiekuna skazanego obiecywało się różne ulgi, a nawet przedterminowe zwolnienie. W zasadzie o istnieniu opiekuna wiedzą tylko naczelnik, wychowawca i oddziaływy. Oni też odpowiadają osobiście za to, aby skazany w odpowiedniej formie dotrwał do egzekucji.

Zadaniem opiekuna jest również czuwanie, aby inni „złodzieje” nie pastwili się nad skazanym. Zdarza się to wtedy, kiedy jest on sadystą, zboczeńcem seksualnym czy gwałcicielem, zwłaszcza nieletnich. Takim „złodzieje” nie dają spokoju. Opiekun nie zawsze może skutecznie interweniować, ale może donieść o tym poufnie naczelnikowi lub wychowawcy, a ci przenoszą skazańca do innej celi lub zabierają gdzie indziej - daleko od znęcających się „gitów”.

Bardziej nerwowych lub niezrównoważonych skazanych przygotowuje się do spokojnego wyprowadzenia z celi w sposób specjalny. Polega to przede wszystkim na wywoływaniu skazanego z celi o różnych porach dnia i pod różnymi pretekstami. Chodzi o to, aby przyzwyczaić go do wychodzenia i powrotu. W ten sposób wyprowadzenie skazanego na egzekucję powinno być dla niego prawdziwym zaskoczeniem.

Niektórzy moi znajomi „klawisze” twierdzą, że zasada utrzymywania skazanego do ostatnich chwil jego życia w nieświadomości jest niehumanitarna. Łudzi go ona i mami, a potem powoduje szok. Skazani na śmierć, mający dużą wyobraźnię, przedstawiają sobie prawdopodobnie całą egzekucję jako jedno pasmo tortur. Tych z mniejszą wyobraźnią paraliżuje zazwyczaj zwykły ludzki strach, który towarzyszy im już do końca.

W USA na przykład, przynajmniej w niektórych stanach, po wyroku skazany może wybrać sobie nawet rodzaj egzekucji - szubienicę, krzesło elektryczne, komorę gazową, truciznę, rozstrzelanie... Zna dokładnie datę własnej śmierci, gdyż orzeka ją sędzia. Jest to jego obowiązkiem.

Przed egzekucją nie tylko zostaje poinformowany o procedurze, ale może nawet przedyskutować ją z odpowiedzialnym za nią naczelnikiem więzienia i zażądać wprowadzenia do niej zmian. Jeśli nie są one sprzeczne z regulaminem i zwyczajami, naczelnik idzie na ustępstwa. Czyni to nie tylko ze względów humanitarnych, ale również w celu usprawnienia, spokoju i lepszej organizacji egzekucji. W ten bowiem sposób uzyskuje niejako współpracę skazanego, jego zgodę i akceptację. Ułatwia to w większości przypadków procedurę i pozwala jednocześnie uniknąć użycia siły. Zapewnia godną śmierć, jeżeli w ogóle można za godne uważać zabijanie człowieka przez człowieka.

W niektórych stanach USA skazany ma prawo zaprosić na egzekucję określoną przez naczelnika liczbę osób, w tym rodzinę. Może sprzeciwić się uczestnictwu dziennikarzy. Zamawia też swój ostatni posiłek, może to być nawet homar w majonezie, i na to administracja więzienia musi mieć fundusze. Więzienny lekarz podaje mu zwyczajowo odpowiednie środki farmakologiczne, chociaż skazany może odmówić ich przyjęcia. Słowem, skazaniec idzie na śmierć przygotowany nie tylko przez księdza czy pastora, ale także przygotowany psychicznie, pogodzony z losem i ze swoim sumieniem.

Oczywiście nawet w tak wyreżyserowanej sytuacji zdarzają się przypadki awantur, oporu i niemal bijatyki. Ale z pewnością ma to miejsce rzadziej niż w Polsce.

Nasza procedura jest zupełnie inna, choć trudno osądzać, czy mniej humanitarna. Bo przecież świadomość daty i godziny egzekucji nie ułatwia z pewnością skazanemu oczekiwania. A tak zawsze pozostaje jakaś nadzieja.

Na ogół skazani dopiero po kierunku, w którym są prowadzeni, orientują się, że idą do celi śmierci. O przybliżonym miejscu położenia tej celi dowiadują się zwykle od innych „złodziei”, nieraz w bardzo brutalny lub złośliwy sposób, czasem w formie „żartu”.

W oznaczonym terminie, który wcześniej zna tylko naczelnik więzienia, do kryminału przybywa prokurator i wraz z naczelnikiem sprawdza wszystkie akta skazanego. (Przede wszystkim dokument, w którym Rada Państwa informowała skazanego, że nie skorzystała z prawa łaski. Dokument ten widzi zawsze wcześniej tylko prokurator i naczelnik).

Prokurator z naczelnikiem zawsze sprawdzają, czy z formalnego, prawnego punktu widzenia nie ma żadnej przeszkody, by wykonać egzekucję. Oni też decydują, o której konkretnie godzinie egzekucja będzie miała miejsce i kto w niej będzie uczestniczył. Kto - określa dokładnie 110 paragraf karnego kodeksu wykonawczego.

Wkrótce po prokuratorze przybywa do kryminału dwóch dżentelmenów, wykonawców kary śmierci. Muszą oni wylegitymować się przed naczelnikiem odpowiednimi dokumentami wystawionymi w Ministerstwie Sprawiedliwości. Kim są ci ludzie, nikt z moich „klawiszów” nie umiał powiedzieć. Skąd pochodzą i jak się nazywali, wiedział prawdopodobnie tylko jeden z urzędników w Ministerstwie Sprawiedliwości. On natomiast z pewnością zobowiązany jest do absolutnej dyskrecji. Jak się należy domyślać, głównie ze względu na osobiste bezpieczeństwo głównego kata i jego pomocnika. Rzecz oczywista, że ci ludzie muszą być specjalnie chronieni prawem. Rodzina czy przyjaciele skazanego mogą się na nich mścić. W podobny sposób chroniony jest sędzia, który wydał wyrok skazujący.

Obaj dżentelmeni ubrani są w służbowe czarne, dwurzędowe garnitury, czarne buty, czarne skarpetki, białe koszule i czarne krawaty. Na rękach noszą białe skórzane rękawiczki. Jest to strój obowiązujący, zgodny z regulaminem, inny jest niedozwolony.

Zapoznają się oni kolejno z dokumentami oraz z ostatecznym wyrokiem. Upewniają się w ten sposób, że będą wieszać zgodnie z prawem.

Następnie naczelnik wzywa ochronę. Są to wyznaczeni i wtajemniczeni wcześniej szeregowi funkcjonariusze, na ogół zaufani, obdarzeni siłą fizyczną oraz zrównoważeni i dyskretni. Jest ich zwykle sześciu.

Tymczasem kat wraz z pomocnikiem udają się do celi śmierci, aby przygotować wszystko do egzekucji.

Cela jest bardzo mała, ma może z dziesięć, piętnaście metrów kwadratowych. Poza szubienicą stoi tam jeden taboret - nie wiem, po co. Ściany mają szaroniebieski kolor, a pod sufitem wisi goła żarówka. Żadnych ozdób, obrazów. Nie ma nawet krzyża. Kaci sprawdzają sznur, specjalną zapadnię, a pętlę smarują mydłem. Pod zapadnią ustawiają kubek lub miskę, na wypadek gdyby skazany w momencie egzekucji zrobił pod siebie, co zdarza się dosyć często. Kilkakrotnie też sprawdzają dźwignię uruchamiającą zapadnię.

W tym samym czasie w gabinecie naczelnika zjawia się lekarz, zwykle więzienny lekarz pracujący w kryminale, gdzie wykonywana jest egzekucja, oraz ksiądz kapelan. Są to osoby, których obecność przy egzekucji jest konieczna. Poza nimi mogą w niej uczestniczyć inni ludzie, lecz muszą mieć specjalne zezwolenie dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych. Czasami takie zezwolenie otrzymują również dziennikarze (ja się o nie nie starałem) lub rodzina skazanego (co nieczęsto się zdarza). Może być też obrońca, któremu pozwala się na ogół porozmawiać ze skazanym przed egzekucją. Są to jednak rzadkie wypadki.

Teraz komendę obejmuje naczelnik. Nakazuje ochronie sprowadzić skazanego. Z celi wyprowadza go jeden strażnik, aby skazany nie zorientował się, że idzie na śmierć. Reszta ochrony przyłącza się do nich na korytarzu. Jest to moment, w którym skazany zaczyna się orientować, że idzie na egzekucję. Gdyby się zaczął opierać, sześciu silnych ludzi da mu z pewnością radę i po prostu zanoszą go do celi śmierci.

W specjalnie przeznaczonym do tego celu pomieszczeniu oczekuje skazańca cała grupa. Kaci czekają w drzwiach celi śmierci. Prokurator sprawdza tożsamość skazanego pytając go o imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia oraz o imię ojca, a następnie odczytuje mu werdykt Rady Państwa (kiedyś) lub prezydenta. Wszyscy obecni w milczeniu, obowiązkowo stojąc (tak mówi regulamin), wysłuchują wyroku.

Następnie naczelnik zadaje dwa pytania: czy skazany chce skorzystać z posługi religijnej i jakie jest jego ostatnie życzenie.

Jeżeli chce rozmawiać lub odbyć spowiedź, ochrona odprowadza skazanego do kąta celi, gdzie może szeptem wypowiadać się u kapelana. Jeśli przestępca jest wyjątkowo niebezpieczny, ksiądz może zażądać, aby ochrona nie opuszczała skazańca i była obecna przy spowiedzi. W ten sposób spowiedź staje się publiczna, bo słyszą ją „klawisze”. Kontakt z kapelanem to jedyny moment, kiedy skazaniec zostaje bez ochrony. Może to wykorzystać i zabić księdza. Nie ma przecież nic do stracenia. W takim przypadku egzekucja musiałaby zostać odroczone, skazany

odprowadzony do celi, a następnie postawiony ponownie przed sądem. Za następne morderstwo. W ten sposób mógłby przedłużyć sobie życie.

Posługa kapelana oraz spełnienie ostatniej woli skazańca nie mogą przekroczyć jednej godziny, oczywiście nikt nie patrzy na zegarek, ale tempo egzekucji jest zawsze przestrzegane. Zdarzały się wypadki, że skazany odwlekał egzekucję przedłużając swoją ostatnią spowiedź w nieskończoność. Wtedy interweniował naczelnik, a ochrona spokojnie, ale stanowczo odciągała skazańca od księdza. Instrukcja wykonywania kary śmierci zwraca szczególną uwagę, aby taka interwencja miała jak najbardziej łagodny przebieg i aby w żadnym wypadku nie bić lub nie skaleczyć skazańca. Wszystko musi odbywać się w atmosferze powagi i godności. Zebrani na ogół milczą, ewentualnie porozumiewają się szeptem.

Po spowiedzi ochrona doprowadza skazanego do lekarza, który go bada. Jest to badanie rutynowe: puls, ciśnienie, obejrzenie jamy ustnej, ewentualnie sprawdzenie napięcia mięśni czy kilka uderzeń młotkiem neurologicznym. Lekarz kiwa głową, że skazaniec jest gotów do egzekucji. Zwykle nic nie mówi. Skazaniec może poprosić lekarza o środek uspokajający. Ma do tego prawo. Lekarz ma obowiązek dać mu taki środek, ale nie może podać go skazańcowi siłą lub podstępem. Rozstający się z życiem człowiek musi umierać z pełną świadomością i wiedzieć, „ za co społeczeństwo odebrało mu życie.

W praktyce może on coś powiedzieć - zdarzało się najczęściej, że skazaniec przeproszał za zbrodnie lub żegnał rodzinę. Może też poprosić o papierosa lub o szklankę wody. Może zechcieć napisać ostatni list. Papierosy, szklanka wody i przybory do pisania są przygotowane wcześniej i leżą na stoliku. To są chyba wszystkie dopuszczalne, nie tyle prawem, co zwyczajem, możliwości.

Kiedy skazaniec zrealizuje już swoje ostatnie życzenie, ochrona skuwą mu ręce. Na komendę naczelnika wyprowadza go z pokoju i oddaje w ręce katom. Ci panowie mogą mieć na twarzach czarne maski z otworami na oczy, ale nie muszą. Zawijają skazanemu oczy lub zakładają na głowę coś w rodzaju czarnego worka z otworem na usta, aby się nie i udusił. Wraz ze skazańcem i niezbędną ochroną wchodzi do celi śmierci. Ochrona, na ogół dwóch ludzi, trzyma skazańca pod ramiona. Jeśli się wyrywa, trzyma go czterech. Podprowadzają go pod sznur, stawiają na zapadni i trzymają nadal. Jeden z katów zakłada mu pętlę, a drugi na znak pierwszego naciska dźwignię. Skazaniec wpada w zapadnię. Pęka mu rdzeń przedłużony w górnym odcinku szyjnym kręgosłupa, i natychmiast umiera. Nie ma czasu się udusić. Dwaj ochroniarze stoją obok otwartej zapadni. Potem odchodzą.

Kaci czekają chwilę, aż ciało przestanie drgać, po czym zdejmują je ze sznura i kładą na podłodze.

Do zwyczaju polskich katów należy, aby po dokonaniu egzekucji, kiedy zwłoki zdjęte z szubienicy leżą już na podłodze, wypowiedzieli następujące słowa: „Człowieku, nie ja jestem winien twojej śmierci, lecz ty sam”. Jednocześnie kaci zdejmują rękawiczki i symbolicznie kładą je na zwłoki. Rękawiczki są chowane do grobu razem z ciałem. Zjawia się lekarz, który stetoskopem stwierdza śmierć. Cała procedura powinna - zgodnie z regulaminem - przebiegać w ciszy. Dwaj wyznaczeni wcześniej przez naczelnika funkcjonariusze zabierają ciało do innego pomieszczenia i wkładają je do trumny.

Chowanie zwłok następuje według specjalnej instrukcji. Odbywa się bez obecności rodziny na jednym z cmentarzy w mieście. Na życzenie rodziny dyrekcja więzienia może jej wskazać miejsce pochówku.

Wszyscy obecni przy egzekucji rozchodzą się powoli. Na ogół nic nie mówią. Zwykle idą wypić coś mocniejszego, ale robią to osobno. Naczelnik u siebie w gabinecie, „klawisz” z ochrony w swoich celach-pokojach. Znajomy prokurator opowiadał mi, że po każdej egzekucji wypijał samotnie pół litra i zawsze, nawet w przypadku najgorszego mordercy, miał dłuższy czas wyrzuty sumienia. Z katami nie rozmawiałem.

Wyroki śmierci wykonuje się w Polsce wyłącznie w kilku więzieniach. Żeby wykonać wyrok, wiezie się skazanego do najbliższego zakładu, w którym istnieje cela śmierci i działa odpowiedni personel.

Wykonanie wyroku śmierci w wojsku następuje przez rozstrzelanie. Sama procedura niewiele różni się od cywilnej. Zamiast szubienicy stoi słup, do którego przykuwa się skazańca, a katów zastępuje pluton egzekucyjny. Obecny jest również ksiądz oraz może być obecny obrońca. Ksiądz dokonuje posługi religijnej w samochodzie ciężarowym, tak zwanej więźniarce, sprowadzonej na miejsce egzekucji specjalnie w tym celu. W przypadku gdy po salwie plutonu skazany jeszcze żyje, co musi stwierdzić lekarz, obowiązkiem dowódcy plutonu jest dobić skazanego strzałem w głowę.

Makabrycznym widokiem dla skazańca musi być stojąca obok słupa, oczekująca już na niego trumna. Egzekucje wykonuje się na otwartym terenie w jednym z fortów wojskowych, do którego przywozi się skazanych z całej Polski.

Po egzekucji sporządza się protokół, który pozostaje przez 20 lat w aktach. Do protokołu dołącza się zaklejoną kopertę, a w niej opis zachowania skazańca i jego ostatnie słowa.

Skazani reagują w czasie swej ostatniej drogi zwykle spokojnie. Nie wrywają się, nie płaczą. Na ogół korzystają z posługi księdza i ostatnią ich wolą jest

papieros lub łyk wody. Kiedy się zdarzyło, że skazany, pragnąc za wszelką cenę odwlec chwilę egzekucji, rozmawiał z księdzem prawie godzinę, prowadzący egzekucję naczelnik polecił ochronie zabrać skazanego siłą. Wykonano to łagodnie, a on wcale się nie opierał.

Zdaniem „klawiszy” pod szubienicą wszyscy są z losem pogodzeni, chociaż zdarzały się w celach głodówki mające być protestem przeciwko wyrokowi.

Opowiedziano mi, że wieszano kiedyś „git-człowieka”, który zamordował kilka osób; Stanisław T. w trakcie odczytywania dokumentu Rady Państwa powiedział głośno prokuratorowi:

- Niech pan przestanie pierdolić, a wy chłopaki - tu zwrócił się do katów i ochrony - róbcie swoje.

Poszedł na szubienicę bez wsparcia księdza i papierosa. Wydarzenie to było komentowane w całym kryminale przez długi czas.

Bardzo często skazani mordercy mimo oczywistych dowodów winy i prawomocnego wyroku do samego końca nie przyznają się do winy. Jeszcze przed całą śmiercią wygłaszają do zebranych krótkie przemówienia albo oskarżając sąd o niesprawiedliwy wyrok, albo swoich kumpli, z którymi dokonali morderstwa. Oczekując na ostateczny werdykt, zachowują się na ogół spokojnie.

Sami „klawisze” mają w większości (przeprowadziłem małą ankietę na osobisty użytek) wyrobione zdanie. Są za utrzymaniem kary śmierci, chociaż nikt z moich rozmówców nie chciałby asystować przy wykonywaniu wyroków. Egzekucja jest dla nich zawsze szokiem, nawet jeśli nie biorą w niej udziału, a tylko o niej wiedzą. Trzeba wierzyć w słuszność ich sądów, gdyż to oni właśnie najdłużej przebywają ze skazanymi już mordercami. Znając ich, uważają, że należy pozbawiać ich życia, gdyż stanowią zagrożenie dla społeczeństwa. „Klawisze” twierdzą, że brzydzą się takimi osobnikami.

Obserwując skazanego, oczekującego na apelację lub wykonanie wyroku, mają większe nawet od sądu możliwości wydania swojego sprawiedliwego prywatnego wyroku. Zwykle zgadzają się z sądem, ale nie zawsze. Oto kilka przykładów.

Oczywistym dla nich kandydatem na szubienicę był słynny „wampir” z Gałkówka. Osądzony za zamordowanie kilkunastu kobiet, które najpierw dusił, bił, kopał, a następnie gwałcił. Czasami gwałcił już zwłoki. Szukano go kilka lat, a opisy zbrodni - podobnie jak relacje dwóch kobiet, które przeżyły - są wstrząsające. Trupom „wampir” zabierał zegarki, drobne pieniądze, kolczyki, pierścionki itp. Kiedy po wyroku wylądował w kryminale, a był karany po raz pierwszy (i ostatni, gdyż wyrok wykonano), natychmiast przeistoczył się w „gita”. Objął przywództwo



w celi, bił nieposłusznych, wymuszał drobne usługi, papierosy, żywność. Zachowywał się brutalnie i lekceważąco wobec „klawiszy” i innych „złodziei”. Starał się narzucić swój styl życia i bycia.

W rozmowie z żoną powiedział, że każdy kiedyś musi umrzeć, a on sobie przynajmniej dobrze pożył. Skrytykował ją, że za bardzo płaszczyła się przed sądem i za dużo o nim opowiadała. Gdy skarżyła się, że narobił jej i dziecku wstydu i muszą teraz chyba zmienić nazwisko, odpowiedział cynicznie, że nie powinna, gdyż to, co zrobił, jest normalne w tym zepsutym świecie. Na jej uwagę, że martwi się jego losem (był już po wyroku apelacyjnym i czekał na śmierć), że martwi się cała rodzina, powiedział, że rodzina ma szczęście, iż on tu siedzi. Gdyby wyszedł, wyrznąłby ją całą dla przykładu.

Wychowawca go zapytał (często się spotykali, aby przyzwyczaić „wampira” przed egzekucją do spokojnego wychodzenia z celi):

-Co zrobiłbyś, Stasiu, gdyby cię uniewinniono? Nagle wypuszczono na wolność?

„Wampir” odpowiedział najpierw, że to przecież zupełnie niemożliwe, a potem dodał:

- Wiem, co bym zrobił. W S. znam bogatego księdza. Pojechałbym do niego, przywiązał go do krzesła i tak długo wiercił mu wiertarką w kolanie, aż powiedziałyby mi, gdzie chowa pieniądze. Potem bym się bawił dwa miesiące.

Taka postawa nie wymaga komentarza. „Wampir” umarł nie skorzystawszy z posługi kapelana. Nie chciał.

Jako podobnie oczywisty przykład właściwego wyroku sądów i Rady Państwa oceniają „klawisze” historię życia i śmierci Krzysztofa S., spawacza, który nie powrócił z przepustki z zakładu poprawczego. Wałęsał się po Polsce. Spał na klatkach schodowych. Włamywał się do piwnic, na strychy, do samochodów, skąd kradł drobiazgi: papierosy, książki, konserwy - najcenniejsze, co ukradł, to tani aparat fotograficzny. W końcu ogłuszył i zgwałcił siedmioletnią dziewczynkę. Nie dobił jej, gdyż uznał, że nie żyje, podczas gdy ona tylko udawała. Zjadł spokojnie jej szkolne śniadanie. Ubrał się w jej sweterek i zabrał kilkanaście złotych, które miała na zapłacenie składki w szkole. Następną ofiarę, dorosłą już kobietę, uderzył i zabił metalową kulą wrzuconą w skarpetę. Trupa zgwałcił i obrabował. To, co zabrał, sprzedawał na bazarach. W ten sposób zabił i zgwałcił jeszcze dwie kobiety. Psychiatrzy stwierdzili, że jest normalny, aczkolwiek ma zaburzenia psychiczne.

W celi, w oczekiwaniu na wyrok, był spokojny i posłuszny. Mówił, że odsiedzi cały wyrok bez jednego incydentu, jeśli daruje mu się życie. Mimo to nie znosili go „klawisze” i „złodzieje”. Ci ostatni bili go i kopali. Nawet pod prysznicami zrobili mu specjalną „kąpiel”. Trzeba było go przenosić z celi do celi i formalnie chronić, żeby go w końcu nie zamordowano. Miał w sobie coś z lisa. Jakąś przebiegłość i obłudę, którą dostrzegali wszyscy. Miał też i swoiste poczucie humoru. Kiedy po przywiezieniu do kryminału badał go lekarz, zadał mu stereotypowe pytanie:

- Czy pan pije, panie S.?

- Jeśli można, to prosiłbym o żytnią - odpowiedział kandydat na niechybną już szubienicę.

Kiedy za jakąś niezawinioną przez siebie bójkę (raczej musiał się bronić niż atakować) dostał karę - dwie doby twardego łoża - roześmiał się naczelnikowi w twarz. Zdenerwowany naczelnik powiedział, że dostaje trzy doby. Na to Krzysztof S.:

- Panie naczelniku, dla mnie to pestka, ja spałem tygodniami w rurach kanalizacyjnych.

Pod szubienicą poprosił o papierosa. Kiedy podano mu „służbowe”, leżące na stole, zażądał bez filtra, bo „służbowe” były z filtrem. Zrobiło się zamieszanie. Każdy z obecnych zaczął szukać papierosów bez filtra. Nie wypadało odmówić ostatniej prośbie skazanego. Miał je jeden z ochroniarzy, który palił sporty. Kiedy Krzysztofowi S. zapalano papierosa, powiedział:

- Źle przygotowana uroczystość. Tutaj powinien być wybór papierosów i napojów.

Po wypaleniu sporta sam wyciągnął ręce po kajdanki. Kaci przyjęły to z pomrukiem uznania.

Mimo to po Krzysztofie S. „klawisze” nie mają dobrych wspomnień. Uważają, że słusznie go „wyhuściano”.

„Klawisze” nieraz mieli jednak wątpliwości. Na przykład, kiedy miano wieszać Mieczysława Z.

Ten morderca wraz ze swoim kolegą Stanisławem B. byli wieloletnimi kłusownikami. Polując kiedyś w puszczy spotkali kilkuosobowe towarzystwo myśliwych. Dwaj z nich mieli naładowaną broń. Kiedy kłusownicy zaczęli uciekać, ci rzucili się za nimi w pościg. Mieczysław Z., lekko skacowany, nie miał zbyt dużo siły. Odwrócił się więc do jednego z goniących i z kilku metrów strzelił. Trafił dokładnie śrutem w pierś i głowę. Buchnęła krew, a myśliwy padł na ziemię. Następnie strzelił do drugiego myśliwego i zranił go w rękę. Ten zaczął uciekać. Wtedy Stanisław B. z odległości dosłownie metra strzelił leżącemu prosto w serce - mimo

że on prawie dogorywał - dobijając rannego.

Kłusownik, który strzelił pierwszy, dostał „czapę”. Ten, który dobijał - karę dożywocia. Mieczysława Z. na pewno pograżyły jego własne zeznania przed sądem. Wyraził żal, że nie trafił skutecznie drugiego myśliwego. Fakt ten ostro wyeksponował sąd w sentencji wyroku, stwierdzając jednocześnie, że drugi, dobijający, kłusownik wyraził żal i skruchę oraz współpracował podczas śledztwa z milicją.

Ale „klawisze” byli oburzeni. Zgodnie stwierdzili, że kara śmierci należy się raczej temu, który dobijał rannego, niż temu, który go zranił. Uznali to za ewidentną omyłkę sądową. W konsekwencji w kryminale obchodzili się ze skazanym na śmierć lepiej niż z tym drugim. Podobnego zdania byli też „złodzieje”, uważający za niehonorowe dobijanie rannego człowieka.

Jest rzeczą ciekawą, że często, można rzec, bardzo często, opinie „klawiszy” i „złodziei” są podobne. Zwłaszcza w sprawach wątpliwych, trudnych i skomplikowanych. Prawdopodobnie łączy ich coś więcej niż wspólny zakład karny.

Podobny przykład zgodnej opinii „klawiszy” i „złodziei”, sprzecznej z wyrokiem sądu i werdyktem Rady Państwa opowiedziano mi innym razem.

Jan P., Wiesław J. i Joanna D. tęgo popili w knajpach. W jednej z nich spotkali nie mniej pijanego Henryka T. Dziewczyna, robiąc do niego oko, zaproponowała wspólny spacer za miasto. Tam wywabionego w ten sposób Henryka T. napadnięto i zadźgano tępymi, zabranymi wcześniej z restauracji nożami. Joanna D. dusiła go własnym swetrem i podawała dwóm kompanom noże, rozdzieliła też łupy w postaci zegarka, kilkuset złotych i biletów tramwajowych. Dostała za to zaledwie dziesięć lat, a Wiesław J. - ku oburzeniu „klawiszy” i „złodziei” - tylko piętnaście. Natomiast Jan P., który nie był prowodyrem, otrzymał karę śmierci. Prawdopodobnie dlatego, że skakał nieżyjącemu już Henrykowi P. - z którego buchała krew - po piersiach, po pijanemu śpiewając, i był z całej trójki najstarszy. Na sali sądowej nie tyle odmówił zeznań, co nie mógł mówić ze strachu. Potem twierdził, że wyrok był niesłuszny, że to nie on powinien dostać „czapę”. Całe więzienie sądziło podobnie, toteż wszyscy rekompensowali, jak mogli, Janowi P. tę „niesprawiedliwość”, uważając zresztą, że „czapę” powinna dostać cała trójka.

Jan P. umierał nie pogodzony z losem ani z wyrokiem. Już pod szubienicą powiedział katom, że wieszają nie tych, których powinni.

Straszna jest śmierć, której się spodziewamy, a zwłaszcza ta, na którą czekamy. W najbardziej ryzykownych akcjach bojowych istnieje zawsze minimalna

choćby szansa przeżycia i łudzeni nią żołnierze idą praktycznie dobrowolnie na śmierć, na ogół dla idei. Skazaniec nie ma szansy, nie ma też idei... Jest zawsze wyrzutkiem społeczeństwa. Jeśli do tego jest jeszcze sadystą czy gwałcicielem nieletnich, staje się wyrzutkiem nawet wśród „złodziei”. I dlatego trzeba mu współczuć. Ale czy nasze współczucie ma oznaczać łagodność? To odwieczny problem i nikt go jeszcze nie rozwiązał.

## *XII. Jak się siedzi za granicą*

### *Najlepiej siedzieć w Australii i Meksyku*

Z badań własnych autora

W Europie, w starożytności i w średniowieczu, za główne rodzaje przestępstw, takich jak naruszanie praw, norm zwyczajowych i wyznaniowych, obowiązywały różne grupy kar. Były nimi: kara śmierci - wykonywana najczęściej przez utopienie, pogrzebanie żywcem, wbicie na pal, spalenie na stosie, powieszenie, ścięcie czy łamanie kołem; kara na ciele - przewidująca różnego rodzaju tortury, jak odcinanie członków, wypalanie oczu, oraz kara na czci lub honorze - czyli wypędzenie z domu, z kraju, oddanie w niewolę, pozbawienie szlachectwa, kłątwa, infamia, degradacja. Zasądzano też kary majątkowe polegające na konfiskacie mienia, które na ogół przechodziło na własność władcy lub władcy i donosiela.

Najrzadziej stosowano karę więzienia, która zmuszała wykonawcę do zapewnienia więźniowi lokum, wyżywienia oraz trzymania zbrojnej straży. Niekiedy, tak jak obecnie w Turcji, więzień musiał sam łożyć na swoje utrzymanie.

W średniowiecznych miastach i republikach włoskich stosowano kary dożywotniego więzienia - należało to jednak do wyjątków. Taki wyrok nazywano poetycznie „in pacem”, co oznaczało, że skazany powinien przebywać w więzieniu do końca życia „w spokoju”. Warunki odsiadki były jednak przerażające, gdyż więzienia znajdowały się w lochach zamkowych lub wieżach obronnych, karmiono rzadko i źle, czasami torturowano, a skazany cały czas siedział w ciemności, zwykle przykuty do ściany, i musiał załatwiać się pod siebie. Takie w każdym razie opisy przedstawiają nam średniowieczni autorzy i historycy.

Według historyków więziennictwa zasadnicze zmiany następowały stopniowo, a za datę graniczną należy uznać utworzenie pierwszego nowoczesnego

więzienia w Amsterdamie w roku 1596. Dużo wcześniej, wraz z rozpadem feudalnych struktur w Europie oraz rozwojem miast, warunki w więzieniach zaczęły się poprawiać, a kara pozbawienia wolności wypierała powoli nieludzkie kary śmierci i okaleczenia.

- Przyczyniły się do tego humanistyczne trendy w filozofii i polityce oraz ukształtowanie się w większości zachodnioeuropejskich państw bardziej oświeconych monarchii, które decydowały wtedy o prawach i wykonaniu wyroku. Oczywiście, tak jak i teraz, warunki w więzieniach były różne, a zasad wykonywania kar pozbawienia wolności zwykle nie spisywano, lecz przestrzegano zwyczajowo. Można było polepszyć sobie warunki, będąc bogatym, przez zakupienie żywności i ubrań, a nawet mebli. Z bogatych więźniów żyła zresztą zupełnie nieźle straż więzienna - albo sprzedając im po wyższych cenach potrzebne artykuły i biorąc sobie to, co dzisiaj nazwalibyśmy marżą handlową, albo wręcz przyjmując datki, które dziś nazwalibyśmy po prostu łapówkami. Teraz jest to ściągane przez prawo, ponieważ w każdym współczesnym systemie - z wyjątkiem tak zwanych więźniów stanu - prawa i obowiązki są równe, oczywiście w ramach regulaminów wykonywania kary. Wtedy z więźniów żyły nieźle całe rodziny, które ich obsługiwały i pilnowały. Gorzej żyło się biednym, toteż nie cieszyli się oni sympatią strażników ani dość przekupnych wtedy sądów.

Wypierając inne rodzaje kar, kara pozbawienia wolności - bez względu na to, w jakich warunkach była wykonywana - stawała się z biegiem czasu karą najczęściej stosowaną.

Każda kara, w tym również kara więzienia, spełniała zawsze dwie funkcje: odstrasżającą i zapobiegawczą. Znacznie później doszła trzecia, a mianowicie zadanie przywrócenia społeczeństwu człowieka-przestępcy, czyli po prostu resocjalizacja. W początkach nowożytnego więziennictwa dwie pierwsze funkcje miały znaczenie decydujące. Obie jednak zawierały w sobie więcej chęci odwetu niż humanitaryzmu i dążenia do resocjalizacji przestępcy.

Już w wieku XVIII podjęto pierwsze debaty, z których wynikało, że dla społeczeństwa resocjalizacja ważniejsza jest od odwetu społecznego i w tym kierunku należy prowadzić postępowanie wykonawcze kary. Wychodzono tu z założenia, że najcenniejszym kapitałem każdego państwa są jego obywatele. Skazani - w trakcie odbywania długoletnich wyroków - tracą stopniowo swoje zdolności i umiejętności zawodowe. Musi upłynąć wiele czasu, zanim po wyjściu z więzienia na nowo przyuczą się do zawodu, jaki wykonywali przed laty. Ponadto sam fakt ich ukarania powodował, iż tracili oni zaufanie społeczeństwa i mieli poważne problemy ze znalezieniem pracy. Starano się temu zaradzić zatrudniając skazanych w

kryminale, ale bardzo rzadko się zdarzało, by zawód skazanych pokrywał się z zawodem oferowanym przez zarząd więzienia.

Te obserwacje, jak również postępujący humanitaryzm społeczeństw, spowodowały, że na Zachodzie zaczęto zastanawiać się, czy kara pozbawienia wolności w ogóle ma sens i czy jest skutecznym środkiem, właściwie służącym społeczeństwu.

Coraz częściej posługiwano się argumentami wskazującymi, że tak nie jest.

Argumentowano na przykład, że w zamkniętym kryminale skazany, który po raz pierwszy wszedł na drogę przestępstwa, spotyka się z recydywistami i bardzo często mają oni na niego większy wpływ niż najlepsi wychowawcy. Podkreślano, że w ten sposób izolacja, zamiast eliminować przestępców ze społeczeństwa, wręcz mu ich przysparza.

Po wyjściu z więzienia „wykształcony” przez „gitów” „małolat” o wiele skuteczniej będzie łamał prawo i osiągał z tego korzyści. Bardzo często przypadkowo skazany człowiek po kilku latach pobytu w więzieniu stawał się zawodowym przestępcą.

Rozumując w ten sposób, kryminolodzy zaczęli zastanawiać się nad skutecznością izolacji jako takiej. Tak narodziły się w Europie Zachodniej koncepcje organizowania zakładów otwartych, w których kontakt skazanych ze społeczeństwem byłby częstszy niż z recydywistami czy zawodowymi przestępcami.

Wśród różnych teorii i projektów, w mniejszym lub większym stopniu zezwalających skazanym na odbywanie kary w pozbawionych izolacji zakładach karnych, najbardziej skrajną koncepcję wysunął F. Gramatica. Zorganizowany przez niego tak zwany Ruch Obrony Społecznej przed podjęciem decyzji o wymiarze i rodzaju kary proponował dokonanie pełnego interdyscyplinarnego rozeznania osobowości człowieka, który dokonał przestępstwa, i stworzenie mu takiej terapii, która bez zastosowania izolacji pozwoliłaby na jego resocjalizację. W związku z tym F. Gramatica proponował zupełną likwidację więzień i zastąpienie ich zakładami leczniczymi.

Twierdził on także, że prawo karne należy zastąpić prawem obrony społecznej, gdzie miejsce przestępstwa zajmą przyczyny, w związku z którymi to przestępstwo zostało popełnione. Kary zmieniał na środki obrony społecznej. Jako pewnego rodzaju sankcje za przestępstwa przewidywał: umieszczenie w zakładzie leczniczym, resocjalizacyjnym lub innym; pozbawienie wolności w czasie wolnym od pracy; probację, czyli nadzór (na przykład policyjny lub sędziowski); zawieszenie warunkowe wszelkich sankcji, a nawet zwolnienie warunkowe lub bezwarunkowe. Grzywnę zaliczał do sankcji dodatkowych. Projekt kodeksu nie przewidywał takich terminów, jak „kara”, „wina” czy „niepoczytalność”.

Zastąpił je takimi pojęciami, jak „zbrodnie”, „występki” i „wykroczenia”.

Chociaż w całości program F. Gramaticci nie został przyjęty przez żaden kraj, to jednak w wielu państwach zachodnioeuropejskich zastosowano część jego pomysłów, między innymi w Holandii i Szwecji, gdzie osiągnięcia w resocjalizacji są największe. Świadczyłyby to o skuteczności koncepcji tego kryminologa.

W większości krajów zachodnich pomysły lansowane przez F. Gramaticę znajdują coraz większe zastosowanie. Widoczne są następujące kierunki postępowania ze skazanymi: ograniczanie izolacji do maksimum i stosowanie w zamian innych kar (jak choćby rekompensata finansowa dla poszkodowanych), zawieszanie wykonania kary więzienia, możliwość pracy skazanych poza zakładem karnym, a nawet orzekanie winy bez nakładania kary, co stanowi dla obwinionego ostatnie ostrzeżenie i wywołuje negatywną reakcję środowiska, w jakim na co dzień on żyje. Zgodnie z taką polityką penitencjarną, kara pozbawienia wolności jest zarezerwowana dla najgorszych przestępców, a zamykanie ich na całą dobę w celach - tak jak ma to miejsce w Polsce - stanowi na ogół dodatkową karę, zwykle za niesubordynację.

Dodatkowym argumentem przemawiającym za ograniczaniem izolacji skazanych w zamkniętych zakładach karnych są powody ekonomiczne.

Jeśli „złodziej” siedzi w celi i nic poza tym nie robi, jest biernym członkiem społeczeństwa, nie produkującym żadnych dóbr. Gorzej - żyje na koszt społeczeństwa, które musi go utrzymywać. W ten sposób dochodzi do paradoksalnej sytuacji, w której ograbiony przez „złodzieja” obywatel musi jeszcze temu „złodziejowi” przez parę lat zapewniać byt. Do tego wszystkiego obywatel nie ma żadnej pewności, czy po wyjściu z więzienia „złodziej” nie okradnie go po raz drugi, bo metody resocjalizacji - polegające na trzymaniu go latami w celi z innymi, bardziej nieraz „wykształconymi” „złodziejami” - mało tego, że nie są skuteczne, ale wprost sprzyjają rozszerzaniu się przestępczości.

Poza utrzymywaniem, karmieniem i ubieraniem „złodziei” każde państwo musiłożyć poważne środki finansowe na budowę nowych i utrzymywanie starych budynków. Musi szkolić kadry służby więziennej, wypłacać im pensje, zapewnić renty i emerytury. Stąd ograniczanie się tylko do trzymania „złodziei” pod kluczem traci również sens ekonomiczny. Już w średniowieczu wiedziano, że kara więzienia jest karą najbardziej kosztowną, a ponieważ nie zależało nikomu na resocjalizacji,



tylko na odstraszeniu, o wiele bardziej ekonomicznie było po prostu ścinać głowy.

Z osobistych doświadczeń autora (który widział parę więźniów w życiu) wynika, że najlepsze warunki mają więźniowie w Australii. Więzienia wyposażone są tam w baseny, korty tenisowe, parki, a także codzienną prasę i kolorowe telewizory. Wprost chce się siedzieć. Po odbyciu części wyroku australijski „złodziej” może pracować, gdzie chce, i robić, co chce. Chodzi do kina i na strip-tease (najlepszy jest tajlandzki), widzenia są nieograniczone, korespondencja również. Cele zawsze pootwierane, a posiłki jada się wspólnie. Jest jednak mały problem - więzienia australijskie budowane są zwykle poza miastami, w szczerzej pustyni. Tamtejsi obywatele bardzo często oburzają się, że z ich pieniędzy australijscy „złodzieje” żyją tak dobrze i dostatnio. Rząd i fachowcy są jednak innego zdania. Uważają mianowicie, że lepiej wydawać pieniądze na resocjalizację, co kosztuje mniej, niż na mnożenie i wyposażenie policji i budowanie wciąż nowych więzień. Kierują się zdrowym rozsądkiem.

Najgorsze warunki, jakie osobiście widziałem, panują w więzieniach Afryki, zwłaszcza północnej. W Egipcie, Libii, Syrii większość kryminalistów pochodzi z czasów, kiedy tymi krajami rządzili Turcy. Stąd o higienie nie ma co mówić, a przepisy są takie, jak we wczesnym średniowieczu. „Złodzieje” śpią na siennikach wypchanych słomą lub wprost na betonowej podłodze. Jedzenie dostaje się dwa razy dziennie, i to zwykle bułkę z ostrą papryką, do tego ciepłą coca-cola. Za niezrozumienie strażnika lub przekroczenie linii namalowanej na podłodze, przy której staje się podczas wydawania posiłków, można nieźle oberwać. Widzenia są przydzielane tylko po znajomości.

Podróżować i robić interesy możemy obecnie dosłownie bez granic, przedstawiamy więc dalej warunki odsiadki w różnych przodujących krajach.

## **Szwecja**

Jednym z najbardziej humanitarnych systemów postępowania ze „złodziejami” legitymuje się Szwecja. Od lat trzydziestych do pięćdziesiątych panowała w Szwecji teoria, że wszyscy przestępcy to ludzie psychicznie chorzy, wymagający nie tyle pobytu w więzieniu, co leczenia lub opieki lekarskiej. Jeśli nawet są „na oko” zdrowi, to cierpią jednak na pewne dewiacje psychiczne powstałe w dzieciństwie lub we wczesnym wieku młodzieńczym. Zakładano, że ponieważ terapia jest prowadzona dla dobra skazanych, musi być obowiązkowa, czyli skazani muszą przymusowo poddawać się zabiegom. Jakże to mają być zabiegi, określał

każdorazowo sąd, często na wniosek lekarza. Wkrótce okazało się, że wymyślane przez sędziów i lekarzy kary były dla skazanych o wiele bardziej dotkliwe niż normalna „odsiadka” w normalnym więzieniu. Często ludzie po odbyciu kary byli nie tylko nie zresocjalizowani, ale wręcz naprawdę chorzy psychicznie, nieraz pod wpływem szoku. Do normy dochodzili na wolności.

Ciekawe, że w ustawodawstwie szwedzkim nie odróżnia się przestępstwa od wykroczenia. Obie te kategorie traktowane są jako wykroczenie przeciw prawu. W Szwecji w 1982 roku ponad 90% spraw sądowych kończyło się wymierzeniem kary maksimum do 1 roku więzienia. Świadczy to o łagodności sądów szwedzkich. Warunkowe i przedterminowe zwolnienie może nastąpić już po czterech miesiącach odsiadki, jeśli stanowią one dwie trzecie orzeczonej kary. Nie można stosować kary więzienia wobec osób, które popełniły przestępstwo lub wykroczenie po raz pierwszy.

Więzieniem karze się recydywistów, ale więzienia są otwarte, czyli z ograniczoną wolnością, to znaczy wraca się do nich po godzinach pracy zawodowej. W więzieniach otwartych nie zamyka się też cel, a skazani oraz personel administracyjny i penitencjarny zakładu jedzą posiłki razem w jednej sali z „klawiszami”, i do tego jedzą to samo.

Szwecja wprowadziła również system częstych przepustek. Pod koniec odbywania kary są one kilkudniowe, a w jej trakcie na 48 do 72- godzin.

Więzienia szwedzkie należą do „najwytworniejszych” na świecie. Większość posiada nowoczesne budynki z centralnym ogrzewaniem, rozbudowanym zapleczem kuchennym i sanitarnym. Panuje w nich idealna czystość. Opieka lekarska i pedagogiczna jest doskonała, chyba równie dobra jak w Australii. Praktycznie jeden wychowawca-pedagog ma pod opieką kilku do kilkunastu więźniów.

Dodatkową „atrakcją” u Szwedów jest specjalny dobór kolorów ścian, drzwi, krat. Dobór tych kolorów, głównie ciepłych, pastelowych, przyjemnych dla oka, ma zgodnie ze wskazaniami psychologów łagodzić napięcie wywołane izolacją, rozładowywać ewentualne stresy, zapobiegać atakom furii. Zdawałoby się, że zimni Skandynawowie niezbyt potrzebują tego rodzaju rozwiązań praktycznych, a jednak pedantycznie zadbali i o to.

W Szwecji w 1984 roku na 100000 mieszkańców siedziało 57 osób.

## USA

W Stanach Zjednoczonych, statystyki sądowe i penitencjarne opracowywane są w każdym stanie osobno, a rząd oraz społeczeństwo przywiązują olbrzymią wagę

do zwalczania przestępczości. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że nasilenie przestępczości w USA stale rośnie, przy czym w tym właśnie kraju najbardziej chyba na świecie rozwinięte jest przestępstwo zorganizowane. Mnożą się mafie i gangi, które obejmują swoimi działaniami również Europę Zachodnią.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dotychczasowy system resocjalizacji poddano w USA ostrej krytyce. Okazało się bowiem, że między rokiem 1960 a 1974 przestępczość wzrosła trzykrotnie i osiągnęła 10920000 zarejestrowanych przestępstw. Odstąpiono wtedy od stosunkowo łagodnego modelu karania i egzekwowania kary, zwanego modelem medycznym, a zastosowano inny, oparty na karaniu polegającym na „sprawiedliwej odpłacie” lub „sprawiedliwym karaniu”. Polegał on na tym, że przestępca, chcąc uniknąć kary więzienia, musiał dobrowolnie wziąć na siebie określone zobowiązania - rekompensatę dla pokrzywdzonego, wpłacenie jakiejś sumy pieniędzy na konto instytucji dobroczynnej - lub też poddać się zabiegom psychologów czy lekarzy. Podobne zasady przyjęły się w Kanadzie i w niektórych krajach europejskich, głównie w Holandii, RFN, Austrii i Belgii.

Zgodnie z tymi zasadami, kara więzienia powinna być stosowana tylko wobec trzech typów przestępców:

1. na tyle niebezpiecznych, że nie można pozostawić ich na wolności;
2. takich, których przestępstwo wywołało tak wielkie wzburzenie, iż pozostawienie ich na wolności mogłoby spowodować protesty społeczne;
3. takich, którzy nie chcą się poddać innym środkom resocjalizacyjnym.

Amerykanie wprowadzają, z typową dla siebie pomysłowością, różnego rodzaju eksperymenty.

Na przykład w jednym z zakładów karnych przestępcy o długim wyroku sami wybierają program resocjalizacyjny. Spisują z władzami więzienia indywidualne umowy w sprawie tego programu i swojego zachowania w zakładzie. Muszą tylko przestrzegać regulaminu więziennego, pracować co najmniej przez pół dnia pięć razy w tygodniu oraz brać udział w dyskusjach o przestępczości i swoich przewinieniach.

W innym więzieniu skazani na długoterminowe kary więzienia i na dożywocie pomagają w resocjalizacji „małolatów”. W zbiorowych dyskusjach starają się przekonać młodocianych przestępców o konieczności powrotu do normalnego społeczeństwa. Posługują się - jak alkoholicy w klubach AA - swoimi własnymi przykładami z życia na wolności i w więzieniu.

W USA „złodzieje” zwykle bez ograniczeń mogą korzystać z radia, telewizji,

bibliotek, stołówek, sklepików itd. Restrykcje dotyczą długowYROKOWCÓW, recydywistów i „złodziei” ukaranych za naruszenie regulaminu więziennego. Są też w Stanach Zjednoczonych zakłady karne, gdzie dopuszcza się tak zwane widzenia intymne. Na przykład można uzyskać zezwolenie na obcowanie z żoną w specjalnym pomieszczeniu lub w przywięziennym hotelu. W jednym z więzień przystosowano do tego celu wagon kolejowy, który stał na pobliskiej bocznicy. Są to jednak wyjątki.

## **Niemcy**

W 1979 roku na karę pozbawienia wolności skazano w RFN około 6% sprawców przestępstw, 82% otrzymało karę grzywny. W latach 1963-1980 zmniejszono liczbę zakładów karnych z 355 do 162; w 1980 roku przebywało w nich około 55 000 osób (w tym 14 661 aresztowanych tymczasowo). Wskaźnik na 100000 mieszkańców wynosił w roku 1984 - 104 osoby, i na tym samym mniej więcej poziomie utrzymuje się do dzisiaj.

Stosowanie kar więzienia za drobne przestępstwa jest w Niemczech bardzo rzadkie. Często wymierza się kary grzywny. Jeśli się już kogoś zamyka, to wtedy gdy wśród wyższych oficerów służby więziennej istnieje przekonanie, że „złodziej” nie ucieknie, pracuje bowiem na ogół w zakładzie otwartym, to znaczy poza zakładem. Bardzo często władze więzienne stosują przepustki krótkoterminowe lub dłuższe urlopy i wydają zezwolenia na korzystanie z własnych odbiorników radiowych i telewizyjnych w celach.

Tak jak w Polsce, tak i w Niemczech od dawna trwa wśród prawników dyskusja, z której wynika, że zbyt często i na zbyt długi okres stosowane jest tymczasowe aresztowanie wobec podejrzanych. W 1981 roku współczynnik na 100 000 mieszkańców wynosił 91 osób tymczasowo aresztowanych. Powszechnie uważa się, że organy ścigania nadużywają swoich uprawnień w tym względzie.

Kary wymierzane w więzieniach niemieckich są surowe. Jest ich dziewięć: wytyk; ograniczenie lub pozbawienie prawa do zakupów w kantynie; ograniczenie lub pozbawienie prawa do korzystania z biblioteki do 14 dni lub do korzystania z radia czy telewizji do 90 dni; zakaz posiadania konkretnych przedmiotów, które skazany używa w czasie wolnym

- do 90 dni; oddzielne osadzenie (czyli cela pojedyńka) w czasie wolnym
- do 4 tygodni; wstrzymanie prawa do przebywania na wolnym powietrzu (spacery); pozbawienie prawa do pracy do 1 miesiąca; pozbawienie prawa do widzeń na okres do 3 miesięcy i jako najsurowsza kara dyscyplinarna - do 4 tygodni aresztu (czyli więzienia w więzieniu).

W zakładach otwartych „złodzieje” w Niemczech mogą korzystać z przepustek już po dwóch miesiącach odsiadki, jeśli są karani po raz pierwszy. Jeśli są recydywistami - po trzech miesiącach. Na sześć miesięcy przed całkowitym zwolnieniem skazani mogą korzystać z przepustek od soboty rano do niedzieli wieczorem.

## **Anglia**

W 1982 roku Anglia (wraz z Walią) posiadała 139 zakładów karnych i aresztów śledczych. Siedziało w nich 43 700 osób, a współczynnik (na 100000 mieszkańców) wynosił 77,6 osoby.

Kary grzywny w tym roku orzeczono wobec około 50% skazanych, wobec około 12% kary zawieszono warunkowo, a wobec około 10% orzeczono inne niż więzienie rodzaje kar, w tym przede wszystkim prace porządkowe na rzecz społeczeństwa. Zdarzało się też, że sądy angielskie wydawały tylko orzeczenia o winie, nie karząc podsądnego. Sam taki wyrok stawiał go w złej sytuacji w środowisku, które samo już stosowało wobec niego restrykcje - zwłaszcza towarzyskie.

Skazywano też winnych przestępstw na obowiązkową czynną pomoc bezpłatną na rzecz osób potrzebujących opieki (starców, inwalidów, biednych). Często stosowano karę alternatywną polegającą na naprawieniu wyrządzonej szkody. Jeśli na przykład „złodziej” kogoś pobił i ograbił, musiał odpracować u ofiary swą karę, a ponadto pomagał jej finansowo w ciągu wyznaczonego przez sędziego okresu.

Jednocześnie wzrost przestępczości jest w Anglii znaczny i w 1990 roku siedziało tam około 50 000 osób. Przewidując to zresztą, już w 1982 roku rozpoczęto budowę nowych zakładów karnych z osiemnastoma tysiącami miejsc.

Fachowcy brytyjscy twierdzą, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat zanotowano w Anglii poważny wzrost przestępstw, i to tych najcięższych, chociaż niewątpliwie sądy angielskie są bardzo surowe i orzekają ostre kary, zwłaszcza w porównaniu ze swymi skandynawskimi kolegami.

Brytyjski system penitencjarny jest chyba najbardziej precyzyjnym systemem na świecie. Rozróżnia on dwadzieścia jeden rodzajów wykroczeń i odpowiednio do nich - dziewięć kar. Jest to typowo angielska zasada prawna, przestrzegająca, aby nikt nie był zaskoczony rodzajem kary, jaka mu zostanie wymierzona w razie wykroczenia.

I tak więźniowie są karani za: bunt lub podżeganie do buntu innego więźnia, użycie przemocy, akty agresji, ucieczkę. W dalszej części regulaminu wymienia się niedbały i leniwy stosunek do pracy lub jej odmowę, niewykonanie polecenia,

wykroczenie przeciwko dyscyplinie, nie wrócenie w terminie z przepustki itd.

Każdemu wykroczeniu odpowiadają konkretne kary dyscyplinarne, jak np.: wyłączenie z pracy zespołowej na 14 dni, utrata przywilejów na 28 dni, wstrzymanie zarobków do 14 dni, zakaz opuszczania celi do 3 dni (zauważ, Czytelniku, że to, co w Anglii jest karą, w Polsce stanowi integralną część postępowania) czy ograniczenie racji żywnościowych przez 3 dni.

Niektóre wykroczenia w więzieniach brytyjskich można by zakwalifikować w Polsce jako przestępstwa. U nas natychmiast wkracza prokurator. Tam skierowanie sprawy do sądu zależy od władz więziennych. Mogą one oddać sprawę prokuratorowi, ale nie muszą. Bardzo poważne przewinienie - ucieczka, które u nas karane jest bezdyskusyjnie dodatkową karą więzienia, w Anglii może być w ogóle nie karane. Na przykład w roku 1978 spośród 371 uciekinierów ukarano tylko dziesięciu.

## **Holandia**

Kraj ten ma najmniejszy na świecie wskaźnik odsiadujących kary w systemie zamkniętym. Na każde 100000 mieszkańców siedzi tam tylko 31 osób.

W Holandii, aby państwo uniknęło olbrzymich kosztów związanych z budową i rozbudową zakładów karnych, do „odsiadki” wyroków w systemie zamkniętym należy zapisywać się w kolejce na specjalnych listach w więzieniu. Nie ma miejsc wolnych, a każda przyczyna więzienna jest natychmiast „zagospodarowywana”. Liczba przyczyn jest ograniczana budżetem i wyznaczana z góry, raz na rok.

Na służbę więzienną, tak jak na naszą polską, również usiłowano wywierać naciski, aby przyjmowała „pensjonariuszy” dostawiając w celach łóżka. Tamtejsi „klawisze” nie zgodzili się jednak na to i zastrajkowali. Strajk zakończył się sukcesem. W rezultacie w całej Holandii nie ma ani jednej wolnej więziennej przyczyny. Na odsiadkę trzeba tam nieco poczekać, ale warto, bo kryminały są niemal wytworne.

## **Włochy**

We Włoszech w 1984 roku na każde 100 000 obywateli w miejscowych więzieniach przebywało 76 osób.

W kraju tym - od roku 1976 - nie można grzywny po prostu odsiedzieć, jest to bardzo ekonomiczne i nie uszczupla budżetu państwa. A mianowicie Włosi - naród praktyczny - wprowadzili pojęcie „półwolności”, która polega na

obowiązkowym przebywaniu w więzieniu tylko przez 10 godzin na dobę. Więzienie to musi znajdować się w pobliżu miejsca zamieszkania „złodzieja”. Drugim pomysłem włoskim jest „wolność ograniczona”. Polega ona na zakazie opuszczania miejsca pobytu bez zezwolenia policji oraz na obowiązku codziennego meldowania się na posterunku o określonej porze. W obu przypadkach prawo zakazuje posiadania broni, paszportu czy innego dowodu tożsamości, co ma ograniczyć możliwości ucieczki skazanego.

We Włoszech również przechodzi się przy orzekaniu winy i kary od zamykania w więzieniach do odpracowywania przez skazanego szkód, które wyrządził.

## **Francja**

We Francji na 100000 ludności w roku 1984 siedziały 74 osoby, z czego 30% to tymczasowo aresztowani (ten sam problem, co w Niemczech i w Polsce). Olbrzymia jest tam liczba skazanych „małolatów” - dochodzi do 25%.

Co roku 44% skazywanych otrzymuje wyroki do 12 miesięcy więzienia; około 27% - powyżej jednego roku do trzech lat.

We Francji stosuje się również jako karę bezpłatne prace porządkowe na rzecz gminy. Jest to podobno sposób bardzo skuteczny. Ośmieszenie miejscowego „gita”, który motyką piele klomby na głównym rynku miasta, ma swoją wymowę i dla niego, i dla ludzi, których skrzywdził. Narażenie na wstyd jest niejednokrotnie skuteczniejszą karą niż pozbawienie wolności.

## **Japonia**

Japonia jest jednym z niewielu krajów pozaeuropejskich, który dokonał bardzo istotnego postępu w reformowaniu polityki penitencjarnej. Pomimo prawdziwie azjatyckiego wzrostu liczby ludności bardzo wyraźnie zmniejszyła się tu w ciągu ostatnich 35 lat liczba odsiadujących kary więzienia. Jeśli w 1950 roku codziennie siedziało (w tym skazanych i tymczasowo aresztowanych) około 103000 osób, to w 25 lat później - tylko 44% stanu z 1950 roku. Oznacza to również, że na 100000 ludności liczba uwięzionych zmniejszyła się ze 124 do 43 osób. Spada ona dalej i kształtowała się w latach 1975-1981 w granicach 50000 osób rocznie

Utrzymanie liczby uwięzionych na tym samym poziomie miało miejsce nawet wtedy, kiedy w latach 1975-1981 bardzo wyraźnie wzrosła liczba przestępstw

związanych z gangsterstwem i narkotykami. W Japonii bardzo dużą wagę przywiązuje się do pracy i kształcenia skazanych - około 90-94%. Z tego znaczna część jest szkolona w trzydziestu dwu dziedzinach przemysłowych, rolno-spożywczych i usługowych.

Warunki w kryminalach są bardzo dobre, chociaż cele - pewnie ze względu na niewielki wzrost Japończyków - nieco przyciasne. Zdumiewa czystość i schludność. W więzieniu można wypożyczyć telewizor lub wideo, jeśli nie ma się własnego. Z widzeniami też nie ma kłopotu, przysługują raz w tygodniu, po trzydzieści minut. Niestety, z prasy trudno korzystać - język japoński. Więźniów japońskich nie polecamy jednak ze względu na kuchnię - dają dużo surowej ryby.

### **Ameryka Łacińska**

Jeszcze inaczej siedzi się w Ameryce Łacińskiej. Chociaż i tam skazani mają pewne ograniczenia, jednakże są one o wiele mniejsze niż w Polsce. Bałagan i brud oraz brak dyscypliny są tam powszechne i naprawdę, Szanowny Czytelniku, nie radzę Ci trafić do „pułki” w tamtym rejonie świata.

Jedyne, co rozwiązano tam w sposób interesujący, to kontakty seksualne „złodziei”, co ma pewnie związek z południowoamerykańskim temperamentem.

W Argentynie, za zgodą naczelnika, żona może odwiedzać męża w więzieniu. Do tego są przeznaczone specjalne cele. W Brazylii skazani mają prawo do osobnego widzenia z małżonką, nawet raz w tygodniu. W Kolumbii żona może odwiedzić męża w celi, nawet w obecności innych więźniów.

W Ekwadorze i Hondurasie skazani mają widzenia intymne w każdą niedzielę i dni świąteczne lub wolne od pracy. Kawalerowie przyjmują w ten sposób wizyty narzeczonych lub prostytutek, które okazują zaświadczenie o dobrym stanie zdrowia. Niedawno do widzeń małżeńskich dopuszczono więźniów w Peru.

Najlepiej jednak żyje się pod tym względem „złodziejom” w Meksyku. Tam również zezwala się na spotkania intymne. Ponadto utworzono kolonię karną pod nazwą Islas Marias, położoną na czterech wyspach na Pacyfiku. „Złodzieje” siedzą tam z dziećmi i żonami, które jednakże muszą być zdrowe i przestrzegać regulaminu. Tam solidarnie wszystkie rodziny tworzą wspólnoty (małe komuny) i zajmują się produkcją żywności, na swój własny użytek oraz na sprzedaż. Mają przy tym wspaniały klimat, plaże, banany i pomarańcze. Siedzieć, nie umierać.



### *XIII. Autentyczny pamiętnik „złodzieja”*

*Nie ma gorszego złodzieja niż brudny złodziej*

Z pamiętnika

Przedstawiony tu pamiętnik „złodzieja” to fragmenty autentycznego pamiętnika pisanego przez włamywacza, lecz nie recydywistę. Dostał on trzy lata za włamanie, ale całego wyroku nie odsiedział. Zwolniono go za dobre sprawowanie.

Specjalnie dla Ciebie, Drogi Czytelniku, wybraliśmy tekst prawie całkowicie zrozumiały, w niewielkim tylko stopniu pisany „grypsera”. Autor pamiętnika prawdopodobnie uczył się „grypsery” dopiero w kryminale, gdyż większość tekstu to zwykle całkowicie poprawny język polski. Autor ma średnie wykształcenie. Bardzo kocha żonę i dzieci oraz matkę i dziadka Leona.

Z pamiętnika widać, jak nasz bohater powoli się do kryminału przystosowuje, chociaż po półtorarocznej odsiadce przechodzi poważny kryzys pogłębiony zagrożeniem rozwodem; w więzieniu robi jednak postępy, dostaje nagrody, a nawet zezwolenie na przepustkę. Poza drobnymi wykroczeniami, jakie zdarzają się każdemu „złodziejowi”, przestrzega regulaminu. Jest to więc „złodziej” przeciętny (ani „git”, ani „frajer”), który daje sobie w „pudle” radę.

Przy redakcji fragmentów pamiętnika wszystko to, co nie zostało napisane przez autora, włącznie z tłumaczeniem „grypsery”, umieściłem w nawiasach klamrowych. Tytuły podrozdziałów również pochodzą ode mnie. Każdy dzień oznaczony jest w lewym górnym rogu prostymi skrótami - na przykład 10. N. to niedziela i dziesiąty dzień miesiąca. W prawym rogu na dole są dwie liczby. Ta pierwsza oznacza, ile dni pozostało do odsiedzenia, a druga - ile dni odsiedział.

Pamiętnik nie kończy się happy endem, to znaczy przedterminowym, warunkowym zwolnieniem naszego bohatera. Wybraliśmy trzy etapy charakterystyczne,

aby pokazać Ci, Drogi Czytelniku, prawdziwe dni w „pudle”. Dzień za dniem tych, co pracują, i tych, co nie pracują. Jaka to różnica dla każdego „złodzieja”, nie trzeba nikomu tłumaczyć. Tymczasem 70% naszych „złodziei” nie pracuje, i to chyba jest ich największą obecnie tragedią.

Nazwiska i pseudonimy są w pamiętniku oczywiście zmienione.

### *[1. Nadzieja]*

22. Pn.

W domu zrobili kipisz [rewizję]. Nie dała spodziewanych rezultatów. Nie spałem w domu. Byłem na Wierzejach z „dwunastką” [wspólnik włamania]. Do południa piłem z Bełtkiem. Dostałem wezwanie na MO. Wiem, o co im chodzi. Może się uda. Zawiadomiłem „dwunastkę”.

23. Wt.

Rano do godziny 10<sup>00</sup> byłem z „dwunastką”. Omawialiśmy sprawę. Następnie pojechałem do Tuszyna. Na MO przyjechałem z mamusią. Zawieźli mnie do prokuratora - prok. Mirosława. Sankcja [nakaz tymczasowego aresztowania]. Przewieźli mnie z powrotem na MO. I tak się zaczęło.

24. Śr.

Siedzę w areszcie. Brakło mi papierosów. Koło południa mamusia podała mi jedzenie i szlugi [papierosy]. Filter 200. Śmierdzi tu jak cholera. Nie można się doprosić gliniarza, aby wypuścił cię do kibla. W nocy rzeziło dwóch zarzyganych pijaczków. Nie mogłem spać. Myślałem, co będzie dalej.

2

25. Cz.

Okolo 13<sup>00</sup> przewieźli mnie do aresztu śledczego. Oddział I, cela 90A. Już jestem w kryminale. Siedzę z dwoma gitami. Ciągłe się onanizują za parawanem od kibla. Weszło.

3

26. Pt.

Zostałem zważony i zmierzony. Pobrali mi krew do badania. Ważę 75 kg. Czekam na interwencję „dwunastki”.

4

27. S6.  
Dzień minął na rozmyślaniach. „Dwunastka” miał mi wziąć dobrego papugola [adwokata] i go opłacić. 5
28. N.  
Rano byłem u stomatologa. Sprawdzili mi uzębienie. Pierwsza niedziela w kryminale. A ile jeszcze? G
29. Pn.  
No i minął pierwszy tydzień w kryminale. Papugola nie widać. 7
30. Wt.  
Dostałem talon na paczkę żywnościową. Wysłałem mamuśce kartkę. 8
31. Śr.  
Talon wysłałem do Tuszyna [zgodnie z przepisami nadawca paczki do aresztowanego musi dołączyć do niej talon z więzienia, aby mogła być przyjęta]. 9
- 1.Cz.  
Imieniny Grażyny J. (znajoma Grzeška). Wspomnienia. Jeden wychodził na wolność. Podałem gryps, ma dostarczyć „dwunastce”. 10
2. Pt.  
Była prokurator. Zakończenie śledztwa. Miałem pierwsze patronko [widzenie]. Była Małgosia [żona]. Przez kraty [widzenie przez kraty]. Podała mi 9 paczek papierosów i deczko giętej [trochę kiełbasy]. Papugola nie widać. 11
3. So.  
To już druga sobota. Nie mogę sobie tego uzmysłwić. Za co w ogóle siedzę. 12
- 180

4. N.

Dzień rozmyślań. Wieczorem poczęstowano mnie parzochą [herbata parzona z tytoniem i tabletkami aspiryny lub proszkami od bólu głowy, czasami też z popiołem po papierosach - działa jak narkotyk]. Działa jak gorzała, w głowie mi się zakręciło, a kłopoty znikły.

13

O godz. 13<sup>00</sup> był papugol. Rozmawialiśmy około 20 minut. Papugol obiecywał wyrok w zawieszeniu albo mały - rok, nie wyrok, powiedział. O godz. 14<sup>00</sup> rozprawa. Wyłąpałem 3 lata pozbawienia wolności. 3 lata utraty praw publicznych. 20 tysięcy zł grzywny i 8 100 kosztów sądowych. Po rozprawie chwycił mnie potworny ból żołądka - nerwy. Minął drugi tydzień.

1082-14

6. Wt.

Nic nie mówię. Szok. Leżałem cały dzień. Jak to się skończy?

1081-15

7. Śr.

Pierwsza wypiska [możliwość zakupu w kantine więziennej]. 6 paczek papierosów i 3 karty świąteczne.

1080-16

8. Cz.

Gdybym nie zapłacił grzywny, czeka mnie, w mordę jebany, 200 dni do odsiedzenia. Zamiennik.

1079-17

9. Pt.

Byli rodzice. Patrzonko miałem przy stoliku. Wieczorem był ksiądz. Pocieszał. Gaduła. Wysłałem karty świąteczne do Zielonki i do domu.

1078-18

10. So.

Patrzonko. Była Małgosia. Przy stoliku [widzenie bez krat przy stoliku]. Kazałem przemyśleć jej całą sprawę i założyć sprawę o rozwód. Ma pomyśleć. Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem.

1077-19

181

11. N.

Był Mirek na lipie [tu prawdopodobnie mowa o „widzeniu” przez okno w celi]. Pada śnieg. Pogoda fatalna. Wielkanoc - w kryminale jeszcze dwa takie święta. „Dwunastka” przysłał list, że papugol będzie zakładał wokandę rewizyjną. Jest nadzieja.

1076-20

12. Pn.

Lany poniedziałek. Wacek wylał mi rano na łeb całą miskę wody, kiedy jeszcze spałem, ale najpierw Heniek wylał miskę na łeb Wacka.

Minął trzeci tydzień. Pada śnieg z deszczem. Cały dzień graliśmy w wilka i owcę. „Brzuchaty” [prawdopodobnie strażnik lub wychowawca] strasznie mnie opierdolił za źle złożone na noc rzeczy.

1075-21

13. Wt.

Opisali mój wyrok w gazecie. Otrzymałem oficjalne wezwanie do zapłacenia grzywny i kosztów. Szlag mnie trafia. Nie tylko siedzę, ale będę musiał pracować i płacić. I to jest sprawiedliwość!

1074-22

14. Śr.

Dzień jak wszystkie. Dwie godziny grałem z Heńkiem w warcaby. Wygrałem. Nie mogę czytać. „Mały” ciągle mi staje - jak w wojsku. Papugol się nie odzywa.

1073-23

15. Cz.

Była Małgosia z Przemkiem [synem]. Lipo. Nie spałem całą noc. Dostałem znowu cynk od „dwunastki”. Ma mi przysłać papugola. Chyba o mnie walczy. Klawo. Zjadłbym schabowego i wypił piwo. „Mały” ciągle mi się hušta.

1072-24

16. Pt.

Drugie urodziny Przemka. Dostałem grupę P2-Z [rygor zasadniczy - bez prawa do pracy poza zakładem karnym]. Była Małgorzata z teściową. Lipo. Potwornie się czuję. Złamałem sobie paznokiec.

1071-25

17. So.

Była mamusia, Marek i Małgosia. Lipo. Widzenia nie dostałem. Powiedzieli,

że za często przychodzą do mnie ludzie. 2 ramki [paczki] szluzzków [papierosków, zdrobniale] dostałem. Czeka na papugola.

1070-26

18. N.

Był Janek O. Lipo. Małgosia miała być, ale nie była. Pisałem do sądu o anulowanie kosztów i rozłożenie grzywny na raty. Heniek z celi założył głodówkę, bo za karę cofnęli mu patrzonka na dwa miesiące. Wariował na spacerniaku. Od czasu do czasu Heniek dostaje fijoła. Siedzi za małwersacją. Inteligentny gość. Papugola nie widać. Mam jakąś zgagę.

1069-27

19. Pn.

Była Małgosia z teściową. Lipo. Byłem u naczelnika przed transportem [przed przewiezieniem do innego zakładu karnego]. Około 16<sup>15</sup> przenieśli mnie do celi 106 na blok nr 5. Czwarty tydzień.

1068-28

20. Wt.

Małgosia podała mi pierzynkę, 5 kart imieninowych i zapałki. Wieczorem byłem u lekarza. Zapewne przed transportem [wg przepisów więźniowie przed opuszczeniem zakładu karnego są obowiązkowo badani].

1067-29

21. Śr.

Druga wypiska. Kupiłem 4 ramki szlugów i Żarki [zapałki]. Na więcej nie było tapety [pieniędzy]. Gramy w warcaby po 5 godzin. Nic nie czytam. Myślę o życiu i o Małgosi. W nocy nie mogę spać. Pokłóciłem się z klawiszem o miskę. Mogę coś zarobić za karę. Papugola nie widać. A to skurwiel ten „dwunastka”.

1066-30

22. Cz.

Jutro mają odejść transporty. MINAŁPIERWSZY MIESIĄC.

1065-31

23. Pt.

Wzięli mnie do pracy. Podrzucaliśmy koks, około 75 ton. Mam odciski.

183

Tabory znów nie odeszły. Gdzie się, kurwa, ten papugol zawieruszył! Dziś była moja kolej sprzątnięcia celi - wszystko się błyszczy.

1064-32

24. So.

Do pracy nas nie wzięli. Chcę do domu. Śląsk-Widzew 1:2. Łeb temu „dwunastce” uknęć, jak wyjdę.

1063-33

25. N.

Rano przenieśli mnie pod celę 93. Był papugol, powiedział, że zakłada nową wokandę [występuje o rozprawę apelacyjną]. Mocno mnie pocieszał, ale to może potrwać i parę miesięcy. Mała nadzieja.

Dostałem list od Małgosi i zdjęcia. Po raz pierwszy oglądałem w kryminale TV. Ból głowy.

1062-34

26. Pn.

Nigdzie nie pracowałem. W nocy wysiadywałem do trzeciej rano. Nie mogę spać. Małgosia podała 4 ramki papierosów. Podałem list do Małgosi.

Minął piąty tydzień. O czas nie martwią się ci, co mają dożywocie.

1061-35

27. Wt.

Wynosiliśmy popiół z kotłowni bloku nr 5. Rzuciła mi się farba z kichawy [krew z nosa]. Osłabienie. Dostałem od łapiducha kwit na leżenie na koi [zezwoleńie na leżenie na łóżku w ciągu dnia].

1060-36

28. Śr.

Przywieźli nowych frajerów. Do nas dali dwóch. Zabrali też dwóch starych. Daliśmy im egzamin, a potem lekki łomot [sprawdzili, czy są „gitami”, a potem lekko ich pobili, bo okazało się, że nimi nie byli]. Widzew-Gwardia 1:0.

1059-37

30. Pt.

Miałem patrzonko. Byli Małgosia, Przemek i Marek. Podała mi 9 ramek szlugów, szampon, pastę [do zębów]. Ciągłe czekam na patrzonko z papugolem. Gdzieś wsiąkł. Powiedziałem Małgosi, żeby go poszukała. Mo-

że wystawią mnie na wokandę i ponowią sprawę [może będę miał rozprawę rewizyjną].

Dostałem ciuchy więzienne. Bardzo mi się podobają. Co ja tu, kurwa, robię.

1057-39

## *[2. Więzienna nuda]*

17. So.

Wolna sobota. Piękna pogoda. Kiedy pójdę do roboty? Zrobiłem dobrą parzochę - od razu lepiej się poczułem, ale kończy się jemiola [herbata] i szlugi też.

W poniedziałek będzie wypiska, zostało mi jeszcze trochę tapety, a może Małgosia jutro przyniesie, jak będzie patrzonko. Julek w nocy opowiadał western, ale przysnąłem.

979-117

18. N.

Pada deszcz. Pa trzonka nie miałem. Gramy w wilka i owcę cały dzień. Dostałem list od Witka. Napisałem list do Małgosi, ale go podarłem. Napisałem list do mamusi - ten wyślę. Może przyślą trochę tapety - nie pracuję, nie zarabiam.

Pożyczyłem od Witka ramkę szługów i trochę giętej. Trzeba coś jeść i trzeba coś palić. W wilka i owcę wygrałem 15 papierosów.

978-118

19. Pn.

Była wypiska: 12 popularnych, gięta, jemiola. Słonecznie, ciepło. Od Małgosi znaku życia. Zamówiłem rozmowę z wychowawcą w sprawie tyrania [pracy].

Uczę się alfabetu Morsea, w nocy ciągle tu pukają. Robimy różne zakłady - stanęliśmy Julkowi na piersiach we trzech i wytrzymał. Wygrał ramkę popularnych. Minał 17 tydzień.

977-119

20. Wt.

Piękna pogoda. Upał. Gramy w warcaby. Byłem u wychowawcy, roboty na razie nie ma, muszę czekać w kolejce. Wycięliśmy z linoleum na podłodze kawałek plastiku i robimy małe znaczki, to na pamiątkę. Jak

185



mi nie dadzą roboty, założę głodówkę. Dostałem list od „dwunastki”, papugol złożył odwołanie.

976-120

21. Śr.

Rano robiliśmy parzochę. Doprowadzili nam pod celę cwela. Zabawny. Od razu daliśmy mu sprzątanie. Cwel nie ma na nosie kropki. Powiedzieliśmy mu, że jak się będzie stawiał, to mu kropkę wytatuujemy. Jest bardzo grzeczny. Julek zrobił z chusteczki czapkę i tak chodził po celi. Zabawnie. Piękna pogoda, okropny upał. Otworzyliśmy okno, ale to nic nie pomaga.

975-121

22. Cz.

Piękna pogoda. Duży upał. Dziś minął trzeci miesiąc. Jak ja to wytrzymam. Zaczęliśmy robić karty z chleba, ale się rozpadają, może mamy złą ślinę. Dostałem list od Małgosi - narzeka na rodziców. Wieczorem oglądałem telewizję - całe 80 minut, potem była zmiana, przerwali mi w połowie filmu, skurwysyny. W nocy nie mogłem zasnąć. Całą noc Julek kotłował się z cwelem - na zdrowie.

974-122

23. Pt.

Piękna pogoda. Upał. Malowanie celi. Przenieśli nas pod celę 33. Rolnicy zaczęli żniwa. Wysłałem do „dwunastki” gryps, żeby się pośpieszył z papugolem, bo ja tu nie wytrzymam. Do południa graliśmy w warcaby, potem LB [leżenie bykiem, leżenie na łózkach]. Julek pokazywał jakieś krosty na chuju. Mówi, że to stary, zaprzyjaźniony syf, z którym jest na ty - tak zwany tyfilis. Ma iść do lekarza.

973-123

24. So.

Wróciliśmy do swojej celi 35A. Ból głowy. Spacer ładny. Na spacerniaku kwitną kwiaty - ładnie. Pogoda słoneczna. W nocy Julek skończył opowiadać film. Pewnie połowę wymyślił, bo to niemożliwe, żeby faceta wyrzucili z trzeciego piętra, a on zerwał się i uciekł. Dziś moja kolej na opowiadanie. Muszę coś wymyślić. Dostałem list od syna. Myślałem, że się popłaczę.

972-124

25. N.

Piękna pogoda. Upał. Był wypadek na Świerczewskiej. Śmierć poniosło dziecko - dostaliśmy wczorajszą gazetę. Przeczytaliśmy ją od tyłu do nekrologów - wszystko. Wysłałem list do Małgosi. Jak chce, niech wystąpi o rozwód. Papugola wciąż nie widać. W warcaby wygrałem 25 szługów. Julek założył się z Heńkiem, że zrobi za jednym razem 125 pompek. Założyli się o cztery ramki popularnych. Jutro będzie robił pompki.

971-125

26. Pn.

Piękna pogoda. Upał. Małgosa nie pisze. Co się z nią stało? Julek zrobił 85 pompek i upadł na pysk. Potem leżał do końca dnia na koi [łóżku]. Zobaczył to klawisz przez judasza [wizjer] i Julek dostał trzy dni kabaryny [odsiadka w pojedynczej celi]. Cwel grzecznie czyści kibel i myje podłogę. Posłuszny człowiek. Nocami opowiadam taką jedną knigę Ludluma, ale akcja mi się pieprzy. Dziś 18 tydzień.

970-126

27. Wt.

Pochmurno. Duszno. Zabrali z celi cwela. Pewnie się poskarżył albo poprosił, bo Heniek wczoraj dał mu w pysk, bo się stawiał. Bez cwela jeszcze nudniej. Leżę na wyrku i myślę. Jak oddziałowy zobaczy, że leżę, to mi wlepi kabarynę. Julek jeszcze tam siedzi. Jutro pójde do biblioteki. Pożyczę jakąś książkę. Rzygać się chce. Rozmawialiśmy, skąd tu zdobyć jakiś kwiatek. Byśmy go bardzo pielęnowali. Julek przysłał gryps z pojedynki, że się dobrze czuje.

969-127

28. Śr.

Słonecznie. Ciepło. Mam list od „dwunastki”. Pisze, żebym się nie łamał, bo papugol walczy. Wlazłem dziś na parapet, żeby zobaczyć ludzi. O mało nie dorwał mnie oddziałowy, bo na parapetach stawać nie wolno. Widziałem, jak ludzie wsiadają do tramwaju. Ci mają dobrze. Skończyły mi się Żarki, pożyczyłem, ale nie wiem, skąd wezmę pieniądze na wypiskę. Małgosa milczy. Mamusia też milczy.

968-128

29. Cz.

Słonecznie. Wiaterek. Znowu wlazłem rano na parapet. Ludzie chodzą zupełnie normalni. Ale im zazdroszczę. Już miesiąc, jak nie dostałem

187

listu od Małgorzaty. Byłem w bibliotece. Pożyczyłem 4 książki, ale nie mogę czytać. Po dziesięciu stronach mam gul [ból] głowy.

Dwie godziny wszystko czyściłem. Buty pół godziny. Potem parzocha - dobrze mi robi. Jutro biorą Heńka do pracy w warsztatach. Julek zapowiedział, że się tatuuje na porucznika.

967-129

30. Pt.

Piękna pogoda. Ranek chłodny. Wrona tatuował cały dzień Julka (zwolnili go wcześniej z kabaryny). Godzinami nakłuwa go igłą do zastrzyków. Wieczorem Julek miał dwie gwiazdki. Jeszcze potrzebuje cztery. Gram sam ze sobą w warcaby, bo Heniek w pracy. Temu to zazdroszczę. Nie mogę czytać - ból w głowie.

Myślałem o Małgosi. Pewnie się rozstajemy, ale co z dziećmi. Mamuśka przysłała list. Kochana jest.

966-130

31. So.

Piękna pogoda. Upał. Do dziś wypaliłem 131 ramek papierosów. Na to konto zrobiłem sobie parzochę - ona leczy. Julek ma już trzy gwiazdki, ale krzywi się z bólu i czasami jęczy, głównie w nocy przez sen. W dzień trzyma fason jak prawdziwy git. Na spacerunku widziałem Witolda ze szkoły podstawowej. Siedzi za pobicie blacharza [milicjanta]. Dostał piątkę [pięć lat]. Jeszcze jest brązowy, ale ta opalenizna mu zejdzie. Prosił o szlugi. Siedzi pod celą 39B, cztery okna dalej.

965-131

1. N.

Piękna słoneczna pogoda. Miałem patrzonko. Była Małgosia z synami. Przynieśli 20 ramek szlugów, koperty, znaczki, połędwicę, giętą, pastę do zębów. Małgosia mówi, że nie może z teściami wytrzymać, tak ją męczą z rozwodem.

Byłem rano na telewizji - nic ciekawego. Rzuciłem książki w ką - to nie dla mnie. Dziś w nocy robimy „konia”, Julek przyniósł ze spaceru sznurek [zob. rozdział „Powszedni dzień «złodzieja»„]. Zapiisałem się do naczelnika w sprawie pracy.

964-132

2. Pn.

Pogoda idealna. Dostałem „Dziennik”. Ciekawe rzeczy tam piszą. Julek ma już wszystkie gwiazdki - teraz przykłada okłady z zimnej wody.

188

W paru miejscach nakłuli go mocno i krwawił. Ale porucznik ładnie wygląda. Ja chyba też sobie coś na pamiątkę wytatuuję, na przykład Małgosię ze zdjęcia.

W nocy robiliśmy „konia”. Sznurek był za krótki, ale cela od celi brała i podawała dalej, w końcu „koń” dotarł do Witolda, który podziękował przez okno.

963-133

### 3. Wt.

Piękna pogoda. Gorąco. Byłem u naczelnika. Powiedziałem mu, że jak nie dostanę roboty, to coś połknę. Wysłuchał mnie spokojnie i uważnie. Powiedział, że będzie się starał, ale miejsc do pracy jest mało. W sumie mu uwierzyłem. Po południu graliśmy w salonowca, boli mnie cała dupa, bo Julek przyłał mi dla zgrywów deską. Napisałem list do Piotrusia i do „dwunastki” - szyfrem: czy dostał gryps wysłany przez „Kozła”.

962-134

### 4. Śr.

Pogoda piękna. Słońce wędruje po celi. Wezwał mnie wychowawca. Gryps do „dwunastki” znalazł się u niego w aktach. Ostrzegł mnie, że następnym razem otrzymam parę dni kabaryny. Swój człowiek.

Widzew-Stal Mielec 1:1. Ruszyła liga. Wynik podają przez radiowęzeł.

Był ksiądz, bardzo namawiał nas na msze i spowiedź. Zabawny klecha. Co on by robił, gdyby go tak tu wsadzić. Julek po tatuażu czuje się dobrze. Heniek pracuje. Zapowiedział, że przyniesie borygo.

961-135

### 5. Cz.

Pogoda piękna. Upał, ale krótko popadał deszczyk. Była wypiska. Kupiłem pasztet, 2 żylutki, dzem i Żarki. To koniec tapety. Jak mi rodzina nie przyśle albo nie pójde tyrać, będę łachudrą [biedny więzień].

Gramy w wilka i owcę. Julek czyta książkę, którą ja wypożyczyłem. Po południu wrócił Heniek z pracy. Przyniósł borygo. Walnęliśmy po secie. Trochę mnie zemdliło, ale na zakąskę była moja wypiska z chlebem. Zrobiło mi się lepiej.

960-136

### 6. Pt.

Pogoda nadal piękna. Upał jak cholera. Chodzimy wszyscy w majtkach. Pod celą duszno. Oblewamy się wodą. Wylaliśmy trochę na podłogę.

189

Paruje woda i jest chłodniej. W nocy Heniek wylał z kibla całą wodę i rozmawiał przez syfon (przez rury kanalizacyjne) z facetem dwa piętra wyżej. Umawiali się na wódkę w końcu grudnia w „Malowniczej” - Heniek w końcu roku wychodzi. Przez to gadanie nie spaliliśmy całą noc.

959-137

7. So.

Upał. Byłem w bibliotece. Wymieniłem książki. Te nieczytane na te, których nie będę czytał, ale coś trzeba robić. Bałtyk-Widzew 1:1- cholera, same remisy. Julek zaczął kręcić sobie loki. Nawet mu z tym ładnie. Heniek dostał od lekarza kwit na cztery dni leżenia [prawo do leżenia w dzień na łóżku]. Cały dzień robił LB [leżenie bykiem]. Wszyscy mu zazdrościmy. Napisałem list do Małgosi - czemu się nie odzywa?

958-138

8. N.

Upał. LB. Heniek ostrzygł Julka. Ściął mu te wszystkie loki. Na deser parzocha. To już resztkę mojej herbaty. Napisałem do mamusi o pieniądze. Jak nie pójdę tyrać, to mnie szlag trafi. Robiliśmy dziś konkurs, który z nas ma mniejszą dupę. Mierzyliśmy sznurkiem. Wygrałem ramkę szlufów. Dobre i to.

957-139

9. Pn.

Upał nie do wytrzymania. Heńkowi roztopiła się w szafce margaryna. Gramy w warcaby. Duchowski czytał książki, które przyniosłem z biblioteki. Potem była łaźnia. Julek dał po ryju jakiemuś cwaniakowi, który był mu winien tapetę. Klawisz rozdzielił ich pod prysznicami i zamoczył sobie cały mundur. Pewnie obaj dostaną kabarynę. Śni mi się schabowy z kapustą i kartoflami - jak u mamusi. Minął 20 tydzień.

956-140

10. Wt.

Pochmurno. Chłodno. Julek w kabarynie. Nie mam z kim grać. Duchowski czyta i czyta, że też go łeb nie boli. Heniek w pracy. Zarabia tapetę. Powiedział, że w razie czego mi pożyczę. Wieczorem przyszywałem sobie guziki. Dwa odpadły, a dwa ledwie się trzymały. Na kolację był stary, śmierdzący salceson. Pod celami 28, 32, 37 i 45 założyli głodówkę. Nie jesteście świnię.

955-141

11. Śr.

Pochmurno. Chłodniej. Był wreszcie papugol. Przyniósł tapetę od „dwunastki”. Powiedziałem, że zwariuję, jak nie będę pracować. Radził założyć głodówkę. To podobno pomaga. Chyba tak zrobię. Papugol zakłada rewizję, bo znalazł jakieś nieformalności. Szczęść Boże. Ja i tak w to nie wierzę. Będę tu siedział od klepki do klepki [cały wyrok], bo opisali moją sprawę w gazecie. Napisałem list do Małgosi, że mam tapetę, żeby się nie martwiła. Przemek podobno choruje - tak powiedział mi papugol. Duchowski złożył raport o zezwolenie na gitarę - artysta.

954-142

12. Cz.

Słonecznie. Lekki wiaterek. Wlazłem na parapet i opalałem się przez chwilę w słoneczku. Przypomniały mi się ostatnie wczasy w Bukowinie. Tam pochłaliśmy zdrowo. Od jutra zakładam głodówkę. Prędzej zdechnę, niż mi odmówią pracy. Siłowaliśmy się na rękę. Najpierw na siedząco, a potem na stojąco. Wygrał Duchowski i on jest najsilniejszy, ale nie było Julka, który siedzi w kabarynie. Kończą się szlugi. Wypiska chyba za tydzień. Trochę czytałem jakiś kryminał, ale on się chyba źle skończy, a tego nie lubię.

953-143

13. Pt.

Uwaga, trzynasty i piątek. Pochmurno. Ciepło. Zacząłem głodówkę, o czym powiedziałem oddziałowemu, ten pewnie wychowawcy. Prędzej zdechnę, jak mi nie dadzą pracy. Coś muszę zrobić. Dostałem list od Małgosi. Pisze, że Przemek uczy się dobrze, ale ten drugi źle. Po wyjściu skroję mu dupę. Małgosi też, że go nie pilnuje. Jak się nie będzie uczył, skończy tak jak ja, w kryminale. Zrobiłem przegląd bielizny. Dwie pary skarpetek są do wyrzucenia. Napisałem o tym do domu.

952-144

14. So.

Pochmurno. Ciepło. Drugi dzień nic nie jem. Piję tylko wodę. W południe parzocha. Dobrze robi. List od Małgosi. To już drugi w tym tygodniu. Co jej się stało? Dziś skończyłem 30 lat. Heniek przyniósł znowu z warsztatów borygo - na moją cześć. Ale wypijemy jutro, bo dziś piliśmy parzochę, a mieszać nie wolno. Niezdrowo. Robiliśmy dziś konkurs, kto dłużej stanie na rękach. Ramkę popularnych wygrał Heniek, ale cały był czerwony na twarzy.

951-145

15. N.

Słonecznie. Ciepło. Był lekarz w związku z moją głodówką. Długo mnie badał. Powiedział, że jestem głupi. Powiedziałem mu, że on też. Po wyjściu lekarza wypiliśmy borygo. Ja bez zakąski. Od razu zrobiło mi się lepiej. Julek mówi, że można się napić wody brzozonej u fryzjera, ale wynosić fryzjer nie pozwala, bo się boi. Jutro zapiszę się do fryzjera. Mam jakieś krosty na piersi. Nacieram je świeżym masłem. Widzew-Lech Poznań 2:1!

950-146

16. Pn.

Bezchmurnie, ciepło. Wieczorem pochmurnie. Minał 21 tydzień odsiadki i czwarty dzień głodówki. Znowu był lekarz. Piję tylko wodę, czasami parzochę. Czuję się lekko, ale mi zimno, pożyczyłem sweter od Heńka. Dziś była łaźnia, ale w połowie kąpieli zepsuła się ciepła woda i nagusy wyskakiwały na korytarz. Podobno mają zmienić naczelnika, to z powodu polityki. Coś się dzieje. Klawisze mało rozmawiają z nami i ze sobą.

949-147

17. Wt.

Słonecznie. Upał. Piąty dzień głodówki. Mam zawroty głowy, mdłości i ciągle mi zimno. Spałem w swetrze. Śniło mi się duże piwo z pianą. Po południu dwie godziny telewizji. Puszczali jakiś film wideo. Nawet niezły, bo o kowbojach. Szkoda, że potem od razu zamykają w celach, nie można pogadać. Jestem jakiś słaby. Zaprowadzili mnie do lekarza, powiedział, że zmuszą mnie do kroplówek. List od mamuski. Ona już wie o głodówce. Nudno.

948-148

18. Śr.

Upał. Nie mogłem z tego głodu spać. Zaprowadzili mnie do naczelnika. Ten powiedział, że za dwa tygodnie pójdę do pracy. Ale teraz muszę przerwać głodówkę. Zgodziłem się od razu. Jeszcze jeden dzień i bym pękł, ale na szczęście naczelnik o tym nie wiedział, wróciłem pod celę zadowolony. Jutro idę do golibrody napić się brzozonej. Heniek wygrał w wilka i owcę z Duchowskim, który musiał udawać psa. Włazł pod łóżko i szczekał, aż przyszedł oddziałowy i go spod łóżka wypędził.

947-149

192

### [3. Kryzys]

11. N.

Pochmurno. Leje jak z cebra. Czekałem do 11<sup>00</sup>, nikt nie przyszedł na patrzonko. Kupiłem od Wrony zapalniczkę za ćwiartkę spirytusu. Heniek z warsztatu przyniósł mi do niej benzynę. Ładnie się pali. Jutro pierwszy dzień do pracy w pralni.

Brak listu od Małgosi. Co ona tam robi? Napisałem list do Grzeška, żeby powiedział „dwunastce”, że jak nie popędzi papugola, to go sprzedam [doniosę] i złagodzą mi wtedy karę. Ciekaw jestem, co zrobi.

558-538

12. Pn.

Pierwszy dzień w pralni. Smród i pary od cholery, ale jest zajęcie. Rozglądam się powoli za jakąś transakcją albo handlem. Jestem niewyspany, bo całą noc gadaliśmy o dupach - jak to było na wolności. A było. Dziś minął 77 tydzień. Niedługo będzie z górki. Po przyjsciu z pracy czas biegnie szybko i zawsze mam co robić. Dziś, z braku frajera pod celą, sam prałem skarpetki. Ale czego się nie robi dla sprawiedliwości.

557-539

13. Wt.

W pralni wesoło. Szef z wolności waży chyba ze 150 kg i strasznie pierdzi. Podobno ma cukrzycę i to dlatego. Ale gania nas zdrowo. Nie ma chwili wytchnienia. Przychodzę do celi o 15<sup>30</sup> i padam ze zmęczenia na pysk. Dziś zarobiłem kwit na leżenie na koi. Ci, co nie pracują, patrzą na mnie z zazdrością. Przyniosłem pod celę z pralni trochę mydła i proszku. Zawsze to oszczędność.

556-540

14. Śr.

Słonecznie. Ciepło. List od Małgorzaty. Rodzina ją naciska ostro na rozwód. Pisze, że to przemyśli. Pewnie nie może wytrzymać bez chłopca, a jest uczciwą katoliczką. Po robocie napisałem do niej list. Potem nie mogłem całą noc spać. Jutro idę do lekarza, niech mi da coś na sen. Po pracy uczyłem się grać w brydża nie lewymi kartami, ale prawdziwymi, z przemytu. Coś mi nie idzie. Ciągłe myślę o Małgosi i dzieciach. Jak myślę o pracy, to przydałaby mi się zmiana rygoru, żeby móc pracować na wolności.

555-541



15. Cz.

Słonecznie, ale ranki chłodne. Dostałem list od Michałka z wakacji. Kochane dziecko. Byłem u lekarza, dał mi relanium. Wezmę na noc trzy pigułki. Chyba nie walnę w kalendarz. Wystąpiłem o zmianę rygoru. Mają rozpatrzyć - przynajmniej klawisz tak powiedział. Mam nadzieję.

Jutro wypiska. Odłożyłem już parę groszy i jestem niezależny, bo pracuję.

Pożyczam na lewo i prawo tym, co nie pracują. Taki ich los.

554-542

16. Pt.

Pochmurno, ale ciepło. Wziąłem trzy relanium i nic nie spałem całą noc, myślałem o Małgosi i rozwodzie. Dostałem list z Ozorkowa. Szef w pralni poparzył się wrzątkiem. „Bury” przegrał w domino i musiał lizać dupę Julkowi. Była niezła zabawa. Potwornie boli mnie głowa i jestem niewyspany. Na koi boję się leżeć, żeby nie dostać kwita [kary], W nocy całą noc nawoływali się przez okna złodzieje - oddziałowy chyba spał; bo im nie przeszkadzał.

553-543

17. So.

Słonecznie, ciepło. Zajarałem [pałłem papierosa] na spacerniku i cofnęli mnie pod celę. Była Małgosia, powiedziała, że występuje o rozwód. Kogoś ma, a dzieci nie mogą wychowywać się bez ojca. Powiedziałem jej, że jak wyjdę, to łeb jej uknęję, a skurwysyna zabiję. Spać nadal nie mogę, biorę po trzy, cztery tabletki relanium, a i to nie pomaga. Muszę znowu iść do lekarza. Mamy w celi frajera. Udawał, że grypsuje, ale Julek szybko sprawdził jego grypsę i frajer egzaminu nie zdał. Dostał za to po mordzie.

552-544

■18. N.

Słonecznie. Ciepło. Znowu nie spałem. Tabletki poszły do hasiora [śmietnika]. Do tego łeb mi pęka i porobiły się jakieś bąble na baniochu [brzuchu]. Leżę i myślę. Nic mi się nie chce, nawet jeść. Zrobiłem sobie parzochę, trochę pomogło. Zapiłem się rano do lekarza. Jutro nie idę tyrać. Czytałem jakiś kryminał. Tam ludzie jedzą szynkę i jeżdżą mercedesami. Pod celą skopali wczoraj frajera, bo wziął do ręki miskę Julka, a ten nie wytrzymał nerwowo, coś z nim źle.

551-545

19. Pn.

Słonecznie, ale wieje wietrzyk. Byłem u łapiducha. Dał mi oxazepan i kazał zrobić delbetę [zastrzyk] w tyłek. Kazał się też smarować maścią. Jak nie zjedzą te bąble, kazał zgłosić się do dermatologa. Dostałem dziś za pracę w pralni kartę woła

[karta przodownika pracy] i powiedzieli, że jak tak dalej pójdzie, dostanę przepustkę na 12 godzin do domu. Ale kogo ja tam odwiedzę? 550-546

20. Wt.

Łeb mi pęka. Wziąłem wczoraj dwa oxazepany, popiłem czajem [to samo, co parzocha], ale spać nie mogłem. To już trzecia noc bezsenna. Bąble na banioszku podeszły ropą i zaraz pękną. Dostałem też jakieś wypryski na piersiach. Julek mówi, że to być może od parzochy - ostatnią przyprawiliśmy popiołem i czterema tabletkami aspiryny. Dostałem list od papugola, że w imieniu „dwunastki” przekazał mojej Małgosi parę tysięcy złotych dla rodziny. Pewnie „dwunastka” sprzedał fanty [zdobycz]. 549-547

21. Śr.

Słonecznie, ciepło. Przyszedł list z Sulejowa od Marka. Zasaraniec nie ma tapety na oddanie długu sprzed roku. Już ja mu napiszę, co zrobię, jak stąd wyjdę. Trzy wrzody mi pękły i ropa się wylała, śmierdzą jak cholera. Spać nadal nie mogę. Mózg mi staje. Od rodziny żadnego listu. Co oni tam robią? Odmówiłem delbety, bo nic nie pomaga, tylko dupa boli. Łykam oxazepan i mam zamiar się powiesić, ale nie ma jak, cała cęła pełna ludzi. 548-548

22. Cz.

Słonecznie. Ciepło. Dziś pękła połowa kary. Teraz już z górkę. Chwała Bogu, jakoś to wytrzymałem. Ale dziś zobaczyłem pierwsze siwe włosy. W pralni, jak im to powiedziałem, to się wszyscy śmieli, że zajmuję się takimi duperelami. Za złożenie złe kostki z ubraniami na taborecie opierdolił mnie rano oddziałowy. Ale go grzecznie przeprosiłem. Mam wyjść w sobotę na przepustkę, trzeba być grzecznym. Wypiska. Kupiłem 12 ramek szlugów, dwie konserwy, jemiołę, giętą i cukierki. Jak pracuję, to jestem panisko. Cukierki od razu rozdałem. 547-549

23. Pt.

Pada deszcz. Ale ciepło. Piję jakiś wywar zamiast parzochy i moje wrzody się zmniejszają. Śpię nadal pół nocy. Minął dziś 18 miesiąc. Dziś moje imieniny. Świętowaliśmy to zacierem z cukru i pasty do zębów. Potworne świństwo, ale z alkoholem. Zjedliśmy całą jedną puszkę. Na kolację była kasza z sosem, świństwo. Chodzą słuchy, że 40 ludzi ma iść w transport, bo jest przeludnienie w więzieniu. 195

Jak trafi na mnie, to się porznę, żeby nie jechać. Stracę Małgosię.

546-550

25. N.

Wczoraj byłem na przepustce. Całe 12 godzin. Rano o dziewiątej Małgosi już w domu nie było. Pewnie nie wiedziała, że przyjdę, a ja chciałem ją zaskoczyć z tym fagasem. Pobawiłem się z dziećmi i pojechałem do Danusi. Tam dałem sobie cztery razy. Potem do mamuski. Był też dziadek Leon. Zrobiliśmy pół litra z ogonkiem. Wróciłem do pierdla na cyku, ale lekkim, żeby nie denerwować klawiszy. Do „dwunastki” wysłałem ostry list w sprawie papugola. Życie jest piękne i jebać się chce.

544-552

26. Pn.

Deszcz. Zimno. Minął 79 tydzień. Czuję się źle po tej wizycie na wolności. Przyszedł list od Małgorzaty, że się chce rozwodzić, była już u adwokata i się cieszy, że jej nie widziałem na przepustce, bo nie mielibyśmy o czym rozmawiać. Pisze, że dziadek Leon po tym pół litrze rzygał całą noc, co ma mi za złe. Podobno wybierają tych 40 do transportu. Jak padnie na mnie, coś zrobię. Może przybiję sobie kutasa do stołka i tak razem ze stołkiem zawiozą mnie do szpitala. Jeden już tak zrobił.

543-553

27. Wt.

List od Maćka. Nie spałem całą noc. Myślałem o rozwodzie. Wlazłem na parapet i obserwowałem przez okno wschód słońca. Romantycznie. Nie piję od czterech dni czaju i krosty mi się zasklepiły. Ale zrobił mi się czyrak na ręku. To pewnie od wyżymania bielizny w pralni. Prosiłem wychowawcę, żeby mnie przenieśli gdzieś indziej, jak odejdzie transport i zwolni się jakieś miejsce. Powiedziałem mu, że nie wytrzymuję tej roboty nerwowo, a do tego ta para. Z zawodu jestem technikiem budowlanym.

542-554

28. Śr.

Słonecznie i ciepło. Ból rozsadza mi czaszkę. Byłem u lekarza. Powiedział, że to stresy i muszę się uspokoić nerwowo albo przestać palić. To mi pomoże. Widziałem na lipie Marka. Pomachał mi ręką na pożegnanie. Nawet na niego krzyknąłem, ale nic nie słyszał. Natomiast wie, które okno ma moja cela, bo mu na przepustce narysowałem. Małgosia nie pisze. Wszyscy straszą wszystkich transportem, a najbardziej klawisze nas.

196

Wyrzuciłem oxazepan do hasiora.

541-555

29. Cz.

Wysłałem do Michałka kartkę z życzeniami. Lewa ręka spuchła. Byłem u lekarza. Dał mi jakąś maść i delbetę w tyłek. Smutna sprawa. Przemyślałem w nocy sprawę i postanowiłem dać Małgosi rozwód, ale zatrzymać młodszego syna. Dziadek Leon tak mi poradził, jak byłem na przepustce, i powiedział, że wtedy Małgosia wróci. Wychowawca był dziś u nas w celi, powiedział, że jeden z nas może pójść w transport, ale nie powiedział który.

540-556

30. Pt.

Słonecznie. Wietrznie. Nie piję parzochy od tygodnia, a czyrak na rękę rośnie. Dowiedziałem się dziś od złodzieja, który pomaga wychowawcy, że to ja mam iść w transport.

Jutro zamówię sobie rozmowę z naczelnikiem. Jestem u kresu sił. Niewyspany, zły, zmęczony. Chyba też złapałem pluskwy, bo coś mnie gryzie. Wieczorem rzuciła mi się farba z kichawy. Całe pół dnia przeleżałem na wznak na koi.

539-557

1. So.

Byłem u lekarza. Dał mi kwit na 4 dni leżenia w koi i zwolnienie na 4 dni od tyrania. To podobno osłabienie. Wrzód na rękę pękł. Ktoś z celi podpieprzył mi żyłki. Nie mam się czym golić. Wpadłem w jakieś zamulenie [otępienie]. Chyba oszaleję. Pod celą też wszyscy na siebie warczą. Julek całymi godzinami nic nie mówi. Żeby nie leżeć na koi, bo nie wolno, leży na złość klawiszom pod łóżkiem. Nic mu nie mogą zrobić.

538-558

2. N.

Pochmurno. Czasami pada. Mam talon owocowy w aktach [zezwolenie na paczkę z owocami]. To chyba od lekarza ze względu na wrzód i konieczność jedzenia witamin. Talon wysłę mamusi. Ona już wie, że choruję, bo wysłałem gryps przez „Czarnego”, który był na przepustce. Mam stawać przed komisją o zmianę rygoru na P2-0 [rygor zasadniczy z możliwością pracy poza zakładem karnym], tak powiedział wychowawca.

197

Leżałem dziś cały dzień na wyrku. Potem napisałem list do Małgosi, że zgadzam się na rozwód, ale go nie wysłałem.

537-559

3. Pn.

Pochmurno. Ciepło. Dziś mija 80 tygodni. Nie mam siły już tego dłużej wytrzymać. Chyba oszaleję. Było patrzonko. Przyszła mamuśka z dziadkiem Leonem. Dostałem 37 ramek szlągów, dwa przeguby [paczki]

- chinka i madras, 2 czekolady, połówkę, cukierki, ciasto, golenie
- wszystko z emerytury mamuśki, tak myślałem, ale nie. Mamuśka powiedziała, że pieniądze dał „dwunastka”.

536-560

4. Wt.

Znowu byłem u lekarza. Dał mi jakąś maść (śmierdzi siarką) i proszki na sen. Odkąd nie piję czaju, śpię lepiej. Ale we śnie rzucam się podobno jak wariat. Wczoraj spadłem z łóżka na podłogę, właśnie na bolącą rękę. Od jutra idę do innej roboty. Do kotłowni. Oni chyba zwariowali z tą zrobaczywiałą ręką. Boli mnie nadal bańka [głowa], ale z przerwami.

535-561

5. Śr.

Dostałem zawiadomienie od wychowawcy, że idę w transport. Natychmiast zamówiłem sobie widzenie z naczelnikiem. W kotłowni lepiej niż w pralni. Na razie nic tą chorą ręką nie robię. Przyglądam się i uczę, jak to się obsługuje. Ruch tu większy. Wciąż wpadają złodzieje z warsztatów lub kuchni, aby się umyć. Rozmawiałem z kucharzem. W kuchni można napić się jednego. Ale drogo. Te złodzieje liczą trzy razy tyle, co w knajpie na wolności.

534-562

6. Cz.

Byłem u naczelnika. Opowiedziałem mu o Małgosi i rozwodzie. Nie chciał wierzyć, ale pokazałem mu list od Małgosi i powiedziałem, że zmiana więzienia na bardziej oddalone to pewny rozwód, a ja tego nie przeżyję. Chyba mnie zrozumiał, bo powiedział, że mnie z transportu wycofa, aż sprawa się wyjaśni. Jeśli Małgosia weźmie rozwód, to i tak nic mi nie pomoże, wtedy pojedę. I tak się rozstaliśmy. Swój chłop, gdyby mnie chcieli wysłać, to bym się porznął.

533-563

7. Pt.

Pochmurno. Dostałem drugą „kartę woła”, ale to nie zmienia mojego samopoczucia. Chyba oszaleję. Do końca jeszcze dobrze ponad rok. Po pracy graliśmy w kierki i nie będę zmywał swojej miski przez tydzień ani prał skarpetek przez dwa tygodnie. To mój jedyny sukces.

532-564

8. So.

Całą sobotę przepracowałem. Był dym w tyrce [draka w pracy]. Obaj kotłowi się pobili i dostali po 7 dni kabaryny. Teraz na swojej zmianie palę sam i pomaga mi jeden frajer. Ledwo dajemy sobie radę. Ale ciepło być musi, bo stanie łaźnia, a nie ma gorszego złodzieja niż brudny złodziej - tak powiedzieli ci klawisze z administracji. Mają rację, bo Julkowi po pięciu dniach po łaźni śmierdzą nogi, aż mnie mdli.

531-565

9. N.

Pochmurno - wietrznie - deszcz. Było zebranie złodziei, a właściwie ich przedstawicieli. Zostałem sekretarzem F.S.S. [Fundusz Samopomocy Skazanych]. Będę teraz figura i mogę, kiedy chcę, rozmawiać nawet z naczelnikiem. Na początek załatwię sobie okulary, bo źle mi się czyta. Na spacerunku jeden złodziej zemdlał - podobno wczoraj dostał w celi bańki. Mówią, że mam szansę na przepustkę.

530-566

10. Pn.

Pochmurno. Chłodno. Ruszyły tabory [wywieziono skazanych do innego zakładu]. Było trochę zamieszania. Jeden zasypał sobie ołówkiem oczy [rozdrobniał kopiowy ołówek] i jak go wyprowadzali, to nic nie widział. Moje zarobki zaczął zajmować komornik na grzywnę. Na wypiskę zostało mi 1150 zł. Dostałem „kartę woła”, i to dobrze, bo może załatwię sobie zwolnienie przedterminowe. W kotłowni spokój.

529-567

11. Wt.

Pochmurno. Ciepło. Stawałem przed komisją. Dostałem P2-0 oraz 50% [wynagrodzenia za pracę]. To dobrze, ale za to przepustka poszła się jebać, bo klawisz nakrył mnie, jak krzyczałem z okna do Poldka. Znowu zrobiłem sobie parzochy, bo z ręką lepiej. W nocy pogadam z Poldkiem przez syfon.

528-568

## ***XIV. Podręczny słownik „grypsery”***

*Tyle razy się żyje, ile zna się języków*

Radek, bliski współpracownik Lenina (zginął w więzieniu za Stalina)

Ułożenie słownika „grypsery” jest czynnością o wiele bardziej skomplikowaną i żmudną niż ułożenie słownika języka obcego. Przy tym ostatnim można wzorować się na innych, poprzednio wydanych, wprowadzając tylko najnowsze wyrazy, zmiany gramatyczne czy neologizmy. Słownik „grypsery” natomiast buduje się od podstaw. By zdobyć informacje z pierwszej ręki, trzeba nawiązać bezpośredni kontakt z więźniami, na ogół groźnymi recydywistami. Do tego konieczne jest zdobycie ich zaufania. Materiał trzeba spisywać, porównywać i wciąż weryfikować, gdyż „grypsera” jest językiem ciągle się zmieniającym.

Ponadto do układania słownika „grypsery” bardzo przydatne są tak zwane grypsy, czyli nielegalne listy krążące albo między „złodziejami”, albo między „złodziejem” a jego respondentem na wolności. Od wieków pisane były w taki sposób, aby w jak największym stopniu utrudnić odczytanie przez strażnika właściwego tekstu. Stąd gryps i jego pochodna - „grypsera”.

Słowniczkę „grypsery” układają też sami więźniowie. Dla użytku praktycznego lub z zamiłowania. Jeśli „kławisz”-naukowiec dobrze z „gitami” żyje, może z takich słowniczków korzystać.

„Grypsera” ma również swoje regionalizmy. Nieco inaczej mówią „gity” z Krakowa, a inaczej z Gdańska. To, co tutaj przedstawiamy, jest w zasadzie „grypsera” z Polski centralnej, chociaż nie możemy dać głowy, że do słowniczką nie wkradły się wyrazy z innych regionów kraju. Specyfiką „grypsery” jest również to, że pewne wyrażenia funkcjonują tylko w niektórych zakładach karnych i aresztach. Toteż nawet gdybyś, Szanowny Czytelniku, nauczył się tego słowniczką na pamięć, możesz zostać zaskoczony jakimś nieznanym wyrażeniem. W takim przypadku nie wolno pytać, co ono znaczy, lecz

najlepiej dać odpowiedź wykrętną, zmienić temat albo odwrócić uwagę rozmówcy. Dopiero potem, przy najbliższej okazji, należy poprosić znajomego „gita” o wyjaśnienie niezrozumiałego słowa czy zwrotu.

„Grypsera”, jak każdy język, ma swoją historię. Pierwotnie, zwłaszcza przed II wojną światową, istniały w Polsce dwa podobne języki - więzienny i złodziejski. Ten ostatni był o wiele bogatszy od pierwszego. Ponieważ w kapitalizmie funkcjonuje o wiele większa liczba złodziei niż w socjalizmie, złodzieje zdominowali - tak jak teraz defraudanci czy biznesmeni - przedwojenne więzienia. A ich język zdominował „grypserę” więzienną. Z biegiem czasu język złodziejski mieszał się i wypierał więzienny. W okresie PRL-u, czyli za komuny, kiedy złodziejstwo - z powodu ubóstwa społeczeństwa - nie miało takiej racji bytu, jak teraz i przed wojną, dominował język więzienny, ale dużo „złodziejskich elementów” pozostało.

Najwłaściwsze i najbardziej przydatne byłoby zestawienie obu gwar - złodziejskiej i więziennej. Niestety, wraz z uwagami etymologicznymi objętość książki zwiększyłaby się dwukrotnie - a i tak namęczyłem się z wydawcą, który uważał, że uwzględnienie w tej książce słownika to zmarnowany papier. Widocznie nigdy nie siedział.

Za czasów komuny, a w każdym razie za czasów wczesnej komuny, „klawiszom” zakazywano uczenia się „grypsery” i rozmawiania nią. Był to całkowicie zbędny purytanizm, tak jak zakaz trzymania w celach fotografii nagich dziewczyn. W gruncie rzeczy utrudniało to funkcjonariuszom pracę, która polega, jak wiadomo, głównie na kontaktach ze skazanymi. A cóż to za kontakt bez dobrej znajomości języka. Pozostaje tylko język głuchoniemych, jeśli „git” nie chce zrozumieć ludzkiej, polskiej mowy.

Już jednak w latach siedemdziesiątych władze penitencjarne zrozumiały swój błąd i pozwolono „klawiszom” używać „grypsery”. Na początku funkcjonariusze rozmawiali za jej pomocą tylko z więźniami. Potem, zwłaszcza w pracy i przy wódce, używali jej między sobą. Miewało to też dobre strony, bo często ich żony i dzieci nie rozumiały, o czym rozmawia tata z kolegą.

Obecnie do dobrego tonu wśród „klawiszy” należy posługiwanie się „grypserą” również na gruncie towarzyskim. Nie dyskwalifikuje to ich towarzysko, nawet jeśli rozmowa prowadzona jest w obecności „nie-klawiszy”. Raczej wzbudza zainteresowanie, o czym oni mówią, lub poważanie - na zasadzie: oni znają język obcy.

Podczas zbierania materiałów do tej książki parę razy zdarzyło mi się przebywać w towarzystwie kilku „klawiszy” jednocześnie. Siedzieliśmy przy stole i



(również zakąszając) rozmawialiśmy o problemach penitencjarnych. Po pewnym czasie (to znaczy po kilku zakąskach) „klawisze” niemal przestawali posługiwać się normalnym polskim językiem. Ponieważ zawsze rozmowy nagrywałem - czasem o tym nie wiedzieli - musiałem ich co chwila prosić, aby wracali do naszego ojczystego języka, bo nic nie rozumiem.

Obecnie „grypsera” mówią również niektóre żony „klawiszy”, ale najchętniej czynią to ich dzieci - nastolatki.

Jest zresztą faktem, że „grypsera” w poważnym stopniu dotarła do środowiska młodzieży szkolnej, i to nie tej z marginesu społecznego, robotniczej czy wiejskiej. Używa jej najczęściej młodzież z tak zwanych dobrych rodzin. Kiedyś były to dzieci prominentów, a obecnie pociechy ludzi z „internatu”. Takie słowa, jak „ćpać” - co w języku „grypsery” oznacza „jeść”, a wśród młodzieży - „narkotyzować się”, „cykor”, czyli strach, „chawira”, czyli mieszkanie, „git-człowiek” itd., weszły na stałe do ich słownictwa.

„Grypsera” dotarła też do polityki. Określenia „czerwone pająki” - oznaczającego funkcjonariusza więziennego, tego bardziej od prokuratora i sędziego zniechęconego człowieka - używa się obecnie wobec komuchów. Przynieśli je prawdopodobnie internowani w czasie stanu wojennego działacze „Solidarności”.

W pracy „grypsera” jest dla „klawisza” wprost niezbędną.

Po pierwsze, aby mógł zrozumieć kolegów. Prawda jest taka, że młodzi „klawisze” są ze środowiska wyobcowani tak długo, dopóki nie nauczą się „grypsery”. Używa się jej grając w brydża, pijąc wódkę i na wczasach.

Po drugie, „grypsera” jest niezbędną dla zrozumienia „złodziei”, wśród których przecież „klawisze” żyją. Kontakt ze skazanym jest o wiele łatwiejszy poprzez „grypserę”. Jej znajomość w rozmowie z „gitami” stawia funkcjonariusza natychmiast w sytuacji niemal równorzędnego partnera. Pozwala też uniknąć niefortunnego i przypadkowego ośmieszania się w środowisku więźniów. Niech to zilustruje podany przykład.

„Klawisz” przychodzi rano do pracy na kacu i mówi do „małolatów”:

- Chuj mi w dupę, chłopaki, łeb mnie dzisiaj boli jak cholera.

Z pewnością usłyszysz natychmiast zgodny chór wychowanków:

- I nasze też, i nasze też, panie wychowawco!

Pewnych rzeczy nie należy mówić. Są tabu. A co jest tabu, można dowiedzieć się tylko znając „grypserę”.

Po trzecie, „klawisz” musi dobrze wiedzieć, o czym „złodzieje” mówią między sobą. Chociażby po to, aby mieć rzetelne informacje o stosunkach „pod celą” czy ewentualnych zagrożeniach dla tak zwanego bezpieczeństwa zakładu

karnego. Może nawet nie reagować, udając, że nie rozumie, w co - z coraz większym trudem - mogą oczywiście „złodzieje” wierzyć.

Po czwarte, „klawisz” musi wiedzieć, co „złodzieje” do siebie i do bliskich piszą w grypsach. Ponieważ korespondencja nieocenzurowana jest niedozwolona, każdy gryps - po przejęciu go przez funkcjonariusza - łąduje w teczce osobopoznawczej. Staje się niejako dokumentem. A co komu po dokumencie, którego nie można zrozumieć. Zdarza się, że gryps pochodzi od tymczasowo aresztowanego, w czasie toczącego się śledztwa, i ma znaczenie dla tegoż. Wtedy przekazuje się go prokuratorowi. Przeważnie prokuratorowi trzeba taki gryps tłumaczyć, a robi to „klawisz”-językoznawca. I znowu korzyść.

Gozdawa i Stępień - najlepsi chyba powojenni satyrycy-tekściarze - napisali kiedyś świetny skecz. Rzecz dzieje się w sądzie. Zeznaje chuligan, który pobił dwóch milicjantów.

Zaczyna tak:

- Szlim szlakiem z sikaczem, patrzem, a na styku stoi cizia i filuje na taryfę...

Na co sędzia: -

- Nic nie rozumiem, niech oskarżony mówi po polsku.

I tutaj wtrąca się woźny sądowy:

- Ja rozumiem, panie sędzio, mam wnuczka w jego wieku. On mówi, że szli ulicą z butelką wina (taniego marki „wino”, z podpisem Chruszczowa - wtedy takie było - przyp. K.K.), a tu widzą, że na rogu stoi dziewczyna i czeka na taksówkę...

Oczywiście jest to stara gwara warszawska, a nie złodziejska. Ale przykład ilustruje, z jakimi problemami może spotkać się niewykwalifikowany „kat”, czyli w „grypszerze” prokurator.

Uważam, że dla człowieka, który liczy się nawet z krótką odsiadką, znajomość „grypsery” jest absolutnie niezbędna - aby podobnie jak „klawisze” rozumiał funkcjonariuszy, współkolegów z celi i grypsy, które do niego będą pisali inni. Powinien również sam, jeszcze przed odsiadką, nauczyć się pisania grypsów poprawną „grypsera”, a to może nastąpić dopiero po wykuciu się na pamięć poniższego słowniczka. Nie zawadzi poduczyć trochę rodzinę. Nigdy nie wiadomo, co będzie chciała przekazać.

Musisz jednak, Szanowny Czytelniku, pamiętać, że sama znajomość poszczególnych słówek „grypsery” nie wystarczy. Tak jak w każdym obcym, żywym i rozwijającym się języku - najważniejsze są idiomy. Stanowią one wyższy stopień wtajemniczenia i oznakę prawdziwej i biegłej znajomości obcej mowy.

Źle użyte idiomy mogą Cię „pod całą” ośmieszyć, skompromitować lub nawet spowodować pobicie.

Dla przykładu. Nie wolno nigdy mówić, jeśli nie chce się obrazić rozmówcy: „Kurwa twoja mać”. Nie wolno też powiedzieć: „Kurwa mać” - bo „git” może myśleć, że to, jego mać”, i delikwentowi przyłoży. Właściwie jest powiedzieć: „Kurwa jego mać”. I to będzie dopiero odpowiednie sformułowanie - po prostu przerywnik w zdaniu. A o to przecież chodziło.

<i>adapter</i>	- pudełko na rzeczy własne więźnia
<i>akademia</i>	- więzienie
<i>akcja „S”</i>	- samouszkodzenie
<i>akować</i>	- ubezpieczać i obserwować
<i>akwarela</i>	- farbka do tatuażu
<i>alfred</i>	- alfons
<i>alt baba</i>	- milicjant, policjant
<i>alibi i lepiej</i>	- więcej
<i>alpaga</i>	- wino
<i>ambasada</i>	- brzuch
<i>amerykan</i>	- nowy więzień
<i>amerykanki</i>	- kajdanki automatyczne
<i>amnecha</i>	- amnestia
<i>ampula</i>	- otwór
<i>ancug</i>	- ubranie
<i>anioły</i>	- pielęgniarki
<i>apostoł</i>	- ławnik
<i>apropak</i>	- nadużywający obcych wyrazów
<i>arbajtowa</i>	- praca
<i>aresztować kipy</i>	- zbierać niedopałki
<i>arka</i>	- areszt
<i>artycha</i>	- mistrz
<i>atanda</i>	- uwaga; uzbrojony zespół interwencyjny „kławiszy”
<i>atandzić się</i>	- o ranie, która się nie goi
<i>atramenciarz</i>	- przestępca gospodarczy

<i>bacha</i>	- kredyt
<i>baczeska</i>	- denaturat
<i>badyle</i>	- włosy; wąsy
<i>baja</i>	- kurtka
<i>bajer</i>	- przy grupowej kradzieży złodziej, który odwraca uwagę personelu od współników
<i>bajerować</i>	- namawiać, opowiadać, kłamać
<i>bajrysz</i>	- włosy czesane na czole
<i>bajtlok</i>	- żebrak
<i>bajtlować</i>	- żebrać
<i>bajtnąć się na kratę</i>	- powiesić się
<i>bajzel</i>	- sklep
<i>baka</i>	- zegarek
<i>bąkać</i>	- mówić, ciągnąć
<i>balak</i>	- mowa
<i>balon</i>	- milion
<i>balona robić z kogoś</i>	- ośmieszać
<i>bałamut</i>	- woreczek z pieniędzmi
<i>bandzioch</i>	- brzuch
<i>bania</i>	- flaszka z wódką
<i>baniak</i>	- głowa
<i>baniaki</i>	- piersi
<i>banioch</i>	- brzuch
<i>bank</i>	- na pewno
<i>bankiel</i>	- krzesło
<i>bardacha</i>	- kubeł sanitarny, kibel
<i>bardak</i>	- bałagan
<i>baska</i>	- głowa
<i>basować</i>	- podnosić głos; zabierać głos
<i>bastować</i>	- przestać kraść; uspokoić się; zaniechać czegoś
<i>basy</i>	- nosze do roznoszenia obiadu
<i>batory jedzie</i>	- roznoszenie posiłku
<i>bażant</i>	- chłop; młody więzień ze wsi
<i>bąk</i>	- więzień pogardzany przez „charakterniaków”
<i>bebech</i>	- brzuch
<i>bejza</i>	- szczotka
<i>beknać</i>	- siedzieć w więzieniu
<i>bekon</i>	- grubas
<i>belfer</i>	- uczonec
<i>belki</i>	- kraty
<i>berbelucha</i>	- zupa więzienna

<i>berce</i>	- ziemniaki (w posiłku więziennym)
<i>berza</i>	— dworzec
<i>beton</i>	- chleb więzienny
<i>białaczka</i>	- rodzaj samouszkodzenia
<i>białka</i>	- dokumenty, dowody osobiste, legitymacje
<i>białko</i>	- papier, dokument; jajka
<i>bić konia, bić stojaka</i>	- uprawiać samogwałt
<i>biksować</i>	- udawać; także sposób poruszania się
<i>bimbać</i>	- żartować z kogoś
<i>bini</i>	- frajer z miasta
<i>binia</i>	- dziewczyna, kochanka
<i>biniawka</i>	- kochanka, żona
<i>Mnie</i>	- on
<i>biniocha</i>	- kobieta
<i>biurokrata</i>	- urzędnik, więzień zatrudniony w administracji
<i>blacharz</i>	- milicjant, policjant
<i>bladź</i>	- prostytutka
<i>blajt</i>	- pieniądze
<i>blaszak</i>	- milicjant, policjant
<i>blaszki</i>	- monety
<i>blat</i>	- zgoda
<i>blat być</i>	- milczeć, nie zdradzić, <i>zgadzać się</i>
<i>blatna melina</i>	- dom, w którym można się ukryć
<i>blatnik</i>	- łapownik
<i>blaty</i>	- pieniądze
<i>blin</i>	- beret więzienny
<i>blindy</i>	- przysłony na okno celi
<i>blit</i>	- złoto
<i>blondynka</i>	- wesz
<i>bluzgać</i>	- przeklinać, ubliżać
<i>blękitna krew</i>	- denaturat
<i>boja mieć</i>	- bać się
<i>boki oklepać</i>	- pobić kogoś
<i>bokser</i>	- kastet
<i>bolszewik</i>	- bandyta, drab
<i>bomba</i>	- tramwaj; woreczek; tryb przyśpieszony sąđenja
<i>bombiarz</i>	- bandyta nie uzbrojony
<i>boms</i>	- chleb
<i>bosaki</i>	- włóczęgi
<i>bosy Ignac</i>	- suchy chleb więzienny
<i>brachać</i>	- kłamać

<i>brać do młyna</i>	- wydać współnika
<i>brodząc</i>	- mówić, kłamać
<i>brajdaczka</i>	- siostra
<i>brajdak</i>	- bałagan; brat
<i>bransoletki</i>	- kajdanki
<i>branzłować</i>	- uprawiać samogwałt
<i>brodę przyszyć</i>	- oszukać
<i>bronek</i>	- pistolet
<i>browar</i>	- piwo
<i>brudas</i>	- pięćset złotych
<i>brukowiec</i>	- chleb więzienny
<i>brunetka</i>	- pchła
<i>brust</i>	- pierś
<i>bryka</i>	- ucieczka
<i>bryle</i>	- okulary
<i>buchacz</i>	- złodziej
<i>buchnąć w mankiet</i>	- pocałować w rękę
<i>budować wystawkę</i>	- uciekać
<i>bufory</i>	- piersi kobiece
<i>bujać się</i>	- iść
<i>bujany</i>	- niepewny
<i>bukat</i>	- strażnik
<i>bury</i>	- inspektor więzienny
<i>być na wystawie</i>	- być poszukiwanym
<i>bznąć</i>	- odbyć stosunek
<i>cajno</i>	- pieniądze
<i>capnąć</i>	- złapać
<i>cebula</i>	- zegarek kieszonkowy lub duży ręczny
<i>cejn</i>	- pięć złotych
<i>cejno</i>	- więzienie
<i>centralniak</i>	- więzienie centralne
<i>cep</i>	- chłop
<i>cepki</i>	- łańcuszek
<i>ceramika</i>	- odbytnica
<i>chabaj</i>	- kochanek
<i>chabanina</i>	- wędlina
<i>chabeta</i>	- to samo, co <i>koń</i>
<i>chaje</i>	- pieniądze
<i>chajtać się</i>	- żenić się
<i>chalka</i>	- igła

<i>chatupka</i>	- liczba 15; skazanie z zastosowaniem artykułu 60, czyli recydywa
<i>cham</i>	- chłop
<i>chamowo</i>	- wieś
<i>chapnąć</i>	- ukraść
<i>charakterniak</i>	- więzień nie przestrzegający przepisów więziennych; git; „twardy” człowiek
<i>charakternie</i>	- naprawdę, potwierdzam
<i>chatrać się</i>	- prowadzić
<i>chatrak</i>	- agent policyjny
<i>chatranka</i>	- obława, patrol policji
<i>chawira</i>	- mieszkanie
<i>chewra</i>	- złodziejska kompania
<i>chichlać</i>	- oddawać kał
<i>chińskie pieszczoty</i>	- pobicie
<i>chirus</i>	~ pijak
<i>chlać</i>	- donosić, zdradzić
<i>chlane być</i>	- być pijanym
<i>chlastać</i>	- kraść
<i>chlastanko</i>	- samouszkodzenie
<i>chleba dawać</i>	- obciążyć w śledztwie
<i>chlejus</i>	- donosiciel
<i>chlewek</i>	- cela dyscyplinarna
<i>chlupes</i>	- połknięcie obcego ciała
<i>chlupnąć</i>	- dokonać połyku
<i>chłopczy</i>	- obraźliwie o kimś
<i>chmiej</i>	- więzień ze wsi
<i>chmura</i>	- większa grupa przestępców
<i>chodak</i>	- portfel
<i>chodaki</i>	- buty, kamasze
<i>chodu nie mieć</i>	- nie mieć wyjścia
<i>chodyrki</i>	- nogi
<i>chodzić po księżycu</i>	- o więźniu kradnącym w celi
<i>chodzić w koło</i>	- utrzymywać znajomość
<i>chodzić w miasto</i>	- kraść
<i>chodzić w porucie</i>	- być poszukiwanym przez policję
<i>chojniak</i>	- „frajer”, nie „złodziej”
<i>chojrak</i>	- odważny, przemądrzały, sprytny
<i>chomąt</i>	- kołnier; naszyjnik
<i>chrabąszcz</i>	- więzień z krótkim wyrokiem
<i>chrystus</i>	- śledź



<i>chuj</i>	- najbardziej obraźliwe „bluzgnięcie” u młodocianych
<i>chutnąć</i>	- ubliżyć
<i>chychlacz</i>	- ustęp w pociągu
<i>chynt</i>	- milicjant, policjant
<i>ciachać</i>	- kraść
<i>ciachwa</i>	- nóż
<i>ciapciús</i>	- księżyc
<i>ciągi</i>	- papierosy
<i>ciągnąć ze środka wej kieszeni</i>	- o prostytutce, która podaje się za złodziejkę
<i>ciągnik</i>	- więzień, którym inni się wysługują
<i>cichobiegi</i>	- kapcie
<i>cichochochy</i>	- pantofle
<i>cichy don</i>	- ciemna cela
<i>cięć</i>	- stróż; dozorca domowy
<i>ciemulka</i>	- ciemna cela
<i>cień</i>	- areszt
<i>ciepły</i>	- bogaty
<i>cięty</i>	- spostrzegawczy
<i>ciężarki</i>	- pieniądze
<i>cimki</i>	- papierosy
<i>cinel</i>	- pierścionek
<i>cinkciarz</i>	- waluciarz
<i>ciotka</i>	- kaloryfer ścienny
<i>ciuchy</i>	- ubranie; rzeczy bezwartościowe
<i>ciupa</i>	- więzienie
<i>cizior</i>	- dziewczyna „kociak”
<i>ckwilić</i>	- uprawiać samogwałt
<i>cugi</i>	- papierosy
<i>culaga</i>	- cholewka
<i>cwajnos</i>	- duży spryciarz
<i>cwancykować</i>	- kombinować
<i>cwaniak</i>	- przebiegły; obeznany z fachem złodziejskim
<i>cwel</i>	- więzień zgwałcony; dobrowolny homoseksualista
<i>cwelić</i>	- uciekać
<i>cygańska dola</i>	- zabójstwo niepewnego współnika
<i>cyk</i>	- strach
<i>cykacz</i>	- zegarek
<i>cykor</i>	~ strach, lęk, obawa

<i>cynadesik</i>	- dziewica
<i>cynk</i>	— ostrzeżenie; wiadomość
<i>cynkwajs</i>	- znak wytatuowany na twarzy lub ręce
<i>cynogier</i>	- kobiece narządy płciowe
<i>cyrk</i>	- dom publiczny; wariaci
<i>cytryny</i>	- piersi kobiece
<i>czad</i>	- oszukać kogoś
<i>czaj</i>	— specjalnie parzona herbata. Zob. też <i>parzocha</i>
<i>czajka</i>	- prostytutka
<i>czajnik</i>	- nocnik
<i>czapa</i>	- kara śmierci
<i>czarny</i>	- chleb razowy
<i>czepić</i>	- złapać, brać
<i>czerniak</i>	- cygan
<i>czernidło</i>	- atrament
<i>czewieniec</i>	- sto złotych
<i>czewonka</i>	- krew
<i>czewony pajak</i>	- więzień aktywista; funkcjonariusz SW
<i>czesać</i>	- bić
<i>czkać</i>	- uciekać
<i>człowiek</i>	- forma zwrotu do osoby obcej
<i>człowiek handlowego</i>	
<i>wyznania</i>	- handlujący więzień; Żyd
<i>czystagany</i>	- pieniądze
<i>czytanka</i>	- książka
<i>ćkaczka</i>	- ucieczka
<i>ćma</i>	- prostytutka
<i>ćmaga</i>	- wódka
<i>ćpać</i>	- jeść
<i>ćwa</i>	- odejść, idź
<i>ćwiek</i>	- paser; głowa, łeb
<i>dab</i>	- przywódca bandy
<i>dać jedzenie z sute-</i>	
<i>ryny</i>	- z dna kotła
<i>dać po cynadrach,</i>	
<i>po kulach</i>	- zbić kogoś
<i>dać w tramwaj</i>	- uderzyć w twarz
<i>damski bokser</i>	- osobnik bijący kobietę
<i>deczko</i>	- trochę

<i>deka</i>	- klatka piersiowa
<i>dekiel</i>	- portret; zdjęcie
<i>deklarz</i>	- oszust portretowy
<i>dekować</i>	- ukrywać się
<i>delbanka chleba</i>	- bochenek chleba więziennego
<i>delbeta</i>	- zastrzyk
<i>derby</i>	- zbiorowy samogwałt
<i>dewizy</i>	- papierosy jako pieniądze w więzieniu
<i>dęba postawić</i>	- uciec, umknąć
<i>dębić</i>	- uciekać
<i>dęciak</i>	- twardy kapelusz
<i>diabeł</i>	- prokurator
<i>dieciarz</i>	- więzień będący na diecie
<i>dintojra</i>	- sąd więzienny
<i>długa</i>	- ucieczka. Zob. też w <i>długą dać</i>
<i>dmuchać</i>	- strzelać
<i>docwel</i>	- podaj, dostarcz
<i>dohajcować</i>	- zbić, a później dolożyć
<i>doić</i>	- wyzyskiwać
<i>dola</i>	- udział w łupie
<i>dolary mieć na koncie</i>	- nie mieć pieniędzy
<i>dolator</i>	- poszkodowany współnik
<i>doles</i>	- współnik
<i>dolewka</i>	- podwyższenie wyroku po rewizji
<i>dolina</i>	- kieszeń
<i>doliniarz</i>	- złodziej kieszonkowy
<i>dołek</i>	- oddział karny; tylna kieszeń w spodniach
<i>domber</i>	- głodówka
<i>dookoła</i>	- dożywocie
<i>dopucować</i>	- dołączyć; wydać
<i>dopulić</i>	- dać, podać
<i>dorzucić</i>	- zbić kogoś
<i>dotek</i>	- porcja jedzenia
<i>draniara</i>	- dziewczyna
<i>drapichy</i>	- kury
<i>draski</i>	- zapałki
<i>drejfić</i>	- tchórzyć
<i>dreptak</i>	- miejsce przeznaczone na spacer więźniów
<i>drewniak</i>	- nowy więzień
<i>druta ciągnąć</i>	- określenie jednej z praktyk seksualnych
<i>druty</i>	- wytrychy

<i>družba</i>	- milicjant, policjant
<i>dryfić</i>	- tchórzyc .
<i>drynda</i>	- dorożka konna
<i>drzazga</i>	- igła do tatuażu
<i>dublet</i>	- kradzież we dwoje
<i>duchowa</i>	- fajka
<i>dudy</i>	- organy, harmonijka; płuca
<i>duet</i>	- przyjaciółka, przyjaciel
<i>duko</i>	- miejsce pod łóżkiem
<i>dupniak</i>	- tylna kieszeń w spodniach
<i>duś</i>	- napad
<i>dworcować</i>	- nie nocować w domu
<i>dworcowiec</i>	- włóczęga
<i>dybki</i>	- kajdanki
<i>dyfa</i>	- ucieczka
<i>dykta</i>	- denaturat
<i>dym</i>	- mąka; draka
<i>dymać</i>	- siedzieć w areszcie
<i>dyma puścić</i>	- zaciągnąć się papierosem
<i>dynia</i>	- głowa
<i>dynks</i>	- denaturat
<i>dyrkacz</i>	- dzwonek
<i>dzbanek</i>	- ubikacja
<i>dziachać</i>	- mówić; bić
<i>dziachować</i>	- darować
<i>dziaczyć forszę</i>	- przekupić kogoś
<i>dziad</i>	- strażnik więzienny
<i>dziadownia</i>	- milicja, policja
<i>dziadować</i>	- gadać
<i>dziak szpic</i>	- dozorca za drzwiami
<i>działka</i>	- udział w łupie
<i>dziany facet</i>	- bogaty
<i>dziargać</i>	- tatuować
<i>dziargi</i>	- igły do tatuażu
<i>dziegć</i>	- młodzik
<i>dziekana, dziekoń</i>	- dziesięć
<i>dzień dobry</i>	- kradzież z rana
<i>dziergnąć się</i>	- powiesić się
<i>dzięciół</i>	- milicjant, policjant umundurowany
<i>dzięgi</i>	- pieniądze
<i>dziobuś</i>	- ojciec

<i>dzwon</i>	- wiadomość, pogłoska
<i>dzydzelicha</i>	- kobiece narządy płciowe
<i>dźwięknąć</i>	- uderzyć
<i>dźwiękować</i>	- donosić
<i>dźwiękowiec</i>	- donosiciel; więzienny chleb razowy
<i>dźwigać</i>	- odbywać karę
<i>dźwignąć coś</i>	- ukraść
<i>dźwignąć kogoś</i>	- aresztować
<i>elastyki</i>	- skarpety
<i>elektryczny</i>	- wrażliwy na dotyk, czujny
<i>ewangelia</i>	- odczytanie wyroku sądowego
<i>fabel</i>	- stół
<i>fachura</i>	- fachowiec
<i>facjata</i>	- twarz
<i>facjenda</i>	- towar kradziony
<i>fajeczka</i>	- papieros
<i>fajer maszyna</i>	- zapalniczka
<i>fajtłapa</i>	- nieudolny złodziej, niezdera
<i>fant</i>	- przedmiot, rzecz; zdobycz
<i>faraon</i>	- funkcjonariusz MO
<i>farba</i>	- krew
<i>farcicho</i>	- szczęście
<i>farfocel</i>	~ drobiazg; coś niepotrzebnego
<i>farmazon</i>	- kłamstwo; oszust
<i>farmazonista</i>	- oszust, kłamca
<i>fart</i>	- szczęście
<i>fartownik</i>	- szczęściarz
<i>faryzeusz</i>	- ksiądz
<i>fason trzymać</i>	- nie tracić fantazji
<i>fasunek</i>	- jedzenie
<i>ferajna</i>	- grupa zżytych z sobą więźniów
<i>fetniak</i>	- cwaniak
<i>fiej</i>	- chłop
<i>fifer</i>	- kelner
<i>figiel</i>	- ucieczka
<i>figla zrobić</i>	- uciec
<i>figura</i>	- więzień funkcyjny
<i>fikać</i>	- popełniać wykroczenia, „rozrabiać”
<i>fiksować</i>	- zachowywać się nienormalnie

<i>filmować</i>	- patrzeć
<i>filować</i>	- obserwować
<i>filozof</i>	- więzień mający wykształcenie
<i>finans</i>	- pieniądze
<i>fingiel</i>	- pierścionek, sygnety
<i>firanka</i>	- krata, kraty
<i>firażka</i>	- prostytutka. Zob. też <i>wirażka</i>
<i>flepa</i>	- fotografia
<i>flepy</i>	- dokumenty
<i>flota, forsa</i>	- pieniądze
<i>frajer</i>	- przypadkowy więzień, nie „złodziej”
<i>francuz</i>	- świnia
<i>frant</i>	- głupi
<i>front</i>	- twarz
<i>frygać</i>	- jeść
<i>fryko</i>	- sposób
<i>fujara</i>	- członek męski
<i>fukzele</i>	- skarpety
<i>fuma</i>	- bzdura
<i>funfel</i>	- kolega
<i>funk</i>	- pies policyjny
<i>fura</i>	- taksówka
<i>fusy</i>	- kawa
<i>futrować</i>	- jeść
<i>futryna</i>	- drzwi
<i>gable</i>	- ręce
<i>gablota</i>	- taksówka
<i>gacek, gad</i>	- funkcjonariusz SW
<i>gadana</i>	- łatwość wymowy
<i>gadula</i>	- adwokat
<i>gadżina</i>	- zdrajca
<i>galach</i>	- ksiądz
<i>gałazka, gałaz</i>	- ręka
<i>gałka bosmańska</i>	- ołowiana kula na sprężynie
<i>gały</i>	- oczy
<i>gamza</i>	- mowa
<i>gamzać</i>	- mówić, rozmawiać
<i>gandolić</i>	- mrużyć
<i>ganef</i>	- złodziej; Żyd
<i>gang</i>	- paczka więźniów; garnitur

<i>gapa</i>	- higienista
<i>gapować</i>	- patrzeć, oglądać
<i>garować</i>	- siedzieć (w więzieniu); odpoczywać, spać
<i>garść</i>	- pobić kogoś
<i>gawniak</i>	- obelżywe przezwisko
<i>gawruk</i>	- pan
<i>geto</i>	- grupa więźniów na posługi
<i>gęstować</i>	- podpatrzeć
<i>gib</i>	- przysiad
<i>gidyja</i>	- osoba wysokiego wzrostu
<i>giercować</i>	- grać (w coś)
<i>gięta</i>	- kiełbasa
<i>gigant</i>	- włóczęga
<i>gips</i>	- nieprzyjemny zapach
<i>git</i>	- dobrze
<i>gitara</i>	- głowa
<i>gitary</i>	- nogi
<i>gites</i>	- dobrze
<i>glaca</i>	- ogolona głowa
<i>glonki</i>	- buty
<i>glazurowany skok</i>	- dokładnie obmyślane przestępstwo
<i>glina</i>	- milicjant, policjant
<i>glumać</i>	- jeść
<i>głodomór</i>	- urzędnik
<i>gnat</i>	- pistolet
<i>gnes</i>	- osoba obca
<i>gnojówka</i>	- wysokie gumowe buty
<i>gnys</i>	- członek męski
<i>god</i>	- rok więzienia
<i>golicha</i>	- brzytwa
<i>golidlo</i>	- brzytwa; zakład fryzjerski
<i>golda</i>	- wódka
<i>gołota</i>	- gardło
<i>gospodarz</i>	- naczelnik więzienia; kierownik
<i>graba</i>	- ręka
<i>grabka</i>	- liczba 5
<i>grabsztyki</i>	- palce; ręce
<i>8<sup>u</sup> Jer</i>	- więzień grający w karty
<i>grajcarować</i>	- grać w karty
<i>grajka</i>	- gitara
<i>grandesa</i>	- prostytutka droższa, lepszej kategorii

<i>graty</i>	- narzędzia włamywacza
<i>grojse rabin</i>	- prezes sądu, przewodniczący
<i>gruz</i>	- pieniądze
<i>gruzinka</i>	- prostytutka najniższej kategorii (od: gruzów)
<i>grypie</i>	- chorować wenerycznie
<i>gryps</i>	- nielegalny list, list w ogóle
<i>grypsak</i>	- ołówek
<i>grypsera</i>	- gwara więzienna; rozmowa; tajny alfabet
<i>grypsować</i>	- porozumiewać się
<i>grzdutnąć</i>	- zranić
<i>grzechotka</i>	- pistolet; głośnik; radioodbiornik
<i>grzechotnik</i>	- gruźlik
<i>grieczny</i>	- określenie „cwela”
<i>gudłaj</i>	- Żyd
<i>gudłajka</i>	- Żydówka
<i>gulać</i>	- popełniać wykroczenia, „rozrabiać”
<i>gustować</i>	- badać, obserwować; przyciągać (kogoś)
<i>gwizdnąć</i>	- ukraść; uderzyć
<i>habit</i>	- ubranie
<i>hak</i>	- kara śmierci
<i>hakować</i>	- ciężko pracować
<i>haltnąć</i>	- zatrzymać
<i>haltować</i>	- przeszkadzać osobom goniącym złodzieja
<i>hamować</i>	- przytrzymywać
<i>hanys</i>	- więzień pochodzący ze Śląska
<i>harcerzyk</i>	- więzień z krótkim wyrokiem
<i>harmonia</i>	- portfel; dużo pieniędzy
<i>harpagan</i>	- silny, dobrze zbudowany osobnik
<i>hasior</i>	- śmietnik
<i>hebel</i>	- grzałka więziennej produkcji
<i>hebraj</i>	- rolnik
<i>herbatnik</i>	- kolega więzienny; współnik do jedzenia
<i>herbatnikować</i>	- dzielić się jedzeniem
<i>hermetyka</i>	- marmolada
<i>herod</i>	- stary człowiek
<i>hint</i>	- milicjant, policjant mundurowy
<i>holować</i>	- prowadzić; ciągnąć; zabrać (kogoś)
<i>holownik psów</i>	- psycholog więzienny
<i>hołot</i>	- koń
<i>homet</i>	- zbieranie odpadków w śmietnikach



<i>hopstop</i>	— napad
<i>huknąć</i>	- uderzyć
<i>hulać</i>	- iść
<i>hulanka</i>	- wesele
<i>hurgot</i>	- gwar
<i>huścić</i>	- wieszać
<i>hycel</i>	- psycholog więzienny
<i>hydraulik</i>	- lekarz więzienny
<i>hysidełnik</i>	- ustęp
<i>igła</i>	- nóż
<i>ikrę mieć</i>	- mieć zmysł do kradzieży
<i>interes</i>	- sklep; miejsce kradzieży
<i>iskać</i>	- szukać
<i>iskrę puścić</i>	- podpalić; plotkować, obmawiać
<i>iść w zaparte</i>	- zaprzeczać, przeczyć komuś
<i>iwanie</i>	- kraść
<i>jabłko</i>	- przeszkoda; donosiciel
<i>jadaczka</i>	- usta
<i>jałowo</i>	- źle, biednie
<i>jara</i>	- matka
<i>jarać</i>	- palić papierosy
<i>jareccy</i>	- rodzice
<i>jarecki</i>	- ojciec, stary
<i>jarząbka</i>	- zapalka; świeca
<i>jarzinek</i>	- palenie (papierosów)
<i>jarzy</i>	- ogień
<i>jazdościć</i>	- jechać
<i>je</i>	- tak
<i>jechać</i>	- udawać wariata
<i>jedna graba</i>	- spółka
<i>jeleń</i>	- osoba dająca się oszukać
<i>jemiola</i>	- bardzo mocna herbata
<i>jesionek</i>	- grabarz
<i>jeti</i>	- milicjant, policjant
<i>jodyna</i>	- kawa zbożowa
<i>jodynaczek</i>	- czyszczona jodyna pita jako alkohol
<i>jorgać</i>	- rozumieć, zrozumieć; zauważyć
<i>jorgnąć się</i>	- powiesić się; zorientować się
<i>jucha</i>	~ krew

<i>juchcie</i>	— kraść
<i>jucht</i>	- kradzież; kradziony towar
<i>judasz</i>	- wizjer w drzwiach celi
<i>jugać</i>	- kraść
<i>jugacz</i>	- zawodowy złodziej
<i>jumać</i>	- kraść
<i>jur</i>	- kłamstwo
<i>jurysta</i>	- człowiek bardzo mądry; sędzia
<i>juszyć</i>	- krwawić
<i>kabaryna</i>	- karcer, oddział karny; ciemna cela
<i>kabel</i>	- członek męski
<i>kaciapa</i>	- oddział karny
<i>kadryl</i>	- kaszanka
<i>kadź</i>	- paczka pieniędzy
<i>kaes</i>	- kara śmierci
<i>kaesiarnia, kaesów</i>	- miejsce straceń skazanych, cela śmierci
<i>kain</i>	- indyk
<i>kajdanki</i>	- różaniec
<i>kajfus</i>	- więzień nie mający autorytetu; posługacz
<i>kajlem</i>	- narzędzia złodziejskie
<i>kajsiak</i>	- więzień skazany na karę śmierci
<i>kajzer</i>	- ubikacja
<i>kajzerki</i>	- piersi kobiece
<i>kaleka</i>	- niezdara
<i>kalendarz</i>	- jeden rok więzienia
<i>kalifaktor</i>	- więzień funkcyjny, korytarzowy
<i>kameduly</i>	- buty
<i>kamera</i>	- tajne mieszkanie
<i>kamienie</i>	- kolczyki
<i>kamyki</i>	- brylanty
<i>kanal</i>	- usta
<i>kanarek</i>	- żołnierz WSW
<i>kanila</i>	- czapka więzienna; więzień traktowany jako gorszy od in-
<i>nnych</i>	
<i>kant</i>	- podstęp, oszustwo
<i>kantman</i>	- paser
<i>kopeć</i>	- obraźliwe przezwisko
<i>kapota</i>	- wydawać, zdradzać
<i>kapowidło</i>	- lusterko
<i>kapownik</i>	- gwiazda; księżyc

<i>kapusta, kapuś</i>	- donosiciel
<i>kapuścianka</i>	- zakonnica
<i>karakan</i>	- mały, niski więzień
<i>karman</i>	- kieszeń
<i>karniak</i>	- oddział karny
<i>kosiarz</i>	- złodziej okradający kasy
<i>kasować</i>	- składać
<i>kasztan</i>	- nowicjusz
<i>kat</i>	- prokurator
<i>katana</i>	- kurtka więzienna; marynarka
<i>kataryniarz</i>	- taksówkarz
<i>kawatek</i>	- tysiąc złotych
<i>kawior</i>	- kaszanka
<i>kawka</i>	- zakonnica
<i>kazionny</i>	- przydziałowy
<i>kibel</i>	- kubeł sanitarny
<i>kiblować</i>	- odsiadywać wyrok; załatwiać czynności fizjologiczne
<i>kichawa</i>	- nos
<i>kić</i>	- więzienie
<i>kiepski</i>	- zły, fatalny
<i>kiepszczak</i>	- więzień chorowity
<i>kieta</i>	- bransoleta
<i>kikać</i>	- uważać; patrzeć; śledzić kogoś
<i>kikuś</i>	- stróż
<i>kiks</i>	- stało się
<i>kiksum</i>	- patrz, spójrz
<i>kikut</i>	- ręka
<i>kilimandżarować</i>	- rozkazywać
<i>kilo chleba</i>	- jeden rok więzienia
<i>kilof</i>	- nos
<i>kima</i>	- spanie; noc
<i>kimize</i>	- koszula
<i>kinc</i>	- ciemnica, ciemna cela
<i>kinder</i>	- złodziej
<i>kindorzyć</i>	- mieć stosunek z kobietą
<i>kindybal</i>	- członek męski
<i>kinol</i>	- nos
<i>kip</i>	- niedopałek papierosa
<i>kipi</i>	- pali się
<i>kipisz</i>	- rewizja

<i>kipiszować</i>	- rewidować
<i>kirą</i>	- wódka
<i>kiranka</i>	- knajpa, gospoda
<i>kireja</i>	- płaszcz męski
<i>kirkut</i>	- świnia
<i>kirny</i>	- pijany
<i>kirować</i>	- pić alkohol
<i>kiskkować</i>	- spófkować
<i>kiś</i>	- portmonetka
<i>kit</i>	- kłamstwo
<i>kitę odwalić</i>	- umrzeć; zażartować
<i>kitniak</i>	- pośladek
<i>kitrać</i>	- chować, ukrywać
<i>kiwać</i>	- siedzieć w więzieniu
<i>kizior</i>	- chuligan, łobuz
<i>klajniak</i>	- młodzik, więzień młodociany
<i>klapa</i>	- koniec
<i>klawiatura</i>	- wytrychy
<i>klawisz</i>	- funkcjonariusz SW; włamanie
<i>klawisznik</i>	- włamywacz
<i>klawny</i>	- przebiegły
<i>klektać</i>	- mówić, opowiadać
<i>klin</i>	- kieliszek wódki
<i>klops</i>	- aresztowanie; nieszczęście; wpadka
<i>klumpy</i>	- buty drewniane
<i>klaczka</i>	- szczoteczka do zębów
<i>kłamczuch</i>	- adwokat; Żyd
<i>klapacz</i>	- adwokat; plotkarz
<i>klapouch</i>	- donosiciel
<i>kły</i>	- zęby
<i>kmina</i>	- gwara więzienna, język tajny
<i>kminie</i>	- mówić gwarą
<i>knajać</i>	- iść
<i>knapisik</i>	- restauracja
<i>knopala</i>	- guzik
<i>knot</i>	- papieros
<i>kobzacz</i>	- fotograf
<i>kobzać</i>	- rzucać
<i>kobzać się</i>	- bić się
<i>kochanka</i>	- sympatia; dziewczyna, kobieta
<i>kochanka</i>	- gruźlica; księżyc; kaloryfer (w celi)

<i>kochany</i>	- przekleństwo; określenie „cwela”
<i>kocioł</i>	- zasadzka; pośladki; żołądek; połknięcie obcego ciała
<i>kociuma</i>	- tajne mieszkanie; „melina” złodziejska, w której się śpi
<i>kocka</i>	- bójka
<i>kogut</i>	- wieżyczka strażnika
<i>kojber</i>	- głowa
<i>kojfnąć</i>	- umrzeć
<i>kojfować</i>	- kupować
<i>kojka, kojo</i>	- łóżko
<i>kojna</i>	- czapka
<i>koks</i>	- czarny chleb więzienny
<i>kolanka</i>	- słoma
<i>kolia</i>	- naszyjnik
<i>koliba</i>	- łóżko
<i>kolka</i>	- igła służąca do tatuażu; obrączka
<i>kolorki</i>	- kawałki tworzyw sztucznych, używane przez więźniów do wyrobu ozdobnych przedmiotów
<i>kołchoz</i>	- cele, gdzie wszyscy są kolegami
<i>kołchoźnik</i>	- głośnik
<i>kołki</i>	- zapalki
<i>koło</i>	- pierścień; dożywotnie więzienie
<i>kołtun</i>	- chłop
<i>kołtunić się</i>	- żenić się
<i>komarować</i>	- odbywać karę więzienia
<i>kombajn</i>	- elektryczna maszynka do strzyżenia
<i>komin</i>	- pistolet
<i>kompel</i>	- kolega
<i>komunista</i>	- brzuch, żołądek
<i>konduktor</i>	- złodziej okradający podróżnych
<i>koniować</i>	- podawać przedmioty za pomocą <i>konია</i>
<i>konował</i>	- lekarz
<i>konus</i>	- malec, chłopiec
<i>koń</i>	- sznurek służący do nielegalnego podawania przedmiotów w więzieniu; członek męski; samogwałt (trzepać konia). Zob. też
<i>koniować</i>	
<i>końska mineciara</i>	- obraźliwie o kobiecie
<i>kopciuch</i>	- brudas; garnek
<i>kopsać</i>	- podawać, dostarczać
<i>kopsany</i>	- bity

<i>kopsunek</i>	- coś otrzymanego nielegalnie
<i>kopyto</i>	- pistolet
<i>kora dębowa</i>	- ubranie więzienne
<i>korea</i>	- łożko piętrowe
<i>koryto</i>	- wikt, jedzenie
<i>korzonki</i>	- włosy
<i>kosa</i>	- nóż
<i>kostka</i>	- ubranie wystawione po apelu na korytarz
<i>kot</i>	- więzień udający wariata
<i>kotwa</i>	- połknięcie obcego ciała
<i>kozak</i>	- odważny
<i>kozę świrować</i>	- udawać głupiego
<i>koźłowy</i>	- pijany
<i>kółko</i>	- dożywotnie więzienie; bochenek chleba
<i>krańcówka</i>	- koniec, kraniec
<i>krawaciarz</i>	- skazany na KS
<i>krawat</i>	- kara śmierci
<i>krawiec</i>	- kieszonkowiec
<i>krecha</i>	- pamięć o czyimś przewinieniu
<i>krempel</i>	- kręgosłup; kość ogonowa
<i>krepie</i>	- ostrzegać; bić; kraść
<i>kres</i>	- kapelusz
<i>kromak</i>	- kawałek chleba
<i>królowa Jadwiga</i>	- młotek do opukiwania krat
<i>krtyka</i>	- gardło
<i>kruk</i>	- bojaźliwy współnik
<i>krzesło</i>	- liczba 4
<i>krzywości</i>	- zła opinia u współwięźniów
<i>krzyżany</i>	- cmentarz
<i>księżyc</i>	- łysy
<i>ksywa</i>	- przezwisko, pseudonim
<i>ksywy</i>	- dokumenty
<i>huba</i>	- bogaty „frajer”
<i>kuchnia</i>	- tylna kieszeń w spodniach; gęba
<i>kuglarze</i>	- ucieczka
<i>kukać</i>	- zaglądać
<i>kumać</i>	- widzieć; znać, rozumieć
<i>kupić</i>	- oszukać; rozpoznać; zauważyć
<i>kurnik</i>	- małe więzienie
<i>kurwa</i>	- więzień, który skarży
<i>kus</i>	- jeden rok więzienia

<i>kusz</i>	- interes
<i>kuszer</i>	- złoto
<i>kuźnia</i>	- kościół
<i>kwadrat</i>	- pokój mieszkalny
<i>kwadratowy</i>	- obraźliwe przezwisko
<i>kwiresy</i>	- drzwi
<i>kwirus</i>	- wariat
<i>kwit</i>	- kara; nagana
<i>labzery</i>	- urządzenia alarmowe
<i>laczki</i>	- buty, miękkie pantofle
<i>lajpo</i>	- blizna; ślad po uderzeniu w okolicy oka
<i>landziunia</i>	- więzień oddający się innym
<i>lanie sprawić</i>	- zbić kogoś
<i>larwa</i>	- prostytutka
<i>latająca biżuteria</i>	- kradzież drobiu, gołębi itp.
<i>leberko kłaść na</i>	
<i>wszystko</i>	- lekceważyć
<i>legawiec</i>	- donosiciel, tajniak
<i>leja</i>	- plotkarz
<i>lejda</i>	- dziewczyna
<i>lejwoda</i>	- psycholog
<i>lekturka</i>	- gazety, czasopisma
<i>lemarkowiec</i>	- złodziej włamujący się przez piwnice
<i>leser</i>	- leń
<i>lewki</i>	- fałszywe dokumenty
<i>lewus</i>	- donosiciel
<i>lewy</i>	- fałszywy
<i>lega</i>	- spanie
<i>lichwa</i>	- handel więzienny
<i>ligać</i>	- wydawać, zdradzić, donosić
<i>liganka</i>	- donosiciel
<i>Ugary</i>	- nogi
<i>lina</i>	- łańcuszek
<i>link</i>	- niewinnie
<i>tipi</i>	- patrzy
<i>lipkarz</i>	- złodziej
<i>lipko</i>	- lusterko; wizyta; okno
<i>lipo</i>	- widzenie, przekazanie wiadomości przez okno w celi komuś będącemu na zewnątrz więzienia

<i>liwer</i>	- śledzić
<i>loch</i>	- kryjówka; areszt
<i>lola</i>	- deska do siadania na kubłach sanitarnych
<i>londyn</i>	- rządząca część celi
<i>lot</i>	- okazja; grupa prostytutek
<i>loty mieć</i>	- mieć znajomości, stosunki
<i>lufa</i>	- cygarniczka
<i>luj</i>	- sutener
<i>luśnia</i>	- karabin
<i>labaj</i>	- lekarz więzienny; weterynarz
<i>lach</i>	- tysiąc złotych
<i>lacha</i>	- łaska
<i>lachy</i>	- ubranie
<i>lad</i>	- milicjant, policjant
<i>ładny</i>	- określenie „cwela”
<i>ładować</i>	- spófkować
<i>ładowanym być</i>	- mieć pieniądze
<i>łajka</i>	- samochód do transportu więźniów
<i>łamiągówka</i>	- krótki kij (pręt) używany w bójkach
<i>łapcie</i>	- buty
<i>łapiduch</i>	- lekarz; sanitariusz
<i>łapki</i>	- alfabet pokazywany na rękach
<i>łazęga</i>	- kobieta
<i>łomot</i>	- bicie kogoś
<i>łopkać</i>	- jeść
<i>łopkanina</i>	- jedzenie
<i>łoszak</i>	- koń
<i>łupina</i>	- płaszcz
<i>łupki</i>	- buty
<i>łyknąć</i>	- złapać
<i>łysy</i>	- księżyc
<i>łyta</i>	- elegant, osobnik wyglądający bogato
<i>łytkiewicz</i>	- biedak, nie posiadający pieniędzy
<i>macher wojskowy</i>	- osobnik „załatwiający” zwolnienie od służby wojskowej
<i>machera</i>	- tytoń; głupiec
<i>maciek</i>	- brzuch
<i>maciornik</i>	- alfons
<i>majdan</i>	- towar



<i>makówka</i>	- głowa
<i>malować</i>	- ogłuszać
<i>malować się</i>	- samouszkadzać się
<i>małolat, malolatek</i>	- więzień młodociany
<i>małpa</i>	- wyrok pięcioletni
<i>mały</i>	- członek męski
<i>mamer</i>	- więzienie
<i>mamona</i>	- pieniądze
<i>mana</i>	- dziewczyna
<i>maniarz</i>	- oszust, szuler
<i>maniana</i>	- oszukanie kogoś
<i>manus</i>	- swój chłop
<i>mańka</i>	- strona, kierunek
<i>marchewa</i>	- oszust
<i>maridka</i>	- kaloryfer (w celi)
<i>martan</i>	- kuchenka elektryczna zrobiona przez więźniów
<i>marycha</i>	- złodziejka; kochanka
<i>maryśka</i>	- margaryna
<i>maskę zdjąć</i>	- fotografować
<i>maszyna</i>	- pistolet
<i>matysiaki</i>	- więzienie Warszawa-Białołęka
<i>mazak</i>	- twarz
<i>meble</i>	- drewniaki
<i>meblować</i>	- kłamać
<i>megaj</i>	- ucieczka; uciekaj
<i>mel</i>	- przedmiot do ogłuszania, łom
<i>meldun</i>	- wiadomość
<i>melina</i>	- zakonspirowana kryjówka
<i>melińczyk</i>	- paser
<i>melko</i>	- ogłuszenie kogoś
<i>melon</i>	- milion
<i>mencior</i>	- milicjant, policjant
<i>ment</i>	- milicjant, policjant mundurowy
<i>mentownia</i>	- komisariat; milicja, policja
<i>meta</i>	- spółka; kryjówka; melina z wódką
<i>mialkować</i>	- zeznawać
<i>micha</i>	- strawa więzienna
<i>michy wyrzucić</i>	- podjąć głodówkę
<i>miech</i>	- miesiąc; areszt
<i>mieszać</i>	- grać w karty
<i>miękkie</i>	- dolary USA

<i>mięso morskie</i>	- śledź
<i>migać się</i>	- wykręcać się
<i>mikra</i>	- niska, szczupła dziewczyna
<i>miły</i>	- określenie pedała
<i>mina</i>	- oszustwo; odłączenie się
<i>minka</i>	- rozmowa na migi
<i>młyn</i>	- zatrzymanie przez MO; sprawa sądowa
<i>młynek</i>	- milion
<i>mocha</i>	- grupa oddziałowych lub więźniów
<i>modlączka</i>	- książka do modlitw
<i>moher</i>	- sweter
<i>mojka</i>	- żyłtka oprawiana w skórę lub drewno
<i>mojra</i>	- strach
<i>mokasyny</i>	- buty
<i>mona</i>	- kobiece narządy płciowe
<i>mordochlap</i>	- więzień, który dużo je
<i>morelówka</i>	- zupa z marchwi
<i>motać</i>	- rozmawiać
<i>mrowisko</i>	- jarmark
<i>mues</i>	- pieniądze
<i>muka</i>	- gra więzienna
<i>muńcówki</i>	~ „chłopek-roztropek”
<i>nabojka</i>	- grupa ludzi; dużo
<i>nabojka</i>	- banda; grupa więźniów
<i>naboszczyk</i>	- oszust
<i>nacha</i>	- prawa kieszeń u spodni
<i>nachy</i>	- spodnie; kalesony
<i>na czysto</i>	- ukraść portfel z pieniędzmi i dokumentami
<i>nadać</i>	- donieść, zdradzić
<i>nadanie</i>	- wskazanie kradzieży
<i>nadawczo-odbiorczy</i>	- donosiciel
<i>nadziany</i>	- bogaty
<i>nafencł</i>	- umrzeć, umierać
<i>najechać</i>	- okraść
<i>najmimorda</i>	- adwokat
<i>na klops</i>	- aresztowanie
<i>na kółko</i>	- kradzież w tramwaju
<i>naładowany</i>	- zdenerwowany
<i>na minę</i>	- kradzież przez włamanie z piwnicy
<i>napalm zastosować</i>	- spółkować

<i>na pewnego godzinie</i>	- wyrzucanie grypsów w umówione miejsce o ustalonej
<i>narkoza</i>	- pozbawienie kogoś przytomności
<i>narzeczony</i>	- oszust matrymonialny
<i>nawalić</i>	- oszukać współnika przy podziale
<i>nawijać</i>	- opowiadać, powiedzieć; udawać
<i>na wystawie być</i>	- ukrywać się
<i>na zawdy</i>	- dożywocie
<i>na zgubne</i>	- rodzaj kradzieży na stacjach i w pociągu
<i>nenta</i>	- uwaga
<i>niebo</i>	- sufit
<i>nieboszczka</i>	- świnia
<i>niefart</i>	- niepowodzenie, nieszczęście, pech
<i>nielegalny ubój</i>	- morderstwo lub pobicie milicjanta (policjanta)
<i>niemaki</i>	- karty do gry
<i>niemego udawać</i>	- udawać, że się nie rozumie
<i>nie mieć wszystkich w domu</i>	- zwariować
<i>nie po farcie</i>	- nieszczęśliwie
<i>niuch</i>	- nos; węch; wyczucie
<i>nogę dać</i>	- uciec
<i>no jo</i>	- tak
<i>nota</i>	- list
<i>noworodek</i>	- więzień krótkoterminowy, pierwszy raz karany
<i>nudle</i>	- nieopłacalna kradzież
<i>nuta</i>	- prostytutka
<i>nutry</i>	- recydywiści
<i>nygus</i>	- więzień, którym inni gardzą, „frajer”
<i>obalić się</i>	- dostać się do więzienia; przewrócić się; pić
<i>obciach</i>	- wykrzyk czegoś, spostrzeżenie przez obcego
<i>obciąć</i>	- zobaczyć
<i>obcięty</i>	- wykryty, zauważony; podejrzany o coś
<i>obcinać</i>	- podglądać, obserwować, patrzeć
<i>obrazki</i>	- karty do gry
<i>obrączki</i>	- kajdanki
<i>obręcz</i>	- obrączka
<i>obserwator</i>	- wieżyczka strażnicza
<i>obskok</i>	- obronienie kogoś

<i>obtańcować</i>	- zwymyślać
<i>obtrząsać</i>	- ostrzyć
<i>ochędożyć</i>	- oszukać
<i>ochłap</i>	- wyrok sądowy
<i>ochronka</i>	- komendant pawilonu
<i>ochwent</i>	- odpust
<i>oczajny</i>	- dobry, „równy” kolega
<i>odcwelić</i>	- odejść
<i>od dzwonka do dzwonka</i>	- odbyć wyrok w całości
<i>odklepka</i>	- odbywanie kary więzienia; rozejście się
<i>od klepki do klepki</i>	- odbyć wyrok w całości, bez warunkowego zwolnienia
<i>odknaj</i>	- odejść!
<i>odkuć się</i>	- odejść, odczepić się
<i>odpalić ścianę</i>	- przekazać współnikowi
<i>odpierzelić</i>	- pozbyć się kogoś, odłączyć się, odejść
<i>odplombować</i>	- otworzyć
<i>odpulić</i>	- dać, podzielić się czymś
<i>odwalić współnika</i>	- wziąć winę na siebie
<i>ogór</i>	- więzień stary (wiekiem)
<i>ojloch</i>	- gwałt, krzyk
<i>oklep</i>	- pobicie
<i>okowa</i>	- denaturat
<i>oks</i>	- chłop
<i>olaboga, olabryga</i>	- denaturat
<i>olejek</i>	- tusz, farba do tatuażu
<i>opasty</i>	- tęgi, gruby
<i>opchnąć</i>	- sprzedać
<i>opierdolić</i>	- ukraść
<i>organkować</i>	- jeść
<i>orla wywinąć</i>	- umrzeć
<i>osiemnacha</i>	- artykuł 18 kk
<i>osioł</i>	- ten, który płaci prostytutce
<i>ożenek</i>	- handel
<i>ożenić</i>	- handlować; donieść władzom; sprzedać
<i>ożerło</i>	- jedzenie
<i>pacan</i>	- mały chłopak, „frajer”
<i>paczka</i>	- banknot stułotowy
<i>pajac</i>	- awanturnik w więzieniu

<i>pająk</i>	- kradzież sklepowa
<i>pajda</i>	- wyrok sądowy; kawał (czegoś)
<i>pajdka</i>	- wyrok; porcja chleba więziennego
<i>pajęczarz</i>	- złodziej kradnący bieliznę ze strychów
<i>pajęczyna</i>	- kradziona bielizna; kraty okienne
<i>pal</i>	- członek męski
<i>palcówka</i>	- porozumiewanie się na migi
<i>palma</i>	- choroba psychiczna; wariat
<i>palmowa niedziela</i>	- jeden rok wyroku
<i>palmus</i>	- wariat; symulujący chorobę psychiczną
<i>pala</i>	- głowa
<i>polaki</i>	- nogi
<i>papier</i>	- dolary USA; dewizy
<i>papież</i>	- ksiądz odbywający karę więzienia; śledź
<i>papuga</i>	- adwokat; stróż
<i>parasol</i>	- kelner; technika włamania przez sufit; niebo
<i>parawan</i>	- przedmiot użyty do zakrycia ręki przy kradzieży kieszonkowej
<i>parkan</i>	- wewnętrzna kieszeń w marynarce; kołnierz
<i>parol</i>	- dolewka
<i>parowiec</i>	- więzień oddający się innym
<i>parowa</i>	- homoseksualista
<i>parzoch</i>	- specjalnie przyrządzana herbata, działająca jak narkotyk
<i>parzygnat</i>	- kucharz więzienny
<i>pas</i>	- śmietnik
<i>pasówka</i>	- zgoda; coś odpowiedniego; tak, dobrze
<i>pastuch</i>	- strażnik więzienny
<i>pastylka</i>	- chleb
<i>patelnia</i>	- rodzaj zboczenia seksualnego
<i>patrzala</i>	- oko; więzień noszący okulary
<i>patrzonko</i>	- widzenie
<i>pazernik</i>	- szewc
<i>pazerny</i>	- chciwy
<i>pech</i>	- boczna kieszeń
<i>pedał</i>	- homoseksualista
<i>pedant</i>	~ ten, który zabija bez użycia broni
<i>pekary</i>	- rękawiczki skórzane
<i>period</i>	- zupa więzienna o czerwonym kolorze
<i>perkalik</i>	- szalik
<i>penciki</i>	- nogi

<i>pestki</i>	— naboje
<i>pękać</i>	- płoszyć się, uciekać
<i>pęto</i>	- kiełbasa
<i>pętać</i>	- prosić, żebrać
<i>pętak</i>	- drobny złodziejaszek; dziecko
<i>pichlarz</i>	- ksiądz
<i>picuś-glancuś</i>	- elegancik żyjący na koszt prostytutki
<i>piechury</i>	- buty
<i>piekarnia</i>	- drukarnia fałszywych pieniędzy
<i>piekło</i>	- narada sędziowska
<i>pielucha</i>	- chustka; koszula więzienna
<i>pienić się</i>	- złościć się, denerwować się
<i>pieprzyk</i>	- złodziej kieszonkowy
<i>pierzyna, pierzynka</i>	~ sweter
<i>pies</i>	- milicjant, policjant (tajny)
<i>pieszym</i>	- sweter
<i>pietra mieć</i>	- bać się
<i>pietrek pluje</i>	- pada deszcz
<i>pigułka</i>	~ kula
<i>piłat</i>	- sędzia
<i>pinkiel</i>	- pakunek, tłumok
<i>piórka</i>	- włosy
<i>pióro</i>	- nóż
<i>pipla</i>	- mucha
<i>piszczel</i>	- sprężyna używana do bicia
<i>piter</i>	- portmonetka, woreczek z pieniędzmi
<i>pitrówa</i>	- kłódka
<i>piwo małe</i>	- drobiazg, błahostka
<i>pizda</i>	- siedzenie, pośladki
<i>pizdą karmiony</i>	- sutener
<i>pizdolicha</i>	- siostra więzienna
<i>plandeka</i>	- koc
<i>plejtować</i>	- uciekać
<i>pluć</i>	- strzelać
<i>pluskwa</i>	~ awantura, zaczepka; wpadka; wykrycie (czegoś)
<i>plachta</i>	- papier do skręcania papierosa
<i>pniaki</i>	- zęby
<i>poczta</i>	- sznur do podawania przesyłek do celi
<i>podjazd</i>	- samochód, pojazd do przewożenia kradzionych rzeczy
<i>podklepać</i>	- ukraść

<i>podmianka</i>	- zamiana
<i>pod Polaka wziąć</i>	- zagrać na ambicji
<i>podsytać</i>	- poinformować
<i>podulić</i>	- zapalić
<i>podzierzka</i>	- pomoc rodziny lub współwzięcia
<i>poganin</i>	- Żyd
<i>pogierkować</i>	- pograć (w coś)
<i>pojedyńka</i>	- cela pojedyncza, izolacyjna
<i>pokutnik</i>	- stróż, dozorca
<i>połówka</i>	- koszula „polo”
<i>polski boks</i>	- bójka z użyciem kija, sztachety itp.
<i>połyk</i>	- połknięcie obcego ciała w celu samouszkodzenia
<i>pomidor</i>	- ksiądz
<i>popapraniec</i>	- obraźliwe przezwisko: oferma
<i>popelina</i>	- strach
<i>popielnik</i>	- pośladki
<i>popuść deczko</i>	- ustąpi trochę
<i>poruta</i>	- nieudane przestępstwo, „wsypa”
<i>porutnik</i>	- oskarżyciel, poszkodowany
<i>porutny</i>	- łatwy do zdemaskowania, podejrzany
<i>porwać</i>	- ukraść
<i>pory mu falują</i>	- boi się, ma stracha
<i>potabaczyć</i>	- palić papierosy
<i>potok</i>	- kradzież z pojazdu
<i>powalić się</i>	- zostać aresztowanym
<i>powiastka</i>	- wezwanie sądowe; zwolnienie, przepustka
<i>powiodło się</i>	- udało się, poszczęściło
<i>powszechniak</i>	- liczba 7
<i>pozdrowienia z To ledo (z Fordonu)</i>	- barszcz
<i>pólkorejka</i>	- łóżko piętrowe
<i>pragnojka</i>	- zwolnienie, przepustka
<i>prawiczek</i>	- pierwszy raz karany
<i>prawilnie</i>	- naprawdę, prawdziwie
<i>propaganda</i>	- gazety, czasopisma
<i>prorok</i>	- prokurator
<i>prostodziura</i>	- prostytutka
<i>przecinać</i>	- aresztować
<i>przegarować</i>	- przespać się
<i>przegub</i>	- paczka
<i>przejściówka</i>	- cela przejściowa (kwarantanna)

<i>przekręcić się</i>	- umrzeć, zmienić się
<i>przenicować</i>	- rewidować
<i>przerzutka</i>	- przeniesienie więźnia do innej celi
<i>przewalanka</i>	- oszustwo
<i>przewinąć się</i>	- umrzeć w więzieniu
<i>przybastować</i>	- skończyć, zaprzestać (kradzieży)
<i>przybić</i>	- złapać
<i>przybuzować</i>	- upić się
<i>przychlać</i>	- donieść, wydać
<i>przyciąć</i>	- zasłonić
<i>przyfilować</i>	- zobaczyć, zauważyć
<i>przypalić</i>	- zauważyć; wpaść, zostać złapanym
<i>przypanował</i>	- uspokoił się
<i>przyprawka</i>	- napicie się (czegoś); połknięcie obcego ciała
<i>przysmotrać</i>	- zobaczyć
<i>psuł</i>	- członek męski
<i>ptakowo</i>	- więzienie we Wronkach
<i>puchy</i>	- pustka
<i>pucować</i>	- przyznawać się
<i>pucki</i>	- więźniowie kradnący nocą w celi
<i>pudernica</i>	- kochanka
<i>pukawa</i>	- pistolet
<i>pukiel</i>	- dużo, wiele; worek
<i>pukwa</i>	- torebka
<i>pulchna</i>	- pośladki kobiece
<i>pulower</i>	- tłać się szmata używana jako zapalniczka
<i>pustak</i>	- głowa
<i>pustelnik</i>	- kierownik działu administracji
<i>puszka</i>	- więzienie
<i>rabin</i>	- sędzia
<i>radar</i>	- donosiciel
<i>radary</i>	- uszy
<i>rajbować</i>	- przeszukiwać, rewidować
<i>rajster</i>	- dużo pieniędzy
<i>rajza</i>	- podróż
<i>rak</i>	- przyrząd do prucia kas; rozgałęziacz „kotwic”
<i>rakarz</i>	- lekarz więzienny; weterynarz
<i>rakietna</i>	- paczka żywnościowa
<i>rakietnica</i>	- osoba przysyłająca paczki więźniowi
<i>ramka</i>	- paczka (papierosów)



<i>rapcie</i>	- uszy .
<i>razowy</i>	- chłopski, ordynarny
<i>razówka</i>	- dziewczyna wiejska
<i>rączka, rąsia</i>	- słowo
<i>recha</i>	- żyłtka
<i>recydywa</i>	- kasza, zupa gotowana z kaszą
<i>resory</i>	- zawieszenie wyroku
<i>rifli</i>	- kradzież z włamaniem przez sufit
<i>ring kolka</i>	- obrączka
<i>robota</i>	- kradzież
<i>rower</i>	- okulary
<i>rozhaukać</i>	- rozgłosić coś
<i>rozklepicha</i>	- żeńskie narzędzia płciowe
<i>rozklidować</i>	- otworzyć drzwi mieszkania lub sklepu
<i>rozpisać się</i>	- rodzaj samouszkodzenia
<i>rozprut</i>	- homoseksualista
<i>rozpylacz</i>	- pistolet maszynowy
<i>rozsyпка</i>	- poród, urodzenie dziecka
<i>różaniec</i>	- porozumiewanie się za pomocą rąk
<i>rudy</i>	- oficer śledczy MO
<i>runo</i>	- tytoń z niedopałków
<i>rura</i>	- odbytnica; pistolet; prostytutka
<i>ruska cytryna</i>	- cebula
<i>ruski towot na ma</i>	
<i>kach</i>	- pasta do podłogi
<i>ruskie futro</i>	- waciak
<i>ryba</i>	- kłamstwo, oszustwo
<i>rybak</i>	- moneta pięciozłotowa
<i>rympał</i>	- narzędzie do ogłuszania, łom; członek męski
<i>rysik</i>	- ołówek
<i>rysować</i>	- pisać prośbę o warunkowe zwolnienie
<i>sadzić się</i>	- prowokować do bójki
<i>sagan</i>	- paczka, pakunek
<i>sajdka</i>	- kromka chleba
<i>sak</i>	- więzienie
<i>sakwa</i>	- torebka damska
<i>sałamacha</i>	- strawa więzienna, wikt
<i>samara</i>	- worek na rzeczy więźnia; brzydkie tatuaże; dziewczyna
<i>samark</i>	- portfel z pieniędzmi; pieniądze

<i>sara</i>	~ pieniądze
<i>schab żydowski</i>	~ cebula
<i>schaby</i>	- plecy
<i>schowek</i>	- więzienie
<i>seledyn</i>	- środek
<i>sępki jarac</i>	- palić wiórki z oskrobanych sęków
<i>sfelać</i>	- odejść
<i>sianko</i>	- siennik rozłożony na podłodze
<i>siano</i>	- tytoń; pieniądze
<i>sieczkarnia</i>	- poczekalnia sądowa dla więźniów
<i>sieczkobryk</i>	— chłop
<i>sieczkobrząk</i>	- więzień pochodzący ze wsi
<i>siedem kwiatów</i>	- zupa jarzynowa; nieprzyjemny zapach
<i>sieknąć</i>	- przygadać komuś
<i>sikor</i>	- zegarek
<i>sik sikum</i>	- tak
<i>siora</i>	- pielęgniarzka, siostra
<i>sitwa</i>	- spółka, porozumienie, umowa
<i>skakier</i>	- bandyta napadający z bronią
<i>skarpetki pancerne</i>	- brudne skarpety
<i>skaza</i>	- zegarek
<i>skies!</i>	- w porządku!
<i>skila</i>	- pies; milicjant, policjant mundurowy
<i>skitrać</i>	- schować
<i>skluczyć</i>	- otworzyć zamek
<i>skłowić</i>	- sprzątnąć, schować, usunąć
<i>skobzać</i>	- zbić kogoś
<i>skok</i>	- włamanie
<i>skoki</i>	- buty
<i>skołować</i>	- zdobyć, skombinować, przynieść
<i>skowronek</i>	- konwojent
<i>skowyr</i>	- pies
<i>skóra</i>	- portfel; rękawiczka; kobieta
<i>skręty</i>	- papierosy
<i>skrzyńka</i>	- tramwaj
<i>stońce</i>	- lampa; żarówka w celi
<i>stuchawka</i>	- ucho
<i>stúp</i>	- świadek
<i>smarować się</i>	- bić się
<i>smarunek</i>	- bicie; jedzenie
<i>smolić</i>	- palić tytoń

<i>smrodzić</i>	- odbyć stosunek homoseksualny
<i>smród</i>	- pusty portfel
<i>smuga</i>	- pogardliwie o złej robocie, „lipa”; pytanie; informacja
<i>smutniak</i>	- suchy chleb
<i>smutny</i>	- milicjant, policjant (tajny)
<i>smyczek, smyk</i>	- krótki wyrok; nóż; pilnik; łańcuszek
<i>spacerniak</i>	- plac spacerowy w więzieniu
<i>spadać</i>	- odejść; przerwać rozmowę
<i>sploty</i>	- włosy
<i>spluwa</i>	- boczna kieszonka przy torebce damskiej
<i>spluwacz</i>	- pistolet
<i>spluwaczka</i>	- górna boczna kieszeń w marynarce
<i>spowiadać się</i>	- zeznawać w sądzie
<i>spowiednik</i>	- sędzia
<i>spowiedź</i>	- śledztwo
<i>spust</i>	- apetyt
<i>sputnik</i>	- rura do wydmuchiwania grypsów
<i>sraka</i>	- dziewczyna
<i>staranka</i>	- zabiegi o coś
<i>startować</i>	- zaczynać
<i>stateczny człowiek</i>	- porządny człowiek
<i>stemp!</i>	- uwaga! bacność!
<i>stodołę sobie zrobić</i>	- rodzaj samouszkodzenia
<i>stopa</i>	- napad z bronią w ręku
<i>strojka</i>	- struna
<i>strugacz</i>	- kłamca
<i>strupa!</i>	- stróż nocny
<i>strzelać</i>	- iść, uciec
<i>stukator</i>	- kapuś. Zob. też <i>sztukator</i>
<i>styja</i>	- odbytnica
<i>styk</i>	- widzenie, odwiedziny
<i>suczy departament</i>	- sąd
<i>sufit</i>	- głowa
<i>suka</i>	- karetka więzienna, auto milicyjne
<i>sumer</i>	- czarny chleb więzienny
<i>suteryna</i>	- dno kotła z jedzeniem
<i>swinga</i>	- sygnet
<i>swojak</i>	- kolega; złodziej
<i>swojaszczyj mancz</i>	- swój człowiek (duże uznanie)
<i>syfilis mieć</i>	- mieć współlokatora

<i>sygeł</i>	- pieczęć
<i>sympatyczny</i>	- określenie pedała
<i>synogesa</i>	- kobieta o długich nogach
<i>szaber</i>	- łom
<i>szafa</i>	- cela pojedyncza
<i>szafiry</i>	- brylanty i inne drogie kamienie
<i>szajata</i>	- matka
<i>szajba</i>	- krótka broń, pistolet
<i>szajba odbita</i>	- zwariować, zachorować umysłowo
<i>szanta</i>	- stosunek homoseksualny
<i>szamać</i>	- jeść
<i>szambo</i>	- nieszczęście, kłopot; kubel sanitarny
<i>szamka</i>	- usta
<i>szamot</i>	~ posiłek; twarz
<i>szamuszek</i>	- jedzenie
<i>szantachlery</i>	- buty, pantofle
<i>szantrapa</i>	- prostytutka najniższej kategorii
<i>szapirka</i>	~ kobieta kradnąca materiały tekstylne
<i>szczur</i>	- mały chłopiec; złodziej
<i>szczygiel</i>	- posłaniec
<i>szczyłuch</i>	- więzień młodociany
<i>szemrany</i>	- zawodowy złodziej
<i>szitef</i>	- współnik
<i>szkapa</i>	- szczotka
<i>szkieł</i>	~ okulary; pies
<i>szkiełka</i>	- brylanty
<i>szkółka</i>	- zakład poprawczy; oddział obserwacyjno-rozdzielczy
<i>szkółowiec</i>	- przestępca młodociany
<i>szlamierz</i>	- niedoświadczony funkcjonariusz SW
<i>szlamować</i>	- badać teren kradzieży
<i>szlany</i>	~ spodnie
<i>szłoić</i>	- spółkować
<i>szługi</i>	- papierosy
<i>szmulać</i>	- iść na dziewczynki
<i>sznyt</i>	- blizna po samouszkodzeniu; rodzaj cięcia
<i>szpadryna</i>	- kastet
<i>szpagat</i>	- inteligent
<i>szparga</i>	- udział, zysk
<i>szpenio</i>	- fachowiec
<i>szpilać</i>	- grać w karty

<i>szpring</i>	- rodzaj kradzieży mieszkaniowej
<i>szpryc</i>	- sposób wyjmowania szyb bez hałasu
<i>szprycha</i>	- dziewczyna
<i>szpula</i>	- mowa, „gadka”, opowiadanie
<i>sztajfa</i>	- opowiadanie; spółka
<i>sztama</i>	- zgoda
<i>sztory</i>	- karty do gry
<i>sztrajchelec</i>	- zapalki
<i>sztuka</i>	- dziewczyna
<i>sztukać</i>	- prosić
<i>sztukator</i>	- donosiciel
<i>szubraczka</i>	- dziewczyna, do której pisze się listy
<i>szucher</i>	- krzyk
<i>szuchtować</i>	- stawiać opór
<i>szufir</i>	- hałas
<i>szufla</i>	- dłoń (przy powitaniu)
<i>szuflada</i>	- mała kasetka; miejsce pod łóżkiem
<i>szufler</i>	- podżegacz do buntu
<i>szum</i>	- las
<i>szura-bura</i>	- udający doświadczonego złodzieja
<i>szwagier</i>	- milicjant, policjant
<i>ściana</i>	- zasłona; wspólnik osłaniający
<i>śledź</i>	- prowadzący śledztwo
<i>ślepaki</i>	- naboje
<i>slip</i>	- oko; świadek
<i>śmietnik</i>	- żołądek, brzuch
<i>śmigać</i>	- iść; sprawnie wykonać
<i>śmirować</i>	- oglądać, upatrywać, rozpoznawać miejsce kradzieży
<i>śrubować</i>	- wypytywać w śledztwie
<i>śrut</i>	- kłamać
<i>świeca</i>	- obserwator, czujka
<i>świecić</i>	- patrzeć
<i>świnki</i>	- papierosy bez ustnika; złote monety
<i>świr</i>	- wariat, symulant
<i>świrować</i>	- udawać wariata, symulować
<i>tabor</i>	- środek transportu, więźniarka
<i>tafel</i>	- tysiąc złotych
<i>tapeta</i>	- pieniądze

<i>tarazić</i>	- spółkować
<i>targacz</i>	— pociąg
<i>taryfa</i>	- taksówka
<i>tasaki</i>	- karty do gry własnej produkcji
<i>tauzen</i>	- tysiąc
<i>teges szages</i>	- tak było, naprawdę
<i>teges weges</i>	- zwrot bez znaczenia, wtrącony w rozmowie
<i>telefon</i>	- porozumiewanie się poprzez pukanie w ścianę
<i>teleskopy</i>	- piersi kobiece
<i>telewizor</i>	- kubał sanitarny; wywołanie oddziałowego do kraty
<i>ten z kółkiem</i>	- lekarz psychiatra
<i>tirka</i>	- liczba 3
<i>toaletowa</i>	- kiełbasa, pasztetowa
<i>towar</i>	- dziewczyna; kradzione rzeczy, łup
<i>tramwaj</i>	- rozmównica więzienna; miejsce między łózkami w celi.
Zob. też	<i>dać w tramwaj</i>
<i>transport</i>	- przeniesienie do innego zakładu karnego
<i>trefny</i>	- kradziony, niebezpieczny
<i>tremo</i>	- lustro, lusterko
<i>troić</i>	- jeść
<i>troidlo</i>	- jedzenie
<i>trona</i>	- ciemna noc
<i>truć.</i>	- pić
<i>trujanka</i>	- usta, twarz, gęba
<i>trusiać</i>	- jeść
<i>truskawa</i>	- duży nos
<i>tufle</i>	- drewniaki
<i>tufta</i>	- prostytutka
<i>tup ty</i>	- buty
<i>tuzinek</i>	- liczba 12
<i>twarde</i>	- obca waluta w złocie
<i>twardy</i>	- spirytus
<i>twardzizna</i>	- złote monety
<i>twyrasy</i>	- brama
<i>ty cer</i>	- złodziej odbierający towar przy kradzieży
<i>tychonić</i>	- pomagać
<i>tył</i>	- niepowodzenie, nieszczęście
<i>tyras</i>	- „sztuczny tłok” ułatwiający kradzież
<i>tyrka</i>	- praca
<i>tyrać</i>	- pracować; zasłonić

<i>uchać</i>	- słuchać
<i>ucho</i>	- donosiciel
<i>umoczyć</i>	- stracić coś, przegrać w karty
<i>upłynnić</i>	- sprzedać
<i>urka</i>	- złodziej zawodowy, rutynowany
<i>urka-burka</i>	- pogardliwie o nieudolnym złodzieju
<i>urkagan</i>	- starszy złodziej
<i>ustawić się</i>	- umówić się
<i>uwalić</i>	- przewrócić
<i>wacha</i>	- rzadka zupa; krew; kawa
<i>waflarnia</i>	- grupa więźniów kolegujących się ze sobą
<i>waga</i>	- rozprawa sądowa
<i>wagonik</i>	- paczka (czegoś, z czymś)
<i>walec</i>	- osobnik oszukany
<i>walić</i>	- bać się
<i>waliza</i>	- usta
<i>walizka</i>	- paczka żywnościowa
<i>walek</i>	- członek męski
<i>wandal</i>	- złodziej okradający budki telefoniczne
<i>waniajet</i>	- o nielegalnym towarze w znaczeniu: niebezpieczny,
<i>„śmierdzący”</i>	
<i>wapniak</i>	- bardzo stary więzień
<i>waracha</i>	- kubeł sanitarny
<i>watacha</i>	- ostrzeżenie przed oddziałowym
<i>wąchanie</i>	- rozpoznawanie pracowników SW
<i>wbitka</i>	- uszkodzenie ciała
<i>wcisk</i>	- wmawianie czegoś na siłę
<i>w długą dać</i>	- uciec z więzienia
<i>wenda</i>	- brzytwa
<i>wiązka</i>	- aresztowanie, wpadka
<i>widzenie z naczelnikiem</i>	- raport karny
<i>wieczniak</i>	- więzień skazany na dożywocie
<i>winda</i>	- sznurek spuszczone z okna celi
<i>winkiel</i>	- róg domu lub ulicy
<i>wiosło</i>	- łyżka
<i>wióry</i>	- pościel
<i>wirażka</i>	- prostytutka męska, najgorsza kategoria więźniów
<i>witki</i>	- ręce

<i>wizytera</i>	- ujście kiszki stolcowej
<i>wizyterka</i>	- judasz, otwór w drzwiach celi
<i>w łokieć parzy</i>	- niedopałek, krótki papieros
<i>wodolejca</i>	- mówiący nieprawdę, kłamca
<i>wojtek</i>	- miesiąc, księżyc
<i>wokanda</i>	- posiedzenie sądu w sprawie warunkowego zwolnienia
<i>wolta</i>	- nierówny podział łupu
<i>worycha</i>	- rutynowany złodziej
<i>wosk</i>	- złoto
<i>wparować</i>	- wejść
<i>wrona</i>	- zakonnica
<i>wrzucić na garba</i>	- obić kogoś
<i>wsypać</i>	- zdradzić, wydać
<i>wślizgnąć do paki</i>	- być uwięzionym
<i>wydra</i>	- wyrwać komuś z ręki
<i>wydzierać</i>	- tatuować
<i>wyjsć z więzienia</i>	
<i>z kartką u nogi</i>	- umrzeć
<i>wyklepać</i>	- wyjść z więzienia
<i>wyklepka</i>	- ostatni dzień wyroku
<i>wyklepsować</i>	- wyjść z więzienia, odbyć wyrok
<i>wykołegować</i>	- oszukać, wykiwać
<i>wykorkować</i>	- umrzeć
<i>wykuć</i>	- wytatuować
<i>wypiska</i>	- sprzedaż w więzieniu
<i>wyrobić</i>	- wytrzymać (coś)
<i>wysmrodzić</i>	- odbyć stosunek
<i>wystawka</i>	- ucieczka
<i>wystąpić na parkiet</i>	- stanąć do walki
<i>wytargać</i>	- wyprowadzić, wynieść
<i>wytrzepać się</i>	- być bez pieniędzy
<i>wywinąć ortę</i>	- umrzeć
<i>wyzdrowieć</i>	- być uniewinnionym
<i>wziąć kogoś na</i>	
<i>margarynę</i>	- odbyć stosunek
<i>wzorek</i>	- tatuaż
<i>zagulka</i>	- rozróbka
<i>zające</i>	- ucieczki
<i>zajgler</i>	- zegarek



<i>zajuchcić, zajumać</i>	— ukraść
<i>zakapior</i>	- rozrabiacz
<i>zakafkać</i>	- donieść (komuś o czymś)
<i>zakupować</i>	- zdradzić, wydać
<i>zakitrać</i>	- wsadzić, położyć, schować
<i>zaklopsować</i>	- kara więzienia
<i>zakładowe</i>	- używane w zakładzie poprawczym
<i>zakotwiczyć się</i>	- dokonać samouszkodzenia
<i>zakusko</i>	- pusto
<i>zamek</i>	- pośladki
<i>zaparte</i>	- zaprzeczać, przeczyć komuś. Zob. też <i>iść w zaparte</i>
<i>zaprawiać</i>	- pić wódkę, upijać się
<i>zaprawić</i>	- uderzyć; połknąć obce ciało
<i>zarobić</i>	- ukraść
<i>zarobnik</i>	- doświadczony złodziej
<i>zaschnąć</i>	- zasnąć, spać
<i>zastawka</i>	- przysięga więzienna, zobowiązanie; zakład o coś
<i>zasypka</i>	- zasypywanie oczu środkiem trującym
<i>zatachować</i>	- wsadzić do więzienia
<i>zawalić się</i>	- wpaść do więzienia
<i>zawicować</i>	- otrzymać, dostać (wyrok)
<i>ząb</i>	- mieć gazy
<i>z bomby</i>	- tryb przyśpieszony rozprawy
<i>zdacie</i>	- przedmioty przeznaczone do handlu więziennego
<i>zdun</i>	- pederasta
<i>zeczować</i>	- siedzieć w więzieniu
<i>zeks!</i>	- uwaga!
<i>żela</i>	- dno, spód
<i>zged</i>	- stary więzień
<i>zholować</i>	- zabrać (kogoś)
<i>zielone firanki</i>	- kartka zwolnienia
<i>zielony osobnik</i>	- osobnik, który zaczyna kraść
<i>z Irkucka</i>	- pogardliwe określenie więźniów „frajerów”
<i>złota wara</i>	- kobiece narządy płciowe
<i>zmiatać</i>	— uciekać
<i>zmikicić</i>	- zobaczyć, widzieć
<i>z piana</i>	- kopnięcie
<i>zrywa</i>	- ucieczka
<i>związać</i>	- złapać, chwycić, aresztować

<i>zwrot abarot</i>	— od początku
<i>zwyżka</i>	- wieżyczka wartownicza
<i>żaba</i>	- radioodbiornik
<i>żar</i>	- zapalki; ogień
<i>żarki</i>	- zapalki
<i>żelić (szługi)</i>	- palić (papierosy)
<i>żółtaczkę zaprawić</i>	- symulacja choroby
<i>żuk</i>	- żółtodziób; młody kieszonkowiec
<i>żyd</i>	- paser
<i>żydowska kiełbasa</i>	- czosnek
<i>żyła</i>	- oszust, naciągacz

## *Spis treści*

Zamiast wstępu .....	7
I. „Ludzie”, czyli „grypsujący” .....	12
II. „Nieludzie”, czyli „frajerzy” .....	22
III. Między nami „złodziejami” .....	33
IV. Powszedni dzień „złodzieja” .....	42
V. „Klawisze” i „złodzieje” .....	58
VI. Powszedni dzień „klawisza” .....	73
VII. Życie „klawisza” .....	82
VIII. Internowani .....	102
IX. Samoagresja „złodziei” .....	116
X. Jak się siedziało i siedzi w Polsce.....	134
XI. Kara śmierci, czyli „czapa” .....	154
XII. Jak się siedzi za granicą .....	166
XIII. Autentyczny pamiętnik „złodzieja” .....	178
XIV. Podręczny słownik „grypsery” .....	200